

BARDZO STARY TESTAMENT

Opowiadania

Maurycy Fabisz



Darmowy eBook polecony przez
eBooknfo.pl

Darmowy eBook. Handlowanie publikacją zabronione. Materiał przeznaczony do swobodnej dystrybucji pod warunkiem nie wprowadzania żadnych zmian w żadnej z części.

Wszelkie prawa zastrzeżone © 2007 Maurycy Fabisz

ISBN: 978-83-60863-40-4

Wydanie I

Dobry eBook

ul. Grenadierów 5/5, 30-085 Kraków

tel./fax (12) 353 04 05

e-mail: i.kielar@dobryebook.pl

www.DobryeBook.pl

Spis treści

1	Zmrogg	3–10
2	Bardzo Stary Testament	11–13
3	Arachnia	14–19
4	Bywalcy wieży Nesle	20–22
5	Pięć haków	23–31
6	Edward Miękki i Wilczyca	32–36
7	Pejzaż z kluczem żurawi	37–40
8	Nad Wielką Rzeką	41–45
9	Doktor Saiomc i Obcy	46–51
10	Obcy i Doktor Saiomc	52–61
11	Jesień z Felidomorfą	62–64
12	Konspekt	65–93
13	Vespasio	94–95
14	Pamięci Gienadija	96–101
15	Motocykle i ich motocykliści	102–109
16	Z innej beczki	110–118
17	Asasyn	119–130
18	W piwnicznej izbie	131–138
19	Pilard	139–178
20	Drugie życzenie	179–182
21	Bynajmniej	183–186

1 Zmrogg

Zmrogg interesuje się muzyką od dawna. Początki tego hobby sięgają zamierzchłych już czasów i mają niejaki związek z praktykowanym przezeń wówczas zwyczajem składania wizyt w bardzo różnorodnych miejscach, co zdarzało się o rozmaitych porach, chociaż zwykle po zachodzie słońca.

Adresy owych miejsc Zmrogg miał zawsze zawczasu przygotowane. Znajdował je w prasie, której ostatnich i przedostatnich stron był namiętnym czytelnikiem. Umieszczane były zwykle tuż po dziale ogłoszeń drobnych, gdzie zajmowały całą szpaltę, każdy w ozdobnej ramce, niekiedy opatrzonej dodatkowo symboliką ognia lub chryzantemy. Ściśle mówiąc nie były to nawet adresy, a jedynie personalia do niedawna bytujących pod nimi osób, wraz z obszerną listą ich powiązań rodzinnych i zawodowych, a także wykazem zasług i osiągnięć – wszelako dopasowanie ich do książki telefonicznej nie przekraczało jego cierpliwości. Więcej: stanowiło nawet rodzaj intelektualnej rozrywki podobnej do rozwiązywania krzyżówek, w których opisy poszczególnych haseł zostały pomieszane, albo zgoła nie ma ich wcale.

Tak stworzona lista miejsc zostawała następnie naniesiona na mapę i – opatrzona w daty i komentarze – zamieniała się w plan działania. Rozrzucone punkciki trzeba było jeszcze połączyć jak najkrótszą i jak najprościej przebiegającą linią, co stanowiło dodatkowe zadanie, tym razem z geometrii. Właściwie chodziło tylko o to, aby możliwie skrócić całą marszrutę, niekiedy jednak Zmrogg ulegał pokusie i – widząc, że właśnie kreślona przezeń, wężykowata linia zaczyna przypominać jakąś literę albo kabalistyczny znak – porzucał rygor ergonomii, pozwalając owej linii dopełnić swego zamiaru. Wówczas powstałe przypadkowo przesłanie uwyrażniało się na tle planu miasta jak widziana z przestrzeni kosmicznej zorza polarna, którą mieszkańcy planety postrzegają zupełnie inaczej, gdyż zmuszeni są oglądać ją od spodu.

Kiedy plan wyprawy był już gotowy Zmrogg przebierał się za spóźnionego przechodnia, nocnego marksa, fioletowego smakosza, albo jakieś inne nie budzące niczyjzego zainteresowania indywiduum – i wyruszał w trasę.

Każdy przystanek tej peregrynacji, każdy adres wykoncypowany z gazetowo-krzyżówkowych rebusów, miał swoją stronę – specjalnie dla siebie przeznaczoną przestrzeń mnemotechniczną – w osobistym notesiku Zmrogga, małej płaskiej książeczce, oprawionej w skórę rasy białej, śródziemnomorskiej. Zmrogg skrupulatnie zapisywał tam swe pierwsze uwagi dotyczące uspiętego domu i wszystko to, co zdołał wywnioskować o mieszkańcach na podstawie kształtu i koloru wycieraczki, rodzaju materiału, z którego wykonano kłamkę, istnienia bądź braku, a także – o ile to możliwe – zawartości skrzynki na listy, zapachu, jaki można poczuć przed drzwiami, odgłosów, jakie przez nie słychać,

smaku kurzu na framudze i innych, jeszcze subtelniejszych szczegółów. Potem powtarzał te operacje pod oknami, przy wylotach kanałów wentylacyjnych i u ujścia instalacji hydraulicznej. Zamykał oczy, wstrzymywał oddech i zapuszczał sondę wzdłuż przewodów ukrytych w ścianach, podsluchiwał odwieszony na widełki telefon i przeglądał utrwalone na kineskopie, najczęściej powtarzające się w danym miejscu obrazy.

Każdemu spostrzeżeniu nadawał gradację wyrażaną w liczbach całkowitych naturalnych zawierających się w przedziale od jednego do tysiąc dziewięćset siedemdziesięciu trzech.

I ruszał dalej.

Nie mitrząc ani nie tracąc cennego czasu, świadomy, że choć postęp medycyny ustalił pewną średnią i rzadko pozwalał na jej przekroczenie, to jednak ilość przystanków bywała niekiedy większa niż zwykle – Zmrogg podążał ku następnemu adresowi, następnym spostrzeżeniom i następnym wnioskom. I zawsze udawało mu się przed świtem obejść wszystkie, które sobie zaplanował.

Potem, już na spokojnie, przy czarce podgrzanej do temperatury ciała *la sangrii*, dokonywał selekcji adresów. Wybierał spośród nich dwa, najwyżej trzy, które wydawały mu się obiecujące. Jeszcze raz podliczał wartościujące je punkty, jeszcze raz przywoływał w pamięci doznane przed tymi dwoma czy trzema drzwiami uczucia, jeszcze raz – zagłębiając się w fotel, również obity w skórę, i zaciskając kurczowo palce na podłokietnikach o miłym dla dłoni kształcie – Zmrogg otwierał do swej duszy dostęp owemu wewnętrznemu drzeniu, na którego nadejście czekał, a które było znakiem prawidłowo dokonanego wyboru i pewnością, wielką pewnością, tego, co ma nastąpić. Wreszcie, kiedy już był wszystkiego absolutnie pewien, udawał się do Mękołaka.

Razem opracowywali szczegóły planu. Zmrogg przygotowywał papiery (jeszcze *In blanco*), a Mękołak wyciągał z szafy garnitur, odprasowywał muszkę i krochmalił kołnierzyk. Wtedy to, podczas swobodnej rozmowy, przy tych mało absorbujących, a jednak noszących wszelkie znamiona przygotowań, prostych czynnościach, wtedy to właśnie materializowały się kolejne elementy, logiczne cegiełki, których przeznaczeniem było stworzenie nie budzącej wątpliwości, odpornej na nieufność, jedynej i niepodważalnej PRAWDY.

Aby ją taką uczynić Zmrogg składał w owych wybranych miejscach jeszcze jedną niezbędną wizytę. Tym razem nie zatrzymywał się już przed drzwiami, nie pozwalał, aby wszystkim co wiedział były tylko domysły. Zamiast tego bezszelestnie chodził po pokojach, niezauważalnie dla śpiących tuż obok domowników otwierał szafki, szuflady i skrytki, w absolutnej ciemności czytał wydobyte stamtąd dokumenty, studiował kwity, potwierdzenia i rachunki, porównywał faktury. Kartkował książki, taksował albumy, przeglądał pamiętniki. Skanował dyski.

Nachylał się nad oddechami ludzi, których mózgi uwięzione były w ciałach, a myśli w somnambulicznych prądach wirowych obwodowego układu nerwowego, przez cały dzień zepchniętego do roli pomocnika, służącego, administratora odruchów bezwarunkowych i skurczów mięśni płaskich, robaczkowego pełzania jelit i meduzowatych szarpnięć serca – a który teraz władał całym tym ciałem, lecz mimo, że nie znajdował w nim żadnego przeciw sobie oporu, niezdolny był nawet, aby podnieść się na nogi i przejść kilka kroków nie uderzywszy czołem o ścianę. Zmrogg unikał macających wokół, lunatycznych dłoni, i zapuszczał się do kierującej nimi wierzchniej, zewnętrznej warstwy, gdzie harcowały półświadome reprojekcje jawy. Obserwował je, a także wszystkie manifestujące się za ich pośrednictwem fobie. Potem schodził jeszcze niżej, w podkorowy świat neandertalczyka, w płynność z czasów kiedy nie obowiązywały jeszcze żadne prawa, bo żadnych jeszcze nie wymyślono. Zmrogg przyglądał się im także i czynił notatki. Wszystko miało posłużyć jako dane do kwestionariuszy, formularzy i tabel.

W końcu nadchodził dzień zero. Zmrogg – naturalnie jak zwykle po zmierzchu – stawał na jednej z owych dobrze sobie znanych wycieraczek, pod drzwiami wybranymi z wybranych, oczekiwał niezbędnej minuty na wprowadzenie się w nastrój, po czym krótko i stanowczo pukał. Dwa razy. Czekał znowu aż zostanie zapytany kim jest i o co mu chodzi, a w międzyczasie kolistymi ruchami nadgarstków – niczym dyrygent rozgrzewający się przed poprowadzeniem orkiestry – strząsał w dół rozluźnione mankiety, aby ukryć w nich dłonie w gumowych rękawiczkach.

Dzień dobry, mówił, choć obie te rzeczy nie do końca zgadzały się już ze stanem faktycznym. Jestem przedstawicielem kancelarii adwokackiej mecenasa (tu padało nazwisko Mękołaka), ciągnął Zmrogg uśmiechając się oszczędnie. Proszę pozwolić mi złożyć sobie najszczerze wyrazy współczucia, dawał.

Potem, zależnie od reakcji interlokutora, wypowiadał kilka ogólnikowych zdań na temat tak młodego wieku, zwracał uwagę na smutną okoliczność, że wielu rzeczy już nie będzie dane, bądź po prostu zwierzał się ze swojego osobistego stosunku. I wtedy, niejako mimochodem, w obliczu stworzonej przez siebie atmosfery, wyznawał: Nasza kancelaria reprezentuje interesy pragnącej na razie zachować anonimowość osoby, blisko w ostatnim czasie związanej z Szanownym Nieobecny. W zaistniałych okolicznościach pan mecenas prosi o wizytę w swojej kancelarii, ma bowiem do zakomunikowania ważną wiadomość dotyczącą pewnych zapisów, które zgodnie z życzeniem donatora aż do tej chwili miały pozostać w tajemnicy. Mają one ścisły związek z niewątpliwie wkrótce mającym się rozpocząć postępowaniem spadkowym.

Po czym do akcji wkraczała profesjonalnie wyprodukowana wizytówka. Wędrowała z rąk do rąk, z niejakim zakłopotaniem ale i ekscytacją wilgotnymi palcami była bezwiednie rolowana wzdłuż, aż upodabniała się kształtem do dachu wagonu kolejowego,

ciągniętego przez lokomotywę, w której Zmrogg w czarnym cylindrze i chirurgicznej masce wielkimi szczypcami dorzuca do pieca.

Terminal tej linii – ostatnia stacja kursu – znajdował się w mieszkaniu Mękołaka. Wypełnione wonią zetłalej celulozy, zastawione drewnianymi meblami, którym wosk i korniki przydały aurę dostojności i milczącą etykietkę dawnych czasów, wzbogacone przecinającymi się ostrzami chromu, punktowane żeliwem i bakelitem, za kotarami z zielonego sukna tonęło ono w półmroku pod pojedynczą żarówką na gołym kablu, dystygowanie nakrytą deklek z malowanego szkła. W rogu, przy segregatorach, siedziała naturalnej wielkości figura Franca Kafki, krótkowzrocznie pochylona nad nieregularnie postukującą maszyną do pisania. Od czasu do czasu odrywała się od papierów i kręciła głową, aby rozluźnić zdrętwiałe mięśnie karku. Przez kilka sekund obrzucała taksującym spojrzeniem gości, których Zmrogg wprowadzał akurat, starannie przy tym akcentując ostatecznie słowo: proszę chwilę poczekać, pan mecenas właśnie uzupełnia wpisy wieczyste – po czym milcząc wracała do pracy. Skrzypnięcia jej stawów poprzedzały każdy trzask budzącej się do chwilowego życia, błyszczącej dźwigienki, gdy pędząca na spotkanie z kartką czcionka osiągała cel. W arytmicznych odstępach na białej rolce rozbijały się coraz to nowe krzyżki.

Gdy chwila dojrzała, a cisza i strzały tastagrafu osiągały kulminację, Mękołak zjawiał się nagle, nieomal niespodziewany, aby to czynione przez ślepy mechanizm, kinetyczne odliczanie liter, które zaczynało już zawłaszczać sens istnienia i sposobilo się trwać z tym wiecznie – aby je zniweczyć i postawić się przez to ponad nim. Mękołak był w tym niewątpliwy, dominujący i od razu identyfikowalny. Wkraczał na scenę.

Plan wyrastał z jego gestów i słów. Rozwijał się niczym wachlarz, podnosił z blatu biurka jak dym i materializował przed oczami słuchających jak oszroniona butelka na środku spalonej pustyni. Mękołak znał wszystkie słowa kluczowe, znał łączące je zależności i konfiguracje w jakich występowały. Używał ich jak zestawu ergonomicznych frezów, z których każdy może wykonać tylko jedną powierzchnię, ale wszystkie razem, prowadzone ręką mistrza, potrafią wyrzeźbić piękno o dowolnym kształcie. Mękołak był wirtuozem słów; regulował ich natężenie, częstotliwość, napięcie, indukcyjność oraz opór. Elektryzował nimi, galwanizował i doprowadzał do refrakcji. Ponad to – do pewnego stopnia, rzecz jasna – brał także pod uwagę ich znaczenie.

Wokół stalowych kul, jakimi stawały się wówczas poddane jego działaniu umysły, zaczynały tańczyć zrazu maleńkie, a potem coraz bardziej niespokojne iskry. Wyciągały się teleskopowe szyje, niczym maszty, mające za chwilę sięgnąć wysoko ponad dach, w środek szalejącej burzy. Rozjarzały się zwoje i cewki, przesycone widokiem wyskakujących spod ziemi, przygotowanych wcześniej przez Zmrogga poświadczeń, potwierdzeń, aktów notarialnych, wypisów katastralnych i listów sygnowanych pieczęciami obcych ambasad. Prawa własności, inwestycje, legaty warunkowe, zapisy

opcjonalne i proporcjonalne, rozporządzenia ostateczne i czasowe, aktywa hipoteczne, spadek gwarantowany...

Gdy różnica potencjałów pomiędzy dotychczasowym stanem spoczynku obiektu, a wytworzonym w nim właśnie stanem ekscytacji osiągała wartość graniczną, przez kancelarię Mękołaka przeskakiwał ładunek impulsyjny, daleki potomek pierwszej wszechsprawczej błyskawicy.

Opleciona kablami maszyna z cichym wizgiem rozpędzanych wałów, balans, przekładni, siłowników i kół zamachowych, rozpętywała na panelu kontrolnym orgię kolorowych światełek, które Zmrogg gasił lub wzmacniał, przesuwając dźwigniami potencjometrów. Obserwując wskazania przyrządów kontrolował przebieg zachodzących procesów, dozował aktywatory i flegmatyzatory, ukierunkowywał reakcje i poddawał je natychmiastowej analizie. W tym czasie pioruny uderzały już jeden za drugim. Inicjowana przez Mękołaka, pełzająca eksplozja narastała, kumulowała się. Koncentratory kanalizowały jej moc w stronę dwóch miedzianych bani, pokrytych wstęgami rur i drgającymi mackami przewodów, bulgoczących krystalizującą się masą i kipiących od subterralnego wrzasku.

Wtedy, z ukrycia, zza zielonych kotar, dźwiękoszczelnych kurtyn i kwasoodpornych drzwi Zmrogg dawał Mękołakowi znak, że już można zaczynać.

I zaczynało się.

Chrobocząc odsuwała się kamienna płyta w podłodze gabinetu Mękołaka, buchały spod niej kłęby żółtej pary nasyconej dwutlenkiem siarki, strzykały nitki wrzącego oleju i rozkwitały acetylenowe płomienie. Potem następowała erupcja wszystkich istniejących – znanych i nieznanymi – ekstramentaliów, które tak naprawdę stanowiły tylko produkt uboczny działalności laboratorium Zmrogga. Apogeum torsji mijalo po kilkudziesięciu sekundach, pozostawiając żalobnikom nieco czasu na otrząśnięcie się i pełną ulgi – ale i zdumienia – konstatację, że nieczystości nawet nie skalały ich dostojnego kiru.

Tymczasem substancje płynne i półpłynne zaczynały powoli ściekać po pochyłej posadzce z powrotem do widocznego teraz, prostokątnego otworu. Sączyło się zeń sepiowe światło, pulsujące w rytm narastającego, wilgotnego rżenia. Wgłęb opadały strome schody pokryte kaskadami osadów, przez które każdy krok słyhać był jak młaśnięcie. Klienci Mękołaka skupiali się – nachyleni, ze wstrzymanym oddechem i szeroko otwartymi oczami – wokół wjazdu.

Zmrogg odczekiwał, aż się niemal uduszą z emocji, aż wyschną im gałki oczne, aż ślina zacznie kapać z półotwartych ust. Czekal odwrócony tyłem od jednej z miedzianych bani, która – otwarta i już pusta – przestała budzić jego zainteresowanie; czekał gładząc pieśczośliwie pokrywę drugiej, dotykając śrub mocujących wieko, pieśzcząc je wzrokiem i powoli przekładając z ręki do ręki długi, chromowany klucz francuski.

W ostatniej chwili, ponaglony przez Mękołaka, od niechcienia końcem protezy popychał którąś dźwigienkę. Spoglądał ku sufitowi, prawie na granicy irytacji, że musi na to trwonić swój czas i znów wracał do drugiej bani. Powoli, delikatnie nakładał klucz na pierwszą śrubę. Poklepywał ją, prosząc o wybaczenie cierpienia, które zada pierwszym szarpnięciem, a także za wszystkie następne.

Istnienie jest bólem, szeptał tkliwie, obejmując ramieniem wypukły brzuch bani. Czemu więc nie miałyby nim być narodziny? I napierał na klucz.

A na górze, w kancelarii, spowici w ciszę, która nastąpiła po pandemonium, Mękołak i jego goście podpisywali szeleszczące arkusze pergaminu. Kolejno brali je do rąk i dokładnie czytali, długo przyglądając się każdemu słowu, jakby w obawie, że zniknie lub zmieni się kiedy na chwilę odwróci od niego wzrok. Rzucali jeszcze jedno spojrzenie na milczącą postać wskrzeszeńca, do niedawna ich familianta, ostatni raz niemo pytali go, prosili o radę i wsparcie, a on, wyrzeźbionym przez maszyny Zmrogg'a uśmiechem, uspokajał ich i zachęcał, ale nie ponaglał.

Spójrzcie na mnie, mówiły jego anielskie oczy, wybrane przez Zmrogg'a z katalogu anielskich oczu, pozycja numer siedemdziesiąt cztery dziesięć. Dla mnie to też była trudna decyzja, mówiły te oczy. Ale pan mecenas – następowało doskonale animowane skinięcie w stronę Mękołaka – przekonał mnie i teraz wiem, że postąpiłem słusznie. Wy też nie będziecie żałować.

Więc kolejno sięgali do patery ze złotymi nożykami do papieru, wybierali jeden i nacinali sobie kciuk. Mężczyźni znacznie częściej przy tym zamykali oczy niż kobiety. Następnie zanurzali w rance koniec obsydianowego szpikulca i u dołu przeznaczonego dla siebie egzemplarza umieszczali zamaszty albo szkolno-poprawny podpis; dwa lub trzy wyrazy, stanowiące o ich indywidualności.

Mękołak bez słowa, jednym ruchem zgarniał wszystkie arkusze, na blacie stołu wyrównywał ich krawędzie – ponadpalane już od samego dotyku jego skóry – po czym cały plik wręczał Francowi, a on zabierał go do swego królestwa segregatorów.

Wskrzeszeniec podnosił się i czynił zapraszający gest w stronę jedynych w pomieszczeniu ludzi. Postępując za nim, w orszaku, którego dostojne pozory nie pasowała do czekającej go drogi, wszyscy gęsiego wstępowali na schody, inne niż te do laboratorium Zmrogg'a, świetliste, wznoszące się ponad drewniane regały, bakelitowe telefony, zielone story i żyrandol za deklek z malowanego szkła. Efekt perspektywy potęgował ich oddalanie się, aż wreszcie, tuż powyżej karniszy, przypominali widzianą z dolin ekspedycję himalaistów. Mękołak podnosił wtedy do oczu szklany sześcian, który stał na jego biurku i służył za przycisk do papieru. Patrzył przezeń na oddalających się, aż do momentu gdy idealnie mieścili mu się w kadrze. Potem spoglądał w swój sześcian pod światło, obracał go w różne strony, a nawet – choć było jeszcze na to stanowczo za wcześnie – potrząsał nim lekko.

Umieszczał go w szafie, na półce obok innych zabawek, pochodzących z różnych epok i stron, przypominających wiele rozmaitych rzeczy, a czasami – ze względu na barierę kulturową – nie przypominających niczego. Te z nich które były choćby w najmniejszym stopniu przezroczyste, perliły się pozorem śniegu, miniaturowym *confetti*, pokrywającym miniatutki krajobrazów i budynków, alpejskich krajobrazów, rajszych alegorii, sylwetek bajkowych zamków i profili legendarnych miast. Nad wszystkimi tymi scenografiami unosiły się maleńkie figurki ludzi; niektóre nawet miały już skrzydła.

Mękołak stawiał tam swój sześcian, jeszcze sterylny, skalany tylko maleńką kropką wciąż oddalającego się, ostatniego orszaku. A potem zamykał szafę, tak jak subiekt, który po pracowitym dniu, zadowolony z siebie i z utargu, idzie do domu. Pozbawiona efektów ubocznych jego obecności, naturalnych rozmiarów figura Franca Kafki, wysychała przy stole, w pozycji faraona, którego wieczność zastała nad krzyżówką. Mękołak gasił światło i schodził na dół.

Ale Zmroga już tam nie było.

Znów stał na wycieraczce, na tej, odwiedzonej ostatnio. Deszcz mżył na jego duszę, a on, z mokrą twarzą i niebijącym wcale mięśniem sercowym przestępował próg drzwi, których nie musiał otwierać i – nieobecny dla swych myśli, jak i one dla niego – sprzątał mieszkanie swych niedawnych interlokutorów. Poruszał się przy tym machinalnie, sztywno, bez wycucia charakterystycznego dla istot smakujących swe ruchy. Beznamiętnie wbijał hak w walające się po podłodze ciała, beznamiętnie ciągnął je do łazienki i zwał do wanny. Nie było go tak naprawdę, nie czuł tego, że jest. Słyszał tylko tęskną, smutną i niesłychanie piękną melodię, której każdy akord wzbudzał w nim echa i pasował do każdej, najdrobniejszej komórki jego istnienia. Zmrogg polewał zwłoki karbonizatorem i niewidzącym wzrokiem wodził po kafelkach, w których odbijała się jego twarz, nieruchoma gdyby nie pełzające po niej odbłaski płomieni.

Potem wracał do przedpokoju, z dywanu – odbarwionego już w tym miejscu – podnosił toksyczną wizytówkę, prostował ją i starannie chował w pugilares. Jeszcze raz obchodził całe mieszkanie, bardziej z pedanterii niż z faktycznej potrzeby usuwając odciski palców i ślady DNA. Zmrogg nie odzywał się przy tym ani słowem; milczał, gdyż znowu – jak wiele razy do tej pory – zdawało mu się, że nie ma już niczego, co warte byłoby powiedzenia.

W tym czasie Mękołak wdychał głęboko nad otwartą drugą banią. Patrzył ze smutkiem na jej – zdawałoby się – bliską już niemal ideału zawartość, która jednak znów nie okazała się idealna. Mękołak współczuł Zmrogowi, lecz nie potrafił mu pomóc. Jego moc także była ograniczona. Mógł tylko oszczędzić mu przykrości, wyręczając go w pozbyciu się nieudanego prototypu.

Odprawiał więc krótki rytuał, aby rozproszyć miazmaty smętnie sublimującej ektoplazmy, otwierał wywietrzniki, uruchamiał wentylatory i obracał banię nad kratką

ściekową. A jeśli jakiś – najczęściej w pełni już ukształtowany – organ zaplątywał się w prześwicie kraty, lub też po prostu nie chciał się weń zmieścić, Mękołak przepychał go dalej stalowym prętem. Wcześniej jednak przyglądał się tej nieszczęsnej części ciała, idealnej, lecz nieużytecznej w swej beznadziejnej pojedynności. Na koniec zmywał podłogę szlauftem, aby Zmrogg, kiedy już wróci, nie znalazł żadnych śladów.

Mękołakowi zdarzało się niekiedy zastanawiać nad zasadnością eksperymentów Zmrogga, lecz robił to bardzo rzadko. Dzięki nim mógł przecież realizować swe powołanie – mógł chichocząc zacierać ręce i wertować archiwalne cyrografy zaśmiewając się nad coponiek którymi wpisanymi do nich warunkami. Miał powód, aby zakładać garnitur, po którym nie było widać, że musiał zostać uszyty z azbestu, mógł też nosić kołnierzyk z wolframu i teflonową muszkę. A przede wszystkim zawsze kiedy był świadkiem poczynań Zmrogga, mógł patrzeć na nie – i na niego także – delektować się swoim własnym psychicznym zrównoważeniem. Periodyczne sprzątanie rzeźni uważał za doprawdy niewielką cenę takiego luksusu. A po kilku dniach wszystko i tak zaczynało się od nowa.

Tymczasem jednak Zmrogga można było spotkać w podmiejskich parkach, gdzie – naturalnie jak zawsze po zmroku – dokonywał inspekcji i uzupełniał notatki. Poszerzał swą antropologiczną wiedzę. Zdobywał nowe behawioralne doświadczenia.

On i Felidomorfa przemierzali opustoszałe już o tej porze alejki, te oficjalnie wytyczone i te zaledwie wydeptane, poznaczone zagadkowymi tropami wiodącymi ku rejonom najstarszych pochówków. Odwiedzali miejsca gdzie stare drzewa rosły gęściej i na niewielkich wyniesieniach terenu – węzły nasyczone chtoniczną aurą i omijane przez liniowe pole magnetyczne. Odczytywali po kolei wszystkie co ciekawsze inskrypcje, dodawali wartości liczbowe użytych w nich liter i z ich sum starali się wyprowadzać ogólne algorytmy. Odpoczywali na ławkach, ogrzewali końce palców nad parafinowymi płomykami, których ciężka woń – zwłaszcza jesienią – wypierała z okolicy sygnaty organicznego białka, po czym ruszali dalej po spiralach spacerowych założeń *sectio* i *ambulatio*, aby dotrzeć do zupełnie już zapomnianych kwater.

Mijało wiele godzin nim, wygrzebawszy się spod płaszczy, strzepywali z nich zeschnięte liście i umykali ku płomom ciemności, wycofującym się pomiędzy odrzwia u podnóża kamiennych postumentów.

Zostawiali za sobą tylko unoszącą się w powietrzu melodię, tęskną, smutną i niesłychanie piękną, którą Zmrogg przynosił tu ze swojego laboratorium i którą niekiedy można jeszcze było usłyszeć, jak znika w stukocie obudzonych przez poranną mgłę tramwajów.

2 Bardzo Stary Testament

Zdarzyło się, że Pan Bóg – jeszcze młody i pełen entuzjazmu – stworzył sobie coś niedużego, aby mieć jakieś *hobby* i zajęcie na nudne wieczory; coś co cieszy i pozwala się rozerwać jednocześnie będąc niedrogie i mało absorbujące – jednym słowem: świat. Nie było to jego główne zajęcie, ale każdego dnia systematycznie poświęcał mu godzinę czy dwie w porze popołudniowej. Przez resztę czasu świat stał sobie na półce, wśród innych.

Bóg był z niego zadowolony. Nadzwyczaj szybko udało mu się bowiem skonfigurować wszystkie konieczne składniki i dobrać do nich odpowiednie parametry. Sam, bez pomocy dorosłych, ułożył też jego fundamentalne algorytmy i sformułował zasadnicze prawa fizyczne. Potem jeszcze raz wszystko sprawdził. Symulacja nie wykazała błędów. Bóg uruchomił zatem swój nowy świat i ze wstrzymanym oddechem obserwował jego pierwsze multiplikacje. Choć jeszcze sobie z tego nie zdawał sprawy, fascynacja której właśnie doświadczał miała być jedną z ostatnich w jego życiu. Bogowie bowiem starzeją się bardzo szybko, jest to wpisane w ich genom. Nie sposób uniknąć zgorzknienia kiedy się jest wszechwiedzącym.

Tymczasem jednak zrobiło się późno i Bóg, choć niechętnie, musiał oderwać się od swej zabawki. Zostawił ją na biurku i poszedł spać.

Nazajutrz nie miał czasu, a potem znów wypadło mu kilka spraw, więc w sumie do swojego nowego niedużego świata zajrzał dopiero po dwóch tygodniach. Świat, jak to świat, działał sobie przez ten czas i – co trzeba zapisać na dobro Boga – ani razu się nie zawiesił. Ale Bóg stwierdził, że już nie rozumie zachodzących w nim procesów. Gdzieś po drodze sprawy wymknęły mu się spod kontroli. Świat ewoluował, przekonfigurował się i nie był już tym samym światem co na początku. Stał się autonomiczny. Nie pasował już do niego żaden z boskich kodów startowych.

Bóg nie wiedział, czy to dobrze – nawet czuł się poniekąd zaniepokojony – ale na obronie pracy rzecz przedstawił jako sukces. W istocie: powołał do istnienia coś, co okazało się nie tylko samoświadome ale i samokreatywne. Jego istnieniu nadał bieg, a ono już samo zajęło się swym dalszym rozwojem. Zapoczątkował płodny proces, będąc jednocześnie ojcem wszystkich jego przyszłych potencjalnych możliwości i dokonań. Komisja nie była zgodna, niemniej Bóg zaliczenie otrzymał.

Mając to już z głowy, na spokojnie i bez świadomości zbliżającego się terminu, Bóg poważnie zabrał się do swego niedużego świata. Postanowił go naprawić. Zaczął od wysyłania emisariuszy.

Naprodukował ich kilkudziesięciu nim zrozumiał, że to do niczego nie prowadzi. Większość bowiem ulegała zainfekowaniu natychmiast po wejściu do świata. Ich działania obracały się przeciwko nim samym. Wszyscy kończyli marnie – bywali topieni, paleni, kamienowani, żywcem grzebani albo przybijani do różnych rzeczy. Jezeli zaś jakimś cudem udawało im się tego uniknąć, popadali w pychę i sami pokazowo wszystko psuli, tak że koledzy Boga pokładali się od tego ze śmiechu i zacierali ręce aż iskrzyło.

O tym, że żaden swej misji nie wypełnił – świata nie ustabilizował, błędów nie usunął, nierówności nie wyrównał, głodnych nie nakarmił, spragnionych nie napoił, a niewyspanych nie przespał – nie warto nawet wspominać. Podgrzali tylko atmosferę, zgalwanizowali klimat i rozbełtali jego, Boga, medialny wizerunek. Wygenerowali też przy okazji tyle sprzecznych teorii, że można wśród nich było znaleźć dowód na wszystko. W skali globalnej zaś pojawiało się coraz więcej krytycznych wyjątków. Wspomaganie transcendentalne nie nadążało. System tracił stabilność.

Bóg, nagle zniechęcony i starczo zgorzkniały (ten błyskawiczny upływ boskiego czasu!), w przyplwywie irytacji rzucił świat z biurka i kopnął go w kąt. Ostatecznie, co go to mogło obchodzić? Zrobił swoje, dostał, co chciał i już. A resztą – o ile w ogóle jakakolwiek reszta musi być – niech się ten świat martwi sam, skoro jest taki twórczy. Bóg założył pepegi i wyszedł na jednego.

Przy trzecim czy czwartym myśli Boga zaczęły jednak orbitować z powrotem w stronę tego niedużego świata. W stanie przyjemnego zamroczenia owiewającego jego niezmierny intelekt, Bóg dywagował:

– Jeśli mnie tam nie ma, a świat działa nadal, mimo tego, że go odrzuciłem, to po pewnym czasie może on dojść do przekonania, że jak on nie jest potrzebny mnie, tak i ja jemu nie zdaję się na nic i do niczego nie służę.

Bóg zamówił następną kolejkę i dumał dalej:

– I będzie mieć poniekąd ten świat rację. Gdyż przecież zaprojektowałem mu współbieżne systemy samoregulacji – gad psuje się i naprawia automatycznie, z definicji. Fakt, że ja to wszystko wymyśliłem niczego nie dowodzi. Możliwe, że świat sam doszedłby do tego. Widzę to po tym, czego udało mu się dokonać. Mógłby zresztą osiągnąć ten wynik zaczynając od czegoś nieskończenie mniej skomplikowanego niż moje formuły – na przykład od przypadkowego połączenia dwóch nieważkich neutrin. Zajęłoby mu to więcej czasu, zgoda, ale czas to przecież tylko wykładnia rozpraszania się ciepła – może być taki albo inny.

Bóg dwoma palcami wykonał w stronę barmana międzynarodowy gest mający obrazować odległość pomiędzy poziomem płynu a dnem zawierającej go szklanki. Zaczął reasumować:

– Ergo: w tej chwili mógłbym dla niego nie istnieć. Mogłoby nawet mnie w ogóle nigdy nie być. Nie istnieję ponieważ nie istniałem.

W tej samej chwili zniknął. Taka bowiem była siła jego woli, że nic nie mogło jej się oprzeć. Kiedy już tak przez jakiś czas go nie było zreflektował się i wrócił na miejsce.

– Głupie żarty – stwierdził. – Już ja mu pokażę.

Zapłacił, co był winien i wyszedł.

W domu pochylił się nad swoim światem, który wciąż jeszcze działał, Bóg wie jakim cudem. Co prawda, był już bardzo rozchwierutany i co chwila gubił się, powracając w rozwoju do początku poprzedniej epoki. Ale zawsze jakoś odnajdował drogę ku kolejnej obiecującej i jak zwykle totalnej katastrofie. Wychodził z niej, otrząsał się i natychmiast brnął dalej.

Bóg policzył szeptem do trzech, po czym odciął swemu światu zasilanie. Nastąpiła ciemność, najdoskonalszy – jak twierdzą złośliwcy – efekt jego dotychczasowych poczynań. Potem wyczyścił rejestry, przelogował rekordy startowe i uruchomił wszystko od nowa. Znow był w punkcie wyjścia. Znow jeszcze nie było za późno.

Przez pewną chwilę – króciutką w skali geologicznej, lecz w tym czasie w jego małym świecie zdążyło narodzić się i zagaść kilka wysoko rozwiniętych cywilizacji – Bóg zastanawiał się czy tym razem nie udać się tam samemu, osobiście. Potem znow wrócił myślą do nieudanej serii emisariuszy, a następnie rozważył ryzykowny eksperyment połączenia tych dwóch rozwiązań w jakiś sprytny, olśniewający z punktu naukowego sposób.

Jedna z dotychczas wypracowanych hipotez głosi, że chwila ta trwa nadal i powinna minąć nie wcześniej niż przez upływem chiliady. Akademy nie są jednak zgodni w sprawie kilku kluczowych zagadnień, jak na przykład to, czy problem którym się zajmują w ogóle istnieje.

Decyzja, jaką Bóg ma podjąć stała się też przedmiotem zainteresowania niektórych bukmacherów. W konfidencji wyrażają oni jednak pogląd, że tak naprawdę do żadnego rozstrzygnięcia nie dojdzie. Jako powód podają ogólnie znany poziom kształcenia na niektórych wyższych uczelniach.

3 Arachnia

Pojawiła się nie wiadomo skąd, nagle, zapowiedziana jedynie białą kreską na niebie, migotaniem alarmowych światełek i narastającym hukiem przecinanego powietrza. Opadała ostro, ciągnąc za sobą smugę kompresyjną i dym z uszkodzonej kapsuły, sięgający wysoko ponad atmosferę – w głąb przestrzennej anomalii, wypełnionej obecnością Obcych i ich tworów.

Była sterylną, nie ukształtowaną jeszcze protoformą, humanoidalnym ciałem z przelewającą się rtęciowo cybermasy. Bezsilnie tkwiła w objęciach pulsujących przewodów i mikrowyładowań. Nie miała konkretnego kształtu, nie znała swego celu, ani możliwości; nie wiedziała nawet, że jest. Miała czekać na sygnał skanera, impuls który uruchomi jej jednostkowy rozwój, osobniczą świadomość z całym jej potencjałem i wpisaną weń – zdeterminowaną nim – przyszłością. Była aktorem, który na schodach sceny dostanie rolę, skreśloną na podstawie sytuacji na sekundę przed jej wejściem. Wieko kapsuły oddzielało ją od wielkiej improwizacji – od życia.

Wylądowała na skutym lodem, targanym przez wiatr płaskowyżu. Skaner, nie znajdując w okolicy żadnego żywego stworzenia, które mógłby wziąć za wzór do przekształceń, nie uruchomił się. Wyprawa ratunkowa nie dotarła na czas, oddzielona od niej urwiskiem, na którego niebotycznej krawędzi ledwie majaczył błyszczący owal stygnącego pojazdu. Śnieg pokrywał jego automatycznie otwarty panel awaryjnego terminala, a mróz matowił chromowe powierzchnie. Jej iskra, pozytronowa kula wirujących ładunków, serce i mózg – jednostka zasilająca a zarazem magnetyczny nośnik myśli i wspomnień – traciła stabilność, groziło jej rozproszenie. Podążała ku zapowiadанemu przez mechaniczny głos pokładowego komputera, odliczanemu w kliknięciach zegara stanowi *offline*. Finał zbliżał się, aby wyprzedzić i zastąpić uwerturę.

Tak mogło się stać, lecz stało się coś jeszcze gorszego. Ta iskra nie zgasła, a bezbronna i nieaktywna protoforma nie uległa unicestwieniu; nie dopadła jej ani entropia, ani wieczysta hibernacja. Stała się obiektem doświadczalnym, porównawczym materiałem, surowcem dla demonicznego Tarantulatora, którego możliwości, cynizm i ambicje budziły niepokój nawet u wielkiego Megatrona, choć to on właśnie – przynajmniej teoretycznie – miał tu być charakterem najczarniejszym.

Tarantulator przetworzył ją wedle swej własnej wizji, na swój obraz i podobieństwo przeprogramował jej umysł i przeformatował ciało. Uczynił ją perfekcyjną: w braku skrupułów, w psychicznej manipulacji i w wykorzystywaniu najmniejszej cudzej słabości. Dał jej moc masakrowania z krzywym uśmiechem na ustach, niszczenia bez jednego mrugnienia i zabijania, które nie zna wahań. Wyposażył ją w zręczność, dzięki której zadawała silne ciosy mogąc jednocześnie unikać razów przeciwnika. Nauczył ją porażać

jadem zaczerpniętym z nadanej jej formy zwierzęcej, albo obezwładniać urokiem ruchu ośmiorga odnóży, które w jednej chwili zamieniały się w lufy plujące rojem pocisków. Chciał, aby była taka jak on, nie wiedział jednak jak genialny był w swym szaleństwie – okazała się bowiem lepsza niż cokolwiek, co przed nią i po niej pojawiło się na tej prymitywnej, nieprzyjaznej planecie, mającej być w odległej przyszłości nazwaną Ziemią.

Była doskonała, sądził więc, że – podobnie jak jemu samemu – uda jej się przetrwać wszystkie zawieruchy i z każdej wyciągnąć coś dla siebie.

A sytuacja rzuconych na ten skrawek ładu rozbitków nie zapowiadała się krzepiąco. Podzieleni na dwie grupy, ufortyfikowani w swych rozbitych statkach, prowadzili zaczęłą jeszcze w przestrzeni kosmicznej walkę, której cel i geneza tonęły w przeszłości – lapidarne i przez to nie do przewyciężenia. Nie przerwała jej ani owa anomalia, której stali się ofiarami, ani stan pata, do jakiego doprowadziło wzajemne zestrzelenie się. Także formy zwierzęce, którymi musieli chronić swe skomplikowane mechanizmy przed zbyt długą ekspozycją na promieniowanie zagadkowego energonu – rozsianych gdzieś w niebieskich kryształkach, buczących cicho w rytm regularnego pulsowania, świecących i bez najmniejszej wątpliwości nie powstałych w sposób naturalny. Kontrolując po pół planety, patrolując granice swoich stref i wnikając się w ciągle potyczki i zasadzki, odkrywali coraz to nowe artefakty, dobrze zakamuflowane, albo też ostentacyjnie czekające na to, by ktoś zwrócił na nie uwagę. Mimochodem, przez przypadek, czy też z chciwości, aby nimi zawładnąć, kolejno doprowadzali do ich aktywacji, obserwując potem jak wysyłają one sygnał, którego adresata nie znali, przez co nie mogli sobie nawet wyobrazić jego reakcji.

Tylko niezwykle rzadko obie strony uświadamiały sobie coraz bardziej prawdopodobną i być może coraz mniej odległą perspektywę konfrontacji z nieznanymi gospodarzami. Wtedy to dwaj liderzy spotykali się w jakimś neutralnym miejscu:

– Jeżeli predaton prosi o rozejm, to znaczy, że potrzebuje czasu na przeładowanie broni – mówił zamiast powitania Optimus.

– W normalnych warunkach tak – odpowiadał makiawelicznie Megatron. – Ale tym razem chodzi o coś szczególnego. Prawdę rzekłszy, Optimusie optymalny, nie mam teraz czasu, aby się zajmować twoimi maxymalami.

Optimusowi, gdy później relacjonował przebieg spotkania swoim nieufnym towarzyszom, pozostawało tylko rozłożyć ręce:

– To prawda – mówił. – Jestem maxymalem. Muszę dać szansę pokojowi. Jakkolwiek dziwacznie może to zabrzmieć – dodawał.

A tymczasem z nieba spadała kolejna kapsuła, której zbliżanie się powodowało zawsze gorączkowe kalkulacje miejsca upadku, a potem bezpardonowy wyścig, bo nagrodą dla zwycięzcy była możliwość powiększenia swych szeregów.

Tak to wyglądało kiedy Tarantualator wprowadzał do gry swoje dzieło – Czarną Arachnię.

I niemal od samego początku stracił nad nią kontrolę.

Zdradzała go, gdy sądził, że dla niego szpieguje, pomagała, gdy myślał, że przychodzi, aby podglądać jego sekrety, choć podglądała je mimo to – dla siebie samej i aby potem mieć go czym szantażować. Meldowała Megatronowi o każdej nielojalności jego kompanów, co nie przeszkadzało jej knuć za jego plecami, wtajemniczając tylko tych, których później wygrywała przeciwko sobie. Wypytywała swego stwórcę, szeptała mu do ucha: *Mogę być pomocna* i wiedziała, że skrycie obserwujący tę scenę Megatron mruczy do siebie: *Zdradzieckie insekty!*, ale jednak czeka na jej raport, bo nieprzewidywalność Tarantulatora napawała go frustracją. Wiedziała też, że wysłucha jej choć przez cały czas nie będzie wiedział które z jej słów jest kłamstwem, a które byłoby prawdą gdyby nie zostało przemilczane.

Sprzedawała każdego, kto nie potrafił się przed nią ustrzec, a gdy pytano ją dlaczego to robi, patrzyła spod przymrużonych powiek, których wykrój miał w sobie coś wężowego, ale i coś kociego zarazem. I każda rzecz w końcu uchodziła jej na sucho; nienawidzono jej bowiem, lecz jak w przypadku każdej *femme fatale*, popełniane wobec niej błędy nie przynosiły nikomu nauki, a ona i tak brała swoją część z każdej cudzej głupoty.

Była przekorna i zawsze w opozycji do wszystkiego, pewna siebie i arogancka, obdarzona fantastycznym zestawem paskudnego charakteru i zdolności do okręcania sobie innych wokół palca – tylko ona była pierwiastkiem ożywiającym kolejne epizody i tylko ona mogła uzasadnić i usprawiedliwić istnienie pozostałych.

Była niezwykła i doskonale o tym wiedziała. Nawet kiedy ważyły się jej losy i nie wiadomo było czy przeżyje, mówiła: *Do zobaczenia, chłopcy. O ile będziecie mieć szczęście.*

Występując jako pająk Arachnia była po prostu pajakiem – co prawda wielkości średniego owczarka kaukaskiego – za to jej wersja bojowa zawierała w sobie perfekcyjnie wymieszane składniki animalne i feminalne, a wszystko to pokryte chromowaną stalą w kolorze mosiądzu. Jej jeden gest wystarczył, aby wprowadzić nieco liryzmu albo wywołać masakrę i nigdy nie było wiadomo, na której z tych dwóch rzeczy się skończy.

Aż na koniec, lawirując wśród strzałów i intryg, zostawiając za sobą pasmo rozprutych kadłubów i porażonych procesorów, dążąc od jednej zdrady do drugiej, Arachnia dotarła wreszcie do swej zdrady największej – zdradziła samą siebie.

Pewnego dnia, z dwóch kolejnych kapsuł wyszła nowa generacja metaloidów, pierwsza zapowiedź mającego wkrótce nastąpić przełomu. Nie byli już tylko robotami przebranymi w zwierzęce skóry, wygenerowanym przez skaner powieleniem istniejących wzorów; łączyli w sobie po kilka cech, co czyniło z nich żywe alegorie. Skorpion miał na

końcu ogona dodatkową głowę kobry, która – gdy porzucił formę zwierzęcą – pełniła funkcję jadowitego ramienia, gryf natomiast był pół wilkiem a pół orłem. Skorpion nie różnił się zbyt wiele od dotychczasowych predatorów, agresywnych i mentalnie nieskomplikowanych, ale za to ten drugi...

Jeżeli mogło istnieć jakieś absolutne i na dodatek całkowicie spersonifikowane przeciwieństwo Arachnii to był nim właśnie gryf, Silverbolt. Ten był prawdziwym oryginałem, nawet na tle otaczających go maksymali Optimusa. Składał się z zasad, których wiernie przestrzegał, honoru, którym się kierował i wiary, dla której gotów był do najwyższych poświęceń. Była w tym niejaka naiwność, rozbijająca, cervantesowa – zaprawiona domieszką egzaltacji i dopełniona paletą tylu zalet charakteru, że wystarczyłoby ich do obdzielenia kilkunastu Okrągłych Stołów. Silverbolt nigdy nie strzelał pierwszy, a starcia z jego udziałem przypominały pojedynki, przed których rozpoczęciem stawał z rozpostartymi srebrnymi skrzydłami, w heraldycznej pozycji, gotów na przyjęcie wyzwania. W szesnastowiecznej Hiszpanii niewątpliwie uwalniałby galerników, przepędzał olbrzymy i ucierał nosa szydercom, tymczasem jednak, wśród energicznych pułapek i czyhających na opadające kapsuły drapieżców, los zetknął go z pewną pajęczycą, której akurat wtedy po raz pierwszy powinęła się noga.

Czarną Arachnię zawiodło bowiem jej dotychczasowe szczęście. Była jak zwykle w połowie drogi pomiędzy głównymi antagonistami, gdy rozgorzała bitwa o kolejny z artefaktów – ani trochę ważniejszy czy cenniejszy od innych. W pewnej chwili Arachnia i Silverbolt, odrzuceni siłą eksplozji, znaleźli się nagle w tym samym wąwozie bez wyjścia, tak samo poważnie uszkodzeni i jednakowo zdani tylko na siebie samych, lub na siebie wspólnie.

I tak to się zaczęło.

Potem było jeszcze wiele wykrętów, wiele desperackich prób pozostania szanującym się, nie angażującym w nic niepotrzebnego, pajakiem. Krok po kroku, powoli i opornie Arachnia musiała jednak ustępować z tego, czym była dotąd. Pod wpływem Silverbolta odkrywała w sobie znów ową nieskalaną protoformę, której resztki kołatały się w jej obwodach, wciąż czekając na sprawczy impuls, mający uczynić jej pierwotną iskrę tym, czym miała być od początku.

Arachnia walczyła długo, już nie tylko przed kompanami szukając pokrętnych usprawiedliwień. Wmawiała sobie, że to znów działa jej obojętniająca naiwniactwów aura, skuteczny jak trucizna urok, ale sama siebie nie potrafiła okłamać. Teraz urok obrócił się przeciwko niej, nie był już narzędziem, stał się upartym, niestrudżonym głosem, słyszalnym tylko dla niej, lecz ani na chwilę nie milnącym. Przy tym wszystkim Silverbolt nie robił nic, aby jej pomóc – czekał tylko aż sama podejmie decyzję, bez ponagleń i namów – i może właśnie to oczekiwanie było najgorsze.

Sprawę przyspieszył sam Tarantulator. Widząc narastające wahanie Arachni i rozumiejąc, że tym razem nie chodzi już o doraźną małość, lecz o zasadniczy zwrot, uruchomił ukryty dotąd w jej rdzeniu moduł lojalności, cienki drut zaciśnięty wokół iskry niczym niewidzialna smycz i grożący jej jak torbiel nowotworu. Próbowała się go pozbyć, lecz program kontrolny był szybszy i bardziej wyrafinowany, jego ingerencje narastały, aż w końcu – gdy maksymalnie spróbowali usunąć go chirurgicznie – jednym impulsem zgasił iskrę.

Arachnia przestała żyć.

Wraz z nią umarły też honor i zasady Silverbolta. Opętany żądzą zemsty przemienił się w anioła zniszczenia, chromowaną furię ślepą z nienawiści i rozpacz. Od wystrzeliwanych przez niego piór syczało powietrze, topił się metal i kipiały spływające po zboczach skały. Zabijał, bo w jego duszy była wielka dziura, tak pusta jak cisza po ostatnim piśnięciu EKG. Masakrował, bo nawet znużenie nie działało już w jego zapieczonych na stałe obwodach.

Stał się Złem: wielkim, bezinteresownym i nieubłagany.

A raczej niewątpliwie by się nim stał, gdyby nie stary jak świat chwyt scenarzystów, spostrzegających nagle, że ich pisanina staje się zbyt poważna i zbyt jaskrawo ujawnia drzemiące w nich samych, mroczne instynkty.

Któż nie chciałby mieć niepodważalnego powodu, aby z nieruchomą twarzą strzelać w tłum, podpalać i na koniec odchodzić z dymiących jeszcze zgliszczy. Pokusa zakosztowania tego fatalizmu – wiedzy, że nic innego już nie pozostało, poza ułożeniem wielkiego stosu i patrzeniem w milczeniu jak się pięknie dopala – pokusa ta to coś, czego lepiej nie wywoływać z lasu. Sumienie, czy logiczność to bowiem zupełnie drobiazgi, niewarte uwagi wobec rozkoszy bycia szalonym demiurgiem, nawet jeśli to miała być rozkosz pozbawiona spełnienia. Któż nie chciałby być potworem, aby nie czuć wstydu, że tak naprawdę nigdy nie odważyłby się nim być?

Dlatego wymyślono prosty chwyt, którego nazwa w tym akurat przypadku nabiera jeszcze jednego, całkowicie dosłownego znaczenia. Maszyna urodziła boga, a on w odpowiedniej chwili – kiedy wydawało się, że już wszystko stracone – zstąpił z nieba i odwrócił nieodwracalne.

Opuszczona przez maksymali, leżąca wciąż na operacyjnym stole, pusta i zimna skorupa, zestawiona z czerni i mosiężnych połysków, zadrgała nagle, zaszczękała spoczywającymi bezwładnie pajęczymi kleszczami, pokazała ciemną otchłań w miejscu gdzie mogłyby być białka oczu i taką samą, w tle drobnych zębów, w ustach, które miały się już nigdy nie poruszyć. W chwilę potem otchłań zalała fala energii, wypełniła sobą wszystkie

zakamarki ciała i w końcu zakotłowała wirem, z którego wynurzyła się nowa iskra, silna i w pełni ukształtowana.

Arachnia zmartwychwstała: w granacie i fioletach, inna niż była dotąd, lecz nie aż tak inna, aby nie móc dalej być sobą.

I cóż mógł Optimus poradzić na to, że natychmiast, bez chwili zwłoki, ryzykując utratę dopiero co odzyskanego życia, popędziła na pomoc Silverboltowi, który szukając pomsty znalazł się w opałach? Mimo, że jak dawniej samowolna i niesubordynowana, była teraz maxymalem, bohaterem pozytywnym, obrońcą sprawiedliwości i pokoju. Nawet jeśli, po finalnym nawróceniu się, swoimi nożycorękami jednemu z nowych towarzyszy niemal odcięła głowę, ponieważ nie dość pochlebnie się o niej wyraził.

– Jestem zła, nawet wtedy kiedy jestem dobra – powiedziała i miała rację, bo przecież tylko takie nas pociągają.

A potem, w następnej serii, była nawet jeszcze lepsza. Lecz to już inna historia.

4 Bywalcy wieży Nesle

Ktokolwiek miałby wątpliwości, czy bycie królem należało do udręk czy do rozkoszy, powinien sam zostać władcą, przeżyć swe panowanie, a następnie – już jako duch – wysłuchać komentarzy potomnych.

Niedołędzy, pantoflarze i mięczaki, skrycie albo i jawnie wykpiwani za życia, zostaliby przy tej okazji ostatecznie i nieodwołalnie zmieszani z błotem. Ambitni, władcy i wizjonerscy, z kwaśnymi gębami patrzyliby natomiast jak dzieło ich życia rozpada się, niweczone przez chaos i dyletanctwo. Wszyscy oni, tak czy owak, skończyliby na oślej łączce raj, przypisanej matolkom zjedzonym przez ludożerców – pierwsi za przyrodzoną dupowatość, drudzy za walkę z wiatrakami. Dwie, krańcowo różne drogi prowadzą na te same manowce. Komu która droga przypadnie, los zdaje się decydować rzucając monetą.

Filipowi Pięknemu przytrafił się orzeł.

Epizod, od którego Maurice Druon rozpoczyna swój cykl *Les rois maudits*, miał miejsce w roku 1314. To, że okazał się dużo bardziej brzemienny w skutki niż zwykle tego typu skandale, zawdzięcza głównie pewnemu arystokracie, procesowi, który toczył on ze swą kochaną ciocią, a przede wszystkim faktowi, że ów proces przegrał. Pozostałe role tego przedstawia przypadły w udziale licznej rodzinie jednego z ostatnich francuskich królów z dynastii Kapetyngów, w szczególności zaś żonom jego trzech synów.

Małgorzata, Joanna i Blanka pochodziły z Burgundii; były protegowanymi tamtejszej diuszesy, Mahaut d'Artois. Miały po dwadzieścia jeden lat (z wyjątkiem Blanki, blondosiemnastki) i zajmowały się mitrężeniem czasu w oczekiwaniu na chwilę gdy któraś z nich – albo wszystkie po kolei – zasiądą na tronie Francji. Paryż nie był jeszcze wtedy tym, czym jest teraz, ale – z braku czego innego – był wszystkim a nawet więcej. Brakowało w nim wielu, nie wymyślonych jeszcze, rozrywek (np. rewii, placu Pigalle, czy występów Josephine Baker), miał jednak do zaoferowania inne, równie ciekawe atrakcje: dwór, polowania, egzekucje, festyny, intrygi, egzekucje, turnieje, wojny, egzekucje, śledztwa, pożary, egzekucje, nabożeństwa, procesje, egzekucje...

Oraz to co zawsze i wszędzie, wyłączając może tylko wyspę Robinsona Crusoe, oczywiście do momentu kiedy pojawił się na niej Piętaszek – trzej królewscy synowie, nieświadomi niczego, zahaczali więc o kinkiety szeroko rozgałęzionymi porożami.

Tymczasem przed parlamentem rozpatrywano tysięczną pierwszą apelację niejakiego Roberta Beaumont-le-Roger, którego diuszesa Mahaut wymanewrowała z dziedzictwa, dochodowego hrabstwa Artois.

Filip był władcą sprawiedliwym, więc wydając przed ośmiu laty wyrok, nie kierował się względami osobistymi. Zresztą, prawdę rzekłszy, oboje byli mu jednakowo obmierzli: stara, gruba i hałaśliwa Mahaut, plująca apoplektyczną krwią i zionąca popsutymi zębami, przeciw Robertowi – ludzkiej lokomotywie, wiecznie spoconej górze mięśni i tłuszczu, zasiadającej do zastawy jak na dziesięć osób i zostawiającej nawet najbardziej wprawione w zawodzie dziwki tak, jakby stratowało je stado słoni. Doprawdy, wybierać pomiędzy wstrętnym a odrażającym, to nie lada wyzwanie dla kogoś, kto znany jest ze swej posagowej twarzy, anielskich włosów i wielkich nieruchomych oczu i kto oficjalnie nosi przydomek *Le Bell*, Piękny. Jednakże ta larwa, Mahaut, władała Burgundią, silne i bogate księstwo stanowiło posag jej córek, Robert natomiast był nikim – aby wszcząć proces zastawił nawet swój zamek. Dla dobra Francji Filip przemógł się więc i przystał na sojusz z próchnicą. Wybrał źle, lecz pomyłki zdarzają się nawet najlepszym. A on był królem dobrym.

Przez osiem lat Robert bezsilnie miotał najgorsze klątwy na głowę swej cioci. Pewnie zawściekłby się na śmierć gdyby pewnego dnia jej własne córki nie podsunęły mu sposobu zemsty: Robert odkrył ich tajemnicę. Stara wieża Nesle w pałacu Nawarry, sposobna do „usuwania się na modlitwy” albo „siadywania przy kołowrotku”, służyła innym robótkom, zresztą też poniekąd ręcznym. Zdobywszy dowody potrójnej zdrady, Robertowi pozostało już tylko ujawnić to gniazdko rozpusty. Nie mógł jednak zrobić tego sam. Przegrany proces o hrabstwo Artois obarczył go opinią zbankrutowanego pieniacza. Z drugiej strony obawiał się, że gdyby jednak mu uwierzono, czuli na punkcie swego honoru królewscy synowie mogliby zapragnąć jak najszybszego zatuszowania całej sprawy. Wówczas to jego, Roberta, życie nie przedstawiałoby dla nich żadnej wartości. Musiał więc poszukać odpowiedniejszego posłańca. Znalazł go za kanałem La Manche.

Izabela, królowa Anglii, córka Filipa Pięknego, żyła w cnocie z powodu zde gustowania jakiego doświadczyła podczas nocy poślubnej. Jej męża, Edwarda II, od płodzenia potomków bardziej bowiem interesowała gotycka murarka, a dokładniej – gotyccy murarze. Szczególnie ci młodszy. Cierpiała więc na syndrom niedopchnięcia. Grając na nim, na zawiści tego, kto nie ma choć bardzo by chciał, wobec tych, które mają ile tylko zechcą, Robertowi udało się pchnąć Izabelę przeciw burgundkom. Ona była dziewczicą z niełaski Boga, one – kwestią rozdzielania łask zajmowały się same.

I córeczce Izabeli Filip uwierzył. A był to władca sprawiedliwy.

To, co działo się potem, stanowiło odzwierciedlenie ducha epoki. Trzy królowny, ogolone do łysa i przebrane w zgrzebne worki, w czarnych wózkach pojechały do cel, gdzie miały spędzić resztę swych dni. Wymknęła się tylko jedna – rok później następcą tronu został mąż Joanny, mogła więc triumfalnie opuścić loch w zamku Dourdan. Zresztą, udowodniono jej tylko stręczycielstwo. Kochanków też nakryto tylko dwóch, okazali się nimi zwykli giermkowie, bracia d’Aunay, u których znaleziono kunsztowne

sakiewki – prezent od Małgorzaty i Blanki. Wcześniej Izabela wysłała po jednej dla każdej z sióstr; był to pomysł Roberta.

Gautiera i Filipa d'Aunay król osobiście skazał na łamanie kołem. To za cudzołóstwo, bo za zerwanie więzi feudalnej, czyli zanieczyszczenie błękitnej krwi, dołożył im jeszcze obdarcie żywcem ze skóry, ścięcie, oraz ćwiartowanie. Na wypadek gdyby mimo to zamierzali zmartwychwstać i popaść w recydywę, okrwawione ciała kat pozbawił też narzędzi ich zbrodni. Z oskarżeniem, śledztwem, procesem i egzekucją sędzia królewski, Nogaret, uwinął się w dwa dni.

Dopiero potem zaczęły pojawiać się trupy. Spływały sobie Sekwaną i mówiono, że to królewscy synowie katują sługi, aby dorwać tych, co pomagali w organizowaniu schadzek – pośrednich sprawców swej hańby. Jeszcze później wokół wieży Nesle natrafiono na płytkie groby. Wtedy narodziła się legenda o poprzednikach braci d'Aunay, którzy jednak nie sprawili się wystarczająco chwacko jak na gust wymagających księżniczek, a wyrzuceni za drzwi mogliby się okazać zbyt gadatliwi...

Wreszcie stało się i to, za co Filip Piękny po dziś dzień wali pewnie głową w mur. Robert Beaumont-le-Roger nie odzyskał bowiem swego hrabstwa Artois. Gdy tylko Joanna została królową, nie czekając na jej zamstę uciekł z Francji. Pod opiekuńcze skrzydła przyjęła go cnotliwa Izabela, a on, z wdzięczności, przekonał jej syna, młodego Edwarda III, że to jemu właśnie należy się tron Francji. Wszak wszyscy inni wnukowie Filipa Pięknego to bękarci giermków d'Aunay.

I tak zaczęła się wojna stuletnia. Może nie byłoby jej, gdyby król pozwolił wygrać proces Robertowi. Ale może wtedy nie byłoby też Joanny d'Arc.

Lecz to już inna historia.

5 Pięć haków

Jak objaśniał Suworow (a zaraz po nim niejaki Łysiak Waldemar, pisarz), na każdego można ukuć haka. Nie trzeba się nawet przy tym szczególnie wysilać, cały problem polega bowiem nie na odkryciu czyjejś słabości, ale na dopasowaniu konkretnej osobie któregoś z elementów gotowego zestawu. Zestaw zaś opiewa na zaledwie pięć potencjalnych wytrychów.

Są to pieniądze, seks, władza, splendor oraz idee.

Rozpoznanie odbywa się na zasadzie wypracowanej przez wybitnego skądinąd naukowca, akademika Pawłowa oraz jego psa rasy domowej, burokułłatej. Badany obiekt – w tym przypadku człowiek, *homo sapiens* – reaguje na jakiś sygnał słabiej lub silniej, niektóre sygnały zaś powodują u niego manifestację ukrytego dotąd odruchu w stopniu większym niż inne. Mnożenie sygnałów i obserwowanie reakcji prowadzi nieodmiennie do wykrycia luki, czyli miejsca gdzie można wetknąć pasujący tam wytrych. Reakcją najbardziej miarodajną jest tutaj stres.

W dzisiejszej pogadance zajmiemy się przypadkiem stresu przedmałżeńskiego.

W naszym doświadczeniu wykorzystamy dwa obiekty. Będą to osobnicy płci męskiej, rasy białej nierdzewnej, przedstawiciele społeczeństwa z grubsza rozwiniętego, pochodzący z kręgu współczesnej kultury europejskiej, oraz bez farmakologicznych nałogów i niekarani.

Jeden z nich – nazwijmy go Papąłkiem – ma w ciągu najbliższych kilkuset godzin wstąpić na ostateczną i nieodwracalną drogę tak zwanego związku. Z uwagi na uwarunkowania społeczne, będzie to podniosła uroczystość, pełna odświętnie ubranych dzieci, zapłakanych ciotek, i rozglądających się czujnie organistów, których wytrawnym nozdrzom nie umknie najlżejszy nawet powiew spożywczego etanolu. Rzecz odbędzie się w krzyżowym ogniu potykających się o siebie wzajem, wyfraczonych i wybrilantynowanych do połysku *paparazzi*, co uwiecznią ten wiekopomny moment narodzenia się nowej linii dynastycznej, a także fakt że zostanie on z całym splendorem pobłogosławiony i poświadczony notarialnie. Stali wyjadacze tego typu imprez dokonają fachowego jej porównania z ubiegłoroczną, co miała miejsce w sąsiednim okręgu administracyjnym i z przyszłoroczną (klepu, klepu po główeczce, aleś ty ułośłaś, i co? czy już masz przygotowany bukiecik? a wianuszek? chłę, chłę, chłę) z okręgu po drugiej stronie rzeczki. Jak się zdaje, w pewnej chwili Papąłek ze swoją wybranką przestaną być komukolwiek potrzebni, a możliwe też że zostaną zupełnie zapomniani – nawet jako pretekst – z wyjątkiem kierowcy wynajętego na tę okazję pekaesu, który co najwyżej

walnie coś pokątnie, bo nazajutrz musi być przecież na chodzie, do tego zaś czasu będzie z konieczności mieć oko na wszystko wokół – więc także i na nich.

Powyższe jest jednak tylko opisem jednego akcydentalnego wydarzenia, okazjonalnej celebracji ku czci świętego Remizego. Planowany przez Papąka, brzemienny w skutkach krok, ze swymi konsekwencjami bynajmniej nie ograniczy się do tego jednego wieczoru. Od niego albowiem – a ma to nastąpić już wkrótce – przed Papąkiem stanie bezmiar nowych obowiązków i koniecznych do ustawicznego wykonywania czynności, którymi dotąd niewiele albo zgoła wcale nie zaprzętał sobie głowy. Pójdą w kąt wszystkie wypracowane przez lata formy, które stanowiły o jego odrębności jako osoby, zwyczajnie zostaną zmodyfikowane, a nawyki i zainteresowania arbitralnie zastąpione przez nowe i lepsze nawyki oraz zainteresowania.

Życiem Papąka zacznie rządzić siła wyższa, która szybko sprowadzi go do roli dostarczyciela gotówki, uczyni zeń znak firmowy podstawowej komórki społecznej, bezwolny szyld, nieautonomiczny neon – i będzie go zawsze i o każdej porze zdalnie kontrolować gdzie jest i co tam robi, pod pozorem troski, rzecz jasna, ale w istocie z powodów, których korzenie sięgają epoki przedludowcowej, bo nawet biblijni pasterze strzegli swoich owieczek, zwłaszcza przez innymi pasterzami, młodszymi i przystojniejszymi od nich. Owieczki zaś niewiele tu miały do decydowania i Papąk też nie poddecyduje sobie, zaczynając od imienia przyszłej swej latorośli, które bynajmniej nie on wybierze. Tym sposobem dotarliśmy do roli dawcy nasienia (z której to biada się nie wywiązać!), oraz wyprowadzacza wrzeszczących konusów na świeże powietrze, żeby się wyszalały i dzięki temu być może dały spać w nocy. Potem wyrosną one na jego własne, papąkowe karykatury, skrupulatnie powtórzą wszystkie jego błędy i z pewnością nie przeoczą żadnego z tych, który by jeszcze może chętnie popełnił sam. Z wysokości pełnego żołądka, obezwładniony rutynowym konformizmem i swojskim ciepłkiem, Papąk szybko straci jednak chęć do jakichkolwiek młodzieńczych fascynacji. Tak czy owak, poddanie się w tej kwestii uzna po latach za lepszą alternatywę niż ewentualna scena w wykonaniu siły wyższej – teraz już w papilotach i obrośniętej kalafiorami.

Z braku czasu i towarzyskich okazji, kolegów Papąk będzie mieć już tylko w robocie, ciągle tych samych zresztą, a likendy i inne wyrwy w codziennym kieracie zostaną mu dokładnie zagospodarowane. Stanie się mistrzem w odpowiadaniu monosylabami i entuzjastycznym ocenianiu powabu kolejnych sukienek przy pomocy prawego oka, podczas gdy lewe śledzić będzie niezwykle zajmującą transmisję z kineskopu. O swoich własnych rodzicach zacznie mówić *per dziadkowie*, a pewnego dnia – jako ostatni człowiek na świecie – dowie się, że ten szczył, z którym raz czy dwa widział swoją córkę, jest teraz jego zięciem i od jutra się do nich wprowadza, więc trzeba opróżnić warsztat, może być, kochanie, coś wreszcie wyrzucił z tych swoich nikomu niepotrzebnych rupieci, a zresztą majsterkować możesz sobie na balkonie.

Tak w każdym razie sprawę tę przedstawia drugi z naszych obiektów doświadczalnych, niejaki Humus. Samego Humusa tego rodzaju wydarzenie raczej w dającej się przewidzieć przyszłości nie dotknie. Jego sytuacja życiowa jest materialnie ustabilizowana, emocjonalnie zaś uległa hibernacji w epoce późnej szkoły średniej.

Czego z pewnością o sobie nie przyzna, Humus sam żyje w warunkach, które wieszczy Papałkowi. Drogi tej sobie jednak nie wybrał, ani też nigdy jej w żaden świadomy sposób nie zapoczątkował, gdyż zaczęła się ona już w chwili jego przyjścia na świat. Humusowe uzależnienie od siły wyższej w swej tradycji sięga kamienia gładzonego, kiedy to na czele klanu stała zawsze najstarsza i najbardziej doświadczona samica, jedyna wyrocznia spraw doczesnych i wiecznych. Wizerunki owych istot, anonimowych już dziś lecz w swojej epoce niewątpliwie otaczanych kultem i uwielbieniem, przetrwały pod postacią gargantunicznych symboli płodności, owych fetyszy neolitu znanych jako wenus z Saviniano sul Panaro, Chiozza, Balzi Rossi, czy z Laussel.

Praktykując taki model bytowania, Humus jest właściwie zaimpregnowany na wszelkie niebezpieczeństwa świata zewnętrznego: uczuciowe rozterki, melodramatyczne niepewności i tego typu zdradliwe pułapki, nie wspominając już o całkiem przyziemnym bieganiu jak pies, *canis familiaris*, za suką, też *familiaris*, co jak wiadomo jest czynnością drenująca siły i portfel, a w razie porażki naraża na śmieszność ze strony rówieśników. Matriarchalny mur (jak to jest pokazane w filmie *The wall* z Bobem Geldofem w roli Pinky'ego) odgradza Humusa od całej tej sfery, jakże niekorzystnej dla jego wrażliwej duszyczki, jednocześnie oferując mu spokój i bezpieczeństwo pod przewodnim kierownictwem i opiekuńczym dozorem.

Humus znosi takie traktowanie dobrze, ponieważ jako jedynak od dzieciństwa wychowywany przez połówkę tylko standartowej pary rodzicielskiej z zasady nie rozważa innych możliwości zorganizowania sobie egzystencji. Być może nie jest szczęśliwy, lecz to abstrakcyjne w końcu pojęcie również znajduje się dlań poza wspomnianym murem, który przebiega mu także w poprzek słownika pojęciowego. Humus jest jak rozsądny pięciolatek; z dmuchanymi motylkami na ramionach woli okupować brodzik, a pozostałą część basenu traktuje platonicznie, pamiętając że woda sięga tam powyżej szyi, a na dnie pełgają zimne glony. Humusowi nie doskwiera *Weltschmerz*. Realizuje się przy pomocy lutownicy, pudła kolorowych diod i scalaków, oraz przez rozwiązywanie piętrowych wielomianów.

Stres przedmałżeński w jego wykonaniu jest podatniejszy na analizę, gdyż w odróżnieniu od Papałka manifestuje się w sposób bardziej spektakularny. Prześledźmy go przy pomocy wyłożonego we wstępie schematu Suworowa.

1. Pieniądze

Uniwersalny i na wszystko wymienialny środek płatniczy. Jego posiadanie gwarantuje niezależność, bezpieczeństwo i możliwość zaspokajania swych potrzeb – od najprostszych do najbardziej wysublimowanych. Jest to przelicznik każdej nagrody, symbol każdego celu i alegoria każdego dążenia. Uosabia idealną odpowiedź na konstrukcję psychiki cywilizowanego drapieżnika. Stanowi przedmiot pożądania od chwili swego wynalezienia, zawsze i wszędzie wywołując takie same reakcje.

Z behawioralnego punktu widzenia jest możliwe, że Humus stara się zniechęcić Papąka do zawarcia tak zwanego związku, ponieważ upatruje w tym materialne zagrożenie dla samego siebie. Panująca wśród antyglobalistów teza o skończonych i niezmiennych zasobach finansowych świata jako całości nie została jeszcze przekonująco obalona. Według niej zamożność jest jak woda w naczyniach połączonych: skoro jej gdzieś przybyło, to znaczy że gdzie indziej musiał nastąpić odpływ. Małżeństwo Papąka spowoduje lokalną fluktuację szmalu, który napłynie doń choćby w formie ślubnych prezentów, późniejszej okazjonalnej pomocy krewnych i znajomych Królika, czy wreszcie jako kredyty celowe i hipoteczne. Same aktywa bezpowrotnie zaprzepaszczone na zorganizowanie wesela pokryłyby dożywotne zapotrzebowanie Humusa na cynę i kalafonię, nie wspominając już o prezerwatywach

Oczywiście Humus nie ma żadnych podstaw, aby przypuszczać, że w razie poniechania ceremonii, którakolwiek z przeznaczonych na nią złotych spłynęłyby do niego. Nie istnieje jednak żadna niezbita argumentacja, że mogłoby tak nie być. Makroekonomia jest bowiem jedyną spośród nauk ścisłych, która dopuszcza do swych mechanizmów czynnik wiary i to w dodatku także grupowej.

Z drugiej strony, Humusowi może wcale nie chodzić o strach przed pogorszeniem swego bytu, lecz przeciwnie – chęć jego polepszenia. W takim przypadku z całego, mającego za kilkaset godzin nastąpić sakramentu, Humusa interesowałaby wyłącznie intercyza.

Każden przypadek chodzi o spadek, jak mawia pewien fizycznie wykwalifikowany heniu, wnikliwy znawca tematu, gdyż zatrudniony przy łopatomaniu ziemi z dołu na przymę obok, a potem z powrotem do dołu.

Po znanym nam już akcie prawnym oraz liturgicznym, Papąk stanie się formalnym i faktycznym współwłaścicielem tego i owego – co być może nie uczyni go jeszcze obszarnikiem, choćby i na skalę okręgu administracyjnego, ale co niewątpliwie po spieniężeniu zdolne byłoby się zamienić na wagon ciekawych zabawek do rozmontowywania i ulepszania, a pewnie i na cały skład takich wagonów. W kolejce do tej obiecującej wizji Humus znajdowałby się jednak dość daleko i to nawet jeśli mu się udało namówić Papąka, aby ten go adoptował, a następnie usynowił. Nie jest to jednak

plan niewykonalny, trzeba doń tylko nieco uporu i odrobiny cierpliwości. Naturalnie, pozostaje otwarta kwestia konkurentów do schedy – potencjalnych papałkowych latorośli, jego wybranki, jej krewnych, krewnych Papałka i wreszcie samego szanownego ojczyma, *in persona*. Innymi słowy, jeśliby Papałek uległ w tym względzie namowom Humusa, od pewnego momentu będzie musiał pilnie uważać na to, co je, pije i na czym siada.

Carycę Katarzynę II, z domu Anhalt-Zerbst, niezwykle trudno było podejść, małostkowo strzegła bowiem swej cielesnej nienaruszalności, choć wobec innych nader rzadko stosowała postanowienia *Habeas Corpus Act*. Dworska kamaryla znalazła jednak sposób. Zaobserwowano, że zgodnie ze swym zawodem i zajmowanym stanowiskiem, Katarzyna tylko do jednego miejsca udawała się samotnie i na piechotę. Ponieważ jednak nawet tam nie rozstawała się z parą ukrytych pod krynoliną pistoletów, fronda zdecydowała się wykorzystać niezbyt wystawny, ale za to bardzo użyteczny przedmiot – sedes. W owych czasach rzecz ta była po prostu gustownym fotelikiem z okrągłą dziurą wyciętą na środku siedzenia, pod nią zaś stał zaopatrzony w ucho specjalny nocnik, który dziś swym kształtem i rozmiarami przywiódłby raczej na myśl wiaderko. Sam sedes, jak każdy szanujący się mebel, miał stosowne wykończenie tapicerskie, oczywiście jedwabne i wypchane pakułami. Z tego powodu wyjątkowo dobrze nadawało się do nasączenia z lekka rozwodnionym kakodylem. Tak też uczyniono i po paru tygodniach *Jej Imperialnyje Wielicziestwo Jekatarina Wtaraja* imperialnie wykeciło dzwona.

Nadworny medyk stwierdził zatrucie grzybami, ale nawet współcześnie nie straciłby przez to prawa do wykonywania zawodu. Trujące grzyby trują bowiem właśnie dlatego, że wyciągają z gleby śladowo zawarty w niej arsen, o czym wiedzieli już starożytni farbiarze, pierwsi przetwórcy kobaltu i innych minerałów zawierających ten piękny, czerwony barwnik. Z tego też wziął się mit o koszuli, która zabiła niepokonanego Heraklesa, gdy ją ten prostoduszny kretyn pierwszy i zarazem ostatni raz na siebie włożył.

2. Seks

Ta słabość niewątpliwie również ściągnęłaby na wybrankę Papałka sporą dawkę humusowej niechęci, choć – jak się zadaje – przynajmniej sam Papałek mógłby się w takim wypadku czuć bezpiecznie. Z drugiej jednak strony, zależałoby to od Humusa i jego w tym względzie preferencji, nie sposób więc jednoznacznie przewidzieć rozwoju sytuacji. Co prawda, Papałek nafaszerowany metaloidami byłby dość toksyczny w użyciu, ale samoświadome *ego* mogłoby w tak nerwowej i pospiesznej sytuacji nie dojść do głosu.

Zresztą, z miłości ludzie przecież także zabijają – okazywane komuś awanse nie są więc dlań żadną rękojmnią, a może nawet powinny być traktowane jako potencjalne ostrzeżenie.

Poza tym jest jeszcze kwestia czasu, który bynajmniej nie działa tu na humusową korzyść. Jak powiedział Panurg do Pantagruela, którego zgodnie z misją pedagoga miał wyprowadzić na ludzi: *Znam wielu takich, co nie mogą choć bardzo chcą, ponieważ w młodości nie chcieli, choć wtedy jeszcze mogli.*

3. Władza

Papałek wyboru swej przyszłej być może towarzyszki życia dokonał samowolnie, a w każdym bądź razie bez wcześniejszej ekspertyzy, czy choćby porady ze strony oddanego mu dotąd Humusa. Tym samym Humus został gruntownie odcięty od możliwości kształtowania swego otoczenia w tym pojedynczym, ale jakże istotnym aspekcie.

Jest to kwestia o znaczeniu fundamenralnym.

Ludzkość, *la Humanité*, buduje zapory nie po to by zrobić rzece na złość, lecz aby móc zapobiegać jej ewentualnym, hipotetycznym wylewom. Gdyby zapora zbudowała się sama, ludzka kontrola nad przepustem wody pozostawałaby czysto iluzoryczna. Nie jest przy tym istotne, czy dana rzeka może czy też nie może wylać, jakie jest tego prawdopodobieństwo, ani też kiedy takie wydarzenia miało miejsce ostatnio. Ważny pozostaje jedynie fakt trzymania pod czapką kranu z potopem, a to w celu niedopuszczenia, aby kiedykolwiek i przez kogokolwiek został odkręcony. Władza oznacza możliwość dokonania czegoś lub też powstrzymania się od tego, przede wszystkim jednak własnej w tej sprawie decyzji.

Widmo fali powodziowej, zatapiającej zaparkowany na bocznicy skład towarowy z transportem ciekłych tranzystorów i czterobiegowych czipów z kukułką, towarzyszyć będzie Humusowi jak koszmar pierwszego pójścia do szkoły podstawowej. Papałkowa wybranka, bliżej nieznana i przez to w niewielkim stopniu przewidywalna, nawet jeśli sama w sobie nie stanowi potencjalnego zagrożenia, może się nim stać poprzez swój na Papałkę przemożny wpływ, w który to przyszył wpływ Humus nie wątpi, gdyż – jak to zostało wspomniane – sam pod takim wpływem żyje.

Gdy pewien Murzyn z plantacji w Południowej Karolinie dowiedział się od swego kolegi zza płotu, że tamtejszy właściciel na urodziny kupił swej córce fuzję, aby sobie z ganku potrenowała na nierobach i leniwcach, wpadł w panikę, ponieważ jego właściciel też miał córkę, która również niedługo będzie miała urodziny. Wiedział też, że ma ona na nie dostać – zmagazynowaną tymczasem w szopie – wielką czarną skrzynię na trzech nogach, z uchylnym wiekiem i rzędem białych jakby zębów z jednej strony. Gdy te zęby delikatnie palcem naciskać, wydają różne dźwięki i czasami nawet brzmi to bardzo ładnie. O ile jednak postrzelenie z fuzji można jeszcze przeżyć, to ta skrzynia musi ważyć

chyba ze trzysta funtów – jak ktoś nią od córki plantatora oberwie po krzyżu, będzie z niego trup na miejscu.

4. Splendor

Próżność to zdecydowanie mój ulubiony grzech, jak powiedział Al Pacino, kiedy dwa razy w tym samym filmie przekonał Matryca do zaprzędania mu swej duszy. Adwokat Matrycy okazał się bowiem podatny na czwarty z wytrychów Suworowa, czyli kadzidło.

Dym kadzidlany powoduje rozedmę mózgu; jest to uczucie niezwykle przyjemne, aczkolwiek rozdętego nobilituje wyłącznie w jego własnych oczach. Umberto Eco zaleca w takich sytuacjach wyjęcie korka z odbyticy – nadmiar dumy i samozadowolenia ulotni się wtedy, co pozwoli istocie szarej i pozostałym neuronom powrócić do normalnego trybu autopercepcji.

Papałek i Humus są, z grubsza to ujmując, rówieśnikami. Mimo ogólnych zdolności Humusa – a jest to człowiek skądinąd bardzo inteligentny – nie wydaje się prawdopodobne, aby w przeciągu pozostałego mu do ślubu Papałka tygodnia zdołał znaleźć, obezwładnić i zaobrączkować jakąś dzidzię, która tym sposobem podniosłaby mu prestiż, przenosząc jego osobę z kompromitującego grona beżennych do elitarnej grupy szacownych obywateli – mężów żonom i ojców dzieciom. Jest więc raczej nieuniknione, że Papałek dostąpi tego zaszczytu wcześniej.

Kultura patriarchalna, na której bazują wszystkie obecnie istniejące cywilizacje, wykształciła mit buhaja-reproduktora, co tym więcej jest wart im większy jest jego rewir działania. Posiadanie dzieci jest tu dowodem ostatecznym, świadczy bowiem o tym, że ma się jądra i tkankę erekcyjną w najlepszym porządku. Fakt ten stanowi przepustkę do społecznego zaufania i szacunku, a także – co logiczne – do trwalszego uzasadnienia swej pozycji w hierarchii zawodowej i towarzyskiej.

Z człowiekiem zdolnym do splodzenia dzieci należy się liczyć, gdyż nadaje to wagę jego wiedzy i głoszonemu przezeń poglądom. Nieżonaty, czyli taki co w swym pożałowania godnym życiu nie zdołał ani jednej kobiety przekonać, aby z nim została, nie może mieć racji w sporze, w którym rację przeciwną niż jego reprezentuje człowiek wyposażony w żonę. Nieżonaty jest pariasem społeczeństwa, tolerowanym tylko na skutek ogólnego, doprawdy zbyt daleko posuniętego humanitaryzmu. Nieżonaty nie może być prezydentem ani gangsterem, gdyż w pierwszym przypadku przyjmująca go głowa obcego państwa czułaby się przy nim niezręcznie, w drugim zaś umarłby z głodu po pierwszym zasądzonym mu przypadku mienia. Człowiek pozbawiony żony jest inwalidą o zdefektowanym module *public relations* – zatrudnienie go może spowodować katastrofę i paraliż całej firmy.

Jest też osobnikiem potencjalnie niepokojącym, gdyż nie wiadomo czym się zajmuje wtedy, kiedy wszyscy pozostali zajmują się swoimi żonami. Orbituje on poza gronem

porządnych, normalnych ludzi i trudno nawiązać z nim nić samczego porozumienia. Wielu spraw nie rozumie, a wiele innych ignoruje, ostentacyjnie obnosząc się ze swoją innością. Niewątpliwie jest jawnym albo i skrytym homoseksualistą, samogwałcicielem, seryjnym mordercą, konduktorem, albo kimś jeszcze gorszym.

Budzi strach i niechęć, przez co szybko tetryczeje, lub też – jeśli wie dzie życie playboya – gruntownie się zużywa i zaczyna wyglądać jak Violetta Villas (*de nomo* Czesława Cieślak, *primo voto* Gospodarek, *anno* 1938), przed którą chyba ukrywają kalendarze, aby się nie zorientowała, że tę sesję zdjęciową w Las Vegas to miała jakieś czterdzieści lat temu, a teraz należałoby się raczej zająć dokarmianiem kotów, albo wykupywaniem koni z transportów do rzeźni. Nie każdy jednak ma tyle taktu co Bo Derek czy Brigitte Bardot.

5. Idee

Idee bywają rozmaite, choć ich wspólna cecha polega na tym, że zwykle nie dają się interpretować przy pomocy logiki. Człowiek dla idei może robić rzeczy, których nigdy nie uczyniłby z żadnego innego powodu. Jest to okoliczność niezwykle korzystna z punktu widzenia werbunku agenturalnego, gdyż umożliwia użycie kogoś bez płacenia mu za to złamanego grosza. Złamane grosze można dzięki temu deponować na wypadek nagłych zmian ustrojowych, albo jako filar emerytalny.

Dla idei więc Humus może bezinteresownie małżeństwo Papałka potępiać i się zeń nabijać, Papałek zaś dla idei może z pełnym heroizmem wmawiać wszystkim wokół – w tym sobie przede wszystkim – że właśnie robi najlepszą rzecz w swoim życiu. W obu przypadkach jest to jednakowo kwestia autohipnozy.

Różnica zasadza się tylko na tym, że cokolwiek mówi Humus, od następnego ranka może mówić coś zupełnie innego. Natomiast Papałek, gdyby przypadkiem w ciągu najbliższego półwiecza zmienił zdanie, będzie miał do czynienia z Watykanem, a wcześniej z całym pekaesem krewnych i znajomych swej obecnej wybranki, którzy z pewnością nie omieszkają go odwiedzić i kulturalnie poinformować o swej na jego temat opinii – i o opinii całego okręgu administracyjnego, *as well*. Papałek, nawet jeśli wyjdzie z tego zdarzenia w jednym kawałku, nie będzie już mógł nikomu spojrzeć w oczy. Humus natomiast przed niczym wzdragać się nie musi, pozycja społeczna, którą zajmuje wyklucza bowiem upadek – nie da się upaść leżąc, ani przewrócić, skoro się nigdy nie wspięło choćby na łokcie. Nawet robienie minety – jak tego w swych obu „Zwrotnikach” uczy Henry Miller – wymaga co najmniej pozycji siedzącej.

Zaklasyfikowanie motywów Papałka i Humusa do sfery idei, prócz niewątpliwej wygody poukładania wszystkiego na miejsce, ma jednak tę wadę, że w dalszym ciągu niczego w zasadzie nie tłumaczy. Dostarcza materiału porównawczego psychiatrii

behawioralnej i wysublimowanej rozrywki piszącemu te słowa, ale poza tym może jedynie być przedmiotem hazardu – długoterminowej lokaty intelektualnej, po to, aby po latach można było sprawdzić kto miał rację.

Struktura patologiczna gatunku nie wydaje się jednak przeważać szali na którąkolwiek za stron. Wiadomo co prawda, że Hitler, Stalin i Pol Pot byli bezzenni, ale z drugiej strony Oskar Wilde też, choć z innego powodu. Żony posiadali za to Chruszczow, Beria, Jaruzelski, Charles Manson i Mieczysław Fogg (*de nomo* Mieczysław Mojżesz Fogiel, *anno* 1901, ale *requiscat in pace* 1990).

Stan cywilny wspomnianej wcześniej Violetty Villas stanowi przedmiot badań paleontologicznych.

6 Edward Miękki i Wilczyca

Historia ta rozegrała się pomiędzy trojgiem ludzi: kobietą, mężczyzną oraz Edwardem Plantagenetem. Kobieta była Izabela, królowa Anglii, a mężczyzną – Roger Mortimer, baron na Wigmore.

Izabela – wysoka, jasnowłosa i choć nie najmłodsza to wciąż jeszcze piękna – miała już za sobą kilka lat niezbiecie potwierdzających tezę, że nie po się jest królową, aby być szczęśliwą. Jej dotychczasowe życie upływało na bogobojnym rodzeniu kolejnych królewskich dzieci. Wieczorami, w pustym i zimnym łożu, czytywała włoskie romanse o dzielnych rycerzach i tkliwych kochankach. Co wieczór też oglądała w lustrze swą powoli przemijającą, bezużyteczną urodę. Nie była kochana.

Mortimer – rodowy arystokrata i były templariusz – przez długi czas bezsilnie patrzył jak jego wasalom odbiera się ich dobra, aby król mógł obdarowywać nimi swych nowych faworytów. Widział jak stare prawa Albionu łamano, aby przypodobać się dworskim lowelasom. Urażało go gdy tytuły i zaszczyty przypadały w udziale ich stronnikom. Nie był doceniany.

Tych dwoje połączyła więc wspólna niechęć do Edwarda. Edward natomiast był pederastą, do tego słabowitym.

Z rozwianą, utrefioną brodą, z palcami w pierścionkach i cały skropiony kwiatowymi olejkami Edward II Plantagenet, król Anglii, przebiegał pałacowe komnaty, potrącając urzędników i nie odpowiadając na ukłony wielmożów:

– Hugo! Gdzie jesteś Hugonie? Czy ktoś widział mego przyjaciela?

Hugo Despenser, piękny niczym ruchomy posąg Apolla, pojawiał w którymś ze swych ekstrawaganckich strojów. Stawał jak rzymski orator i wygłaszał mowę w rodzaju:

– Edwardzie, należy przebudować park. Spartaczyli go ci najęci przez ciebie ogrodnicy. I te niebieskie róże! Cóż to za pomysł?!

A potem obejmował króla ramieniem i wspominał mu o jakimś tam wakującym urzędzie, wolnym stołku szeryfa czy prałata, na które to miejsce świetnie nadawałby się któryś z jego, Despensiera, licznych kuzynów.

– Zapewniam cię o jego wierności, Edwardzie – mówił piękny Hugo z patosem, z którym było mu tak do twarzy – mnie możesz ufać. Tylko ja cię tutaj naprawdę kocham – dodawał.

I razem odchodzili, aby podziwiać jak obnażeni do pasa robotnicy burzą parkowe fontanny, aby wznieść je na nowo kawałek dalej, w miejscu władczym gestem wskazanym przez Despensiera.

Tak było ze wszystkim – w małej czy w wielkiej sprawie, król nie podjął żadnej decyzji bez zasięgnięcia rady swojego ulubionego pieszczocha. Wkrótce stało się jasne, kto tak naprawdę rządzi Anglią. Po Londynie zaczęły krążyć kalambury na temat tego gdzie król trzyma swoje berło i co nim właściwie jest, gdy w pałacu Westminster Edward udaje się wieczorem do swej sypialni. Publiczną tajemnicą było jednak to, że „pierwsza para królestwa” nie bawi się w żadne ceregiele – panowie zwykli odprawiać swe zaloty także za dnia i to na oczach całego dworu. Szczególnie zaś Despenser upodobał sobie oczy królowej. Izabela musiała więc patrzeć jak paraduje on w jej własnych klejnotach i jak z zawłaszczonych jej sukien i płaszczy każe sobie szyć kuse kaftaniki bez rękawów.

W ogóle zresztą Hugo był bardzo pomysłowy. Polecał, na przykład, swym dworzanom przebierać się za elfy i driady, po czym, rozpuściwszy ich po lesie, urządzał dworne polowania, gdzie miast zabijać brano w niewolę, a w miejsce zwyczajowej ucztu zajmowała orgietka na łonie natury. W podobny sposób uświetniał rozmaite uroczystości, obojętne czy były to urodziny króla, czy też jakieś święto kościelne.

Przy takich to okazjach rozdawano urzędy, lenna i zamki – za pośrednictwem bezwolnego Edwarda, Despenser nagradzał swych miłych przyjaciół i klakierów. A lord Mortimer zauważał, że wokół jego osoby poczynają gromadzić się niezadowoleni. Jednych gorszyły zwyczaje monarchy, innych oburzało to, że Hugo zmonopolizował w swych rękach dostęp do Skarbca. Pozostałym po prostu nie podobał się sposób w jaki dwór wydawał płacone przez nich podatki. Po drugiej stronie pozostawali ci, którzy na tym stanie rzeczy korzystali. Zatem granica została wytyczona, pozostało już tylko przystąpić do otwartej wojny.

Mortimer zawiązał więc ligę baronów, zebrał wojsko i stanął na czele rebelii. Z początku szło mu całkiem nieźle, jednakże po kilku zwycięstwach karta odwróciła się. Został pojmany i trafił do słynnego więzienia Tower. W owych czasach wychodziło się stamtąd tylko w jeden sposób, a mianowicie w taki, że człowiek nie miał już potem na czym nosić kapelusza. Kiedy już było bardzo źle, do lorda Mortimera po raz pierwszy uśmiechnęło się szczęście – zdołał uciec. W całej mrocznej historii Tower, tylko sześciu ludzi dokonało tego wyczynu: on był pierwszy. Pomógł mu pewien niechętny Edwardowi biskup, Adam Orleton. Odegra on jeszcze swoją rolę. Wobec klęski powstania, Mortimer musiał jednak opuścić Anglię. Tułając się po dworach Europy, jak przystało wysoko urodzonemu banicie, trafił w końcu do Paryża. Tam spotkał Izabelę...

Królowej znudził się bowiem upokarzający trójką, którego była najmniej ważnym wierzchołkiem. Nienawidziła Despensiera – od lat przezeń okradana – lecz wobec jego wszechwładzy, zaczęła się nagle obawiać także i o swoje życie. Wątpiła, aby Edward stanął w jej obronie. Pewnego dnia, korzystając z byle pretekstu, opuściła więc swój tron, który niewiele był dla niej wart, swego męża, do którego czuła obrzydzenie i swe

dotychczasowe życie, o którym nie chciała więcej myśleć. Zmyła się po angielsku, jak mawiają Francuzi. W Paryżu spotkała Mortimera...

Od pierwszego zauroczenia Izabela wiedziała, że ten postawny, odziany w czerń rycerz, o głębokim głosie i stalowoszarych oczach, będzie jej rekompensatą za młodość utraconą przy boku króla-sodomity. Rozpoznała w nim bohatera swych lektur: przystojnego, odważnego i czulego. Natomiast po pierwszej nocy – podczas której ów wyśniony Lancelot okazał się na dodatek zawodnikiem wyjątkowo wytrzymałym – Izabela zrozumiała, jak żalosne były jej dotychczasowe doświadczenia: obowiązkowe rytuały odprawiane przez żądnych potomków monarchę. Przecież ten nędzny mydłek, Edward, aby w ogóle móc coś przy niej wskórać, musiał do jej sypialni zabierać swego przekłętą Huga! Na samą myśl, że miałyby tak być znowu, Izabeli zbierało się na wymioty. Ani na chwilę nie opuszczała więc Mortimera. Po całych dniach prawie nie wychodzili z łóżka, jeśli gdzieś ich widywano, to zawsze razem i często trzymających się za ręce. Nikt tego nie potępiał – raczej gratulowano jej pięknego odwetu. Izabela nie zwracała uwagi na to, co się działo wokół; podróżowała po krainie miłości.

A tymczasem do lorda Mortimera dołączali wciąż nowi emigranci z rządzonej przez Despensiera Anglii. Po roku baron na Wigmorie dysponował prawie dwoma tysiącami rycerzy. Dostrzegł w tym swoją szansę i już jej nie wypuścił. Potrzebował miesiąca, aby od holenderskich kupców wynająć niewielką flotyllę, tygodnia, aby przy ich pomocy wraz ze swą armią przepłynąć przez kanał La Manche i jednego dnia, aby dotrzeć do Londynu. Edward uciekł, nikt nie bronił tronu. Teraz Mortimer był pierwszą osobą po królowej, w dodatku wiwatowano na jego cześć. Zajął się więc wyrównywaniem rachunków z tymi, którzy źle się z nim obeszlili. Zausznicy i pomagierzy pięknego Hugona jeden po drugim lądowali na szubienicy, kole, albo katowskiej ławie. Izabela z wypiekami na policzkach chłonęła każdą egzekucję, napawała się zemstą na wyszminkowanych kochasiach. Potem, nocą, Mortimer znajdował w niej nowe pokłady żądy, za każdym razem coraz większej. Izabela odkrywała nowe podniety i nowe doznania.

– Znajdź Edwarda – mówił Mortimerowi Adam Orleton, ów biskup, który kiedyś pomógł mu uciec z Tower.

Król, choć wyśmiewany za swą zniewieściałość, wciąż jeszcze miał wielu zwolenników. On, Mortimer, obecnie nieformalny władca Anglii, nigdy nie będzie mógł się czuć pewnie dopóki Edward ma swobodę knucia intryg, gdzieś na granicach Walii. Ostatecznie to jednak król, namaszczony i koronowany. Uznawały go zagraniczne dwory. A lord Mortimer wiedział już, że nie odda władzy. Zdążył do niej przywyknąć i nie zniósłby bycia znów zaledwie baronem. Jego przeznaczeniem był tron, uważał, że zasługuje nań bardziej niż ktokolwiek inny. On też, jak Izabela, podróżował po swej krainie spełnienia.

– Lecz jak usunąć tego koronowanego samcołożnika?

– Nie martw się o to – odpowiadał mu wielebny Orleton. – Złap go tylko.

W końcu więc go złapano.

Umieszczono go – wraz z pięknym Hugiem – w Berkeley, małym zameczku na odludziu, gdzie został powierzony opiece niejakiego Maltraversa, towarzysza Mortimera z czasów banicji. Maltravers nie miał złudzeń co do przyszłego losu króla, ten jednak myślał przede wszystkim o swym pieszczochu. Hiszpan bawił się więc setnie widząc jak były monarcha własnym płaszczem okrywa dygoczącego z zimna Despensiera, Hugo zaś złorzeczy płaczliwym głosem:

– Ach, Edwardzie! To wszystko przez twoją żonę. Po co ci ona była, ta niewiasta? Wilczyca!

Bo tak już nazywano Izabelę – *La Louve de France*, Wilczycą z Francji. To przez wciąż nowe egzekucje, te mściwe jatki, które urządziła i które wywoływały w niej drżenie. Wieszanie, łamanie kości, rozciąganie, trzebienie – po obejrzeniu każdego kolejnego spektaklu królową rozsadzała namiętność. Żelaznemu Mortimerowi coraz trudniej przychodziło ją zaspokoić.

Wciąż jednak pozostawał problem zdetronizowanego Plantageneta. Nie można go było po prostu skazać. Taka rzecz nie mieściła się w głowie. Bastylia jeszcze nie wybudowano, a cóż dopiero myśleć o jej burzeniu. Osoba króla – choćby i byłego króla – była święta, nietykalna.

Oficjalnie.

Orleton napisał więc do Maltraversa list – po łacinie nabazgrał kilka słów bez związku.

– Przecież Juan nie zna łaciny!

– Właśnie, milordzie – odrzekł ze spokojem biskup.

Zgodnie z jego przewidywaniami Maltravers nawet nie starał się dociec, co było w doręczonym mu piśmie. Otrzymał je, uznał więc, że rzecz została postanowiona. Ważny był dlań tylko gest posłańca – dłoń stanowczym ruchem wygładzająca powierzchnię wymyślanego stołu. Mogło to oznaczać tylko jedno: cicho i bez śladów. To znaczy jak? Maltravers długo myślał, kolejno odrzucając rozmaite znane sobie sposoby. Olśnienia doznał dopiero przyglądając się pracy zamkowego kowala. Edward nie mógł się spodziewać, co go czeka.

– Zostanie ukarany tam, gdzie grzeszył – rzekł Maltravers, podkreślając tym samym, że nieprawdą jest jakoby Hiszpanie nie mieli poczucia humoru.

Jeszcze tego samego dnia przeznaczenie Edwarda Miękkiego dopełniło się. Czterech osiłków porwało go za ręce i nogi i rzuciło na pryczę wciskając twarzą w siennik, aby nie krzyczał. Potem jeden ze strażników zdjął mu spodnie, a w tym czasie pomysłowy Maltravers wydobyl spomiędzy węgli długi, rozżarzony do czerwoności pręt.

Z dwóch zaleceń, które otrzymał od posłańca (cicho i bez świadków), Maltraversowi udało się dopełnić tylko drugiego: wieczorem otruł wszystkich swoich pomocników. Wrzask Edwarda słyszano jednak w kilku okolicznych wsiach. Mimo tego, gdy nazajutrz chłopcy pytali, co się stało, nie czyniono przed nimi żadnej tajemnicy. Każdy mógł wejść do komnaty gdzie właśnie dokonywano pogrzebowej toalety. Ciało króla – już na wznak – leżało na rozpostartych płótnach. Nawet nie starano się go okryć. Każdy widział, że nie ma na min żadnych ran ani zadrapań. Twarz nie była fioletowa, nie miał wywalonego języka. Nikt nie zaprzeczył więc, że Edward umarł śmiercią naturalną.

W tym czasie piękny Hugo Despenser wciąż jeszcze był w obiegu. Tak się bowiem złożyło, że po egzekucji i obowiązkowym ćwiartowaniu, podochocony widowiskiem tłum wdarł się na szafot, i potem zakłopotani oprawcy wśród zmasakrowanych szczątków skazańca nie mogli doszukać się tego najważniejszego, któremu Hugo zawdzięczał swój wpływ na króla. Wkrótce potem na straganach handlarzy medykamentów pojawiły się nowy specyfik: ludziom wykształconym wyjaśniano, że głównym składnikiem jest autentyczny *penis hugenorum* – dla pozostałych po prostu *vit of Hugo*. Lek ów miał uzdrawiać z humorów, trypra i gorączki połogowej, a także zapobiegać małżeńskiej niewierności i odwracać złe spojrzenie. Jego posiadaniem niektórzy londyńscy aptekarze chętnie się jeszcze na początku szesnastego wieku.

7 Pejzaż z kluczem żurawi

Działo się to w czasach Dynastii Fu. Pewnego razu Jego Świetliwość Dziedzic Tronu Feniksa dokonywał objazdu swego państwa. Po drodze – pomiędzy herbatką, a partyjką go (i jeśli akurat nie zajmował się pisaniem lub czytaniem poezji) – wyglądał niekiedy zza firanek swej gondoli umieszczonej na grzbiecie świętego słonia i wykonywał skiniecie wachlarzem w stronę tego czy owego. Liczni urzędnicy gorliwie i pospiesznie odgadywali jego życzenia, każąc wznieść to, zburzyć tamto, albo nieco przesunąć owamto. W ten sposób z woli Cesarza powstawały miasta, świątynie i mosty, a także lasy, stepy i obecne koryta niektórych rzek. Tymczasem on sam poświęcał uwagę śpiewowi tresowanego słowika, którego trzymał w złotej klatce dla swej szlachetnej przyjemności.

W którejś jednak prowincji Władca Porządku Kosmosu – jedyny i wyłączny posiadacz połowy Azji, a także wszystkiego, co się w owej połowie znajdowało – dostrzegł kobietę, która swym oryginalnym ubiorem i ekscentrycznym zachowaniem zdecydowanie odbiegała od otoczenia. Bez jednego słowa władczo wskazał ją szambelanowi.

– Panie – rzekł mandaryn, kłaniając się do ziemi. – To podobno czarodziejka, a może nawet wiedźma. Słyszałem jak mówiono o niej, że jest szalona.

– Nie szkodzi – odparł dobrotliwie Syn Słońca. – To może być nawet ciekawe. Byleby tylko nie gryzła. A w każdym razie – dodał – niezbyt mocno.

Ten sam władca – lub może inny, nie ma to istotnego znaczenia gdyż i tak wszyscy byli spokrewnieni z Wężem Czasu i Boskim Smokiem – stanął któregoś dnia wobec buntu odległego zakątka swego imperium. Wasal, który rządził tamtym okręgiem nie wywiesił sztandaru swego suzerena w dniu urodzin jego ulubionej kurtyzany. Co prawda, w geście ceremonialnej prośby o przebaczenie przysłał potem w prezencie swoją głowę, a także własnoręcznie napisany poemat porównujący jej urodę do promienia budzącego kwiaty na pierwszej gałązce z drzewa wiśni – niemniej Cesarz Cesarzy nie uznał tej spóźnionej skruchy za satysfakcjonującą.

Prowincja została więc otoczona, a generałowie przypięli do hełmów czerwone frędzle na znak, że od tej chwili nie uczynią ani jednego kroku w tył. Piesi i konni rycerze przypasali po dwa miecze, z których tylko ten dłuższy miał posłużyć im więcej niż jeden raz. Orszak władcy podążył tuż za ich ostatnim szeregiem, drogą, którą specjalnie na tę okazję wysypano kolorowym piaskiem i obsadzono akacjami. Z tyłu jechały zaprzężone w mieszkańców prowincji wozy z solą, którą posypywano pola. Miasta i wsie miały zostać podpalone na samym końcu.

Jednakże główny zamek wasala okazał się twierdzą niezwykle potężną. Jego słudzy również nie stracili ducha i bronili się zaciekle. Kolejne szturmy załamywały się na

niebotycznych murach warowni, a z jej wysokich wież nieprzerwanie spadały chmury długich strzał. W końcu – w odruchu ostateczności – sięgnięto po środek, od którego starsi rycerze odwracali wzrok z zażenowaniem. Spróbowano podkopać narożniki fortecy. Z głębi sztolni robotnicy zakrzyknęli jednak, że fundament stoi na litej skale, niezwłocznie zawalono więc szyb i wielu odetchnęło z ulgą, że obejdzie się bez tak niehonorowych sposobów.

Tymczasem Pomazaniec Korony Pawia z pobliskiego wzgórza obserwował monumentalny profil zamku. Nie był on centralnym elementem w malowanym przez władcę pejzażu, ale harmonia jego wertykalnych i horyzontalnych linii stanowiła kaligraficzny detal, który w sposób doskonały zamykał kompozycję. Następca Słońca pomyślał o obrońcach zamku: o ich determinacji, o wyrzeczeniach które musieli podejmować dzieląc się prosem i wodą. O ich nieustających wartach i ćwiczeniach, a także o tym jak w skupieniu ostrzą krótsze ze swych mieczy.

Uniósł lekko prawą brew.

Na ten znak nadbiegł natychmiast szambelan, odprowadzany powściągliwymi spojrzeniami generałów. Nie czekając aż marszałek dworu podniesie się na kolana, cesarz jednym zdaniem, w którym doskonale zabrzmiała interpunkcja, raczył objaśnić swój rozkaz. Oddalając się w niskim ukłonie mandaryn zobaczył jeszcze, że na powstającym obrazie czerwoną tarczę słońca przecina czarno-niebieski klucz żurawi.

Nazajutrz specjalnie wybrany, elitarny oddział rozbił obóz na zboczu wzgórza, w miejscu, gdzie był doskonale widoczny z parapetów zamku. Rycerze zrzucili zbroje, pozbyli się hełmów i nagolenników, cisnęli na ziemię łuki i kołczany, a z butów uwolnili się kopniakami, rozrzucając je po całej łące. Po czym, w jak najlepszych nastrojach, zasiedli wokół wielkiego ogniska. Przez cały dzień raczyli się ryżową wódką, na włóczykach piekli młode kuropatwy, grali w kości, kłócili się i śpiewali, urządzali zawody w zapasach, znów śpiewali i znów pili – i tak aż do wieczora.

Następnego dnia zostali zmienieni przez innych. Ci przyprowadzili ze sobą muzykantów i kuso odziane bajaderki, ze swego rynsztunku zaimprovizowali wielki rożen, a zaraz obok ustawili cały rząd beczek ze wszelkiego rodzaju trunkami, jakie tylko udało im się zdobyć. Zabawa trwała do rana, a gdy któryś z nich nie dawał już rady odchodził na chwilę na bok, wypróżniał się, brał szybką kąpiel w pobliskim jeziorze i natychmiast wracał w wir uciech.

Tymczasem obserwatorzy donieśli, że w otworach strzelnic po tej stronie zamku widać tłoczące się twarze obrońców i że jest ich więcej niż wczoraj. Cesarz – oszczędnym skinieniem pędzelka, który to ruch służył przede wszystkim należytemu przewietrzeniu włosów, aby nie utraciło ono niezbędnej miękkości – nakazał generałom dokonanie wyboru trzeciej ekipy. Ci spojrzeli po sobie, odprawili przybyłych pod byle pretekstem setników i dziesiątników, po czym powierzyli rzecz losowaniu.

Dzień trzeci zaczął się już o pierwszym brzasku. W kręgu kilkunastu ognisk prócz tancerek wystąpili żonglerzy, akrobaci i prestigitatorzy. Rzeźnik pracował na bieżąco – od zabicia do zjedzenia nie mijała godzina. Sprowadzono miód i mleko, trzcinę cukrową i wszystkie osiemdziesiąt gatunków karmelu. Były ryby, ptactwo, sterty owoców i oczywiście *sake* – zbyt dużo, aby ktokolwiek dał jej radę. Orgia i gremialne pijaństwo zanieczyściły trawę na całym zboczach. Nocą wymieniono ją na nową. Wodę w jeziorze też. Obrońcy zamku w ogóle już nie poświęcali uwagi innym odcinkom muru. Stali wszyscy naprzeciw obozu sybarytów, a oczy świeciły im się nad pozapadanymi policzkami.

Czwarty oddział w przypadającym mu dniu dla odmiany urządził turniej szachowy. Zwycięzca został właścicielem największej chmury jaką udało się zaobserwować, a ponadto zdobył dożywotni tytuł Idącego Po Promieniu Księżyca. Zamiast ciężkostrawnych tusz podawano sorbety, a alkohol zastąpiły czterysta i jedna potrawa z liści pewnej byliny o kadzidlany zapachu i niezrównanej mocy. Potem deklamowano, dyskutowano i przekazywano sobie pozytywne vibracje. W końcu ogłoszono, że wszyscy ludzie są braćmi. Ci, którzy jeszcze mieli siłę, łamali miecze – pozostali pokrywali swe zbroje wzorami z jaskrawych kwiatów. Na obrońcach wywarło to wielkie wrażenie. W ciszy nocy słychać było ich podekscytowane rozmowy.

Ekipa numer pięć powróciła do tradycyjnych wzorów, choć potraktowano je dość jednostronnie. Zużyto wielkie ilości afrodyzjaków; aptekarze i mnisi na pniu wynajdywali nowe mieszaniny, które ulegały natychmiastowemu testowaniu, przy udziale sprowadzonej z całej prowincji rzeszy kobiet – a i nie tylko ich. Obrońcy stali na zewnętrznym kruzganku i czynili zakłady. Głośno dopingowali swych faworytów. Gwałtownie przechodzili od rozgorączkowania po dziwną markotność i z powrotem. Byli bladzi i niewyspani.

Szósty oddział, po wstępnej wysokoprocentowej zaprawie, podzielił się na dwie grupy i przystąpił do czegoś w rodzaju bijatyki, przy czym ciosy zastąpione zostały obelgami – wygłaszanymi do wiersza lub prozą. Za najlepsze uznawano te, po których śmiali się nawet stronnicy obrażanego. Pomysłowość chwilami sięgała zenitu. Kilkunastu rycerzy dostało bezdechu i trzeba ich było ratować byliną, a paru ciężko nadwreżyło sobie przepony. Z murów zamku spadło dwóch nieostrożnych – nawet lecąc jeszcze śmiali się, czym wzbudzili powszechny aplauz. Ich pogrzeby stały się okazją do niezliczonych gagów. Wszyscy bawili się nadzwyczajnie. Tym razem trawę wymieniano tylko w miejscu twardych lądowań i wokół grobów. Jezioro miało wolne.

Dnia siódmego znów odbyło się wielkie żarcie. Aby zapewnić odpowiednią ilość opału porąbano na szczapy najbliższe miasteczko. Na wielkim roźnie upieczono słońca w całości, a *sake* podawano od razu w wiaderkach. Co bardziej wyrafinowani zarządzili, aby zrobiono im alkoholową lewatywę, co znakomicie odciążało żołądki, gotowe teraz do gargantunicznego maratonu. Dłuższymi mieczami krojono chleb, a krótszymi –

smarowano go masłem. Aby było wygodnie, na ziemi rozścielono sztandary. Hełmów używano w charakterze nocników. Wymiotowanie stało się formą towarzyską, niejako odpowiednikiem toastu. Urządzono zawody w oddawaniu moczu do celu oraz na odległość. Jezioro zamieniło się w torfowisko, a okoliczne krzaki zgniły od nadmiernego nawożenia.

Rankiem ósmego dnia Strażnik Upływu Wieczności po raz ostatni dotknął pędzelkiem swój nostalgiczny pejzaż z kluczem żurawi. Dzieło było ukończone, nadworny kronikarz ułożył dystych o tym wydarzeniu. Na miejscu gdzie stały sztalugi wzniesiono niewielką świątynię – pół wieku później była już najrozleglejszym kompleksem klasztornym tej części świata. Tymczasem orszak ruszył w drogę powrotną do stolicy. Droga – ta sama – tym razem obsadzona była topolami o jednakowej wysokości, a kolorowy piasek zastąpiono pokruszonymi muszelkami. Za ostatnim palankinem dworu w karnej kolumnie kroczyły zastępy rycerzy, wszyscy w błyszczących zbrojach i idealnie odprasowanych szarawarach. Miecze – dłuższe i krótsze – spoczywały w pochwach, nienagannie wypolerowane i ostre jak drzazgi szkła. W ariergardzie postępowali słudzy z pochodniami i kat z szerokim sierpem przewieszonym przez ramię. Prawie w ogóle go nie odkładał.

Nikt nie zwracał uwagi na grupkę niedawnych obrońców zamku. Siedzieli wokół ogniska po ostatniej biesiadzie, raczyli się ryżową wódką, na włóczniach piekli młode kuropatwy, grali w kości, kłócili się i śpiewali, urządzali zawody w zapasach, a potem znów śpiewali i znów pili.

W zamian za poddanie zamku poprosili władcę o łaskę jednego z takich dni, jakie mogli oglądać z jego murów. Cesarz dał im godzinę. Jeszcze przed jej upływem wszyscy byli kompletnie nieprzytomni. Szambelan został w pobliżu, aby – gdy czas minie – ocucić ich wsypywaną do nozdrzy solą. Póki co zabawiał się wyciąganiem i oglądaniem walających się na ziemi, należących do nich krótszych mieczy.

Wszystkie były dużo ostrzejsze od szkła.

Pierwszą historyjkę Zmrogg zawdzięcza twórczości Gene'a Wolfe'a, drugą natomiast usłyszał przed laty od pewnego Kuka, który smażył befsztyki, bo był taki jak jego pierwowzór z szanty o *Złotej Arce*.

8 Nad Wielką Rzeką

Jest to opowieść z Pogranicza, owego płynnego pasa pomiędzy Unią i Konfederacją, rozciągniętego od gór do gór i przeciętego pod kątem prostym przez Wielką Rzekę, co ma tyle imion ile było ludzi, którzy przybywali, aby ją wciąż na nowo chrzcić.

Drogi wiodą tu tylko w stronę zachodu, pomiędzy wyschłe w oczekiwaniu kaktusy lub niebotyczne katedry wsparte na pniach ogromnych sekwoi. Gdzieś za nimi czeka tam ziemia, pusta i jeszcze niczyja – czeka, aby wbić w nią narzędzia, własnym potem zrosić jej powierzchnię, a następnie strachem i ciągłą gotowością do obrony okupić ten jedyny w swoim rodzaju przywilej wolności. Życie odmierza się tu w szczęśliwie przetrwanych zimach i suszach, w workach bielącej dłonie mąki, w żelaznych gwoździach, srebrnych dolarach i ołowianych kulach. Podróżuje się także w niedzielę, mimo bożego prawa do odpoczynku, bo sto mil za ostatnią przeprawą nie ma już dni przeznaczonych na odpoczynek, za następne sto mil nie ma już prawa, a jeszcze sto mil dalej nie ma także i Boga. Jest za to kurz i mróz, nieobliczalność dzikich zwierząt, majestat pierwotnych żywiołów, gniew czerwonego człowieka i złoto.

Przynajmniej na samym początku, bo potem za pierwszymi osadnikami w trudzie gospodarującymi na arach wydartych Edenowi, podążali gauczowie ludzkich marzeń, kowboje myśli, pasterze ich dusz i lęków. Byli to arystokraci życia, inni niż zwykli śmiertelnicy, zmuszeni do toczenia codziennych bojów z pogodą, z bydłą zarazą i ze złodziejami koni. Oni o przetrwanie walczyli wyłącznie pomiędzy sobą i nikt spoza klanu nie miał dostępu do tego rytuału. Przyziemne potrzeby zwykłych ludzi, jak błoto zaledwie kalają im buty.

Pojawiali się, aby przerwać monotonną spiekotę ziemskiego czyścica i odchodzili, kiedy nic już nie zostawało – poza widownią, porażoną przez ciszę wobec opadłej nagle kurtyny.

Był to jeden z tych dni, o jakich Francuzi mówią *cafard apres la fete*.

Niepotrzebne girlandy opierały się jeszcze wiatrowi, wyschłe kałuże przetaczały między sobą podzwonne opróżnionych butelek, a przedwczorajsze gazety i kartonowe ozdoby stołów tworzyły wyblakłe ławice w zakamarkach pustej *main street*. W stronę obu jej końców rozpościerał się widok na horyzont, tańczyły tam tylko pijane od kurzu krzaki. Powietrze było ścianą roztopionego szkła, ślady na drodze wsiąkały weń jak krew w wyschnięty piasek.

Chandry po fecie nie dzielały tylko termity, niestrudzenie pożerając ściany i podłogi. Prócz nich każdy, kto miał choć odrobinę rozsądku, dawno już zwał z tej przekłętej dziury. Reszta ponuro poddawała się nastrojowi, który zamykał powieki

i nachylał czoła ku porysowanym blatom stolików. Dziewczęta z papierosami w kącikach wyszminekowanych ust beznamiętnie grały w karty, a inspicjent – być może jedyny trzeźwy w tej nieznośnej porze południa – drzemał niespokojnie na pomiętym afiszu, którego malowania miał już nigdy nie dokończyć.

Nikt nie zauważył tego faceta. Nie zwrócono nań uwagi gdy wszedł, ani gdy dotykał kapelusza w pozdrowieniu, na które też nikt nie odpowiedział. Przybysz przeszedł więc pomiędzy ostatnimi w halu lustrami, ich zaśniedziałymi ramami o taflach sprofanowanych przez muchy. Głosem, co ledwo zdołał się wzniesć ponad szmer monotonnie opróżnianego szkła, zapytał barmana o godzinę rozpoczęcia przedstawienia. Potem stanął z boku, patrząc przez okno w jakiś odległy, sobie tylko znany punkt. Barman spod rzęs otaksował jego lichą marynarkę, wąskie ramiona i pas, którego nic nie obciążało. Pomyślał o nim, że jest jak zrobiony z papieru, tak gładko prześlizgnął się pomiędzy stolikami nie potrącając nikogo, ani nawet – zadawałoby się – nie rzucając na nie cienia.

Barman wrócił do polerowania szklanek. Kątem oka, przez uchylone drzwi garderoby, widział siedzącą doń tyłem Lily. Miała w talii dwie królowe i zapewne liczyła na trzecią przy ostatniej wymianie. Tak czy owak, tylko ona zdawała się być zainteresowana grą. Jednak gdy podbijała pulę w udziale przypadł jej tylko kierowy walet. Barman nie przywiązał do tego znaczenia. Spoglądał już bowiem w stronę halu, gdzie główne drzwi na ulicę z wolna powracały na skrzypiących zawiasach, w tej sekundzie z rozmachem kopnięte i odrzucone na boki przez wchodzących.

Wchodził Wielki Jim, zapewne jedyny w tym mieście człowiek z głową na karku, niewątpliwie zaś jedyny właściciel jedynej w okolicy kopalni. Wykonał swoje zwyczajowe już *entree*, wystawne jak otwarcie rewii, której gwiazdą sam siebie uczynił. Miał srebrną laskę, starannie ufryzowane włosy i ochroniarzy, którzy strzegli go, gdziekolwiek się udawał. Wielki Jim mógł brać, co tylko mu się podobało i porzucać to, gdy tylko przestawało go bawić. Był prawdziwym królem, jedynym i niekwestionowanym, ale inaczej niż zwykle tym razem był też na sali ktoś, kto nie sprawiał wrażenia jego poddanego. Dupek, pomyślał o tym ostatnim barman, może przez zazdrość a może z pogardą, jak to zwykle wobec obcych. Nie wiedział, jak blisko był prawdy i jak jeszcze bliżej niej mógłby być, gdyby użył mniej kolokwialnego określenia.

Na widok władcy, od karcianego stolika zerwała się Rosemary. Przebiegła salę, w locie poprawiając włosy i zawiązaną na szyi aksamitkę. Brakowało jej tylko korony, gdy poufale kładła policzek na ramieniu Jima. Ale on nie słyszał jej szeptów, być może nawet w ogóle jej nie zauważył. Przez całą salę spoglądał na waleta przy oknie.

Skądś znam już tę twarz, myślał Wielki Jim, przeżuwając cygaro o złotej obrączce przy ustniku. Z pewnością widniała na jakimś afiszu. Może gdzieś w Meksyku, gdzie sława i sztuka nie stanowią tego samego i gdzie oba te słowa oznaczają rzeczy zupełnie innej niż

na porządnej, protestanckiej Północy. Na miłą wiało odeń jakąś nieprawdopodobną prowincją, wyczuwalną nawet tu, na tym beznadziejnym końcu świata. Te jego mankiety ze złotymi guzikami, koronkowy fular, wąsy, co przywodziły na myśl tylko mysie ogony – cała ta wyświechtana wspaniałość, która tak jaskrawo obnaża pozbawiony gustu pretensjonalizm papistów. Na dodatek te komicznie obcisłe, czarne spodnie...

Tymczasem światła poczęły więdnąć, bo słońce spadło już z nieba, a wraz z jego zejściem umykały ostatnie płomyki lamp i ostatni klienci ostatnich tego dnia kolejek. Partia w garderobie zakończyła się na nierozstrzygniętym rozdaniu – jak zwykle pod wieczór, gdy zapasy chęci i zainteresowania były już u wszystkich na wyczerpaniu.

Lily stanęła przy barze. Na tym podupadłym dworze króla zmierzchu ona była królewną – drobną jak lalka z chińskiej porcelany, o jasnej cerze i cukierkowych lokach, które ujmowały jej wieku, spychając go na samą granicę przyzwoitości. Kiedy Lily się uśmiechała – a robiła to często i do każdego – nie było widać zmarszczek w kącikach jej oczu. Co najwyżej wzięto by je za efekt owej szczerbiotliwej wesołości, lecz byłaby to obserwacja na równi powierzchowna co i błędna. W lustrze za plecami barmana odbijała się bowiem twarz zmęczonej swą ciąglą niedojrzałością midinetki, która robiąc wszystko czego od niej zażądano starała się tylko zbytnio nie pokalać swych kolorowych sukienek, swych wstążek i koronek, gdy za kolejnymi mężczyznami swego życia przenosiła się z miejsca na miejsce, nim prąd fatalnych i jałowych okoliczności osadził ją na tej mieliźnie, skąd już nie potrafiła się wydostać. Z tali kart, bezużytecznie pozostającej na stoliku w garderobie, wzięła ze sobą tylko tego waleta kier. Patrzyła nań przez szklanke, marząc że ktoś taki zechciałby ją stąd zabrać, może znów na kraj świata, ale tym razem naprawdę.

Było już zupełnie ciemno, gdy do *foyer* tej rozchwierutanej przez czas i ludzką niedbałość rudery wtoczył się sędzia – zalany w trupa, jak zwykle zresztą, teraz bardziej może niż kiedykolwiek, bo tego popołudnia w knajpie naprzeciwko ktoś musiał hojnie dopełniać mu szkło. Po pijacku, donośnie złożył uszanowanie Jimowi i „jego olśniewającej towarzysze”, którym to tytułem bezceremonialnie i z rozmachem celował gdzieś obok Rosemary, ponad stolikami i szyjkami pustych butelek. Jak wszyscy w mieście wiedział o diamentowym pierścionku, który Lily dostała do króla i który był jeszcze jedną rzeczą, co nie pozwalała jej stąd odfrunąć.

Atmosfera zgęstniała, jak *laudanum*, z którym Rosemary знаła się aż nadto dobrze, Wielki Jim nie powiedział jednak nic. Uśmiechnął się tylko – był właścicielem wszystkiego, takie intrygi tylko miłe łechtały jego próżność. Poza tym, Lily rzeczywiście była dużo młodsza. Patrzył więc pogodnie, ale i z niezmaconą pewnością, jak idzie do nieznanego, jak uśmiecha się doń zerkając na zaplecze – bo właśnie postanowiła się odegrać za ten przeklęty pierścionek z jedynej w mieście kopalni i pokazać, że tak naprawdę do nikogo nie należy, tylko do siebie samej. Wielki Jim władczo zaciągał się

swym monstrualnym cygarem. To jednak dziwne, pomyślał w roztargnieniu. Kobiety, które uważamy za godne zainteresowania, wykazują tak nieprawdopodobny brak gustu. A swoją drogą, ten przybłąda, kimkolwiek jest, to jednak fachowiec. Wielki Jim popatrzył nań nieprzychylnie, a kieliszek w jego dłoni wyglądał jak kwiatek w objęciach imadła. Niech sobie myśli, co chce, urokliwa trzpiotka.

Inspicjent ocknął się, gdy przechodzili obok niego do garderoby. Popatrzył za nimi przecierając oczy, jeszcze sennie zinwentaryzował oczekujących, rozsianych po sali jak po arenie, co pamięta lepsze czasy, po czym spojrział na niedokończony plakat i skrzywił się, chowając go do szuflady. Miał właśnie dać znać dziewczętom by zaczęły się już przebierać, gdy nagle chrobotanie ścian i podłóg wydało mu się głośniejsze niż powinno, jakby cały dom wstrzymał oddech i tylko termity nie zwracały uwagi na siedzącą sztywno obok Jima Rosemary, na jej nadgarstki z dawno zabliznionymi już śladami desperackich nacięć, co jakby nagle przestały być dawno zabliznione i na jej wzrok, co jak nożem po kolei dekapitował przerażone swym losem butelki. Inspicjent ogarnął to wszystko jednym spojrzeniem i pobiegł poszukać sędziego. Było już jednak za późno: sędzia w skrajnym zamroczeniu tańczył na pustej jeszcze scenie, zasłonięty kotarą, zza której dochodził tylko łomot jego butów. Przypominał aktora, co zaniedbał założyć małego kostiumu. Wracając na swoje krzesło inspicjent pomyślał, że nie jest to zbyt wyrafinowana kreacja. O czym nie wiedział, to to, że ta miała dopiero nastąpić.

Nikt nie zna dokładnych okoliczności, ale mówią, że potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Ludzie w popłochu wybiegli na ulicę, gdy kopnięte z rozmachem drzwi do garderoby uderzyły o ścianę – stał w nich Wielki Jim z rewolwerem, który jeszcze dymił, a Rosemary obok, przy swoim królu, lecz pochylona ku obcemu, z nieruchomą twarzą i długo tłumioną prośbą, której nie wypowiedziała.

W tym samym czasie na drugim końcu uliczki usłyszano eksplozję. Wymiotła szyby i firanki, wyrwała okna z futryn i obsiała miasto rozszarpanymi na strzępy papierami. Gdy przybył szeryf, bank już płonął – widocznie podmuch musiał przewrócić którąś z lamp. Obejrzawszy wywleczony na zewnątrz sejf, pomyślał, że użyto chyba całej skrzynki dynamitu. Widziano grupkę jeźdźców oddalających się z workami u siodeł. Kasjer, który przeżył wybuch pocieszał się, że nie mogą uciec daleko, a tak czy owak Wielki Jim nie puści im tego płazem. Miejscowi próżniacy w nadziei zarobku już zaczęli się zgłaszać na ochotnika do pogoni. Szeryf wyznaczył jej godzinę na pierwszy świt. Wszystko miało się rozstrzygnąć nazajutrz.

Zamiast tego, nazajutrz odbyła się egzekucja, *hanging day* jak rozbrajająco nazywają to rzeczowi Anglosasi. Niebo pokryły pierwsze od tygodni chmury, zanosilo się na deszcz, a wiatr – jeszcze wczoraj duszący tumanami pyłu – kasał zimnem, przedzierając się przez ubrania i podwijając runda kapeluszy. Ciało Wielkiego Jima leżało już w kostnicy, a wyjęty zeń nóż – mały i wąski jak ołówek, z tych co to łatwo można je ukryć we

włosach – podawano sobie z rąk do rąk, kiwano nad nim głowami. Zaraz za nim krążyła kula, co nieszkodliwie utkwiała w boazerii i teraz, już z niej wydłubana, przeżywała swój moment uwagi.

Swój moment miał też sędzia, dziś trzeźwy jak dziecko, bo od samego rana o suchym pysku. Z wysokości szubienicy perorował do tłumu, co na ten jeden dzień znów widział w nim przedstawiciela prawa. Przedwczorajszy karnawał na chwilę jakby powrócił. Nad tłumem unosiła się ekscytacja. Rosemary nie powiedziała ani jednego słowa – aż do samego końca. Na widowni wokół szafotu brakowało tylko Waleta Kier.

Bo nad brzegiem Rzeki, która stała się świadkiem podziału łupu, w ciemnościach ostatniej godziny przed ulewą, Walet dogonił swoją bandę. Bez niego nie mogli ruszyć dalej, teraz zaś wiedzieli na pewno, że żadnego pościgu nie będzie.

Kabaret stoi teraz pusty. Wywieszka na drzwiach informuje, że został zamknięty na czas remontu. Nikt w to jednak nie wierzy. Już nie tylko ci, co mają łeb na karku opuszczają miasto – ciąg koczy, wozów i kabrioletów międli błoto pod stalowym spojrzeniem nieba. Do ostatniego dylizansu wsiadła też i Lily, wreszcie wolna. Może myślała o tych wszystkich, co obiecywali jej podróż, w którą ostatecznie wyruszyć musi sama, może myślała o Rosemary, swej dawnej rywalce, a może o królu, po którym nie nastanie już nowy. Może nawet o prawie – czymkolwiek było tego wieczoru, gdy przy kartach otrzymała znak, lecz nie zdołała pochwycić wygranej.

Na pewno jednak myślała o Walecie Kier, lecz talia, którą próbowała na nowo w pamięci ułożyć, rozsypywała jej się przed oczami, i choć wiedziała, że on gdzieś w niej musi być, mimo największych trudów nie potrafiła go odnaleźć, aż w końcu zapomniała nawet jak powinien wyglądać i wszystko wygładziło się w monotonną, rozmytą przez deszcz linię horyzontu.

Tekst powstał na motywach zaczerpniętych z *Lily, Rosemary and jack of hearts*, dość długiej ballady w rytmie *mambo*, brawurowo wykonanej onegdaj przez Joan Baez podczas jej turnee *Gracias a la vida*.

9 Doktor Saiomc i Obcy

Wyobraźcie sobie blok, monolityczną termitierę o urwistych ścianach barwy zjedzonego przez siarkę juraja. Niech stanie on przed waszymi oczami – dziesięciopiętrowy pomnik schyłkowej epoki Gierka, maszyna do statystycznego mieszkania, kombinat spiętrzonych jeden na drugim, poziomych okienek. Balkony spoglądają wokół wzrokiem neandertalczyka, spod wydatnych łuków brwiowych, które są podstawą kolejnego balkonu i tak aż do samej góry. Piramida Cro-Manion.

Z hydraulicznego punktu widzenia jest to model kulminacji ruchów wstępujących, gdzie poszczególne przekroje i strugi uzasadniają się nawzajem – w każdym razie dopóki któreś z nich nie stanie się ogniwem terminalnym. Doktor Saiomc przytoczył był onegdaj przykład takiego wydarzenia.

Było to już dość dawno temu, choć czas i miejsce nie pełnią tu jakiejś szczególnej roli. Nie są nawet sygnatą środowiskową, *demohud* bowiem spłaszczył strefę socjalną tak dokładnie, że niezależnie kto kim był, dla określenia jego statusu wystarczyła zwykle duża litera M ze stosownym numerkiem po pauzie.

Owego dnia – a była to środa – Doktor Saiomc powrócił do takiego właśnie habitatu, późnym popołudniem, w porze gdy kończono już omawianie bieżących wydarzeń i zaczynało się oczekiwanie na obiecany przez panią zza szybki western. Tym razem jednak czekała go jeszcze mała niespodzianka: całkowicie wyschnięte krany – saharyjski paradygmat w chromowanych fisharmoniach kuchni i łazienki. Kręcenie kurkami powodowało tylko oddalony bulgot, jak zapowiedź torsji z oburzonego takim traktowaniem, podziemnego żołądka, po czym wylot kranu wydawał ostatnie, nieświeże tchnienie.

W normalnych warunkach Doktor być może nie uznałby tego za okoliczność szczególnie uciążliwą, wtedy jednak akcydentalnie był akurat w stanie, którego nawet sam nie nazwałby normalnym. Pomagając sobie pionem usłużnie stojącej nieruchomości ściany zszedł piętro niżej i zadzwonił do drzwi pewnej staruszki, od czasu do czasu nachodzącej go pod różnymi pretekstami: a to hałasu po nocy, a to zalania łazienki, a to znów hałasu i zalania, lub też niepokojąco długotrwałej ciszy i braku zalewania. Stara pani, dość zakłopotana faktem, że dała mu się tak łatwo we własnych pieleszach zaskoczyć, bez większych kluczeń i nacisków zeznała, czego się spodziewał i jednocześnie obawiał – u niej wody także nie było. Oko staruszki rozpychało okular wizjera, rozmowa przez drzwi nie kleiła się. Doktor przylgnął plecami do zimnej lamperii i dokonał rachunku z uwzględnianiem stałej grawitacyjnej. Wyniki nie były zachęcające, mimo to

mozolnie, walcząc z tą upartą przecherą wspiął się z powrotem do siebie, gdzie z szafki z korkami elektrycznymi wydobyl swój ulubiony klucz francuski.

Ponowną podróż w kierunku centrum planety odbył już jednak windą; zamówił kurs aż do stacji końcowej obsługiwanej przez tę linię. Potem przemierzył duszny korytarzyk obok zsypu na śmieci, pomiędzy tablicą z ogłoszeniami Spółdzielni a wnęką na wieczyście niedokończony domofon. Za ostatnim załomem muru, na skraju żółtej aureoli rzuconej na bitą wylewkę przez łysy łebek żarówki-czterdziestki, otwierały się nieoświetlone i strome schody z surowego żelbetonu, wiodące jeszcze niżej, dwoma biegami o niewielkim stopniu ogólnego zgeometryzowania. Czuć stamtąd było – lecz Doktor oczywiście tego nie czuł – intensywny aromat kiszących się grzybów i trutki na szczury.

Wspólna część podziemi bloku miała kształt litery T, otoczonej wiankiem lokatorskich klitek, dwa metry na półtora. Należało włamać się do czwartej z nich licząc od prawej, prześlizgnąć nad zaścielającymi jej wnętrza słoikami i tuż pod samym sufitem odnaleźć główny zawór całego pionu.

Zawór był zakręcony. Doktor końcem klucza podrapał się pomiędzy łukami brwiowymi. Dotarł do niego też fakt, że sama piwnica bynajmniej nie była zamknięta. Po kilku – wypełnionych intensywnym wysiłkiem intelektualnym – minutach wzruszył jednak ramionami, przestawił zawór do pozycji użytkowej i wrócił do siebie.

Był właśnie w połowie mydlenia sobie pleców – czynności samej w sobie dość karkołomnej – gdy metaliczny i lekko zalatujący lizolem strumyczek z kranu znów się urwał. Tym razem jednak potwierdzenie tego fenomenu nie wymagało żadnych dodatkowych peregrynacji, staruszka z dołu sama przybyła pod doktorowe drzwi. To pewnie coś z rurami, dodała domyślnie. Albo uciekła nim zdążył wygramolić się z wanny, albo też cały czas stała poza zasięgiem jego judasza, nie udało się bowiem sprawdzić czy była w pasujących do jej głosu papilotach i kapciach. Doktor zadumał się nad okolicznością, że mimo dość częstych z nią kontaktów akustycznych (a niekiedy nawet werbalnych) nigdy właściwie nie widział jej na oczy. Może jej wcale nie ma, rozważał rozglądając się za kluczem francuskim. Może to tylko duch, relikwiarz epoki urzędowego ateizmu, pokutujący teraz w adorowanym kiedyś przez siebie żelbecie – zjawia zaklęta w bryłę, co to ją miano ruszyć z posad.

U posad natomiast trwała już w najlepsze intensywna kampania propagandowa. Jej sercem, mózgiem, a przede wszystkim tubą, był zamieszkały na parterze dozorca bloku, przez swych fanów zwany Chlorem. Towarzystwo miłośników Chlora skupiło się opodal, z uwagą słuchało jego wywodów, notowało sobie w pamięci świeżo wymyślone przezeń epitety i entuzjastycznie witało nowatorskie neologizmy oraz inne smakowite figury mnemotechniczne. Chlor dokonywał właśnie gruntownych rozliczeń ze swoimi bliżej nieznanymi wrogami, aczkolwiek jego na ich temat wiedza wskazywała, że on sam zna ich

doskonale. Chlor znał też najwyraźniej ich matki, żony, siostry i córki, wiedział w jaki sposób zarabiały na życie, był wtajemniczony w owych wrogów subtelności emocjonalne, intymne niedomagania i obciążenia dziedziczne. Tezy swoje udowadniał głośno, ale precyzyjnie, prawiąc z jednakową swadą o zawiłościach medycyny, genealogii i teorii nauk społecznych. Był w tym jak zwykle niezrównany.

Doktor chętnie by go posłuchał, ale miał co innego na głowie – mianowicie już zastygający szampon – szybko więc i bez zbędnego zwracania na siebie czyjejkolwiek uwagi prześlizgnął się do znanego już sobie zaworu, z którym uczynił to samo, co poprzednio. Droga powrotna upłynęła mu spokojnie, winda mknęła po torach szybko, lekko i bez przystanków.

Dane mu było zaledwie dokończyć rytuału ablucji, gdy ponownie usłyszał znajomy już łomot postukiwanej artretycznym palcem dykty. Staruszka o cechach fizykalnych ektoplazmy, znów niewidoczna – Doktor postanowił ją więc nazywać Brunchilą – usłudźnie poinformowała go o stanie zaopatrzenia budynku w płyny i nie omieszkła wyrazić swej sugestii w tej sprawie. Klucz francuski, odwieszony na podorędziu rezonował w rytm jej kołatania. Doktor zdjął go ruchem, w którym zaczynał już nabierać wprawy i poszedł poczekać na windę. Na klatce schodowej dochodzące z parteru krzyki Chlora wydały mu się jakby głośniejsze i bardziej emocjonalne niż poprzednio, narzędzie ukrył więc w rękawie. Nie miał zbyt wielu złudzeń co do swego *public relations*, pragnął jednak zachować co się dało z własnego o sobie zdania jako o człowieku raczej łagodnym. Stoicko potraktował tę konspirację jako próbę zminimalizowania niepotrzebnego ryzyka.

Otwarte na oścież drzwi do mieszkania Chlora wypadły mu akurat naprzeciw wyjścia z usługowej kabiny pionowego startu i lądowania. Obraz ten zatrzymał go swą malarską scenografią i dramatycznym ładunkiem ekspresji.

Na pierwszym planie Chlor, w żółtych gumiakach i z plastikową szuflą do śniegu, wyglądał jak postać z filmu o heroizmie ratowników po katastrofie w Czernobylu – biegał tam i z powrotem z upartym zacięciem, w nielicznych przerwach dzielnie komenderując poczynaniami swej równie jak on wyposażonej małżonki (a w każdym bądź razie humanoida, który był dość powszechnie za nią uważany z uwagi na niejaki do Chlora podobieństwo, a także pewne drugorzędowe cechy gatunkowe, mogące świadczyć o płci prawdopodobnie żeńskiej). W dalszej perspektywie otwierał się widok na również obnażony otwór wejściowy do chlorowej łazienki, w niej zaś na usytuowaną centralnie muszlę. Na jej kłapie spoczywało wiadro wypełnione – jak się zdaje – cegłami. Klozet krztusił się pod tym ciężarem, wiadro podskakiwało niczym pokrywka na dochodzących flakach. Był to niewielki wulkan w fazie przedeksplozyjnej, miniaturowa Etna co pomrukując złowroźnie strzykała wokół – miast kłębamii dymu – falami umiarkowanie

przezroczystej cieczy. Erupcja zapowiadała się widowiskowo, coraz liczniejszych gapiów rozdierały dwa instynkty: ciekawości i samozachowawczy.

Doktor prześlizgnął się za plecami tłumu i poszedł zrobić to, co miał do zrobienia, ale już w drodze powrotnej naszała go refleksja, dotycząca celowości i przyczynowości swych pielgrzymek. Żyłka detektywistyczna – którą posiadał lecz do której się publicznie nie przyznawał, gdyż nieodmiennie prowokowało to pytania od jak dawna ją ma i gdzie się jej nabawił, oraz dlaczego nie pójdzie z tym do lekarza – żyłka ta więc pociągnęła go z powrotem w stronę zebranych na parterze gapiów. Skądinąd słusznie bowiem wyedukowała, że nawet jeżeli nie wpłynie to na rozwiązania tajemnicy, to przynajmniej może poszerzy horyzonty intelektualne i ogólną wiedzę o świecie dziejących się wokół zjawisk nadprzyrodzonych. Zajęcie tej pozycji było też niejako toastem na cześć Brunchildy, która być może nie zechce tak długą podróżą narażać swej ruptury, gdy znów przyjdą jej do głowy jakieś odkrywcze i niezwłocznie bliźnim niezbędne sugestie.

Doktor Saiomc pozostał więc na dole. Przyszła historiografia najprawdopodobniej nie będzie miała wątpliwości jak ocenić relacje pomiędzy tą okolicznością, a wszystkim, co miało się wydarzyć potem. Potem zaś nastąpiła pierwsza tego wieczora interwencja z zewnątrz.

Ekstraterrianin (czy może raczej należałoby powiedzieć: *ekstrablokowianin*) zjawił się niespodziewanie, cichcem, chyłkiem i nieznacznie; zupełnie tak, jakby wcale tu nie zmierzał, a tylko trafił przez przypadek i teraz rad byłby powrócić do swych – jak i on sam – bliżej niezidentyfikowanych spraw, ale nie wie jak, ani którądy i dlatego wdzięczny byłby za pokazanie drogi, aczkolwiek wrodzona skromność i nieśmiałość wzbrania mu narzucania się komukolwiek, więc tylko czeka – w połowie niecierpliwie a w połowie z zażenowaniem – aż któryś z otaczających go i zajętych samymi sobą Ziemian sam zwróci na niego uwagę.

Doktor Saiomc, do którego całe to przesłanie dotarło w wersji nieco skompresowanej, zauważył tylko, że Obcy ma na głowie antenki (a ściślej jedną antenkę, na środku berecika), odziany jest w ogólnofachowy, polibarwny drelich i dźwiga okazałą torbę, wypełnioną zapewne perkalem i paciorkami, z ukrytym pod spodem blasterem – ot tak, na wszelki wypadek. Przybysz dyskretnie przestępował z nogi na nogę, wodził wokół zdezorientowanymi oczyma (miał ich tylko dwoje) i uśmiechał się przepaszająco. Był jednak niewątpliwym kosmitą; jeżeli jego skóra nie prezentowała wymaganej w takich razach zieleni to tylko dlatego, że zasłaniały ją sine narośla pod oczami (oboma) i także workowate policzki, obsunięte poniżej linii szczęki.

Cera Chlora wykazywała podobne cechy fizjonomiczne i może z powodu tego pokrewieństwa to właśnie dozorca pierwszy zwrócił uwagę na intruza. Nie przerwał co

prawda prelekcji – nie od razu w każdym bądź razie – ale dał tamtemu wyraźny znak i jakby doń mrugnął, a może nawet był to uśmiech lecz zbyt krótki by utrwalił się w granicach ludzkiej percepcji.

Doktorowi to jednak w zupełności wystarczało. Od dawna już żywił niejakie podejrzenia co do Chlora i jego człowieczeństwa w ogóle.

Tymczasem jednak grono wrogów dozorczy uległo gwałtownemu poszerzeniu. Doktor Saiomc, który na tę część kazania przybył nieco spóźniony, ze zdziwieniem w kreślonym przed publicznością portrecie psychologicznym rozpoznał samego siebie. Wcale nie podejrzewał się o aż takie wyrafinowanie, przytaczane przez Chlora dowody były jednak niepodważalne.

Czyż on, Doktor zwany Saiomcem, z ojca i matki, urodzony i zamieszkały, mógł wobec wszystkich i wobec siebie samego zaprzeczyć, że dnia i o godzinie, w zajmowanej przez siebie powierzchni lokalowej o symbolu społecznym M-2, dopuścił się użycia instalacji wod-kan poprzez odkręcenie wody i doprowadzenie do jej wiania się do kratki w dnie umywalki? Czy mógł zaprzeczyć, że bynajmniej nie był to odosobniony przypadek i że bynajmniej nie był związany z jakimikolwiek okolicznościami wyższymi, takimi jak bynajmniej pożar, uderzenie pioruna, atak nuklearny albo raptowna i niezapowiedziana podwyżka cen *acqua vitae*, czyli gorzały? Czy wreszcie zaprzeczy, że on, Saiomc zwany Doktorem, oddawał się tym czynnościom od dłuższego czasu, regularnie, z premedytacją, wyrachowaniem i pełną świadomością swego postępowania?

Był teraz winny chlorowego nieszczęścia, spuszczone z jego wanny mydliny pienily się w szczelinie pod klapą chlorowej muszli, jakby ta przez zęby cedziła ów dowód rzeczowy, obciążający i tak łatwy do zwietrzenia, że trudno o coś bardziej zapowietrzonego.

Oczywiście Brunchilda i wszyscy pozostali lokatorzy byli winni także, lecz to tylko pogarszało jego, Doktora, sytuację. Wziął oto udział w spisku, w zbrodniczym przysiężeniu, w samosądzie, nagonce, w napaści stada wilków. W rozboju rozbójniczym.

Swą plastikową szufłę do śniegu Chlor oskarżycielsko unosił w stronę sufitu, ścian i wszystkich zgromadzonych; w ślad za zataczanymi przez nią lukami podążał welon cieczy pochodzenia organicznego, zostawiającej na lamperii wzory jak w przedszkolnej stołówce, gdy znów był szpinak i można było wyjść do ubikacji dopiero jak się go całego – pod czujnym okiem troskliwej opiekunki – wepchnęło do gęby, ale nie każdy był w stanie do końca znieść taką próbę.

Po pewnym czasie Obcy – kiedy już wszyscy go zauważyli i wymienili ze sobą poufne impresje na jego temat, więc nijak mu było dalej udawać, że go nie ma – przemógł się wreszcie, przystąpił do Chlora i o coś go zapytał. Dozorca z rozmachem wskazał kierunek, wyciągając ramię ponad niewielką posturą przybysza. Nietakt ten dotarł do niego

z pewnym opóźnieniem, gdy kosmita podążał już w stronę końca korytarza, a łysy łebek żarówki-czterdziestki obrysowywał jego sylwetkę na ścianie ponad głowami milczących gapiów – najpierw mglistą i mało wyraźną, potem z wolna nabierającą ostrości, by w szczytowym momencie stać się zwalistym olbrzymem, co stopniowo malał wraz z oddalającymi się krokami swego pierwowzoru.

Tuż przed drzwiami, za którymi zionęła ciemność, ET obrócił się na chwilę szukając czegoś w swojej monstrialnej torbie. Cień nie towarzyszył mu już i może dlatego na tle z grubsza ociosanych bloków żelbetu wydał się niepozorny i niemal zwyczajny. Jak sztygar drużyny krasnoludków przed zjazdem do kopalni uranu, którego energia służy do utrzymywania stałej temperatury pod kloszem ze Śpiącą Królową – że też się musiała aż tak zaprawić, a przecież chodziło tylko o to, aby ją nieco uprzystępnąć.

Ciężkie jest życie gdy zamiarowi nie towarzyszy odpowiedni mu rozmiar...

(c.d.n.)

10 Obcy i Doktor Saiomc

W kilka minut po tym, jak Obcy zagłębił się w podziemiach zamieszkanego przez Doktora Saiomca bloku, niebezpieczeństwo erupcji z muszli chlorowej Etny zaczęło z wolna zanikać. Klozetowy wulkan wciąż co prawda dawał wyraz swemu niezadowoleniu z powodu wiaderka z cegłami, które dociskało mu klapę i uniemożliwiało mu nabranie głębszego oddechu, ale purgacja materii fekalnej wyraźnie osłabła. Do jej obsługi wystarczyła już tylko jedna osoba, więc dozorca mógł całkowicie powierzyć to zadanie swej prawdopodobnej małżonce. Mając dzięki temu wolne ręce i umysł, postanowił wspiać się na wyżyny swych umiejętności oratorskich.

Wyczuł był w tym bowiem właściwą chwilę, swoje pięć minut które każde medialne zwierzę – a takim Chlor był w istocie – zawsze wyczuje bezbłędnie, nawet mimo odurzających oparów siarkowodoru czy kwasu moczowego. Właśnie zamierzał wykorzystać ją i zapewne miał już przygotowaną listę odpowiednich na tę okazję rzeczowników rodzaju żeńskiego zaczynających się na *k* i męskiego na *s* – gdy nieoczekiwanie zaległa zupełna ciemność.

W grupce gapiów, nieco zawiedzionych brakiem eksplozywnego finału, zamarły szeptane rozmowy, dał się za to słyszeć czyjs nerwowy chichot. Mrok uczynił postacie anonimowymi, piętnowani przez Chlora sprawcy hydraulicznej katastrofy rozplynęli się, zatracili kontury. Przestali być namierzalnymi celami. Nawet plastikowa szufla do śniegu oslepała; jak lunatyk odbijała się od ścian, gdy dozorca usiłował kontynuować swą zamaszystą gestykulację. Wszyscy wydawali się jakby zakłopotani.

Niezręczną sytuację przerwało dopiero rozpaczliwe kwiknięcie przypadkiem przez kogoś nadepnętego Charczypsa.

Charczypies mieszkał na pierwszym piętrze, tuż nad jamą Chlora. Wraz ze swoim życiowym partnerem, Śmierdzidziadem, tworzył parę, której sumaryczny wiek sięgał liczby trzycyfrowej. Razem spacerowali i prócz wydawanych dźwięków i rozsiewanych woni łączyła ich zawsze jeszcze jedna, niezmienna rzecz – smycz. Charczypies był z pewnością ssakiem stałocieplnym, lecz jego dalsza przynależność gatunkowa stanowiła przedmiot sporu pomiędzy osiedlowym zbieraczem tektury (którego zwano Reksiem), a osiedlowym zbieraczem butelek (którego zwano Filemonem). Spór ten, nawet jeśli kiedykolwiek został rozstrzygnięty, nie wzbogacił dorobku akademickiej zoologii, gdyż toczący go adwersarze należeli do marginesu społecznego, a nawet stanowili w nim tak zwany element. Co się natomiast tyczy Śmierdzidziada, to skład chemiczny wydychanego przezeń powietrza stanowił doskonały środek owadobójczy, a ponadto był zapisem dokonań krajowej farmacji, w myśl przysłowia, że kto nie zginął za Adolfa, tego skończą leki „Polfa”.

Khral! Khral! Khral-khral-khral!, poskarżył się więc Charczypies, donośnie i rozpaczliwie w akustycznej przestrzeni korytarza. Wszyscy wzdrygnęli się, z wyjątkiem jednego Śmierdziziada, do którego uszu skarga pupila – jak zwykle zresztą i jak nie tylko ona – nie zdołała się przebić. Dotarła jednak w jakiś inny, transcendentalny zapewne sposób do jego ośrodków kojarzenia, które obudziła lub może tylko przewróciła na drugi bok. Śmierdziziad wyraził autorytarną sugestią udania się do głównej rozdzielni, niechybnie dotkniętej już licznymi przeciekami, co spod muszli wulkanicznej rozplywały się wokół i tworzyły na lastryko coraz grubszą warstwę. Powiedział to w trybie bezosobowym, ale Doktor wyczuł (a dokładniej: zwietrzył), że jednak wyraźnie w jego stronę.

Po krótkim wahaniu ruszył więc ku wejściu do piwnicy. Była w tym jakby rezygnacja, a może raczej heroiczny zamiar bycia po prostu dobrym i uczynnym, aby wypracować sobie jakiś kredyt, od którego można by potem coś odciąć. Heros sytuacji nadzwyczajnych, nadludzki obrońca przed kataklizmami, które ci cholerni ludzie sami sobie montują – taki supermen ma prawo do codziennych słabości. Codziennosc to nie jego domena; on w piwnicy pełnej chtonicznego szlamu mierzy się przecież z podstępny i nieprzewidywalnym potworem, Kilowatem, którego nie widać i nie słycać (a może nawet w ogóle go nie ma), ale który jak nieostrożnego śmiałka chwyci pod ścięgna, jak potrząśnie nim za ampery, to potem zostaje tylko skwierczący hotdog w stanie spazmatycznej erekcji. Dlatego śmiałek musi mieć poparcie społeczne, nie tylko podczas dokonywania szlachetnego czynu, ale także przed i po fakcie.

Doktor miewał podobne napady aberracji, lecz mimo doskonałej tego świadomości nie był w stanie ich zwalczyć, ani nawet zdecydować kogo powinien za nie winić. To pewnie kwestia wychowania, dywagował jednak po drodze, mlaskając podeszwami na błotnistym już nieco lastryko korytarza. I uwarunkowań, dodał zaraz, obciążeń wtórnych, nabytych na skutek zbyt długiej ekspozycji na demoralizujące środowisko nauczycieli szkoły podstawowej, ludzi zwykle poruszających się wyłącznie w obrębie swojej własnej umysłowej koleiny. Po trzydziestu latach fedrowania w przodku górnik – bohater niedawnych świetlanych i jedynie słusznych czasów – był do niczego, ale przynajmniej poza pylicą i kifożą mógł się pochwalić amorficznym przerostem muskulatury. Nauczyciel po dziesięciu latach pracy cierpi już tylko na galopujący zanik synaps, co niestety tragicznie odbija się na infekowanych przezeń dzieciach. Doktor też był kiedyś takim dzieckiem i często bardzo mu to ciążyło.

Musiał przejść obok tablicy z ogłoszeniami Spółdzielni. Jakimś cudem lub może dzięki działaniu niewidzialnej niczym prąd Opatrzności, akurat do tego miejsca sięgało sodowe światło z najbliższej bramie latarni. Prócz listy lokatorów gablota objawiała też zestaw awaryjnych numerów telefonicznych, aktualnych (poświadczala to specjalna pieczęć), ale uszeregowanych wedle dawnej jeszcze kolejności, która na pierwszym miejscu stawiała

bezpieczeństwo i wygodę pana, na drugim wójta i jego znajomych, a dopiero na końcu prostych włościan – szeregowych konsumentów prawa. Doktor opuścił kilka górnych linijek wykazu, zapamiętał kilka dolnych i jedną, czy dwie ze środka, po czym ostentacyjnie minawszy ślepy zaułek z łysym łebkiem żarówki-czterdziestki, podążył w stronę najbliższej budki.

Czuł, że podjął właściwą decyzję. Ponure dziedzictwo systemu edukacyjnego opuściło go jak ręką odjął.

Od tego momentu wydarzenia znane są już z annałów służb miejskich. Zachowany przez kronikarzy zapis jest lapidarny, jak przystało na profesjonalną historiografię, mimo to jednak – a może właśnie dlatego – uwidacznia proces nawarstwiania się chaosu, takiego jakim był on dla postronnego obserwatora.

Po zakręceniu głównego zaworu wody, pracownik awaryjny (to o dwuokim Marsjaninie z antenką) zabezpieczył go prowizorycznie śrubokrętem, wtykając go pomiędzy szprychy kurka i zakleszczając jego końcówkę w szczytowej uszczelce stojana. Po czym powrócił na kondygnację parteru w celu odgórnego odetkania spustu fekalnego. Jednak podczas próby drenażu, uwięziony w pionie zasilającym słup wody o wysokości dziesięciu kondygnacji, przedostał się do pionu kanalizacyjnego i gwałtownie wypłynął w mieszkaniu, gdzie zgłoszono usterkę niedrożności. Strumień cieczy o sile trzydziestu metrów biegnących na sekundę przez gie, trafił pracownika awaryjnego w twarz rzucając nim o ścianę. Pracownik awaryjny stracił przytomność. Wezwano pogotowie.

Tymczasem przedłużająca się ciemność sprowadziła elektryka, prywatnie również mieszkańca bloku, ponieważ zawsze i wszędzie znajdzie się fachowiec w dowolnie dziedzinie. Wystarczy po temu tylko odpowiednio nieuchronny splot okoliczności.

Elektryk był członkiem licznej i rozgałęzionej rodziny, zamieszkałej w sąsiedniej – by tak rzec – klatce. Zarówno wszyscy owej familii antenaci jak i beniaminkowie charakteryzowali się silnym instynktem rodowym, daleko wysuniętym zestawem siekaczy i niewielkim odstępem pomiędzy grzywką a zrosniętymi ze sobą brwiami. Namnażali się w systemie przemiany pokoleń, uzależnionym od cyklu pór roku. Działo się to w zimowe wieczory, gdy szybko robi się szaro, na dworze plucha, i nawet w telewizorze nie ma nic ciekawego, a dziedziczna marskość nie pozwala na zabicie nudy w drugi z tradycyjnie rozpowszechnionych sposobów. Dzięki temu każdej wiosny w osiedlowej piaskownicy pojawiał się ich nowy miot, z fizjonomii i innych cech optycznych nie od odróżnienia od pozostałych – poza wzrostem i tuszą, lecz ta różnica w kilka sezonów ulegała zupełnej niwelacji. Rokrocznie przybywał więc kolejny szczebelek w wielopokoleniowej kolonii gryzoni naczelnych, gdyż – co stanowiło niewątpliwy przejaw boskiego poczucia humoru,

lecz co równie niewątpliwie psuło humor Doktora Saiomca – ród ów nosił nazwisko Królik.

Młodszy elektryk Królik – numer uprawnień wysokonapięciowych, numer ubezpieczenia, przynależność związkowa nip i pesel – po przybyciu na miejsce zdarzenia stwierdził brak zasilania w sieci przyściennej budynku, przejawiający się niedziałaniem oświetlenia ciągów komunikacji poziomej i pionowej. Niezwłocznie podjął działania zmierzające do usunięcia usterki.

Na ich widok Doktor Saiomc niezwłocznie udał się do piwnicy, gdzie znowu odkręcił zawór, przy okazji łamiąc go dokumentnie, gdyż opór stawiany przez śrubokrętowe zabezpieczenie miał powstrzymać rozeźlił go tylko jeszcze bardziej. Było to może z jego strony dość małostkowe, ale równoważyło przynajmniej poprzedni atak wielkoduszności. Jak w każdej terapii, tak i tu ważny był przecież przede wszystkim efekt. Ocierając czoło Doktor zaklasyfikował go jako chwilowo zadowolający.

Przy tej konstatacji zastał go jakiś osobnik o wyglądzie i woni wykwalifikowanego fachowca; starego wyjadacza różnych wiat i pakamer. Najwyraźniej echa awarii zataczały już coraz obszerniejsze kręgi, niczym czarna dziura wysysając każdy pokrewny sobie byt; po Marsjaninie i Króliku przyszła kolej na nurka z podziemi – ziemistoliciego i o nastroszonych wąsach, przydatnych przy wymacywaniu drogi w ciemnych trzewiach kanalizacji. Nurek spojrział przelotnie na urwane pokrętło w doktorowej dłoni, a potem na ukręcony trzpień, który beużytecznym zadziorem wystawał ze ściany. *Ludzie to już nie szanują*, zagaił gorzko. *No*, przytaknął kurtuazyjnie Doktor. *Same nie wiedzą co robio*. Obaj ze zrozumieniem pokiwali głowami. Poczuli silną więź społeczną.

Tymczasem przyjechało pogotowie, w samą porę zresztą, bo ET zdążył właśnie odzyskać przytomność i poza ogólnym unurzaniem czuł się – jak nieśmiało zapewnił – całkiem dobrze. Gdy luminarze medycyny wahali się już co uczynić z tak kontrowersyjnym przypadkiem, wody ruszyły znowu, wybawiając ich z kłopotu, a Obcego z kłopotów niewątpliwie jeszcze większych, gdyby jednak mimo deklarowanego zdrowia został zabrany do szpitala. Na jego szczęście ofiara znalazła się sama, pod postacią niezastąpionego także w tym przypadku elektryka Królika.

Usłyszano tylko jego głośny wrzask, po czym ciemność korytarza rozświetliły ognie świętego Elma – niebieską apoteozą opisywały podrygującą w rytmie pięćdziesięciu herców sylwetkę, czemu towarzyszyła wysokoskalowa wokaliza z gatunku *techno-party-house-klub-hop-siup*. Było to wspaniałe widowisko *son-et-lumiere*. Wielka szkoda, że tylko Doktor Saiomc znajdował się w stanie ducha, który pozwolił mu je należycie docenić.

Sanitariusze na przykład – jako ludzie zupełnie na sztukę niewrażliwi – przerwali spektakl w pół pasażu, odciągając płasającego wściekle solistę od roziskrzanej partytury.

We dwóch sprawnie sprowadzili go do poziomu, wturlali na nosze i ruszyli ku wyjściu. Nie dotarli tam jednak, bo z powodu ogólnego zapaskudzenia posadzki jeden z nich poślizgnął się na trzech stopniach, tuż przed samą bramą, przy okazji łamiąc sobie nadgarstek. Ciało Królika, gwałtownie zetknięte z żelbetonem, zjechało płynnie do kałuży, gdzie znów dopadł je zabłąkany tam przypadkiem Kilowat. Wtedy, pocliwione przezeń za organy wewnętrzne, ożyło i zmienacka bluznęło wiązańką regionalną z okolic, w których Króliki przeszły były zapewne swą drogę ewolucyjną, po raz pierwszy w historii schodząc – lub spadając – z drzewa. Zgromadzeni na spoczniku członkowie towarzystwa miłośników Chlora wydali westchnienie podziwu i jak jeden mąż odwrócili się od swego dotychczasowego idola. Idol poczuł w sercu ukłucie zazdrości, też próbował bluznać, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Był skończony – jego piętnaście minut właśnie minęło.

W piwnicy zaś, pozostawiony samopas kanałowy szperacz, nie mogąc sobie po dobroci poradzić ze zniszczonym zaworem, postanowił sięgnąć po środek bardziej radykalny. Użył kleszczy do kaloryferów, którym to precyzyjnym narzędziem wyszarpał w końcu całe kolanko. Strumień wody w odkorkowanej magistrali zwałił go z nóg i powiósł po podłodze ku przeciwległej ścianie. Piwnica zaczęła się zamieniać w kryty basen, a Doktor Saiomc zaczął trzeźwieć. Charakterystyczna dla tego etapu huśtawka nastrojów spowodowała, że znowu poczuł się winny. Opuścił więc na chwilę rozkręcające się już na całego przyjęcie i z najbliższej budki wykonał kolejny alarmujący telefon.

Wykorzystując jego chwilową nieobecność, wciąż pozostający na wolności, potwór zaatakował znowu. Tym razem wybrał sobie poszkodowanego już przez grawitację pracownika pogotowia, co znajdował się akurat w mieszkaniu Chlora, gdzie dozorca osobiście udzielał mu pierwszej pomocy. Taniec sanitariusza trwał jednak dużo krócej niż Królika; był też mniej rozbudowany pod względem choreograficznym, zapewne na skutek innego poziomu tancerza.

Mimo to wystąpił ciekawy efekt długofalowy: błądzące po ścianach i suficie volty dobrały się bowiem do spokojnej dotąd i na co dzień raczej zrównoważonej windy. Kabina zaczęła podrygiwać, podzwaniając elektromagnetycznymi zamkami, jakby to były kastaniety, by w końcu oddalić się w nieznanym kierunku, bez pozostawienia adresu. Jej szarpiać-posuwny ruch przenosił się na blok i dalej na wszystkich jego mieszkańców. Tylko Chlor i jego żona nie dali się porwać tej menadzie. Byli odizolowani melancholią doznanego przez dozorcę zawodu medialnego – oraz gumą swego wodoszczelnego obuwia.

Za ich plecami natomiast kosmita – uspokojony tym, że wobec tylu ciekawszych wydarzeń nikt już nie zwraca na niego uwagi – postanowił przejąć inicjatywę w zwalczaniu skutków kataklizmu. Brodząc na kolanach w osadach przydennych, odszukał swój dren (kilkunastometrową sprężynkę z miedzianej rurki 5 mm) podpiął ją do szczęśliwie wydobytego z mułu bateryjnego boscha, po czym drugi jej koniec wsunął pod przyciśniętą cegłami klapę sedesu. Wodoszczelny i wstrząsoodporny bosch był tego

wieczora jedyną rzeczą, która się nie zepsuła. Za jego przyczyną rudy wąż błyskawicznie zaczął się wkręcać w głąb zapchanej nieczystościami infrastruktury, nieczystości zaś żwawo wyskakiwały na zewnątrz, mlaskając wokół żółtych gumiaków Chlora. Ten jednak wciąż stał nieporuszenie, niemy i nieczuły, z wielką tęsknotą pod wydatnymi łukami brwiowymi – jak kamienna głowa z Wyspy Wielkanocnej, wpatrzona w horyzont, na którym nigdy już nie zamajaczy dlań żagiel sławy i społecznego uznania.

Zamiast nich zamajaczył za to obły kadłub wezwanej do porażonego sanitariusza karetki. Druga ekipa pogotowia pokonała schody bez problemów, by jednak po kilku zaciągnięciach się atmosferą interioru niespodziewanie stracić lekarza. Medyk nagle pozieleniał, potem poszarzał, a w końcu zbielał, kolorystycznie zlewając się w jedno ze swym służbowym kitlem. Biorąc pod uwagę ten aspekt jego wyglądu można by powiedzieć, że stał się on wysoce uduchowiony. Ale na przekór temu, z dłonią przyciśniętą do ust i dziwnie wydętymi policzkami felczer zatoczył się wstecz, w stronę bramy, za którą już zupełnie opuściły go siły, a także resztki spożytych przez cały dzień pokarmów. Kierowca, nie mając aż tak wrażliwych wątpi, pozostał na stanowisku, nie mógł jednak samemu sobie poradzić z noszami. Poszedł więc poszukać kogoś do pomocy, nosze zaś położył tymczasem pod ścianą. Dzięki temu zlany od stóp do głów nurek, co właśnie zdołał wydostać się z piwnicy, miał stosunkowo miękkie lądowanie, gdy się na nich potknął. Tylko upuszczone przezeń narzędzia z brzękiem rozsypały się po całym korytarzu.

Zaraz potem z przeciągłym jękiem rozmigotanych wesoło kogutów zjawiała się straż pożarna. Czerwony star fantazyjnie zawrócił na trawniku, a brygada w cynkowych hełmach bez jednego zbędnego słowa – przez profesjonalnie w tym celu rozwalone okienko – rozpoczęła wypompowywanie potopu z piwnicy. Ponieważ jednak zjawisko to uparcie nie wykazywało tendencji do zaniku, główny strażak wyruszył na rekonesans, aby zbadać, co się właściwie dzieje i dlaczego robią to, co robią. Rzecz jasna, niczego dowiedzieć się nie zdołał. Znalaziono go na dnie szybu windy – nie będąc świadomym jej figli próbował z głupia frant wsiąść do kabiny, której naturalnie nie było za drzwiami. Później zeznał, że powiedziano mu, iż dozorca mieszka na dziesiątym piętrze. *Kto powiedziano?*, ryknął na to Chlor, czując jak czara goryczy przepelnia mu się na podobieństwo katowanej przez Marsjanina muszli. *Kto powiedziano?!*, wrzeszczał szarpiąc fajermena za maskę gazową, ale indagowany potrafił tylko bezradnie kręcić głową. *Było ciemno*, dodawał tonem usprawiedliwienia, jakby to właśnie on ponosił odpowiedzialność za ów fakt, co z kolei utwierdziło Chlora w przekonaniu, że rzeczywiście tak jest.

Od tego wszystkiego jednak pozostali strażacy zrobili się podejrzliwi. Wyłączyli pompę i dokonali desantu na pierwsze piętro (tylko tam sięgała ich drabina). Charczypies, którego osobnicze terytorium w ten sposób pogwałcili, rzucił się do ich nogawek, ale niecelnie i na dodatek w zamieszaniu został przez nich gruntownie podeptany.

Śmierdzidziad też miał w tym swój – mimowolny jak zwykle – udział, kiedy poszedł sprawdzić dlaczego jego pupil nie przybiega doń mimo długiego wołania.

Tymczasem zjawilo się kolejne pogotowie, trzecie już lub czwarte tego wieczora, tym razem przez pomyłkę. Kierowca karetki po kolei wypytywał wszystkich, o jakąś egzotyczną ulicę – Przyjaźni, Braterstwa czy czegoś w tym rodzaju – i czy rzeczywiście wydarzył się tam wypadek. Czynił to bardzo intensywnie, a więc niejako sam się prosił o to, że w końcu trafił na Doktora Saiomca. Ten zaś, znajdując się znów w dolnym *extremum* swej sinusoidy przystosowania społecznego, oświadczył, że to właśnie tutaj, a co do wypadku to bez obawy – na pewno wkrótce coś się będzie dało tej sprawie załatwić. Przyjrawszy się poczynaniom drużyny gaśniczo-drabiniowej, kierowca przyznał mu całkowitą rację.

Nieopodal przywieziony przezeń lekarz dołączył do kolegów z poprzednich ekip. Zapalając papierosa zapytał, czy przypadkiem któryś z nich nie ma kart. Przypadkiem żaden nie miał. Zaczęli więc, w tonie leniwej pogawędki, roztrząsać kwestię szoku anafilaktycznego, na którą to przypadłość niewątpliwie narażony może być każdy, kto bez uprzedniego wietrzenia wkroczy do budynku. Medyk, który coś na ten temat wiedział z autopsji, odzyskawszy już pełną skalę kolorystyczną, wspomniął na swe lata studenckie i opowiedział zabawną dykteryjkę o babie – jakoby znaną mu osobiście. Krótka weryfikacja danych doprowadziła pozostałych do wniosku, że oni również babę tę znali, podobnie jak cały ich rocznik. Musiała to być baba kosmopolityczna, ekumeniczna i panakademicka. Zajęto się ustaleniem jej personaliów, życiorysu i miejsca pochówku.

A wody przybywało, z siłą odwróconego wodospadu tryskała sobie piwnicznymi okienkami i zalewała trawnik, a wysuniętym ramieniem kałuży sięgała już nawet stojącego opodal drzewa, drastycznie poszerzając tym strefę i skalę skażenia. Pojedyncze ekosystemy, już i tak z trudem zaadaptowane w trudnym środowisku przesiąkniętym osadami cementu, azbestu i bitumu, jeden po drugim rejterowały, wyczuwając, że lizol to nie dla nich i z pewnością nie przeżyją w uzdatnionym do mycia i potrzeb gospodarskich żywiole. Widziano więc stado osiedlowych kotów zmykające zakosami, pomieszane z pojedynczymi osobnikami kuny domowej, *martes domesticus*, tchórzofretki, *putorius fretae*, fretki tasmańskiej *tasman tasman*, i tasmańskiego diabła, *apage apage*. W zwartym szyku gierkowską maszynę do mieszkania opuściła dywizja mrówek czerwonych, a za nimi – aby wszystko było jasne – podążyły szczury wędrowne, *rattus norvegicus*, świadome faktu że wobec emigracji drapieżników groziła by im stagnacja i regres genomu.

Kiedy cała piwnica została już zalana niemal po sam sufit – tworząc sztucznie naturalny zbiornik, po którego powierzchni pływały słoiki i stare kartony – nieoczekiwanie nadjechało pogotowie gazowe i odcięło jej dopływ. Dzięki licznym nieszczelnościom w fundamentach budynku, jej poziom zaczął szybko opadać. Kilowat natomiast,

wysalawszy się do woli na mokrych powierzchniach ścian, w żeliwnych rurach wodociągowych – a i pewnie też w samym zbrojeniu żelbetonu – stracił wreszcie dech, zasapał się, osłabł i w końcu gdzieś przepadł. Mówiono, że Marsjanin osaczył go obok tablicy z ogłoszeniami Spółdzielni, gdzie zupełnie wyczerpanego obezwładnił z blastera i schował do torby. Był to wspaniały czyn, właśnie taki, o jakim zawsze dla siebie marzył Doktor Saiomc – choć może uratował on mieszkańców odrobinę za bardzo, gdyż od tej pory instalacja elektryczna przez długi czas w ogóle nie dawała się obudzić. Być może takie właśnie są koszty interwencji sił supralunarnych, skonstatował po stoicku Doktor. Na pociechę ET zostawił swoją wiertarkę na baterie, której pewnie zapomniał spakować przed odlotem, albo też wobec zdobycia dla swej rasy nowego źródła energii, przestała mu już być potrzebna.

Dlaczego wybawicielami okazali się akurat faceci od metanu nie udało się nigdy ustalić. Możliwe, że to z powodu pani z centrali, która niezupełnie właściwie zinterpretowała zgłoszenie, mówiące o nieznośnym odorze. Nie miało to w sumie istotnego znaczenia, może poza jednym szczegółem – takim mianowicie, że jako specjaliści od ciał lotnych nie zaś płynnych, profilaktycznie pozakręcali oni wszystkie kurki jakie tylko udało im się znaleźć. W ten sposób, niejako za jednym zamachem, na prawie dwie doby przenieśli pięćdziesiąt tysięcy osiedle do Trzeciego Świata.

Chlor cudem uniknął samosądu, gdy to właśnie jego wspólnota pierwotna uznała za winnego całej tej rozwałki. Tłum już sposobił się do palowania (choć były w tej sprawie rozbieżności: Doktor Saiomc wyraźnie słyszał dochodzący gdzieś ze środka tłuszczy głos Brunchildy, wołający jak Judejczycy pod adresem nieobecnego niestety Poncjusza Piłata: *Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj!*, nie udało mu się jednak jej dostrzec i tym sposobem zagadka wyglądu zewnętrznego owej ektoplazmy znów pozostała nierozwiązana), gdy ni stąd ni zowąd pojawił się Śmierdzidziad, wyjątkowo sam, ale za to w sposób, który wszystkich zaskoczył i od razu uczynił zeń centrum zainteresowania.

Oczom narodu wybranego ukazał się bowiem zstępujący ku niemu orszak – świetlisty od hełmów i anielskich kombinezonów z odblaskową naszywką, milczący, wzniosły i majestatyczny. Serafini powoli przybliżali się, noga za nogą po ostatnim biegu schodów. Na niesionej przez nich płasko drabinie spoczywał mąż poważny, w pozie dostojnej i godnej – o ile tylko można takim być, gdy się człowiekowi nogawki podwiną powyżej kolan, a starczo zapadnięta klatka piersiowa i starczo wydęty brzuch psują ogólny obraz epifanii. Zamigotały zapalniczki – całkiem jak na jakimś koncercie, pomyślał Doktor Saiomc, żałując natychmiast, że już od dawna nie jest *morisonem*, bo na skutek dorastania i powiększających się zakoli, pozbył się był onegdaj swej młodzieńczej grzywy – i w owych zapalniczek świetle ujrzano jak strażacy kładą zaimprovizowane mary na posadzce, po kolei zdejmują maski, gaszą czołówki i bez słowa odwracają się do wyjścia.

Żona Chlora pierwsza przerwała ciszę, niezdecydowanie odkładając szuflę do śniegu. Zbliżyła się do katafalku, nachyliła nad nim i już nawet uniosła dłoń do czoła, by pierwszej frazie *Patko świępta...* przydać należytej oprawy sakralnej. Przewodnictwo w egzekwiach szłoby jej w sumie bardzo dobrze, gdyby nie to że Śmierdzidziad dość nieoczekiwanie usiadł i rozejrzał się dookoła. Potem wyciągnął przed siebie ręce, pokazując obecnym coś skołtunionego i gruntownie podeptanego. Coś nie ruszało się i w tym momencie wszyscy zrozumieli, że już nikt nigdy nie będzie mieć obsikanej wycieraczki przed drzwiami, ani też na chodniku przez bramą buty nie natrafią mu na nic, co by dało o sobie znać dopiero potem, intensywną wonią, przyniesione na podszwach do mieszkania.

Któryś z członków dawnego towarzystwa miłośników Chlora wypowiedział kilka podniosłych słów o pracy straży pożarnej – o ich pełnej poświęcenia gotowości w niesieniu pomocy w najdrobniejszych nawet lecz za to najbardziej irytujących sprawach. Ktoś inny wtrącił coś o bohaterstwie i profesjonalizmie, a ktoś jeszcze inny o wyjątkowej wspaniałomyślności, gdyż – czego nie omieszkał zaznaczyć – fajermeni zrobili swoje zupełnie za darmo.

Atmosferę chwili zepsuł tylko (znów niezidentyfikowany optycznie) głos Brunchildy, która wyraziła opinię, że byłoby może przesadą zakopywanie Charczypsa na trawniku przed blokiem, czy w ogóle gdziekolwiek, gdzie by się na niego mogły natknąć dzieci. *Trzeba by go gdzieś spuścić*, poradziła na odchodnym owdowiałemu Śmierdzidziadowi.

I na tym Doktor zakończył swą opowieść.

Być może był już zbyt zmęczony, albo też nachylająca się nad stołem północ odcięła go od głównego wątku fabuły. Tak czy owak, zasnął z twarzą na otwartym podręczniku psychiatrii klinicznej, obstawiony szkłem i złomem rozprutych puszek po konserwach mięsopodobnych, zwanych pieszczotliwie *tyrolami*.

Nim jednak odszedł w stan periodycznej nieświadomości mózgu wypełnionej jego aktywnością ukrytą o charakterystyce falowej *alfa-zwiastun-alfa* (który to stan przez ludzi nieuczonych zwany jest snem) Doktor podzielił się jeszcze jednym spostrzeżeniem. Dotyczyło ono Obcego, z którym – jako ostatni spośród Ziemian – rozmawiał.

Tuż przed odlotem ET pokazał mu bowiem przedmiot wydobyty z układu odpływowego chlorowej muszli. Przedmiot ów musiał trafić tam z pionu spustowego, ale tuż poniżej parteru uwiązał w którymś kolanku, a potem stopniowo zawęził światło kolektora wyłapując ze strumienia fekaliów ciała stałe – albo i niezupełnie stałe. Spuszczana w całość – by tak rzec – klatce woda nie była w stanie rozmyć tej zapory, wypływała więc tam, gdzie jej to nakazywała fizyka, nie uzgodniwszy tego wszelako z dozorcą bloku. Próby zamknięcia tego odpływu, podejmowane przy pomocy wiaderka z ceglami, podnosiły tylko ciśnienie w całym układzie i działały się tak dalej na każdym

kolejnym piętrze. Gdyby bowiem nie spowodowana urwaniem zaworu powódź, erupcje kłozetowe przenosiły by się tylko coraz wyżej i wyżej, aż w końcu dotarłyby także i do łazienki Doktora. Była to niejako spirala zwrotna – samonakręcająca się bomba zegarowa.

A co to był za przedmiot?

Doktor Saiomc uniósł brwi jak tylko mógł najwyżej, aby luźno zwieszona powieki choć trochę odsłoniły uciekające mu do tyłu źrenice. Jedną ręką przytrzymał grawitację, żeby mu się nie kiwała, drugą podparł sufit co go uciskał w skronie, trzecią przysunął sobie nieco świeżego powietrza, a czwartą zaakcentował o blat stołu.

Była to, oznajmił ostatkiem sił, była to siatka do papilotów!

11 Jesień z Felidomorfa

Trwa ostatnia pora roku; efemeryczna i nieunikniona, fluktuje chwiejnie pomiędzy zaduchem a rdzą. Wypełnia powietrze atawistycznym niepokojem wagabundów i imperatywem zaszywania się, szukania nor i jaskiń – wielka schizofrenia instynktu. Liście mają kolor miedzi i dwutlenku siarki, znaczą je zacieki glinu z rozpuszczanych przez deszcz grzybni.

Para wodna skrapla się na ubraniach i włosach.

Zmrogi z Felidomorfa idą szlakiem z rozchwieutanych kamieni, ugrzęzłych w błocie na dnie zapadniętej w poszycie drogi. Podłoga lasu jest miejscami o jakiś metr wyżej – postrzępione dramatycznie mchy i gnijąca darń zwieszają się z krawędzi sopłami ściekającej wody. Środkiem traktu płynie regularny strumień, niezbyt głęboki, ale akurat wystarczający do całkowitego przemoczenia butów; nabiera prędkości gdy stromizna wzrasta i huczy na niej miniaturowymi wodospadami. Łachy igliwia i kawałków kory nadepnięte mlaskają chciwie, by po chwili wypełnić ślad szybko wzbierającą, czarną wodą.

Szlak prowadzi ku dolinom, co pewien czas przypominając o sobie prawie już nieczytelną tabliczką z kawałka deski, przybitej do drzewa szerniałym gwoździem. Jest uciążliwy – może nawet bardziej niż gdyby iść nim pod górę – osuwa się spod nóg i sprawia, że wędrowiec co i raz sam siebie boleśnie kopie w kostkę, lub też gwałtownie łapiąc równowagę po krótkim zjeździe ląduje na kolanach w kałuży. Zmrogi z Felidomorfa zaliczają takie upadki co kilkadziesiąt kroków. Wszystko, co mają ze sobą i na sobie jest przez to dwa razy cięższe niż powinno.

Lasem, od drzewa do drzewa, tropi ich zmierzch.

Zmrogi sonduje ścieżkę kijem, a Felidomorfa trzyma go za drugą rękę, jednocześnie asekurując się przydrożnych krzaków. Za którymś razem, gdy cali utaplani w błocie znów podnoszą się na nogi, spostrzegają, że nie zdołaliby już odczytać najbliższej tabliczki szlaku. Decydują się na rozbiście obozu.

Mokry namiot rozkładają z determinacją człowieka pijącego miód przez słomkę; zmęczeni przyspilażają płachtę tylko w tych miejscach, w których jest to absolutnie konieczne. Rozsznurowywanie butów i wchodzenie do wilgotnych śpiworów przeżykają niczym wieczorną porcję tranu – na całkowitym bezdechu i z maksymalnym przekonaniem. Oboje są od krok od ciśnięcia wszystkiego w ką i pójścia sobie z tego miejsca. Zmrogi zastanawia się ile może ich dzielić od najbliższego schronienia i czy lepiej wyrazić to w godzinach, czy w kilometrach. Liczba i tak wychodzi mu dwucyfrowa.

Stopniowo przestają się wiercić na nieznacznie tylko złagodzone przekleństwie gołej ziemi. Znajdują w końcu miejsca wolne od sękatych korzeni i cichną niczym dwa

powykręcane embriony, szcękając zębami i starając się nie czuć woni własnych ubrań. Napięty ortalion powoli ucisza ich i uspokaja – bębnienie deszczu staje się wkrótce jednolitym szumem, hipnotyzującym niewygodny do poziomu drugoplanowej dekoracji. Wiatr pociąga strunami wody co stopniowo wypiera inne dźwięki i w zamian wprowadza własne ich wersje, zestrojone na tej samej oktawie.

Trwa to przez dłuższy czas.

Nagle do Zmrogga dociera jeszcze jeden odgłos, cichy i zgubiony w szeleście monotonnych kropel. Z początku nie jest nawet pewien, czy to nie złudzenie – sztywnieje i wstrzymuje oddech – ale po chwili słyszy całkiem wyraźnie: Felidomorfa mruczy. W najniższym z możliwych dla niej rejestrów nuci jakąś melodię. Jej taktowanie sprowadza się do zaledwie kilku tonów, narastających w udawanym pasażu i urwanych kontrastowym akcentem. Jest to jakby akompaniament dla nieistniejącego solisty, rozpoczęty tuż przed jego wejściem.

Zmrogg oblizuje wargi i zaczyna modulować wydechy. Balansując na samej granicy gwizdu stara się znaleźć odpowiedni kontrapunkt pomiędzy melodią Felidomorfy a towarzyszącym mu w tle szumem deszczu. Po kilku próbach dokonuje tego i nawet udaje mu się wyprowadzić całkiem udaną wariację. Powtarza ją więc jeszcze raz, już głośniej, a na ostatniej sylabie odwraca się do Felidomorfy.

Deszcz akompaniuje już tylko sam sobie, całkowicie obojętny na okazywaną mu całkowitą obojętność.

Rano, przez snującą się pomiędzy pniami mgłą, dostrzegają szeroki prześwit. Ignorują błotnisty szlak i schodzą w tamtą stronę. Okazuje się, że przełęcz była zaledwie o kilkaset metrów; gdyby zmierzch nie zaskoczył ich tak nagle bez wątplenia zobaczyliby ją poprzedniego dnia. Już nie pada, ale niebo jest niskie i matowe. Nie ma też wiatru. Rosa pokrywa wszystko grubą warstwą.

Wychodzą z lasu wprost na bitą drogę, która skosem przecina polanę, aby zniknąć na grzbiecie. Zaczyna się tam stromy zjazd do sąsiedniej doliny.

Już z daleka słyszą monotony warkot – niesie go w nieruchomym powietrzu – coś jak monstrualny odkurzacz u uprzykrzonych, głuchych sąsiadów zza ściany. Buczenie milknie chwilami na parę minut, by zaraz potem rozbrzmieć na nowo. Wydaje się nie dobiegać z tego samego miejsca, choć nie można też stwierdzić, aby się jakoś szczególnie konsekwentnie przemieszczało.

Dochodzą do najwyższego punktu drogi i tam się zatrzymują. Felidomorfa marszczy nos.

Nad łagodnym stokiem polany ociężałe krąży kawał wydętej, plastikowej płachty w jaskrawych kolorach. Pod nią, na promieniście zbiegających się linkach, wisi człowiek w neonowozielonym trykocie. Na plecach ma spory pakunek, z którego wystaje śmigło

w siatkowej osłonie podobnej do płaskiego abażuru – to ono właśnie wydaje ów monotony warkot. Całość majestatycznie zatacza niezbyt obszerne kręgi nad zaparkowanym przy poboczu samochodem. Jest to luksusowa terenówka w kolorze srebrnym, z mnóstwem chromu i baterią różnych upiększających detali; każdy jej kawałek błyszczy intensywną potrzebą zachwytu. Zmrogg z Felidomorfa w milczeniu taksują całą tę scenę. Felidomorfa oburącz czochra się w potylicę.

Ruszają dalej. Przechodząc obok terenówki, pod kołującym odkurzaczolotem, który na tę okazję jeszcze bardziej obniżył lot, czują każdy krok w rozmiękłych i ocierających butach. Terenówka stoi wszystkimi czterema kołami na asfalcie; ma zaledwie przyciemnione od niego bieżniki – prócz tego jest nieskazitelna. Wygląda tak, jakby przed godziną zesła z taśmy, a cały ten czas poświęcono na jej mycie i pielęgnację. Nie widać po niej, aby kiedykolwiek musiała nocować pod gołym niebem, wśród tłuszczy przycupniętych obok siebie zwykłych aut, na jakimś odsłoniętym i nieogrzewanym parkingu.

Zmrogg z Felidomorfa docierają do szczytu serpentyny. Odkurzacz tymczasem kończy swój pokaz: wyłącza wirnik i przechodzi do manewru opadania. Felidomorfa wpatruje się intensywnie w kolorową powierzchnię wydętego prostokąta. Gdy zawisa on najwyżej kilka metrów nad ziemią, energicznie pociąga nosem i odwraca się, jakby cała rzecz przestała ją nagle interesować.

W tym samym momencie zdradliwy powiew podwija z jednej strony najdłuższy bok parachuta i błyskawicznie roluje go, płacząc z poluzowanymi w tym miejscu linkami. Ekstremalny aparat śmigłem do dołu spada poza skłon terenu. Rozlega się stamtąd doskonale słyszalny łomot i histeryczny pisk autoalarmu. W chwilę potem dołącza do nich potoczysta litania jęków i żalonych pomstowań.

Felidomorfa uśmiecha się pod nosem. Nic nie mówi – zresztą w ogóle mówi niewiele. Zmrogg dogania ją i razem schodzą w dolinę.

Tej nocy także pada, lecz nabyta poprzednio wprawa powoduje, że zaklinanie niewygody udaje się dużo szybciej – prawie od razu. Po wymruczeniu wszystkich zaległych mruceń, Felidomorfa zasypia z tym samym krzywym uśmieszkiem, zabłąkanym w kąciku ust.

Jest w nim coś nirwanicznego jak odzwierciedlenie porządku zwanego Kosmosem, który zawsze był i będzie, ale który jednak nie zawsze jest, a w każdym bądź razie nie sam z siebie. To spokojna i pewna siebie rutyna jednego z wielu szeregowych zegarmistrzów Wszechrzeczy.

Ot, po prostu dzień jak co dzień na odległej i mało ważnej placówce zwanej Ziemią*.

* *Just another day on a distant minor outpost called Earth* – opowiadanie Roberta Silverberga, z którego tytułu Zmrogg pozwolił sobie zaczerpnąć konkluzję tego tekstu.

12 Konspekt

Głównym bohaterem tej, prawdopodobnie nigdy nie mającej powstać, historii jest pewien policjant z obyczajówki, który ma jeszcze drugi etat w służbach miejskich, gdzie zajmuje się deratyzacją. Z powodu tego zabawnego zbiegu okoliczności koledzy nazywają go Odkurwiaczem. Niemniej, obaj jego przełożeni wyrażają się o jego pracy z najwyższym uznaniem, mimo tego, że – jak przyznają – niekiedy nadużywa pestycydów, a nawet brzydkich wyrazów. On sam potwierdza jedynie to pierwsze, co do przekleństw gotów jest przyznać, że stosuje je z nieco przesadzonym umiarem. Stara się zresztą to złagodzić, wymyślając frazy w rodzaju *Dupa jasna, Jeżu ma studzienki* czy *Matkoboska mać*.

Czas wolny spędza on zwykle w znieawidzonej przez siebie knajpie „Bulgar’s Krocze Pub”, której wiecznie nieobecny właściciel posługuje się barmanem do dodatkowego prowadzenia co najmniej dwóch interesów, z których ten mniej ważny polega na sprzedawaniu szczęścia na działki.

Speluna owa ma jeszcze drugiego stałego gościa: jest nim niejaki Szarlabam Ćwieklic, pojawiający się zwykle dopiero po zmroku, kiedy jego pozbawiona reflektorów ciężarówka zyskuje wiele na swej użyteczności, przydając jej kilku nowych, eschatologicznych aspektów.

Ciężarówka jest wielka, kanciasta i poobijana na rogach. Lakier złazi z niej płatami, zaś boki olbrzymich opon poznaczone są wielobarwnymi naciekami pleśni, przepalonego smaru, oraz produktami rozkładu pasożytujących na polimerach grzybów beztlenowych. Spod maski ciężarówki, nawet jeśli jej silnik nie pracuje, wysącza się czarny smolisty dym, a nad ranem pozostaje po niej na asfalcie tłusta i cuchnąca plama, w której grzęzną włóczące się po ulicach dzieci oraz psy. Przed południem, udający się na swoje stanowisko, barman tłucze je drągiem po łbach żeby były cicho, a po zmroku przyjeżdża Ćwieklic i parkuje swój pojazd w zwykłym miejscu. Ciężarówka Ćwieklica nie ma drzwiczek, ale na bokach nieco już zbutwiełej plandeki widnieje wciąż wyraźne logo: ZUIUZ. Skrót ten oznacza Zakład Usuwania i Utylizacji Zieleni.

Ci dwaj przesiadują tu bardzo często.

Tymczasem barman dręczony przez alergię na środki czyszczące przepłukuje musztardówki alkoholem metylowym, którego używa też – urozmaicając sobie nudne godziny przy destylarce – do zmywania ze ścian kibla, drażniących go, przyzwoitych napisów.

Ważniejszym z dwóch dodatkowych zajęć barmana jest rozprowadzanie pudełek-z-guzikiem. Proceder ten, rzecz jasna całkowicie nielegalny, dotyka niekiedy chwilowy zastój spowodowany zablokowaniem kanałów przerzutowych przez wyznaczonego do rozpracowania tej sprawy tajnego agenta. Po każdym sukcesie tajny agent przychodzi do

„Bulgar's Krocze Pubu”, aby stawiać wszystkim i opijać kolejny awans swoich zwierzchników. Tajnym agentem jest Czarownica Lizawka, służbowo nosząca pseudonim Zenon.

Handel pudełkami-z-guzikiem jest ścigany przez prawo z powodu marketingowego wybiegu ich producentów. Będąc doskonale świadomi jak znikomy odsetek potencjalnych nabywców przyznaje się do wiary w magię i zjawiska nadprzyrodzone, zaczęli oni wyposażać swój towar w podrabiane naklejki Intella, Celerona, Yamahy, czy innej Motoroli. Wielkie koncerny, których znaków firmowych użyto, mając na uwadze potencjalne możliwości rynku, za nic nie chcą przyznać, że działanie pudełka-z-guzikiem nie ma absolutnie nic wspólnego z reprezentowaną przez nie dziedziną. Ponieważ jednak pudełka-z-guzikiem tak czy owak są – z powodów społecznych – wciąż objęte całkowitą prohibicją, szefowie Zenona mogą przebierać w nagrodach i zaszczytach, natomiast ludzie Bułgara mogą przebierać w klientach.

Ani Odkurwiacz, ani Szarlabam Ówieklic nie zaliczają się do posiadaczy pudełek-z-guzikiem, choć ten pierwszy upłynnia niekiedy pojedyncze sztuki odebrane prostytutkom, natomiast ten drugi czyni tak samo z egzemplarzami, które przykleiły się do zderzaka albo zaplątały w elementy podwozia jego ciężarówki.

Co się natomiast tyczy szczęścia, to jego działka waży około czterech dziesiątych grama, jest żółta i ma kształt ręcznie wyciśniętej tabletki od bólu głowy. Dzieje się tak dlatego, że barman rzeczywiście wyciska je ręcznie, choć w chwilach zniechęcenia pomaga sobie nogami.

Barman jest obcokrajowcem. Nazywa się Chuck Jones i był w młodości reżyserem filmów o Strusiu Pędziwitrze. Gdy chce się kogoś pozbyć podaje mu (na koszt firmy) wynaleziony przez siebie drink na trzęsienie ziemi. Ponieważ jest zwolennikiem dziwnego poglądu, że w jego zawodzie nie musi się być słuchaczem streszczanych pokrótce przez klientów historii ich życia, serwuje ów specyfik przynajmniej raz w ciągu godziny, co powoduje, że w jego knajpie nie ma jednej całej szyby, podłoga jest krzywa, a ściany rysują się od góry do dołu. Nie ma też żadnych wiszących żyrandoli, gdyż powodowały zbyt wiele ofiar i Zenon musiał powiedzieć Bułgarowi, żeby coś z tym zrobić.

Barman ma za barem trzy krany, które nigdy mu się nie mylą.

Z pierwszego z nich cienką stróżką splywa rdzawa woda. Dzieje się tak od zawsze, ponieważ tego kranu nie da się zakręcić. Pan Waldek, hydraulik, wpada czasami, aby sprawdzić czy ów fenomen nie zaniknął. Kiedy jest zajęty w biurze Czarownicy Lizawki, przysyła swojego ucznia, Laszla, po wizycie którego pozostają na barze plamy krwi. Czeladnik Laszlo nie nosi bowiem na twarzy opatrunków, ale za to ma w kieszeniach kilka rolek bandaży i każdemu chętnie demonstruje jak prawidłowo powinno się bandażować trudne miejsca. Czeladnik Laszlo nie ma też dwóch palców prawej ręki.

Amputował je sobie, gdy doszedł do wniosku, że przeszkadzają mu w szybkim wystukiwaniu numerów telefonicznych.

Drugi kran, środkowy, połączony jest gumowym węzem z destylarką. Barman nigdy nie ściąga węża, chociaż czasem grozi, że to zrobi. Kiedy grozi szczególnie przekonywująco wszyscy ewakuują się pospiesznie z wyjątkiem Ćwieklica, który się nie boi, oraz Odkurwiacza, który ewakuuje się bez pośpiechu. Z notatek Czarownicy Lizawki wynika, że zasilana z tego kranu destylarka pracuje okrągłą dobę.

Z kranu trzeciego leje się piwo. Ma ono kolor rdzawej wody z pierwszego kranu, ale niekiedy jest od niej trochę mocniejsze.

Procedura produkcji szczęścia wygląda następująco:

Płyn pochodzący z za przepierzenia na lewo od baru poddany zostaje filtrowaniu i odsączeniu aż do uzyskania gluta. Glut dla pewności destyluje się jeszcze, a otrzymany tą drogą suchy proszek trafia do pigularki obsługiwanej przez barmana. Proszek ów zawiera zgęszczoną zawartość szczęścia, które gwałtownie opuściło organizm wraz z wypłynięciem zeń płynu będącego surowcem całego procesu. Z chemicznego punktu widzenia owo wypłynięcie jest po prostu osmotycznym ubytkiem składnika euforycznego z ustroju. W normalnych warunkach za przepierzeniem uległby on rozproszeniu i stopniowej biologicznej degradacji. Dzięki sprytnemu – opatentowanemu przez Bułgara – systemowi rur prowadzących z za przepierzenia do środkowego kranu za barem, składnik ów może zostać użyty ponownie, a nawet wielokrotnie. Wytwarzane zeń szczęście przyjmuje się zasadniczo doustnie, a każdym razie dootworowo, zaś dodatkowe rozpuszczenie go w piwie znacznie zwiększa intensywność doznań, oraz późniejszą procentową zawartość składnika w płynie z za przepierzenia.

Za przepierzeniem znajduje się kibel.

W przeciwieństwie do Ćwieklica, Odkurwiacz pija wyłącznie wodę z pierwszego kranu, wobec czego z niechęcią odnosi się do, niosących pewną – choć niezbyt wielką – groźbę odcięcia jej, wizyt pana Waldka czy, tym bardziej, Laszla. Z tego jednakże powodu barman nienawidzi Odkurwiacza, gdyż ten swym niezrozumiałym nałogiem psuje mu bilans procesu. Owa nienawiść z kolei jest powodem, dla którego Odkurwiacz w ogóle przychodzi do „Bulgar’s Krocze Pubu”, którego serdecznie nie cierpi i w którym czuje się źle, ale dużo lepiej niż gdziekolwiek indziej.

Odkurwiacz pisze książkę, której akcja rozgrywa się w archetypicznym krajobrazie i wśród werystycznych scenek rodzajowych o podłożu psychologicznym z elementami obłądu. Odkurwiacz nie tworzy jej w jakimś konkretnym porządku, raczej łączy osobno opracowywane epizody, których kolejność odpowiada chronologii wydarzeń albo nie. Zapisuje je w notesie oprawionym w ludzką skórę pochodzącą z najdelikatniejszych miejsc (to znaczy z wewnętrznej strony kobiecych ud) i często cytuje, niekiedy jednak wcale nie zaznaczając, że to tylko cytaty. Pisanie ma dla niego znaczenie terapeutyczne –

uważa, że czyni go ono lepszym, a w każdym razie opóźnia to, co i tak ma za nieuniknione. Aby ten proces wspomóc stara się naśladować poczynania wymyślonych przez siebie bohaterów. Jest to jego najściślejszą tajemnicą. Odkurwiacz za swojego osobistego wroga poczytuje każdego, o kim sądzi, że tę tajemnicę przejrzał. Do grona jego prawdziwych i wyimaginowanych wrogów należy także barman, zresztą całkowicie zasłużenie.

Barman Chuck Jones (dla znajomych Karol, np.: *Lej-yt egen, Karol*) ma siostrę, Mizmunę, bliską przyjaciółkę Czarownicy Lizawki. W przeciwieństwie do niej Mizmuna goli się jednak pod pachami, gdyż nie zależy jej na tym, by żyć w sposób naturalny i zgodny z przyrodą. Ponadto używa także perfum i makijażu. To ostatnie nie jest zresztą obce i Czarownicy Lizawce, choć ta preferuje raczej kolor czarny i stosuje tylko barwniki pochodzenia organicznego. Z powodów określanych przez nią jako metafizyczne unika też kontaktu z wszelkimi metalami i pali wyłącznie marihuanę. Jako Zenon występuje w czapce-bejsbolówce i ciemnych okularach. Ma duży biust i wszy.

Listę kobiet uzupełnia Panczowilja alias Maleństwo, kulawa ex-kochanka barmana. Panczowilja chodzi w butach, z których jeden jest na wysokim obcasie a drugi wręcz przeciwnie. Pozwala to jej poruszać się w miarę równo a nawet z pewną gracją. Natomiast kiedy siedzi na wysokim stołku przy barze i kopie w jego przednią ściankę, słychać jak raz uderza w poziomą listwę (tuk), a raz poniżej niej (łubudup). Jest drobna, ciemnowłosa i ma oczy, których powieki nie domykają się do końca, co podkreśla – zwłaszcza kiedy Panczowilja śpi – jej śródziemnomorską cerę, pozwalając białkom tworzyć z nią interesujący kontrast. Zenon zawsze mówi do niej *moja słodka*, ale nigdy nic z tego nie wyszło, bo Maleństwo puszcza się tylko z Mizmuną i bardzo dba, aby nie odbywało się to na oczach osób trzecich. Naturalnie nie dotyczy to barmana, ponieważ nie jest on dla niej żadną osobą.

Panczowilja wykonała kiedyś romans z pewnym przejeźdnym kierowcą spychaczowładowarki nadsiębiernej, Wanisem, ale ktoś doniósł i od tego czasu spychaczowładowarka stoi przed pubem, bo nie ma komu jej stąd zabrać. Dopiero zupełnie niedawno Szarlabam Ćwieklic dokonując okresowego przeglądu technicznego podwozia swojej ciężarówki znalazł wciśnięty w rowek bieźnika pejdzler. Ostatnia wiadomość brzmiała: 40 T. PIASK. Z BOCZ. KOLEJ. BUDOCEMBET TYCHY DO JUTR. WANI. KUR. MAĆ. Ćwieklic poszedł do budki i oddzwonił: 30 DAG LUDZ. MIĘS. Z KOŚĆ. I RZECZ. OSOB. DO ODEBR. W BULG. KROCZ. PUB W CIĄG. 2 TYG. W PRZEC. WYP. PRZEPAD. MIEN. WIECZ. Uczynił to z sentymentu, oraz dlatego, że w gruncie rzeczy lubi wracać do wspomnień, a dzięki długiej znajomości z Bułgarem ma ich bardzo wiele i wciąż mu nowych przybywa.

Osobą pojawiającą się w „Bulgar’s Krocze Pubie” nieco rzadziej niż dotychczas przedstawieni (można nawet rzec, że pojawia się ona dużo rzadziej, a nawet poniekąd

prawie wcale) jest Kloc, astmatyczny gruźlik z początkami stwardnienia rozsianego i ropiejącym lewym okiem. Kloc jest właścicielem i jedynym pracownikiem zakładu pogrzebowego z naprzeciwka gdzie, w cylindrze i fatumistycznej czerni, siedzi za kontuarem odbierając telefony wystudiowaną formułką: *An'sopie szczy?* Poza tym, metodami chałupniczymi produkuje niektóre modele pudełek-z-guzikiem. Ich ostateczne wykończenie powierza Laszłowi, z czego uczciwą działkę ma pan Waldek, hurtownik zatrudniający kilkunastu dilerów, w tym kalekiego Tadzia Lambadę, zjadacza szklanek i zawodowego alkoholika.

Tadziu jest ulubieńcem barmana i jako taki sumiennie równoważy w destylarce zgubny wpływ Odkurwiacza.

Prócz Tadzia, bezpośrednim rozprawdzaniem szczęścia w „Bulgar's Krocze Pubie” zajmuje się głównie Mizmuna, w związku z czym Czarownica Lizawka przymyka ją czasami na czterdzieści osiem i potem z zakratowanych okienek jej gabinetu w podziemiach zakładu pogrzebowego Kłoca dochodzą wrzaski i piski, a pan Waldek jest przez jakiś czas milczący – siedzi tylko przy barze, sączy piwo z wodą z pierwszego kranu i uśmiecha się eterycznie i bezosobowo.

Na poddaszu kamienicy, w której mieści się jego zakład, Kloc pracuje po nocach nad odsysaczem – urządzeniem mającym w przyszłości zastąpić pudełka-z-guzikiem. Jego wysiłki przepełnione są żarliwą wolą poprawienia bytu ludzkości. Kloc ma wtedy na sobie zakrwawiony chałat, druciane okulary-gebelsówki, i gumowe rękawiczki. W jego uszach tkwią starannie ubite kule waty, z kieszonki wystaje zaostrzony ołówek, a na szyi dynda stetoskop. Czasami Kloc na chwilę przerywa eksperymenty, aby rozprowadzić na kromce chleba równą warstewkę smalcu i położywszy na niej listek asparagusa, powoli żując kanapkę analizować dotychczasowe wyniki swoich badań. Prototypowy model odsysacza jest wciąż jeszcze bardzo niedoskonały, lecz dzięki metodycznej pracy wiele z jego wad udało się już usunąć. Odsysacz w najbardziej narażonych na zużycie miejscach pokryty został chromem, w pozostałych zaś Kloc pomalował go buraczkową farbą antykorozyjną o miłym dla jego oczu daltonisty, szarawym odcieniu.

Nad ranem, przed udaniem się na zasłużony odpoczynek, Kloc, z miłością charakterystyczną dla stwórcy, przykrywa swoje powstające dzieło całunem, a potem starannie myje podłogę i schodzi na dół by, w dopiero co rzadziejących ciemnościach, czatować przy płamie oleju i w ten sposób nie dać się uprzedzić idącemu do pracy barmanowi. Barman, otwierając „Bulgar's Krocze Pub”, nieraz widzi niknące w bramie naprzeciwko plecy Kłoca, wstrząsane dychawicą i naznaczone skoliozą.

Ksiądz Miętlik, z woli przeznaczenia częsty gość zakładu Kłoca, nic o tym wszystkim nie wie, ponieważ bywa tam tylko za dnia, a o innych porach nie musi się fatygować, bo Czarownica Lizawka jest gotowa do wyjazdu w każdej chwili i wystarczy tylko jeden

telefon. W razie czego zakrystianin Laszlo może wyręczyć go i szybko wystukać właściwy numer.

Kloc ma kota, Szmęcla, którego trzyma w domu i zazdrośnie strzeże przed pułapkami świata zewnętrznego. Mimo to Odkurwiaczowi udało się dowiedzieć o jego istnieniu, a raz nawet, pod nieobecność Kłoca, zakradł się do jego pracowni i przez jakąś godzinę czy dwie straszyl Szmęcla śrubokrętem.

Ze względu na występujące w „Bulgar’s Krocze Pubie”, powodowane przez barmana, zjawiska tektoniczne, wyższe piętra budynku nie są zamieszkane. Hula tam tylko wiatr oraz Nornik, infantylny staruszek o miłym wyglądzie i ujmujących manierach. Nornik ma w oficynie frezarkę a także zestaw wiertel i rzezaków, za pomocą których wykonuje półfabrykaty do pudełek-z-guzikiem. Jego surowcem jest zwykle plastik i bakelit (Nornik ukradł nawet tym celu deskę sedesową z „Bulgar’s Krocze Pubu”, przez co ani Mizmuna, ani Maleństwo, ani nawet Czarownica Lizawka nie mają swego udziału w procesie produkcji szczęścia), ale także drewno czy metal, a nawet żelbeton (był to pojedynczy egzemplarz zamówiony przez doktora Saiomca, entuzjastę pieców martenowskich i budownictwa wielkopłytowego).

Nornik nie wnika w to, do czego służą produkowane przez niego przedmioty. Jest manufakturzystą i nie interesuje go finalne cyzelowanie produktu. Pakuje tylko komplety do osobnych worków, a potem do każdego z nich wrzuca po jednej sprężynce stanowiącej jedyny mechaniczny element każdego zestawu, mający za zadanie wycofać guzik do pozycji wyjściowej gdy osłabnie wciskająca go siła. Nornik inwencją co do kształtu i dizajnu pudełek czerpie ze swoich snów i z rysunków podrzucanych mu przez Odkurwiacza. Czasami jednak sięga po jakiś temat z natury. Najdonioślejszym jego dokonaniem było pudełko-z-guzikiem w kształcie Czarownicy Lizawki. W tym przypadku guzik był tak niewielki i tak zagłębiony, że nacisnąć go można było tylko końcem śrubokręta. Za ten egzemplarz Bułgar, w czarnorynkowej licytacji, uzyskał onegdaj sumę wystarczającą mu na zawarcie znajomości z Szarlabamem Ćwieklicem.

Kloc bardzo lubi Nornika i chętnie go odwiedza, aby mu podkraść wiertła, których akurat do swych eksperymentów potrzebuje. Często kiedy jest u staruszka do jego pracowni dyskretnie udaje się Czarownica Lizawka i, postraszywszy śrubokrętem stojącego na straży Szmęcla, podkraść jego panu kilka wiertel i rzezaków, które akurat mogą się jej danego dnia przydać. Niekiedy jednak uprzedza jej zamiary pan Waldek wysyłając na górę swego zaufanego pomocnika, Tadzia Lambadę, aby podkraść parę rzezaków przydatnych w jego codziennej pracy. Natomiast gdy Czarownicę Lizawkę wzywa ksiądz Miętlik, na jego polecenie zakrystianin Laszlo dokonuje inspekcji jej gabinetu w celu podkradzenia kilku, no kilkunastu, wiertel albo czegośkolwiek innego, czego brak ksiądz tego dnia odczuwa w sposób szczególnie dotkliwy. Raz na jakiś czas obieg krążenia wiertel ulega zamknięciu, gdyż pan Waldek, wracając wieczorem

z mieszkania księdza Miętlika zostaje napadnięty, obrabowany i dotkliwie pobity przez zamaskowanego osobnika o miłym wyglądzie i ujmujących manierach.

Ponadto od czasu do czasu, chociaż niezbyt często, ma miejsce któryś z następujących incydentów:

Jeden

Czarownica Lizawka, wróciwszy od księdza Miętlika wcześniej niż planowała, nieco tym zawiedziona – podobnie jak i sam ksiądz, choć to nie jego wina, gdyż nie ma już dwudziestu lat, niestety – natyka się na buszującego po jej szufladach Laszla. Dochodzące potem z jej gabinetu krzyki bywają głośniejsze, rozpaczliwsze i trwają dużo dłużej niż zwykle, a wiele narzędzi zupełnie już się później nie nadaje do użytku. Po upływie czterdziestu ośmiu godzin w „Bulgar’s Krocze Pubie” zjawia się Laszlo ze świeżo zakupionymi, dodatkowymi rolkami bandaży i demonstruje nowy sposób prawidłowego opatrywania trudnych miejsc jedną ręką. Po jego wyjściu barman przeciera bar szmatą i odruchowo wykręca ją nad kibelem, ale zaraz wali się w czoło i pędzi wyłączyć destylarkę, albo wzywa Tadzia Lambadę, żeby co prędzej przybył i przywrócił równowagę chemiczną roztworu.

Dwa

Kloc, wróciwszy od Nornika wcześniej niż się obawiał, dość z tego powodu zadowolony – zwłaszcza jeśli nie wraca z pustymi kieszeniami – już na schodach słyszy przeraźliwe miauczenie Szmęcla, natomiast w swojej pracowni zastaje bałagan a jego ukochany prototyp odsysacza ktoś prostacko przewrócił i wkopał pod łóżko. Na dodatek zaraz po jego wejściu gaśnie światło, a w ciemności coś zwiewnego przemyka na korytarz potrącając go w drzwiach i pozostawiając na jego chałacie kilka wszy. W takim przypadku Kloc spokojnie schodzi na dół, zdejmując pokrywę ze studzienki kanalizacyjnej pod opuszczoną spychaczo-ładowarką, i zagłębia się jej w czeluść z kluczem francuskim w dłoni. Po upływie kilku minut Czarownica Lizawka wściekle trzaskając drzwiami wychodzi do budki, aby zadzwonić po pana Waldka, hydraulika. Przy okazji zagłębia też do „Bulgar’s Krocze Pubu” i jeśli przypadkiem jest tam Mizmuna, aresztuje ją za nielegalne posiadanie szczęścia, a następnie zabiera do siebie na czterdzieści osiem. Pan Waldek zjawia się zwykle, gdy czterdzieści osiem jest już w toku i przeważnie zostaje do samego końca. Zagadkową, oddolną niedrożność służbowego pisuaru Czarownicy Lizawki pan Waldek naprawia wychodząc.

Trzy

Ksiądz Miętlik, udając się w sprawie czyjś zgonu do Kloca, nie zastaje go, jest jednak za to mimowolnym świadkiem stanu euforycznego Panczowilji, którą usiłuje odprowadzić do barmana, co nie nazbyt mu się udaje. Na szczęście zjawia się zaprzyjaźniony katechumen, pan Waldek, i obiecuje mu zająć się sprawą. Ksiądz Miętlik błogosławi go i wraca do siebie, gdzie – rozgorączkowany niedawnym przeżyciem – natychmiast dzwoni po Czarownicę Lizawkę.

Wyczekawszy na jej wyjazd, pan Waldek uniwersalnym kluczem ślusarskim otwiera drzwi do gabinetu w podziemiach zakładu pogrzebowego Kloca i zabrawszy tam nieprzytomną Panczowilję urządza jej czterdzieści osiem, a nawet dziewięćdziesiąt sześć.

Czarownica Lizawka, po powrocie stwierdziwszy w swoim biurze ślady czyjejś obecności, a także znaczne zużycie zgromadzonych w nim narzędzi, nie wspominając już o ich drastycznym zdekompletowaniu, wpada w furję i, wściekle trzaskając drzwiami, wychodzi do budki, aby zadzwonić po radiowóz. Na czele grupy operacyjnej udaje się następnie za miasto, do węzła ciepłowniczego zamieszkanego przez Laszla i jego być może przyszłą rodzinę (które to lokum wynajmuje im za stosunkowo niedużą sumę doktor Saiomc), gdzie dokonuje pacyfikacji, przepadku mienia, oraz obrony koniecznej. Następnie, udzieliwszy Laszlowi – przy pomocy śrubokręta – szczegółowych informacji o jego prawach, zabiera jego być może przyszłą żonę, Zgrzelę, na czterdzieści osiem, które zwykle nieco się przedłuża.

Cztery

Pan Waldek, przez księdza Miętlika, z wdzięczności za okazaną przy Panczowilji pomoc, zaproszony na małe to-i-owo, objawia się swemu gospodarzowi z nieznaney mu dotąd strony. Ksiądz Miętlik, z obłędem w oczach wybiegłszy w noc, wpada pod, właśnie wracający z nalotu, radiowóz. Zostaje natychmiast rozpoznany i z należnymi honorami zawieziony na pogotowie, gdzie trafia na stół doktora Saiomca. *Mucze zie sietzem saiomc*, mówi doń doktor Saiomc, po czym film się księdzu Miętlikowi urywa.

W tym samym czasie pan Waldek opuszcza jego mieszkanie z kieszeniami pełnymi wiertel, rzezaków i noży, które zamierza, przy pomocy czeladnika Laszla, z zyskiem upłynnić na czarnym rynku. Ponieważ jednak komórka Laszla nie odpowiada, pan Waldek zleca to zadanie Mizmunie, lecz ta – przyłapana przez Czarownicę Lizawkę na gorącym uczynku – na jakiś czas wypada z obiegu.

Pięć

Doktor Saiomc, pragnąc po męczącym dyżurze zażyć nieco rozrywki intelektualnej, zaprasza Czarownicę Lizawkę na towarzyską sekcję w Klubie Homeopaty *Sine Słoneczko*, gdzie spędzają miły wieczór pochylając się nad chłodzonymi stołami i studiując subtelności ludowej chirurgii plastycznej. Późną nocą, po drodze do domu doktora, widzą Panczowilję, która natknąwszy się przypadkowo na Szarlabama Ćwieklica, daje się przezeń zaprosić do szoferki jego, jak zwykle niechlujnej i nieoświetlonej, ciężarówki. Widzą też jak zajmuje w niej miejsce za kierownicą.

Nazajutrz przy śniadaniu Bułgar, przeglądając poranne wydania lokalnych gazet, zachłystuje się siemieniem na widok kroniki wypadków i nie wierzy własnym oczom, że poprzedniego dnia, nawet będąc pod działaniem pudełka-z-guzikiem, był w stanie pomyśleć o czymś aż takim. Ćwieklic wyjaśnia mu jednak telefonicznie, że najprawdopodobniej chodzi jedynie o niezwykle zbieg okoliczności. Bułgar daje się w końcu przekonać i po chwili wszyscy znów oddychają swobodnie.

Jeszcze tego samego dnia Nornik, wykorzystując sprytnie nieuważę Ćwieklica, zdrapuje ze zderzaka jego ciężarówki świeże pudełka-z-guzikiem, po czym sprzedaje je panu Waldkowi jako wyprodukowane przez siebie. Pan Waldek płaci mu niepotwierdzonym przelewem na okaziciela z drugiej ręki, po czym udaje się za miasto, do mieszkania Laszła, aby sprawdzić dlaczego nie odpowiedział na wezwanie i ewentualnie, przy pomocy śrubokręta, udzielić mu za to surowej nagany.

Sześć

Odkurwicz, mniej więcej w tym samym czasie, rzucając monetą o dwóch reszkach, dokonuje losowego wyboru placówki, na którą nasłana zostanie kontrola skarbowa. Wybór losu pada na klinikę doktora Saiomca, gdzie leczony przezeń ksiądz Miętlik zapada na śpiączkę i spowiada się na głos, tak że słyszy to cały oddział. Ponieważ zwykli pacjenci doktora przeważnie bardzo szybko stają się absolutnie głuchoniemi, ich skargi na czyjekolwiek – choćby i księdza Miętlika – wrzaski wzbudzają zainteresowanie Odkurwicza. Stosuje on więc prostą metodę, wypracowaną przez lata pracy w służbach miejskich: zamawia dziecięcą orkiestrę dętą z pobliskiego przedszkola imienia Z. Downa prowadzonego przez siostry Psychofizytki i już po trzech godzinach nieprzerwanego demonstrowania jej repertuaru osoby z powodów całkowicie nieuzasadnionych przebywające na terenie kliniki wpadają w sieć rozpiętą po drugiej stronie budynku, przy jego tylnym wyjściu.

Wyłowiony tą metodą ksiądz Miętlik zostaje odwieziony do domu, gdzie na widok dokonanych przez pana Waldka spustoszeń wpada w szal i, wściekle trzaskając drzwiami,

wychodzi do budki by mściwie zadzwonić z natychmiastowym zleceniem do Szarlabama Ćwieklica. Po drodze jednak napatocza mu się zakrystianin Laszlo, który opacznie zrozumiawszy urywaną relację księdza (będąc jednocześnie w pasji szarpanym i potrząsanym przezeń za bandaże), działając odruchowo, swoją ulepszoną ręką wystukuje numer koedukacyjnego internatu przy klasztorze Psychofizytek. Jego być może przyszła żona, Zgrzela, wracająca właśnie z czterdziestu ośmiu z groszami, nakrywa go na tym i za karę wysłuchuje monograficznego wykładu o opatrywaniu trudnych miejsc do góry nogami. Podczas jego trwania ksiądz Miętlik znika szybko za bramą klasztoru Psychofizytek, a Laszlowie wracają do domu, gdzie czeka już na nich pan Waldek ze śrubokrętem.

Siedem

Nornik – pod nieobecność pana Waldka (oczu i uszu potężnego syndykatu Bułgara) i Czarownicy Lizawki (niejawnej współpracownicy Zjednoczonych Organów Ścigania, sp. z.o.o) – w towarzystwie zaufanego kuriera przekrada się skomplikowanym systemem rur kanalizacji miejskiej od studzienki pod porzuconą spychaczo-ładowarką do węzła ciepłowniczego na peryferiach, stanowiącego zamaskowane wejście do tajnych, kierowanych przez dyrektora Tadzia Lambadę, laboratoriów montujących pudełka-z-guzikiem. Tadzium Lambada, dla niepoznaki przebrany za być może przyszłą żonę zamieszkującego tu Laszla, Zgrzelę, po zrewidowaniu i odebraniu śrubokrętów i w ogóle wszelkich narzędzi, prowadzi Nornika i kuriera (nieco zniewieściałego i dość ekscentrycznego młodzieńca imieniem Zenon) do strefy administracyjnej, gdzie za biurkiem obciążonym czarną skórą, w wielkim słoju z płynami ustrojowymi i w otoczeniu aparatury podtrzymującej jeszcze jego życie, urzęduje spedytor Wanis, paląc – dzięki specjalnie zaprojektowanej śluzie powietrznej – cienkie cygara, wytwarzane naprędce przez buczącą cicho destylarkę, podłączoną do biegnących z przepięcia rur.

Za przepięciem tym znajduje się jeden z oddziałów kliniki doktora Saiomca. Leczy się tam wzdęcia i inne choroby jelit.

Nornik i Zenon otrzymują od Wanisa – za pośrednictwem zdalnie przezeń sterowanych chwytaków mechanicznych – kolejną partię gotowych pudełek-z-guzikiem i, po pokwitowaniu nich odbioru, opuszczają teren zamknięty, by z powrotem podążyć siecią kanałów ku światowi zewnętrznemu. Przy sposobności Nornik wykręca z instalacji Wanisa kilka błyszczących zaworków, których obecność w niej wydaje mu się zbędna.

Pokwitowanie natomiast krecią pocztą trafia do kancelarii barmana, a ten jako rozliczenie odsyła na dół niepotwierdzony przekaz na okaziciela, opiewający na czterdzieści ton piasku z bocznicy kolejowej Budocembetu w Tychach, którym to

przekazem jakiś klient zapłacił u niego za kolejkę piwa z wodą z pierwszego kranu i działkę szczęścia na miejscu.

Osiem

Szmęcel, kot Kłoca, z postukiwania rur w kiblu w zakładzie pogrzebowym swego pana, dowiaduje się, że bezpośredni szef Czarownicy Lizawki, tajny komisarz Miętlik, jako dowód uznania skuteczności działań swego agenta, otrzymuje awans na nadkomisarza drugiego stopnia z jedną niewiadomą, oraz że podobno na uroczystości jego nominacji był obecny sam Bułgar, który – nie mogąc dosięgnąć dłoni – własnoręcznie uściśnął mu pęcherz.

W tym samym czasie zwierzchnik miejscowej diecezji, biskup Saiomc, leżąc właśnie krzyżem i odmawiając wiązankę pod adresem tego idioty, pielęgniarza Laszła, który znowu przez cały dyżur bez przerwy opowiadał o bandażowaniu – otrzymuje poufną informację od swego szpiega, opiekuna miejskich parków Szarlabama Ćwieklica, że następny przerzut nowego i całkowicie rewelacyjnego modelu pudełka-z-guzikiem nastąpi alternatywnym kanałem, uruchomionym przez wchodzącą dopiero na rynek organizację Prątwy, przyszłej – być może, a może i nie; to się jeszcze zobaczy – teściowej Laszła. Kurierem będzie osobiście Zgrzela, a skrzynką kontaktową – kibel w „Bułgar’s Krocze Pubie”. Należy jednak pamiętać, że kibel ten bezwzględnie będzie musiał w tym celu być zaopatrzony w deskę sedesową, a na czas przekazywania trefnego towaru należy odłączyć destylarkę barmana, aby pudełek-z-guzikiem nie zasysało do gluta.

Dziewięć

Bułgar, homeopata z wrodzoną wadą wymowy i nabytym szeleszczącym łupieżem, objawia się w proroczym śnie Ciomli, agentowi wypożyczalni przenośnych roztrząsarek rodzinnych i początkującemu hodowcy grzybów beztlenowych. Dzieje się to około pół do czwartej nad ranem, zaskakuje więc Kłoca przy czynności, która już sama w sobie jest dlań dość nerwicogenna, a mianowicie podczas czajenia się w pobliżu płamy oleju, cyklicznie odświeżanej przez parkującego wciąż w tym samym miejscu Ćwieklica. Kloc z przerażenia truchleje, następnie zaś – z tego samego powodu – odpada mu dolna warga, a ropiejące lewe oko gwałtownie potraja wydajność i udział czerwonych krwinek w rozmazie i osoczu.

Czarownica Lizawka – brutalnie przebudzona z astrofizycznych marzeń, w których śrubokrętem wielkości dyszla od Małego Wozu dłubie w szczelinie Rowu Mariańskiego i jest już bliska naciśnięcia ukrytego tam guzika – odrzuca na bok włosiennicę i zrywa się na równe nogi. Wietrząc jakiś nowy żart swego uprzykrzonego sąsiada z góry, długo

i szczegółowo sprawdza pisuar, pamiątkę ze służby w Legii Cudzoziemskiej, gdzie w jej oddziale wykorzystywano go – przy szczególnie uroczystych bankietach – jako paradny półmisek albo tackę na kombinerki do małży.

Wycie Ciomli, człowieka skądinąd zupełnie nieszkodliwego, wywabia też z oficyny Nornika, o tej porze noszącego zwykle komżę czarną stroną na wierzch. Nornik natychmiast odpala swoją jołki-połki, spalinówkę produkcji radzieckiej, i – wołając *Strahajte se! To je horror! Ostala jeno lykantropija!* – biegnie odpiłować którąś z belek stropowych w niezamieszkaney części domu. Tym razem wybiera napoczęty już węgar o dwie kondygnacje ponad sufitem „Bulgar’s Krocze Pubu”.

Co do Mizmuny, akurat tej nocy śpiącej opodał (w osiadłym na felgach autobusie linii pospiesznej, który jakiś rok temu wypadł z rozkładu i tak już pozostał), to, ocknąwszy się na chwilę, przestawia ona zegarek o godzinę do przodu, a do sporządzonej wieczorem listy zakupów dopisuje cukierki miętowe, śledzia, ocet i wyrzutnię rakiet przeciwpancernych naprowadzanych akustycznie.

Dziesięć

Laszlo, wróciwszy do domu bardzo zmęczony (jak to zwykle po dniu, w którym odbywała się uroczysta, długodystansowa procesja, a ksiądz Miętlik figlarnie nawrzucał mu kamieni do gumiaków), w swoim ulubionym fotelu zastaje Tadzia Lambadę i zmylony jego wyglądem, bierze go za kogoś, kim Tadzium raczej nie jest. Po chwili nietaktownie zjawia się prawdziwa być może przyszła żona Laszla, Zgrzela, w sam raz, aby wysłuchać wykładu o prawidłowym bandażowaniu tyłem. Ukryta dotąd w szafie Prątwia donośnie uchyla drzwiczki i, przerywając wykład w pół słowa, zasięga opinii Zgrzeli na temat jej ogólnego samopoczucia, oraz pyta czy nie dokuczają jej, aby rozłąka z ukochaną mamusią.

Jest to wieczór bezpośrednio poprzedzający noc brzemiennej w niespokojne majaczenia Ciomli, więc Bułgar ma jeszcze trochę czasu, który postanawia wykorzystać na przetestowanie owych nowej generacji pudełek-z-guzikiem. Niestety przez nieuwagę barmana, który zaniedbał wyłączenia destylarki, wszystkie zostały zassane do gluta i zatrzymały się dopiero w osadniku, przez co nawet po dokładnym płukaniu w alkoholu metylowym wydają przy naciśnięciu guzika odgłos zupełnie niweczący efekt użycia. Bułgar, raczej zde gustowany niż wściekły, na poprawienie sobie nastroju udziela Szarlabamowi Ćwieklicowi covieczornych dyspozycji. Tym razem zamówioną liczbę ofiar dla pewności wypisuje na ścianie, aby w ten sposób zachować ją do rana, kiedy to żółte-autko-z-namalowanym-na-drzwiczkach-panem-na-koniku-co-trąbi-na-trąbce dostarczy do kiosku gazety, a do sklepiku – siemię na śniadanko.

W tym samym czasie, dwie przecznice dalej, swój kantor zamyka młody urzędnik, Dawidsyn – osobnik o błękitnych oczach, stanowczych rysach twarzy i trudnej do

bliższego sprecyzowania liczbie siekaczy, rozmieszczonych w jego szczękach w trzech rzędach i na dwóch poziomach. Poza tym Dawidsyn jest czarny, skórzany i rozsiewa wokół siebie wyraźną woń benzyny. Prowadzi Biuro Zaginionych i, jeśli dochodzi do wniosku, że nic się w nim nie dzieje, rozrzuca po okolicznych piaskownicach i placach zabaw ulotki z informacją, że przed „Bulgar’s Krocze Pubem”, na środku tajemniczej plamy oleju, najprawdopodobniej pozostałej po lądowaniu statku Obcych, znaleźć można autentyczną legitymację Dżejmsa Bonda, która pozwoli bez żadnych kłopotów wejść na film od osiemnastu lat, a na dodatek pani w okienku zupełnie za darmo da paczkę landrynek, indiański pióropusz, prawdziwą prezerwatywę, nóż komando, lalkę barbi, komplet kapsli do gry w Wyścig Pokoju oraz książeczkę z naklejkami o piłkarzach. Dla większej pewności Dawidsyn rozsypuje jeszcze wokół plamy suchą karmę dla psów.

Kloc zasadniczo wie o istnieniu Dawidsyna, ale o jego – tak przecież pomagających mu w pracy – praktykach lubi myśleć jako o niespersonifikowanym czynniku dziejów, wspierającym właśnie jego, Kloca, w dążeniach ku jeszcze większemu uszczęśliwieniu ludzkości. Kloc jest bowiem w gruncie rzeczy wielkim altruistą. W samotności, żując kanapkę z asparagusem, czerpie heroiczną satysfakcję z tego, że jest i najprawdopodobniej pozostanie nieznany. Wdzięczne społeczeństwo nie będzie sobie mogło kiedyś przypomnieć nawet jak wyglądał, więc, wznosząc pomnik tajemniczemu wynalazcy odsysacza, umieści na nim spiżowy posązek Szmęcla – jedyne powiernika Geniusza.

Jedenaście

Tadziu Lambada, poruszając się w charakterystyczny dla siebie sposób, opuszcza „Bulgar’s Krocze Pub” z zamiarem udania się do kancelarii parafialnej księdza Miętlika. Doznaje jednak nagle wyjątkowo uciążliwej migreny i stwierdza, że uliczne latarnie coraz uporczywiej zastępują mu drogę, potrącając go to z jednej to z drugiej strony. Zmęczony ciągłym przeproszaniem wycofuje się pod ścianę uznając, że lepiej już poczekać aż ta hołota się przewali, a dopiero potem, przez nikogo nie niepokojony, ruszyć dalej. Niestety chodnik owija mu się wokół nóg i Tadziu Lambada pojmuje, że chwila jest bliska, bo oto nastąpił atak spowodowany nagłym spadkiem poziomu alkoholu we krwi. Fioletowiejącym błyskawicznie wzrokiem odszukuje więc swoją jedyną, prawą rękę i nakazuje jej udanie się do lewej wewnętrznej kieszeni, gdzie być może jeszcze jest, mogąca go ocalić, surowica brzozowa – lekarstwo na wszystko i na zawsze. Potem, rozpaczliwie wczepiony w silne ramię spychaczo-ładowarki Wanisa, czeka na powrót swego wysłannika. Wysłannik opóźnia się.

Cztery godziny później, przechodzący obok Dawidsyn przystaje na chwilę, fachowym okiem ocenia szanse, a potem siada na krawężniku i zapala papierosa. Zatrzymują się inni

przechodnie – między innymi Nornik z Mizmuną – i również w skupieniu obserwują przebieg pojedynku. Niektórzy ocierają Tadziovi Lambadzie pot z czoła, inni wachlują spychaczo-ładowarkę. Zjawia się też Laszlo, w sam raz by udzielić jej paru porad taktycznych.

Po upływie kolejnych kilkudziesięciu rund Dawidsyn przerzuca się z papierosów na cygara, a Tadzio Lambada zmienia uchwyt. Zmiercha się. Barman ustawia obok grila i podciąga przedłużacz od kranu z piwem, Nornik kilkoma kopniakami uruchamia spalinowy akordeon swojego pomysłu, a pan Waldek rozstawia zielony stolik i przyjmuje zakłady. Laszlo na spychaczo-ładowarkę stawia całą swoją wypłatę: trzy wywrotki piasku do odebrania w Tychach. Po chwili dorzuca i czwartą.

Tymczasem Kloc zamyka swój zakład by udać się do pracowni na poddaszu, Czarownica Lizawka przez lornetę nożycową obserwuje zbliżającą się Prątwę, a Bułgar odnajduje, podrzucony mu przez kogoś, fragment książki Odkurwiacza. Dawidsyn polewa olejem napędowym odpilowaną w nocy przez Nornika belkę i rzuca nań płonąca zapalkę. Laszlo pokazuje jak prawidłowo należy skakać przez ognisko i radzić sobie z rozległymi oparzeniami twarzy. Przyjeżdża Szarlabam Ćwieklic. Czarownica Lizawka decyduje się jednak na Mizmunę.

Dawidsyn spogląda na zegarek. Poza nim nikt jeszcze nie wie, że tej nocy Ciomla znów nie da nikomu spać.

Dwanaście

Dawidsyn, ukryty w sanitarno-kuchennej wnęcie mieszkania Ciomli przygotowuje kamerę.

W tym samym czasie, w odległym pokoju wytapetowanym w Misie Uszatki, Bułgar czyta:

Dziś wreszcie to zrobiłem. Zaprosiłem go do siebie, a kiedy przyszedł pokazałem mu plik zdjęć. Wszystkie przedstawiały jego samego: w autobusie, na ulicy, przy kiosku, na przejściu... Ujęcia en face, profile, portrety. Wszystkie lekko ziarniste i o nieco rozmytym kontraście; od razu widać, że zrobiono je z dużej odległości. Potem wyjąłem z szuflady lunetkę od sztucera. Zapytałem go, czy wie co to takiego. Nie obchodziła mnie jego odpowiedź – czekałem tylko na pierwsze słowo, aby natychmiast przerwać: „To jest teleobiektyw”, powiedziałem. Zamilkł zdziwiony. Z tej samej szuflady wyjąłem moją Riflę i złożyłem ją trzema ruchami. Zamontowałem lunetkę, a do jej okulara dokręciłem miniaturowego polaroida. Jego spust został automatycznie sprzęgnięty z cynglem karabinu, a kliszę przesuwają poruszając dźwignię zamka. Otworzyłem okno, wybrałem sobie jakiś cel i złożyłem się jak do strzału. Pstryk.

Szast-prast. Pstryk. Szast-prast. Pstryk. Polaroid wypłul trzy papierowe kwadraciki. Wsunąłem je w plik tych, które trzymał w rękach. Zajrzałem mu w oczy. Zrozumiał.

Bułgar też nagle rozumie. Zrywa się, przewracając miskę z kaszką gryczaną i, ślizgając się na zakrętach, pędzi do telefonu. Po drodze potrąca, zaparkowaną przy schowku na szczytce, roztrząsarke, która nagle ożywa. Dziwnym zbiegiem okoliczności pokrętko zaangażowania już od razu ustawione ma na max. Nie zauważając tego faktu, Bułgar wdrapuje się na stół w przedpokoju i desperacko sięga po słuchawkę. Jest już jednak zbyt późno – dziadka Ćwieklica nie ma w pracy. Bułgar chce jeszcze dzwonić do pana Waldka, albo do swojego terapeuty, wujka Kloca, lecz rątrząsarca odnajduje go właśnie w tej chwili i Czarownica Lizawka, której numer przez przypadek udało mu się wystukać, słyszy tylko w swojej słuchawce nieartykułowane gulgotanie i odgłosy torsji. Zastanawiając się czy to, aby nie nowy pomysł księdza Miętlika, doznaje rozterki i rozmyśla nad ewentualnym przerwaniem i odłożeniem na później właśnie rozpoczętego czterdzieści osiem Mizmuny.

Z kłopotu wybawia ją Prątwa, majstrująca w blaszanej szafce na pobliskim skrzyżowaniu w celu podsłuchania rozmowy Zgrzeli z jej – raczej mało prawdopodobne – przysłym mężem, Laszlem. Szukając właściwego styku, Prątwa trafia na łącze Czarownicy Lizawki i, po dolnoprzefekcyjnych odgłosach, rozpoznaje jej niedosłego rozmówcę. Zacierając ręce i natychmiast wraca do domu, a w pół godziny później, w przebraniu Marylin Monroe (która, co prawda, zdecydowanie nie dożyła jej lat, lecz czymże jest wiek – liczy się wewnątrz) staje na progu rezydencji Bułgara. W kilka sekund forsuje drzwi i jednym prostym podbródkowym kładzie roztrząsarke na obie łopatki.

Bułgar wygrzebuje się spod stosu zeszłorocznych śliniaczków i już chce swemu zbawcy podziękować, gdy nagle spostrzega kto to taki. W chwilę potem ciszę nocy rozrywa jego przeraźliwy wrzask, a zdalnie nawiedzonymu przezeń Ciomli wyrasta zjeżona sierść i niedźwiedzie uszy (jedno klapnięte).

Filmujący ten fenomen Dawidsyn szybko zakłada łokmena, lecz tuż przed jego włączeniem słyszy jeszcze pierwszy akord tegonocnego wycia. W jego głowie rodzi się przez to myśl, by następnym razem przynieść ze sobą mikrofon i wzmacniacz, jakiś czas temu odkrył bowiem wejście do sieci umieszczonych na słupach, miejskich megafonów. Zapalony nowym pomysłem zupełnie traci zainteresowanie poprzednim; gasi kamerę, chowa ją i wychodzi.

Ciomla, przez szeroko otwarte okno, wyje nieprzerwanie aż do całkowitego zachrypnięcia.

Trzynaćcie

Zgrzela, przyszła – no, może nie na pewno i nie od razu, ale raczej tak niż nie – żona Laszla, tego samego wieczora udaje się do „Bulgar’s Krocze Pubu”, gdzie ma umówione konfidencjonalne spotkanie z tajnym agentem Zenonem. Razem siadają przy najdalszym stoliku w najciemniejszym rogu pomieszczenia i naradzają się półgłosem.

Nie zdająca sobie z tego sprawy Prątwą kończy tymczasem poprawianie garderoby i mejkapu. Profesjonalnie wykąpany i pokryty przezeń dwudziestomilimetrową warstwą pudru Bulgar pochlipuje cicho pod zwojami, niewątpliwie ułatwiającej mu zaśnięcie, samoprzylepnej taśmy w niebieskie kaczuszki. Dodatkowo Prątwą zaśpiewała mu kilka kołysanek z repertuaru swojej ulubionej, dziecięcej orkiestry dętej z przedszkola imienia Z. Downa.

Prątwą zresztą zawsze była bardzo troskliwa i opiekuńcza, a zdwoiła jeszcze swoje wysiłki odkąd, przekorne i zupełnie niepoddające się jej zabiegom wychowawczym, złote rybki Laszla wyzdychały złośliwie, choć przecież nie miały po temu żadnego powodu. Z pewnością podjudził je ten jej – niedoczekanie! – przyszły zięć. Prątwą, po macierzyńsku przykrywając Bulgara aż po szyję czterema kołderkami (żeby się nie przeziębził) i przyciskając je na całym obwodzie cegłami (żeby się nie rozkopał), obiecuje sobie wziąć sprawy córki w swoje, doświadczone ręce i pokierować nimi tak, aby i Zgrzela tego doświadczenia zaznała. Resztę pudru zużywa na wygładzenie swej cery, a puste wiaderko po nim wywala na trawnik sąsiedniej willi. Szczątki roztrzaskarki zamyka w lodówce.

Zgrzela natomiast – dla niepoznaki w ciemnych okularach i czapce-bejsbolówce Zenona – wciąż tkwi w „Bulgar’s Krocze Pubie”, z uwagą słuchając rad tajnego agenta, który się zna na Tych Sprawach i z zafascynowaniem obserwując dziejącą się wokół fetę, którą barman postanowił uczcić zwycięstwo Tadzia Lambady.

Tadziu Lambada, w sto siedemdziesiątej szóstej rundzie, pokonał bowiem spychaczo-ładowarkę przez nokaut techniczny. Teraz, już w pełni sił, ze szczegółami opowiada o tym wydarzeniu. Pan Waldek, który jako jedyny go nie słucha, siedzi przy barze i liczy utarg z hazardu. Niepasującą mu do rachunków fakturę na piasek z boczniczy w Tychach daje Laszlowi, aby ten skoczył i kupił mu za nią zapałki. Laszlo wychodzi i widząc swego pokonanego faworyta, rzuca się nań by założyć mu potrójnego nelsona, którego tajniki zgłębił czytając samouczek Dżejmsa Bonda. Po jakimś czasie ktoś pomaga mu się podnieść i dokuśtykać do kranu z piwem. Korzystając z chwili udzielonej mu uwagi, Laszlo natychmiast demonstruje wszystkim jak się wsadza na miejsce wypadnięte dyski.

Przy stoliku Szarlabam Ćwieklic przygląda się czołu Odkurwacza, który – pochylony nisko nad wypalcowanym blatem – pisze coś w swoim notesiku i na nikogo nie zwraca

uwagi. Wyczekawszy jednak na odpowiedni moment zrywa się nagle, wyciąga rewolwer i strzela do zawieszzonego nad barem, ostatniego już chyba lustra. Lustro eksploduje. Chowając broń, Odkurwiacz mówi tonem usprawiedliwienia:

– Nie mogłem już z nim wytrzymać.

I zamawiają kolejkę wody z pierwszego kranu. Wieczór przebiega normalnie.

Czternaście

Ciomla, po drugiej z rzędu nocy, po której musiał ze swej pościeli wygarniać jakieś włosie, nieco już tym zaniepokojony, uznaje, że nadszedł najwyższy czas na Klina. Utwierdza się jeszcze w tym przekonaniu gdy przed południem – raczej dla świętego spokoju niż z wiary w skuteczność tego zabiegu – udaje się do doktora Saiomca. Zgodnie z jego przewidywaniami, receptą doktora okazuje się jak zwykle psychologiczna kuracja progresywna, po której barman w „Bulgar’s Krocze Pubie” z ledwością nadąża w nalewaniu mu coraz to nowych kolejek piwa z wodą z pierwszego kranu, a ilość w międzyczasie oddawanego przez Ciomlę szczęścia tak podnosi jego stężenie w środkowym kranie, że aż grozi to awarią destylarki i tym razem to nie Tadzia Lambadę lecz Odkurwiacza musi barman wzywać na pomoc, aby przywrócił równowagę roztworu. Po tym wszystkim Ciomla jest jednak tylko jeszcze bardziej zmęczony i jeszcze bardziej zniechęcony do osiągnięcia nowoczesnej medycyny. Już całkiem wyraźnie widzi, że Klin jest jego jedyną terapią. Wraca więc do domu i zasiada przed kolekcją słoików ze swoją hodowlą grzybów beztlenowych.

Słoje pokrywają całą ścianę, a Klin, chomik Ciomli, bytuje w trzydziestym siódmym słoiku od lewej i dziewiętnastym od dołu. Jako jedyny wśród swoich sąsiadów ma, przez specjalne otworki, dostęp do świeżego powietrza. Jeden z otworków służy mu też za wyjście. Klin żywi się resztkami, rachunkami za gaz, oraz izolacją przewodów elektrycznych z mieszkania Ciomli i mieszkań sąsiednich. Ma zielone futerko, długie palce z przyssawkami i antenki na głowie. Jak każdy chomik, Klin jest raczej małomówny.

Ciomla kładzie się obok na leżance i zamyka oczy.

Pomyślmy:

Jest cicho i pusto. W powietrzu wyczuwa się wyczekiwanie; jego woń zdaje się silniejsza i wyraźniejsza od woni morza i plaży pokrytej resztkami piany po niedawnym sztormie. Silniejsza nawet niż zapachy dżungli. Księżyc prześlizguje się z jednej fali na drugą, a gałęzie drzew przesylają ziemi płataninę jego cieni, podobną do falującej lekko sieci. Wiatru prawie nie ma; jest gdzieś wysoko, zajęty przepędzaniem zapóźnionych chmur o ciemnych i płaskich brzuchach. Gdy któraś z nich zawisnie nad jakąś częścią lasu, milknie on w tym miejscu, a gdy chmura przesunie się dalej – znów wybucha głosami nocnego życia. Nisko, w zaroślach

i wysoko, wśród liści błyskają oczy dużych i małych stworzeń. Poza tym jest cicho i pusto. Tylko to wyczekiwanie...

„Statek”, podrzuca Klin.

...i ciemny, z wolna ogromniejący kształt, który bezgłośnie kołysze się u wejścia do zatoki. Wąska łódeczka chybocze się na każdym zmarszczeniu toni; uchwyty jej wiosel już są mokre od potu, a droga jeszcze wydłuża się niemiłosiernie i prawie nie ma siły, aby przeciwstawiać się przyplływowi. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawia się mglisty opar, z początku tuż nad samą wodą, potem wspina się na pawężę i już po chwili wokół nie ma niczego poza nim. Chłodzi czoło, skrapla oddechy, wilgoć osadza na dłoniach i włosach. Wtedy, pod jego osłoną, ciemna bryła, niewidzialna i groźna, skacze do przodu i w jednej chwili jest tuż obok. Chybotliwa łupinka burta w burtę z kolosem. Nie ma już zapachów dżungli. Zamiast niej jest teraz stare drewno o wyslizganych słojach, smoła i sól. Pod nogami, na dnie łupinki turla się nieduża beczulka pełna skondensowanej apokalipsy.

„Teraz cicho”, ostrzega szeptem głos Klina.

– Nie wtrącaj się.

„Cicho bądź i przestań się guzdrać”

– To ty bądź cicho! I nie popędzaj mnie, bo cię wyrzucę za burtę!

„Sam się wyrzuc”

– Co?! To ja tu jestem Pan! Masz mnie słuchać!

„A jak nie to co?”

– To cię wygonię. No, już! Fruwaj stąd!

„Bardzo dobrze. Jak chcesz. Od teraz radź sobie sam. Odchodzę. Pa”

– Hej! Dobrze już. Wracaj. No, wróć.

„Pamiętaj: Nigdy więcej tak do mnie nie mów!”

– Dobrze, już dobrze. Nie denerwuj się, Tinky. Przecież wiesz, że nikt nie mógłby cię zastąpi. Jeżeli być małym znaczy być niezbędnym to nie ma nikogo mniejszego niż ty.

„Och. Ty potrafisz to tak powiedzieć... A właściwie dlaczego zabieramy ze sobą tę beczulkę?”

– Musisz ją umieścić jak najbliżej kasztelu dziobowego. Ja się zajmę resztą. Tylko zostaw mi trochę czasu. Rozumiesz, Tinky?

„Rozumiem. Naprawdę! Rozumiem z całej siły. Ale i tak będziesz musiał się pośpieszyć. Ja rozumiem bardzo krótko”

– Dobrze. Postaraj się jeszcze tak nie świecić. Widać cię lepiej niż wszystkie gwiazdy naraz.

„Bo wszystkie gwiazdy naraz to nic w porównaniu ze mną! A poza tym ja nie mogę przestać świecić. To jedyna rzecz, której nie potrafię. Zawsze świecę, chyba że śpię.”

– W tak razie postaraj się zasnąć. No już! Śpij!

„Nie mogę spać, kiedy nie chce mi się spać. To druga jedyna rzecz, której nie potrafię”

– Więc to są dwie jedyne rzeczy, których musisz się szybko nauczyć, Tinky. Auuu!

„Potrafię szczytać jeszcze mocniej!”

Na górę więc, po drabince śliskiej od glonów i rdzawych śladów, nie do końca jeszcze splukanych przez fale. Spokojnie, bez hałasu. Szybko. Na pokładzie pusto. Tylko poskrzypywanie, szuranie i ledwie słyszalne pomruki. Głosy skrytych ruchów drewna – jego pamięć o czasach bycia drzewem. Gdzieś z lewej dochodzi na wpół wyraźne chrapanie, lecz może to tylko na wygładzonych słojach chrobocze luźna cuma? Nikogo nie ma, nic się nie porusza. Żadnych świateł. Co jest, u licha? Ach, tak! Cztery cienie rozwalone na zwojach lin; rosa osiada na żeglarskich płaszczach i rondach kapeluszy. Natarczywy smród przetrawionego rumu. Tak sobie poczynacie, braciszkuwie? Tym lepiej. Kolor czerwieni, zapach czerwieni. Pot we wnętrzu dłoni. Ślad krótkiego ostrza – czerwona odbitka na tkaninie płaszcza, o którą się otarło, aby pozostać czystym. Nocy, przyjmij ich, choć nie wiedzieli, że to właśnie dziś położą się w Tobie na dłużej niż tylko do brzasku. Nikt nigdy tego nie wie...

Mały, złoty ognek wyfruwający z dołu, zza burty. Jaskrawa dziura w ciemności, ruchliwa soczewka między światem a światłem.

– Tinky! Do licha, nie pokazuj się!

„Cicho. Jest w rufówce. Pospiesz się.”

– Skąd wiesz?

„Zostawili otwarty lufcik. Jest tam co prawda krata, ale dla mnie to żadna przeszkoda.”

– Szkoda, że tylko dla ciebie.

Gdzieś w górze – w zimnej ciemności – bryza gra na olinowaniu jak na ludzkich ścięgnach harfy śmierci: jęki, śpiewy, krzyki. Psalmi bez słów i bez konkretnych znaczeń. Bez przerw na głębszy oddech. Uciec spod nich. Uciec.

Kasztel rufowy: okute drzwi, za nimi następne – zamknięte. Drewno i zapach jego słoju z dalekich, abstrakcyjnych lasów. Wąski, mroczny korytarzyk. Zbyt mroczny by było w nim widać cokolwiek poza zarysem solidnego zamka. Nie ma czasu na subtelności. Tylko jedna sekunda, aby dokładnie oprzeć metal o metal. Kurek opada na panewkę – iskra oświetla korytarzyk i gaśnie. Noc rozpęka się jak opróżniona butelka. Jeszcze trzyma – więc drugi kurek i druga iskra. Wreszcie pozostaje kopnąć. Skarga zawiasów, skarga drzazg. A zza nich: w ciemności blada, trójkątna twarz o błyszczących oczach.

– Przyszedełś więc – mówi nagle ktoś trzeci. Dopiero teraz wylania się z kąta kajuty. Srebro i aksamit. Lakierowana skóra i świecąca niebieskawo stal. Złoty galon i purpurowe pióro przy diamentowym guzie.

– Przyszedełś więc – powtarza wysoka postać w trójkątnym kapeluszu. Wyciąga przed siebie lewe ramię. – Czy może po to, aby spotkać się z Hakiem?

Chwila niepewności. Tylko chwila.

– To raczej Hak spotka się ze mną! No, chyba, że natychmiast wyskoczy przez to okno. – Niech ma szansę z której nie skorzysta. Zapach czerwieni, smak czerwieni. – A może Hak boi się krokodyli? Cyk-cyk, cyk-cyk. Którą to mamy godzinę, kapitanie?

– Zapytasz o to mojej szpady! – krzyczy.

Bierze zamach, robi krok i ginie. Nie ma już głowy, a ściana za nim ocieka czerwienią i odłamkami kości. Dymiąca lufa. Trzeci pistolet, bratku. Nie wiedziałeś o nim, a to więcej niż głupota – to błąd. Lecz twój kapelusz to co innego: ten szyk!

A teraz:

– Madame. Mam zaszczyt zaprosić panią na niewielki spacer po pokładzie. Proszę się nie obawiać. Ci, których tam spotkamy, nie zdołają odwrócić mej uwagi od pani urody.

– He, he. Niezłe. Czy to znaczy, że poradzisz sobie bez mojej pomocy?

– Ależ z radością ją powitam. No, dalej! Wyskakuj z tych sznurków i łap się za rożen pana kapitana. Tinkerbelle właśnie robi to, co robić lubi najbardziej, więc jak się nie uwiniemy to z nas też zostaną skwarki.

Miękkie kroki, szelest materiału. Szybko!

Zwalista postać u wylotu korytarzyka. Wreszcie jakaś wachta! Witamy, witamy. Pokład można by spod was ukraść i potem umrzeć z nudów czekając aż ktoś podniesie alarm. No i co teraz? Zaskoczona, nieskoordynowane ruchy. Tylko tyle? Chłód rękojeści. Błysk, za którym puls nie nadąża. I już po wszystkim – drzazga światła tkwi w rozedrganej kałuży odbłasku. Zapach krwi, smak krwi. Krok ponad ciałem. Klinga zostawia za sobą kropelki na podłodze z abstrakcyjnie pachnących desek.

A na pokładzie zgiełk. Więc jednak! Wrzaski i nawoływania. Rozkazy: Tam są! Nie pozwólcie im uciec! Klaskanie bosych stóp, łomot podkutych butów. Pojedynczy huk i szykowny, trójgraniasty kapelusz odfruwa w ciemność. Ach, blisko było! Następny strzał. Kolejny. Gęstniejący gwizd i dym. Drzazgi rozpryskują się wokół – olów wierci w dymie długie, śmiercionośne tunele, jeden przy drugim. Coraz ciasniej.

– Trzymaj się blisko mnie.

I nura w tłum! Tak bezpieczniej. Dzwonienie metalu o metal – rytm odbić, rytm zamachów. Dwie klingi – dwie przeciw setce – przecinają nagle światła latarek, przecinają powietrze, przecinają cienie. Grożą.

Nie strzelać, głupcy! Przynieście latarnie! Brać ich żywcem!

Szybko, szybko. Odbicie, zasłona, pchnięcie. Jęk. Padające ciało. Zamaszyste cięcie. Wrzask. Jeszcze jedno. I jeszcze. Kosa w prawo, kosa w lewo, zmyłka – gardelko. Następny: góra, dół, twarz, pachwina. Trup. Następny! Brzdęk-brzdęk, rączka, kolanko. Parter. Poprawka w zęby.

– Haha!

Czyżby aż tak miało to być łatwe? Łatwe?

Powietrze z jękiem ustępuje nagle przed serią szybkich ciosów. Zwodów. Natarć. Młynków. Niebezpiecznie bliskich. Prawie trafionych. Nieomal śmiertelnych. To nie tylko kunszt – to powód. Szeroki uśmiech. Błysk w oku, błysk w dłoni. I gest wstrzymujący kamratów:

– Jest mój!

A potem:

– Nie wierzyłem, że się zjawisz. Taka dziecinna pułapka... – Niedbale skinięcie w stronę ciemnej kajuty w rufowym kasztelu: – Gładko ci poszło ze starym, muszę przyznać. Co prawda, dawno już przestał być taki jak kiedyś. To było nieuniknione. Właściwie uprzedziłeś mnie. Wyręczyłeś. – Nagle rysy twardnieją. I wraca ten błysk: – Ale z nami dwoma to co innego. Wiesz, musi zostać jeden. Mówiła ci, mam nadzieję. Mówiła?

– Madame?

Oczy, czemu nie patrzycie? Spojrzenie, czemu uciekasz? Uśmiechu krzywy, szyderco tkliwy, konie wspólnie ukradzione – gdzie się podziałyście? Czy coś się stało? Czy coś dopiero stać się może?

Dobrze więc, próbo. Zgoda więc, niepewności. Walczmy o to, co nasze. Sprawdźmy, co naszym jest, a co się tylko wydawało. Przywdziejmy się więc w taki sam umiech-fason. W maskę. To nienawiść z manierami:

– Wiesz, Le Crochet? Może to nawet dobrze. Zawsze chciałem się przekonać jakiego koloru są twoje wnętrności.

Uśmiech-odpowiedź, który mówi: doceniam ten żart, tym przyjemniej będzie to skończyć.

I nawzajem, Le Crochet.

Każdy myśli o czym innym.

I już. Zawody. Odbicia. Cięcia. Finty i parady. Zdradzieckie sztychy spod furkoczącej zasłony płaszcza. Uskoki i pozory. Ataki i obrony. Taniec uników, taniec zaskoczeń. Śmierć zatacza łuki na końcach pałaszy – rozsiewa ciemność i szaleństwo. Ślepotę i zapamiętanie. Rytm, rytm, rytm...

Klingi wielokrotnią się w odblaskach pochodni – pochodnie wielokrotnią się na ostrzach kling. Wokół bezruch skupionych twarzy. I tylko szczepek metalu o metal i tylko ta absolutna pewność. Milczenie ludzi. Milczenie nocy.

Walka. Krok w przód, uskok, dwa kroki w lewo. Zbicie i powrót. Walka. Pot na dłoniach, pot na karkach. Pot w kącikach oczu. Oddech – oddech. Bładość na policzkach. Rzyko. Brawura. Błąd.

Koniec szpady zbliża się powoli:

– No i nie przekonasz się już. Miło było cię poznać.

Nożyk do gardła

Pana Gaillarda!

Pułapka zatrząskuje się. Nie widzi tego. Stoi tak, jak nie stałby nigdy, gdyby wiedział, co zaraz nastąpi.

– Przykro mi, Le Crochet, ale jako poeta jesteś zupełnie beznadziejny.

Kopniak, doskok i klincz. Krótkie ostrze samo wiedzie lewą dłoń – samo wyprowadza ją zza pleców i samo trafia w koronki, które zapadają się wokół niego. Ja, kat dumy. Ja, duma kata.

Oko bez błysku, uśmiech bez uśmiechu. Wciąż nic nie rozumie. Jeszcze nie zauważył. I już go nie ma. Słoje desek piją czerwień. Dosłowność zalewa abstrakcję.

Nagle drobina złotego światła niemal tuż przy twarzy.

„Co wy wyprawiacie? Nie czas na zabawę, zaraz tu będzie piekło!”

Przebudzenie. Krąg twarzy – krąg kordelasów. Magiczna maszyna zabijania uwięziona we wstrzymanym oddechu uwalnia się nagle. Rusza dalej. O tak! Zabawa.

– Poświęć nam lepiej skoro już tu jesteś.

„To zrób jeszcze kałuż, będzie jaśniej. O, bloody-sons-of-the-witched-whore! Będziecie musieli skakać do wody, odkryli łódkę!”

– Ty pierwsza. Dasz sobie radę?

Uśmiešek psocącego łobuza. Posłany z góry, bo siedząc na nadburciu jest się wysokim, choćby tylko na chwilkę.

– Lepiej pomartw się trochę o siebie!

Plusk. Za nim złoty ognek i oba oddalają się w ciemnościach. A ostatnia chwila zbliżyła się już. Przemknęła obok. Już czas, już czas!

– Żegnajcie, braciszku! Raczej się nie zobaczymy.

I skok, głową w dół – w ciemność, w mgłę i przebijający ją odblask księżyca. Zimna, stona woda wdziera się do nosa i uszu. W górze krzyki. Przekleństwa. Kule dziurawią wodę – plask, plask – raz bliżej, raz dalej.

A gdzieś, za klapą którejś furty działowej chwiejnie pełznie kopczący płomyczek-niespodzianka. Sycząc znika w niedużej beczulce. Nieskończone sekundy pod wodą.

Wreszcie huk jak uderzenie pioruna. Woda nie tłumi go prawie wcale. Wokół spadające deski, płonące liny. Dym. Jeszcze jedna eksplozja, znacznie silniejsza. Ognista błyskawica przetrząsa wszystkie zakamarki w poszukiwaniu przypisanych jej ofiar. Rozsypuje miliony iskier, głuży ryby i ludzi. Piękno chaosu w wycinku nocy. Po powierzchni pływają tłące się drobiny i wyrwane z poszycia belki. Do brzegu. Obok czyjeś rozdzierające wycie. Smak soli, smak zmieszanej z nią czerwieni. Do brzegu, do brzegu. Zimno, ból, odrętwienie.

Złoty ognek tuż nad powierzchnią fal.

„Jesteś ranny?”

– Nie – chwila nieuwagi i morska woda wdziera się do ust.

„Już dopłynęła. A ty? Poradzisz sobie?”

Zamiast odpowiedzi niezbyt wulgarnie przekleństwo. Przeciw niemu śmiech: cichy, perlisty. Odpędza odrętwienie, łagodzi ból, dodaje sił.

Jest.

– Co ze statkiem?

„Doprawdy? Mówisz poważnie? Więc był tu jakiś statek?”

I znowu śmiech.

A potem, na plaży, ona wbija szpadę w piasek, przekrzywia lekko głowę w bok i nagle rzuca się na szyć. Jej oczy nie domykają się do końca nawet pod wpływem pieszczot.

Ciomla śpi.

Przez minutę czy dwie Klin nadśluchuje jego oddechu, a potem chociczym czołgobiegiem przemyka po ścianie, skracając sobie drogę przez przypięte do słomianki zdjęcie Panczowilji. Korzystając z nieco poszerzonego otworu wokół rury od kaloryfera, przedostaje się następnie do mieszkania sąsiada, nieobecnego w tej chwili doktora Saiomca, po czym podnosi słuchawkę jego telefonu i, używając wszystkich czterech łapek, wystukuje numer Tadzia Lambady.

Tadziu, w ciemnych okularach i czapce-bejsbolówce, ze swoją jedyną ręką głęboko w kieszeni prochowca, zjawia się gdy Klin jest już z powrotem w mieszkaniu Ciomli i właśnie kończy pieczętowanie nowego, tym razem wykonanego ze sztucznej ambry, pudełka-z-guzikiem.

– Co to będzie? – pyta Tadziu.

– Przygodówka kostiumowa o podłożu erotycznym – odpowiada Klin. Jak zwykle mówi z pełnymi ustami.

Tadziu Lambada ogląda brązowo-szkliste puzderko.

– Zapłata standard? – pyta.

Klin kiwa pyszczkiem.

– Potrzebujesz może czegoś? – rzuca na odchodnym Tadziu.

Klin дума, poruszając wąsami i przepychając proso z prawego policzka do lewego w celu zrównoważenia ich ciężaru.

– Możesz mi podesłać jakąś dupę? – mówi w końcu.

Piętnaście

Szarlabam Ówieklic, poświęcając połowę swej uwagi rozmowie z Odkurwiczem, drugą połowę wysyła na zwiady do najdalszego kąta „Bulgar’s Krocze Pubu”, gdzie Czarownica Lizawka i Zgrzela, ukryte w półmroku, konferują szeptem o Tych Sprawach i przyglądają się wszystkim, jednocześnie nie będąc przez nikogo widziane. Nieświadomi ich obecności uczestnicy przeciągającej się już nieco fety ku czci, właśnie gdzieś wybyłego, Tadzia Lambady, kolejno – zrzucając po działce szczęścia – przechodzą do fazy pasywnej i cichną, wpatrując się w dna swoich musztardówek. Czarownica Lizawka natomiast coraz częściej spogląda ku zawieszonemu obok wejścia do kibla, jeszcze przez nikogo nie zastrzelonemu, zegarowi w kształcie orbitującego Gagarina. Zgrzela, zupełnie w jej ciemnych okularach ślepa, nerwowo piłuje sobie paznokcie, aż krew kapie na stolik.

Równocześnie, choć w raczej luźnym związku z tymi faktami, Bułgar przechodzi intensywną rekonwalescencję w ramionach Panczowilji, a w węźle ciepłowniczym za miastem Laszlo wygłasza wykład o błędach popełnionych podczas walki przez Tadzia Lambadę. Prątwą, całkowicie go ignorując, ostentacyjnie skrobie się widelcem pod pachą. Natomiast pan Waldek, hydraulik, godzinę wcześniej wezwany do nagłej nieszczęśliwości wielkiego słoja z płynami ustrojowymi Wanisa, będąc wówczas zajęтым bukmacherstwem nieszczęśliwie spóźnia się i teraz, brodząc po kolana w swoim kliencie, grzebie końcem klucza francuskiego w strefie przypodłogowej w poszukiwaniu złotej gąłki od spłuczki z pałacu w Łańcucie, którą Wanis, według legendy, połknął w dzieciństwie.

Nad ranem – gdy zaledwie szarzejają ciemności – Ćwieklic wypija ostatnią kolejkę i wychodzi, aby przed pracą pojeździć trochę po klombach i stratować parę drzewek. Opuszczony przezeń Odkurwiacz udaje się do mieszkania Panczowilji (której akurat nie ma) i na stoliku nocnym obok jej łóżka kładzie kolejny fragment swojej książki.

Jako ostatnie lokal opuszczają Czarownica Lizawka i, przebrana za Zenona, Zgrzela. Obie zajmują stanowiska taktyczne wokół plamy oleju, a Kloca, który właśnie zszedł na dół, aby także czatować i teraz próbuje się wtrącać, przepędzając zionąc nań, wtartą uprzednio w dżiąsła, cebulą.

Po kilku godzinach ich oczekiwanie zostaje nagrodzone.

Szesnaście

Prątwą, Matka Prątwą od Nieukończonego Poczęcia, przełożona klasztoru sióstr Psychofizytek prowadzących przedszkole muzyczne imienia Z. Downa, podczas porannego obchodu stwierdza rażące uchybienia dyscyplinarne i proceduralne w egzystującym przy klasztorze koedukacyjnym internacie, którego renoma – za sprawą jednej tylko wizyty księdza Miętlika – zdążyła się już po mieście roznieść i teraz przysparza mu niejakich utrudnień, choć też, trzeba przyznać, i znacznych dochodów. Matka Prątwą, z wprawą nabytą w oddziale Legii Cudzoziemskiej, gdzie nawet małże traktowano kombinerkami, energicznie zabiera się do działań personalno-porządkowych, które w jej wykonaniu nabierają niespotykanego rozmachu. Pchając przed sobą zwał chaosu, niczym czołg lekki typu *Łubu-Dubu*, przełożona przetacza się po klasztornych pomieszczeniach, łapiąc za gardło każdego napotkanego humanoida dowolnej płci i oceniając go naprędce wedle klucza logistycznego *swój-obcy*. Tych pierwszych obezwładnia decybelami, a tych drugich bezzwłocznie defenestruje.

Przy okazji wychodzi jednak na jaw, że po ostatnim wypożyczeniu przez Odkurwiacza – na akcję w klinice doktora Saiomca – dziecięcej orkiestry dętej, do boksów nie wróciło czterech puzonistów, jeden podtrzymywacz waltorni i jeden przewracacz kartek w partyturze gówniarza od Największej Trąby. Sam gówniarz od Największej Trąby

wrócił lecz bez swego instrumentu, gdyż rolą jego pomocnika było także i to, aby w odpowiedniej chwili przypomnieć mu, że ową Trąbę powinien ze sobą zabrać.

Prątwą, zdruzgotana tak poważnymi stratami materialnymi, zarządza natychmiastowe śledztwo. Szczegółowe dochodzenie przeprowadza doświadczony prywatny detektyw na emeryturze, Nornik, który w sobie tylko znany sposób dowiaduje się o wszystkim i zjawia na miejscu w samą porę, a nawet trochę wcześniej. Nornik zaczyna od wywiadu z pozostałymi muzykami, lecz mimo zastosowania tranu, szpinaku i mydła, a także specjalnie zbudowanego, spalinowego wykrywacza kłamstw, przesłuchania nie wnoszą do sprawy żadnych nowych wątków. W dodatku nie da się ich już powtórzyć. Matce przełożonej nie pozostaje zatem nic innego, jak o wszystkim zapomnieć i – po wyprzedży niepotrzebnych już instrumentów – w pozostałych po przedszkolu celach urzęduć dodatkowy oddział internatu. Od tego dnia zyski klasztoru poczynają gwałtownie rosnąć, a jedyną niezadowoloną z tego faktu osobą jest Czarownica Lizawka.

Wkrótce jednak rozpętuje kolejną falę aresztowań, która nieco poprawia jej humor.

Siedemnaście

Mizmuna, ostrzyżona na zapałkę i częściowo wierząca w swe powołanie treserka Strusi Pędziwiatrów – przewodników niewidomych, spotyka nad ranem Zgrzelę, udającą się właśnie do domu z zamiarem wprowadzenia w życie, wykoncypowanego wspólnie z Czarownicą Lizawką, planu przekonania mamusi do swojego – któż to wie – przyszłego męża, Laszla.

Zgrzela, przybywszy do węzła ciepłowniczego za miastem, zgodnie z instrukcją Zenona, budzi wszystkich dystyngowanym pochrząkiwaniem. Prątwą, jeszcze w nocnym habicie, samozaciskających się papilotach i borowinowej maseczce wyszczuplającej, wyskakuje z szafy i wytrzeszcza oczy na przyprowadzonego przez córkę, nieco upapranego pleśnią, przepalonym olejem i odchodami grzybów beztlenowych, grubaska o obwisłych policzkach i z mosiężnym ustnikiem w zębach.

– Mamo! – wskazując nań mówi z entuzjazmem i jednocześnie nadzieją w głosie Zgrzela. – Popatrz! Byłam w ciąży!

Tego samego ranka Dawidsyn wpada na dwa pomysły naraz, a wkrótce potem na dwa kolejne. Budząc się (co znów nie było wcale takie zabawne, gdyż nawiedzający go zwykle we śnie krasnoludek, który uporczywie zadaje pytanie *Siku czy kupka?*, ostatnio wycwanił się i zaczął dodawać: *A śpisz z rączkami na kolderce czy pod?*) postanawia unowocześnić sposób archiwizacji danych w prowadzonym przez siebie Biurze Zaginionych. W tym celu włamuje się do bazy ewidencji ludności i ściąga stamtąd dane wszystkich dostępnych dzieci i psów, a następnie drukuje je na tekturowych fiszkach z odzysku. Zaginionym przyporządkowuje kolor moczowo-żółty, a wszystkim pozostałym – szary. Dzięki temu nie

musi niczego przepisywać; po prostu gdy zachodzi taka potrzeba wybraną tekturkę wsadza na chwilę do roztworu szczęścia w piwie i odwiesza ją do wyschnięcia. Zyskuje dzięki temu więcej czasu na wymyślanie treści ulotek.

Natomiast drugi pomysł polega na tym, że drukowaniem fiszek nie zajmuje się sam, tylko zatrudnia w tym celu Mizmunę, dzięki czemu czasu ma jeszcze więcej, co też zaraz – korzystając ze swej pozycji pracodawcy – zaczyna wykorzystywać.

Niestety, podczas gry wstępnej – z użyciem zestawu kolorowych śrubokrętów, indiańskiego pióropusza (był to trzeci pomysł), oraz bloczka do wypisywania mandatów za niewłaściwe parkowanie czyli złe stanie – nieszczęśliwie przewraca się kubełek z roztworem szczęścia, zalewając wszystkie skoroszyty od AL do PA i podwyższając tym samym miesięczną średnią zaginięć o kilkaset procent.

Aby zachować zgodność z dokumentami, Dawidsyn postanawia wypróbować swój czwarty pomysł. W tym celu do szkół i przedszkoli rozsyła oficjalne zawiadomienia, że wkrótce rozpoczyna się zakrojona na wielką skalę realizacja superprodukcji dydaktycznej na motywach zaczerpniętych z Kodeksu Ucznia oraz Regulaminu Świetlicy i Jadalni, i że w związku z tym szef kastingu ekipy filmowej, mister Kloc, za pośrednictwem Kuratorium zwraca się do dyrekcji danej placówki z prośbą o wytypowanie kandydatów do głównych i drugoplanowych ról. Kandydaci winni spełniać następujące warunki: dobre sprawowanie, estetyczny wygląd, znajomość kodu barw świateł na skrzyżowaniu, oraz powinni posiadać nazwiska zaczynające się na którąś z pierwszych szesnastu liter alfabetu. Mile widziane jest także posiadanie przez nich choć po jednym psie. Zaangażowanie i wydajność poszczególnych placówek oświatowych będzie dla Kuratorium jednym z podstawowych kryteriów przy rozdziale środków na następny rok.

Nazajutrz, przeglądając zgłoszenia zaginięć i raporty swoich informatorów – oraz kątem oka obserwując krzątającą się na dolnych półkach Mizmunę – Dawidsyn dochodzi do wniosku, że aby wszystko się zgadzało musi znowu wylać na skoroszyty trochę roztworu. Pamiętając o okolicznościach w jakich nastąpiło poprzednie wylanie, bezzwłocznie sięga po pióropusz i przystępuje do dzieła.

Osiemnaście

Wanis, znany niegdyś pogromca dań mlecznobarowych i były bieszczadzki drwal, który dopiero po utracie ostatniego palca zdecydował się na porzucenie zawodu i zostanie kierowcą spychaczo-ładowarek nadsiębiernych w kolorze pomarańczowym – do której to pracy nadawał się jak mało kto, gdyż, jak wiadomo, za kierownicą nie wolno dłubać w nosie, bo można spowodować wypadek – wciąż nie starty z podłogi tajnej podziemnej fabryki kamuflującej działalność Klina, wsiąka powoli w beton i, przesączając się jego mikroporami na coraz to głębsze warstwy, dostaje się wreszcie do miejskiej kanalizacji

fekalnej. Stamtąd ruchy wstępujące, tajemne nawet dla pana Waldka, hydraulika, unoszą go ku klinice doktora Saiomca, gdzie powoduje eksplozję we wszystkich destylarkach, produkujących brązowe, kopące świece i znicze nagrobne, zwykle kupowane przez rodziny byłych oraz jeszcze obecnych pacjentów.

Doktor Saiomc, z charakterystycznym dla siebie opanowaniem, nakazuje natychmiast zastąpić destylarki ręcznymi wirówkami (używanymi dotąd do robienia lodów włoskich), a niepotrzebne już w takiej sytuacji muszle klozetowe zasypać gruzem. Następnie, otrząsnąwszy się z nieczystości, wraca na salę zabiegową, aby dokończyć skomplikowaną operację przeszczepienia dajmy-na-to-tego w powiedzmy-tu i zszycia całości bez fałd i zmarszczek.

Wkrótce potem osoba Wanisa, jego nirwaniczna dusza, rozproszona teraz w setkach świeczek i zniczy, powoduje konsternację na pobliskim cmentarzu imienia Jasia Co Niedoczekal, gdy podczas którejś kolejnej ceremonii pogrzebowej, na skutek ich zapalenia, ponad grobami daje się słyszeć wyraźny, ustrzycko-górny głos: *Co!? Ja nie zjem tysiąca pierogów!? Ja nie zjem!? I schabowego jeszcze! Załóż się o palec, że zjem!*, a potem także i śpiew:

*Misme prisli do tartahu
A rezalime bez strahu.
Bo smy sobe pewko wlali
Takesmy se pociahali...*

Dziewiętnaście

Panczowilja, diabeł stróż zesłany na ziemię z powodu zbiegu okoliczności łagodzących i na skutek poczynań partaczącego na oślepiec demiurga; dobra wróżka, która co prawda nie spełnia życzeń, nie zsyła marzeń i nie opowiada bajek, a na dodatek zupełnie nie zna się na czarach, lecz która za to powoduje masę kłopotów i którą trzeba się – wbrew niej, wbrew sobie i wbrew rozsądkowi – opiekować; przedstawiciel dziwnego i zupełnie niezrozumiałego gatunku, dzięki mimikrze prawie doskonale upodobnionego do *homo sapiens*, zmieszanego z nim i zasymilowanego; zjawisko beznadziejnie odległe, choć jednocześnie zajmujące – niczym metan albo siarkowodór – całą dostępną przestrzeń; mistyczna prefiguracja niewiadomych zmiennych eschatologii i entropii – Panczowilja zasypia.

Nic jej się nie śni. Szczeliny między niedomkniętymi powiekami jej oczu odcinają się wyraźnie w mroku pokoju – każdy może zobaczyć wywrócone białka, lecz nikt nie wie, w którą stronę są w tym czasie zwrócone jej źrenice. Ten, kto by się tego dowiedział,

może mógłby spojrzeć w tym samym kierunku, a wtedy – być może – zdołałby zobaczyć chociaż część tego, na co patrzą.

Czy pojąłby przez to, czym ona jest?

Wątpliwe. Ale może rozumiałby jak wiele nie rozumie.

Dwadzieścia

Klin, właściciel hodowli miłych oku grzybów beztlenowych, oraz zajmującego się nią człaka o imieniu Ciomła, stały rezydent do spraw osuwania autochtonicznych struktur społecznych planety, koordynator wywiadu gospodarczego i surowcowego, oraz główny konsultant etyczny, a także myśliciel i arystokrata, z szacunkiem pozdrawia swojego preceptora, pobieżnie choć uważnie oceniającego jego dokonania.

– To wbiecie szpady w piasek... – zwraca uwagę wizytator. – Hm, hm. To ciekawa figura dramatyczna.

Potem rozważa trafność użycia polaroida i dochodzi do wniosku, że rozegranie sprawy Bułgara przypadło mu do gustu. Następnie sprawdza echa z sieci miejskich kanałów i szybko przebiega wzrokiem schemat poczynań przewidzianych przez Klina na następny latozim.:

– Osłabienie wpływu czynnika szczęścia i jego destylatów... hm... aktywacja nieuruchomionego jeszcze potencjału ciężarówki... ogólne przesunięcie emocjonalne... testy... selekcja... wyławianie osobników obiecujących... transwersja drugiego planu dla uzyskania zmiennej losowej... wzory ekstremalne... prognoza odchyień... silnia... odławianie egzemplarzy zdefektowanych... znów selekcja i znów testy... fazowa zmiana planu pierwszego...

– Tak, tak – mówi już głośniej, przeciągając się i przez strychowe okno obserwując pełznącą po porannym niebie chmurkę. – Od tego zaczniemy. To będzie coś ekstra.

– Wszystko jest już przygotowane – pospiesza z zapewnieniem Klin.

– Dobrze. Tutaj też trochę ruszymy z miejsca. Dzisiejszej nocy odsysacz po raz pierwszy zadziała bez zarzutu. Od przyszłego satelitookresu znajdzie się w masowej produkcji, a wtedy zainicjujemy zmianę fazową. Ważne jest zgranie w czasie. Najciekawsze będą pierwsze godziny po wybuchu paniki.

– Wasza Magnifluorescencyjność?

– Tak?

– A pomnik?

– Pomnik? A! Pomnik!

– Tak. Ma to być posązek na szczycie marmurowego postumentu. Brąz patynowany i polerowany, marmur – szlif gładki z hydrofobizacją.

– Właściwie... Nigdy nie miałem czegoś takiego. A, tam – mówi wreszcie. – Niech stawiają. Ostatecznie żyje się tylko dziewięć razy.

I Szmęcel, z zadartym ogonem, którego koniec przypomina chwiejący się na boki pytajnik, ocierając się po drodze o prawie już bezlistnego asparagusa, wskakuje na łóżko swojego osobistego człaka, Kloca, aby zatkać mu nos albo ugryźć w największy palec lewej nogi, bo wtedy zabawnie rzuca się on z boku na bok i bardzo fajnie sapie przez niespokojny sen.

Właściwa akcja opowiadania zaczyna się w chwili, gdy z miejskiego lazaretu psychiatrycznego ucieka, trawiony wyrzutami sumienia, groźny seryjny przestępca Boromeusz Zarwacz, zwany też Zeskórem...

13 Vespasio

W małym sycylijskim miasteczku, zapomnianym przez ludzi, Boga a nawet przez Kopułę, folia szeleściła pod butami uczestników rodzinnego spotkania. Miały właśnie zapasć ważne rozstrzygnięcie, a nikt nie chciał przecież popłamić zabytkowej podłogi.

W żołądkach chlupotała błogo pomidorowa miazga *spaghetti*, ponad niskimi lampami kotłowała się sina mgła, a *la sangria* na przekór blednącym policzkom zbierała się w dołkach wokół oczu. Cynobrowe koty szeptały po kątach i dym wyczyiniał dziwne rzeczy z perspektywą tak, że kieliszki same zaginały się ku podłodze. Zza ściany dochodziły wrzaski pomieszane z wizgiem wiertel stomatologicznych. Kaleki Giuseppe nalewał gruboziarnisty cement do stojącej przed jeszcze pustym krzesłem miednicy. Po zielonych stolikach panoszył się szelest banknotów i stukot wyslizganych sztonów. Skrzypiały zaciśnięte wargi. Panowało wszechwładne milczenie. W powietrzu jak siekiera wisiał szacunek. Ktoś ustawiał kule w rządek, ktoś inny bawił się sprężynowym nożem. Wszyscy mieli równe, wypomadowane wąsiki i włosy zaczesane gładko na brylantynie. Kelner roznosił lody, całując ręce, od których nie przyjmował pieniędzy. Z oddali niosła się anonimowa, nieludzko piękna melodia na trąbkę i nożyce do drobiu. Było smaszno.

Tymczasem grabarz Vespasio – osoba niezbędna i przez to nietykalna – rozważał w duchu szczegóły techniczne:

Temperaturę w kostnicy należy utrzymywać w granicach od dwóch do dziesięciu stopni Celsjusza. Nie powinna spadać poniżej zera, ponieważ zamrożenie może spowodować pęcznienie zwłok i ich pękanie, konieczna jest więc stała praca systemów grzewczego i chłodzącego, wspomaganych przez intensywną wentylację, szczególnie latem.

Posadzki kostnicy muszą być wykonane z materiałów nieprzepuszczalnych, gładkich i łatwych do czyszczenia, ściany zaś zwyczajnie wapnowane i często odświeżane. Kostnice w dużych miastach mają osobne pomieszczenia dla zwłok odnalezionych (osób niezidentyfikowanych) ze specjalnym aneksem na odzież zmarłych oraz gabinetem do dokonywania oględzin i ekspertyz sądowych. W takich przypadkach konieczne jest przewidzenie miejsca na sejf oraz schowka na korkociągi. Maszyna sterylizująca narzędzia chirurgiczne i młynek do okrawków mogą być napędzane tym samym silnikiem. Wieszak na piły łańcuchowe powinien stać na kratce odpływowej.

Krematorium projektuje się w kondygnacji podziemnej z szybem do opuszczania trumny, bądź za salą do zgromadzeń, oddzielone odeń służą żaroodporną i dźwiękoszczelną. Transport poziomy zwłok odbywa się za pomocą ręcznie obsługiwaney wyciągarki, dźwigi natomiast są najczęściej napędzane hydraulicznie. W wypadku zastosowania transportera taśmowego należy

urządzeniu temu na wszelki wypadek zaprojektować także bieg wsteczny. Koparki nie są wskazane.

Drzwi śluzi, bądź otworu podłogowego, powinny posiadać mechanizm powolnego zamykania dostosowany do tempa spuszczenia trumny lub zestrojony z melodyką marsza pogrzebowego. W zasadzie powinny się zamykać bezszmerowo.

Sama kremacja trwa około półtorej godziny. Najczęściej odbywa się spokojnie i bez nieprzystojnych jęków. Cały proces należy rozpocząć, na dwie godziny wcześniej, od rozgrzania pieca i przyrządzenia ponczu.

Piec elektryczny zużywa jednorazowo czterdzieści pięć kilowatogodzin, natomiast gazowy – odpowiedni ekwiwalent energetyczny, powiększony o ewentualne nieszczelności instalacji. Pod rusztem umieszcza się zestaw sit mających odłowić przedmioty z metali szlachetnych, sztuczne zastawki, aparaty słuchowe itp. Zwłoki ulegają spopieleniu w suchym powietrzu o temperaturze około sześciuset stopni Celsjusza, tak iż nie mają bezpośredniego kontaktu z płomieniami. Wszystko to można obserwować przez specjalne wzierniki, lub za pośrednictwem kamery transmitującej obraz na ekran kinowy w sali zgromadzeń. Poncz należy podawać na zimno.

Miejsce w niszy na urnę wykupuje się wieczysto, choć można oczywiście zabrać ją sobie do domu. Zawartość urny należy chronić przed wilgocią, zwierzętami oraz dziećmi. Przed zawartością urny natomiast chronić trzeba tylko zwierzęta.

Co się tyczy grobów, to ich głębokość jest pośrednio zależna od wzrostu nieboszczyka, zgodnie z normą musi bowiem wynosić co najmniej pięć czwartych tej wartości. W praktyce grabarskiej przyjmuje się jednak trzy przedziały, których wyznacznikiem jest wiek grzebanego. Dla dorosłych, czyli osób powyżej dwudziestego szóstego roku życia głębokość pochówku winna być nie mniejsza niż dwa i pół metra. Niedorośli mogą się zadowolić dwoma metrami, zaś dzieciom do lat siedmiu wystarczy zapewnić półtora metra.

Okres eksploatacji grobu zależy od miejscowych parametrów gruntu. Niespopielone zwłoki ludzkie o przeciętnej masie osiemdziesięciu kilogramów, gęstości jeden koma dwadzieścia osiem grama na centymetr sześcienny i zawartości wody około pięćdziesiąt osiem procent w glebie trzeciej klasy agrarnej przechodzą pełny rozkład w czasie mniej więcej ćwierćwiecza. Po tym okresie grób może być wykorzystany ponownie pod warunkiem usunięcia resztek po poprzednim pochówku.

Groby obmurowane (stałe) istnieją na zasadach urbanistyki mieszkaniowej. Zwykle mają osobne fundamenty i podjazd, a także ujęcie wody oraz przyłącze telewizji kablowej. Zakłócanie ciszy nocnej po godzinie dwudziestej drugiej zabronione. Reszta jest milczeniem.

14 Pamięci Gienadija

Właściwie należało to uczynić już dawno, ale nie jest tak, żeby oczywistość jakiejś decyzji automatycznie czyniła ją łatwą do podjęcia.

Faktycznie bowiem przez długi czas Gienadij z Katowic tkwił w zanadru, trzymany tam przez autora z niejasnym zamiarem, by kiedyś wykorzystać tę postać – czy też raczej jej zasadniczy szkielet – do stworzenia jakiegoś zupełnie innego indywiduum, niejako potomnego, lecz o pokrewieństwie ukrytym, aby nie determinowało kolejnego bytu do powtarzania cudzej drogi. Niemniej, zamiar ten upadł. Nie od razu, rzecz jasna. Wcześniej trwał w enigmatycznym stanie, którego definicja mieści się zapewne tuż po słowie post w tym, co mogłoby być podtytułem tego tekstu. Nie ma jednak powodu do epatowania funeralną frazeologią – nieuniknione nie kryje w sobie nic z fatum jeśli od samego początku jest doskonale przewidywalne.

Prócz tego istniał dość irytujący problem techniczny. Każdy, obojętnie jak wskrzeszony Cezar z samej istoty rzeczy zmierzać musi ku swym wiosennym Idom – jakkolwiek by się nazywały. Odziewanie tego faktu w fikcyjność zmyślonych (albo i nie) dekoracji na nic by się tu zdała. Archetypy są zawsze rozpoznawalne – właśnie dlatego, że są archetypami.

Kronikarska relacja faktów zastąpi więc słabo uzasadnioną beletrystykę. To kompromis pomiędzy fikcją, co nie zdołałaby się obronić, a milczeniem, na które zgoda byłaby rozwiązaniem niewiele lepszym. Tak czy owak, ludzie w rodzaju Gienadija nie rodzą się aż tak często.

Było to w początku lipca roku dziewięćdziesiątego siódmego, w próchniejącej ruderze u podnóża wczasowego masywu, przy ścieżce prowadzącej zeń prosto w kierunku abstrakcyjnych i przysłowiowych Ciepłych Krajów. Pod pociemniałymi od dymu belkami wisiało chmurne spojrzenie wąsatego *maitre de hotel*, który zza lady raz po raz inwentaryzował puste krzesła swego lokalu, wiszące na kółkach klucze, wyschłe pieczątki ze słońcem i szpiczastymi szczytami; cały ten kultowy asortyment leżący odlogiem mimo sezonu, co właśnie jemu – groszowemu beneficjentowi opłaty klimatycznej – musiał akurat spłatać głupiego figla.

Gienadij – jedyne tego dnia źródło górskiego dochodu – pochłaniał jednego czekoladowego batona za drugim, krzykliwie kolorowe opakowania po nich wyrzucając do etnograficznej popielniczki z wydrążonego pieńka. Nie przeszkadzało mu, że za każdego płaci trzykrotnie więcej niż kosztowałby w dolinie, bo tu w ich cenę wliczony został jakiś bezimienny, lokalny szarpa, który po kilku szklankach samogonu na własnych plecach wniósł na przełęcz cały karton podobnych, wyrafinowanych produktów

cywilizacji konsumpcji. Akceptował to, podobnie jak prawie wszystko, co dawało mu prawo do wymagania. Pozbywał się ciężących mu banknotów, aby móc w zamian głośno i dosadnie ubolewać nad brakiem lodówki, gdzie mogłaby się należycie schłodzić jego cola, nad faktem, że nie wymyślono jeszcze macdrive'ów dla rowerzystów górskich i, że nie buduje się ich tam, gdzie by się najbardziej przydały. Baca z zakłopotaniem drapał się w rozpruty szew pod pachą kufajki, wzdychał i znów jednym okiem liczył krzesła, a drugim przez okno wpatrywał się w szlak, niczym markotny zbój czatujący na opustoszałych rozstajach przekłętego gościńca.

Nie było tam jednak zbyt wiele do oglądania. Jednolita ściana wody już dawno wypłukała wszystkie kolory, zamazała kontury i zatkała ostatnie prześwity w hartowanym poszyciu nieba. Dach łomotał jednym ustawicznym jękiem; od kilku godzin, aby rozmawiać trzeba było krzyczeć. Tymczasem Gienadij z pełnymi ustami niedbale snuł dalekosiężne plany dalszej marszruty.

Oczywiście, miał co nieco na swoje usprawiedliwienie: goreteksowe buty wyścielone elastomerem, w których – jak głosiła metka – można przejść nawet 10.000 kilometrów bez konieczności zatrzymywania się; polarny, wodoszczelny śpiwór (pora roku nie miała tu żadnego znaczenia – Gienadij zwykł brać go ze sobą zawsze); alkaliczna latarka (do 80 godzin halogenowego światła o mocy piętnastu i sześciu dziesiątych kandel, odporna na działanie mrozu i wrzątku); wiatroszczelny namiot typu *igloo* (gwarantowany udźwig – 60 cm śniegu suchego i 25 mokrego, waga – 2 kg); piankowa karimata (przenikanie ciepła i wilgoci – 0%, a nawet jeszcze mniej); specjalna firmowa kurtka (cztery warstwy termoizolacyjne, odporne na działanie rozpuszczalników syntetycznych i mineralnych); żelowe rękawice (można ich w ogóle nie zdejmować, bo skóra oddycha dzięki specjalnym porom 0.25 mm każdy); idealnie wyważony nóż (do celnego rzucenia, gdyby akurat nadarzyła się okazja do czegoś lub kogoś rzucić); zestaw survival (toporek z piłą i łopatką, haczyki, żyłki, kłanry, karabinki); jeszcze jeden nóż (tak płaski, że można go ukryć pomiędzy dwoma kartami do gry, laserowo profilowane ostrze przecina stalową rurkę 10); lornetka (15 × 75, obudowa w kolorach maskujących); aparat (zoom 30 – 250, *halo*, analizator poklatkowy); czterobiegowa maszynka do golenia...

Ale dysponował czymś jeszcze i było to warte dużo więcej, bo stanowiło zasadniczą podstawę jego przeświadczenia o własnej niezatapialności. Przeszkody – jakiegokolwiek miałyby być – nie deprimowały go, ani nie skłaniały do szukania dróg okrężnych. Nie czuł w sobie słabości wobec niczego, ponieważ sam pokonał największą swą słabość i wyszedł z tej próby oczyszczony. Jego wola nie wymagała potwierdzeń, lecz on chciał, aby była potwierdzana. Gienadij pokonał był bowiem swego osobistego, eschatologicznego wroga i teraz z mściwą satysfakcją tropił jego ślady wszędzie, gdzie tylko mógł się na nie natknąć. Niespodziewane załamanie pogody także było właśnie

takim śladem – dlatego nie mogło go zatrzymać: *Jutro dojdziemy do Młada Hory, a pojutrze przenocujemy na Vyrchu*. Choćby nawet miał to być początek Potopu.

Aby kształtować swe relacje z innymi Gienadij sięgał do portfela, by natomiast sprościć universum sięgał w głąb siebie. Pierwsze było aktem cynizmu, drugie – aktem wiary. Całe swe życie spędził zawieszony pomiędzy tymi dwoma skrajnościami.

Nim jednak osiągnął taki poziom autokreacji, przez długi czas był kaleką – zdany na innych i nienawidzącym za to ich i samego siebie. Dzieciństwo spędził w szpitalach. Bywało, że zagipsowanego po pachy przewożono go pomiędzy jedną kliniką a drugą, od jednego obiecującego cud konowała do innego, który niczego nie obiecywał, ale za to był droższy niż tamten. W ładowni kardiologicznego śmigłowca spieszącego na czyjąś operację po szczęśliwie wyczekanym zgonie dawcy, w hałasie tej bezokiennej puszkii cuchnącej chemikaliami i nigdy wystarczająco nie ogrzanej, Gienadij czytał, aby nie czuć wibracji przenoszonych przez stelaż wprost na jego kręgosłup. Czytał zapamiętałe i łapczywie, bo za każdym razem chciał przeczytać jak najwięcej nim straci przytomność. Książki wypożyczone w Katowicach oddawał w Poznaniu, skąd przywoził tamtejsze lokalne gazety, dziwne i o dziwnych tytułach – jeśli tylko udało mu się nakłonić pielęgniarkę, aby mu je kupiła. W Warszawie dawali mu pączki, lecz tam najbardziej bolało; naciąganie kości robiono ze znieczuleniem, lecz tylko punktowym, a ścięгна przesuwaly się także i daleko od stelaża. Zresztą, nigdy nie był pewien co mu podawano – piguły i zastrzyki nie mają smaku.

Opisywał szpital – jak twierdził wszystkie są takie same – kilkupiętrowy gmach o poziomych oknach typu „późny Gierek”, wszystkich okratowanych. Wyjaśniał, że te z parteru zabezpieczały personel przed pokusą tak zwanego wynoszenia, były więc czymś w rodzaju dobrotliwego protekcjonalizmu; te z wyższych kondygnacji służyły zaś tylko statystykom – miały zatrzymać ewentualnych desperatów. Później sam nieraz siedział na parapecie takiego okna – jeden z wielu w jednym z wielu okien. Nie patrzył na ludzi poza murem, na dłuższą metę nie potrafiłby tego znieść. Zrozumiał to dopiero, gdy zauważył, że tak samo jest ze wszystkimi innymi pacjentami. Trawnik przed budynkiem był chyba najpilniej i najtęskniej obserwowanym miejscem w okolicy.

Z tym niezrozumiałym, odległym światem zewnętrznym łączyły go tylko pielęgniarki – dziwne istoty, które mogły przemieszczać się pomiędzy „tu” i „tam” i czasami bywały ludźmi, a kiedy indziej tylko robotami. Pamiętał lekarzy aktualizujących listy przed salami operacyjnymi – urzędnicy przeznaczenia w białych kitlach ze stetoskopami w kieszonce na piersi – wykreślali nazwiska oczekujących, czasami dopisywali nowe. Któregoś ranka był siedemdziesiąty drugi, a wieczorem już tylko czterdziesty, choć tego dnia nie przeprowadzono ani jednego zabiegu. Wszystko miało swój tok, swój ciąg technologiczny. Echo na korytarzach wnikało weń igłami, ostrzami, i cewnikami. Milczące automaty przepychały wózki z eksponatami i z preparatami – specjalistyczne meble przemysłowej

medycyny. Moloch przerabiał ludzi, którzy nie wiedzieli o swych chorobach, w choroby, które szybko zapominały, że kiedyś były ludźmi.

Z tamtych czasów pozostał mu tylko jeden strach, a nawet tylko cień strachu, gdyż widziawszy samo dno Gienadij nie bał się już niczego. Co najwyżej skłonny był się przyznać do niechęci czy zdegustowania, z pewnością do irytacji – lecz tego akurat nie musiał stwierdzać. Sama z siebie była wystarczająco widoczna. Gienadij nie lubił Toszka.

Jest to niewielka miejscowość na północno-zachodnim obrzeżu zdewastowanego Śląska, na granicy pomiędzy nim, a piaszczystymi lasami Opolszczyzny. W pewnym momencie opuszcza się niemiłosiernie stłoczone w kotlinie blokowiska i labirynty szerniałych kamienic zwane tam miastami, te wszystkie Bytomy, Gliwice i inne Chorzowy, zostawia się z tyłu ostatni waporujący *kumbinat*, ostatnią hałdę i ostatni zawalony śmieciami gąszcz zwany parkiem – i wyjeżdża na równinę, która jest zielona i słomiana, cieniowana rudym igliwem i srebrnym brukiem duktów tyczonych „za Niemca”, od jednej osady do drugiej, w szpalerze brzoź lub topoli. W Toszku jest rynecek jak z sielankowej noweli sentymentalisty, dramatyczne ruiny zamku i kilka zaułków jakby żywcem przeniesionych z Hradczan. Ale jest też szpital psychiatryczny, urządzony w dziewiętnastowiecznych koszarach, które w międzyczasie zdążyły jeszcze być więzieniem, obozem koncentracyjnym i obozem pracy. Niekiedy przenosi się tam pacjentów, dla których chwilowo nie ma miejsca gdzie indziej. Wiedzą o tym wszyscy lekarze – i niewielu jest takich, którzy by tej wiedzy nie wykorzystywali.

Gienadij nauczył się chodzić w wieku lat siedemnastu. Okupił to dodatkowymi komplikacjami i dodatkowym lotem w ładowni śmigłowca. Własnym wysiłkiem zdobył to, co inni mają za darmo, bo dziedziczą to niemal z niemowlęctwem. Kiedy sobie z tego zdał sprawę, zrozumiał, że te nędzne, wspomniane przez producentów kosmicznego obuwia, 10.000 kilometrów to betka. Potrzebował dużo więcej. Spakował więc swe kosztowne manatki i ruszył na nieustające polowanie. W pewnym okresie Zmrogg był jednym z jego głównych łowczych.

Nie jedynym oczywiście, ani tym bardziej nie najważniejszym. Tę pozycję zajmowała bowiem pewna fascynująca istota, która odznaczała się urodą dość dalekowschodnią i takim samym charakterem. Z tych powodów – a z tego ostatniego zwłaszcza – funkcjonowała jako Harakira, choć oczywiście nikt tak do niej nie mówił. Ani o niej – jeśli była w pobliżu.

Tak więc, ów dwuosobowy orszak Gienadija podążał za nim, zawsze z kilkugodzinnym opóźnieniem, gdyż on sam choć chodził całkiem nieźle, to jednak zdecydowanie wolał jeździć, szczególnie gdy mógł to robić w sposób możliwie jak najbardziej ekstremalny. Zmrogg z Harakirą starali się więc wyruszać nieco wcześniej, mimo to jednak zawsze w końcu natrafiali na przytwierdzoną do drzewa kartkę: *Nie mogę was dogonić, albo was wyprzedziłem. Jeśli tak to spotkamy się na miejscu.* Pozostawało tajemnicą po co w takim

razie tę wiadomość zostawiał, ale nie było sensu o to pytać. Gienadijowe algorytmy kojarzeniowe działały na zasadzie zmiennych równoległych – poprawność operacji była drugorzędna, ważny był sam fakt ich wykonywania. Obiektywna była natomiast tylko burza, oraz to, że tylko Gienadij przed nią umknął. Opowiadał więc o Młoda Horze, gdy tymczasem Zmrogg wytrząsał błoto nawet z wewnętrznej kieszeni kurtki.

Portfelowy cynizm Gienadija wobec jego – by tak rzec – familiantów przeobrażał się w swego rodzaju inwazyjny altruizm, który w sprzyjających czasach i okolicznościach mógłby zaowocować nową Erą Wodnika z epoki dzieci-kwiatów. Gienadij lubił się dzielić; wtedy traktował to już nie tylko jako sposób na okazanie swej wyższości – choć oczywiście także, gdyż bez tej dawki próżniactwa nie byłby sobą – lecz widział w tym może niejaki obowiązek, rodzaj spłaty debetu zaciąganego bezustannym, świętokradczym wyrażaniem ceniom swego wroga. Zawsze jednak jest jakieś „w zamian” i oczywiście wtedy istniało także. Niekiedy przeobrażało się w *bon moty* wzajemnych złośliwości, niezbędnych, bo chodziło przecież o zachowanie równowagi; nić, aby dobrze przenosiła drgania, musiała być stale napięta. Pewnego razu zaparkowany na polanie samochód Gienadija stał się punktem wyjścia dla takiej improwizacji.

Z leśnego ustronia nad brzegiem malowniczego, choć nieco nieprzejrzystego jeziora orszak miał wyruszyć do pobliskiego miasteczka – jednego z tych, które Sowietnicy wysadzili w powietrze przy okazji wysadzania w powietrze Wału Pomorskiego (choć ksiądz proboszcz mówił, że to nieprawda, że po prostu popili sobie, jak to oni i chodzili po rynku zabawiając się strzelaniem w okna i wrzucaniem granatów do bram...). Przygotowania obejmowały także – a nawet głównie – mejkap Harakiry. Ponieważ jedynym nadającym się do tego lustrem było boczne lustro wsteczne gienadijowego pojazdu, Harakira odgięła je jak się tylko dało najdalej do przodu i uklękła przed nim, z ustami rozchyłonymi przed szminką, która jednak już nie była widoczna. Zmrogg z Gienadijem patrzyli na tę scenę zafascynowani, gdyż obum wydało się nagle, że auto kratką zderzaka posyła im lubieżny uśmiech i porozumiewawczo mruga lewym reflektorem.

Gienadij, jak zwykle w takich razach nastrojony filozoficznie, wyraził pogląd, że malowanie się kobiet nie ma swego odpowiednika u mężczyzn. Zmrogg zaproponował dobór krawata, ale Gienadij nie praktykował tego rodzaju dodatków, więc zbył sugestię machnięciem ręki. Zaraz jednak oświadczył, że on sam zawsze dużo uwagi poświęca odpowiedniemu dobraniu skarpetek. Zmrogg zgodził się z tym, po czym dodał, że dla niego również jest to bardzo ważne. Szczególnie, aby obie były w tym samym kolorze.

Gienadij nic nie odpowiadał. Bywały dni, kiedy zdarzało mu się okazać prawdziwą wielkoduszność.

I tak, tropiąc swego wielkiego przeciwnika, podążając jego śladami i wciąż na nowo celebrując swe nad nim zwycięstwo, Gienadij wszedł w końcu pomiędzy drzewa,

z których jedno rosło bliżej jego ścieżki niż się spodziewał. Przy nim urwały się oba tropy – ścigającego i ściganego.

Można to nazwać lekkomyślnością, lub po prostu brakiem strachu. Faktycznie bowiem człowiek tyle zyskuje na swej sile, ile w tym samym czasie traci na wrażliwości, a Gienadij nie bał się niczego i był silny. Widział samo dno, doświadczył go na własnej skórze i dlatego nic już nie robiło na nim wrażenia.

Nocne drogi, kręte i pijane pędem prowadziły go zawsze wzdłuż i w poprzek jego domeny; pokonywał je łapczywie, tak jak kiedyś pochłaniał książki, w pogoni za owymi siedemnastoma latami, zagrzebanymi w nienawiści zza kraty najwyższego okna. Kierownica rządziła jego dłońmi, a tępy klin światła z trudem wciskał się pomiędzy asfalt i świt.

A w każdym razie jakoś tak się to musiało odbyć. Od burzy roku 1997 – jednej z wielu nieistotnych burz na szlaku ku Ciepłym Krajom – rozpoczęła się powódź znana ze wszystkich telewizorów. Wrak spod Wałcza zwieziono natomiast w anonimowej posłudze szczerów poboczy, milczących bo do znudzenia opatrzonych z tęczowymi wykwitami kałuż zroszonych benzyną.

15 Motocykle i ich motocykliści

Zasadniczą korzyścią płynącą z faktu posiadania motocykla jest oczywiście to, że można wtedy być motocyklistą.

Jak w wielu podobnych przypadkach, tak i tu nie jest to jednak warunkiem aż tak niezbędnie koniecznym. Istnieje cała grupa – można by rzec: podzbiór społeczny – motocyklistów całkowicie spekulatywnych, symbolicznych, ale przez to ani trochę mniej niż ci faktyczni przesiąkniętych duchem spalinowej jednośladowości. Jest to pewnego rodzaju kompromis, wymuszony ograniczonym potencjałem finansowym lub też prostą wygodą pozbawionej zbędnych kłopotów egzystencji. Motocyklistom spekulatywnym wystarczy zwykle spowszedniała od codziennego noszenia kurtka, bardzo hewimetalowy podkoszulek (rok założenia 1997), albo nawet tylko wyrafinowany artystycznie sygnet z wyobrażeniem pośmiertnej paradenty.

Taki sposób postępowania pozwala im poczuwać się do jedności z subkulturą, a jednocześnie nie być z nią identyfikowanymi na tyle silnie, aby musieli się z tego zbyt często tłumaczyć. Działa tu ten sam schemat co w przypadku tak zwanego tuningu: w ostateczności, gdy jako pole do popisu w dyspozycji pozostaje tylko umiarkowanie prestiżowy maluch (w dodatku pożyczony albo wyżebrany na jeden wieczór), upiększanie go siłą rzeczy ogranicza się do zawieszenia pod lusterkiem wstecznym płyty CD, co – jak wiadomo – dezorientuje policyjny radar, w niektórych gminach odwraca też złe spojrzenie, a nawet ma moc przepłaszania latających talerzy.

Motocykliści nieposiadający motocykli, nawet gdy stan ten z czasem mocno się u nich utrwali, postanawiają niekiedy całą zgromadzoną przez lata wiedzę o przedmiocie swego uwielbienia, przekuć wreszcie w materialny wehikuł własnej konstrukcji, do ostatniego szczegółu dopracowanej i pozbawionej wad seryjnego produktu dla maluczkich. Znane są przypadki takich osobników, którzy pewnego dnia wracają do domu z plecakiem pełnym jakiegoś bliżej niezidentyfikowanego silnika, z dwoma obszernymi bazarówkami części i jeszcze mając kawałek rury czy wahacza pod pachą. Z zapalem zabierają się do metodycznych prac konstrukcyjnych, przyporządkowując im całe swe otoczenie: polerowanie bloku (aby błyszczał jak srebrna plomba) odbywa się na biurku, malowanie baku na łóżku, a płukanie chromów – w wannie, w garnkach albo i nawet w czajniku, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Po jakimś czasie na środku pokoju, w apoteozie strzępów gazet, zużytych szmat i połamanych kluczy płaskich, wyrasta szkielet przyszłego rumaka przestworzy, industrialna skamielina, połyskliwy eksponat z muzeum historii nienaturalnej. Zwykle też na tej fazie wszystko się kończy: nigdy nie ożyły kościotrup zostaje usunięty pod ścianę,

gdzie – już jako oryginalny mebel – pomiędzy żebrami przechowuje poręczny barek z baterią butelek opróżnionych jeszcze podczas jego budowania. W tym czasie środek pokoju okupuje kolejny egzemplarz *tyrannosaurus motocyclensis*, którego przeznaczeniem jest już na pewno, nieosiągnięta niestety przez poprzednika doskonałość.

Starsi motocykliści spekulatywni miewają na swoim koncie po kilka serii wieczyście nieukończonych bolidów i, naturalnie, w każdym momencie są akurat w trakcie montowania kolejnego, którego jednak nikomu jeszcze nie pokazują. W swoich rozdeptanych sandałach, spłowiałych dzinsach i kurtce, co skórzana jest już tylko z nazwy, prócz intensywnej woni towotu roztaczają wokół siebie aurę doświadczonego rastamana, co to w życiu doznawał objawień z niejednego gorejącego krzaka, albo też skrytego geniusza, który skromnie i z dala od fanfar, z myślą o potomności kleci w garażu – powiedzmy – Wehikuł Czasu lub innego „Nautillusa”.

Większość pozostałych fascynatów izirajderyzmu prędzej czy później staje jednak wobec uciążliwej konieczności spowodowania sobie prawdziwego motocykla, choćby po to, aby nikt już ich – z miną zatroskanego sępa – nie wypytywał czy wreszcie to zrobili i czy w ogóle mają taki zamiar. Pomijając kwestię dotkliwego wydatku, stawką jest tu osobisty prestiż. Bez definitywnego zamknięcia gęb szydercom na nic przecież się zda cały ten pilnie hołubiony motocyklowy *image*, a wszak zrezygnować z niego nie sposób, bo dopiero zaczęłyby się złośliwe przytyki, jak to w rodzinie.

Tak więc, ów nieuchronny akt – wybór motocykla, dzięki któremu bycie motocyklistą nabierze wreszcie nowych treści i nowego znaczenia – jest dla każdego adepta niezwykle ważnym momentem. To inicjacyjny obrzęd, podobnie jak dla osiemnastowiecznego pirata było takowym przymierzanie pierwszego w życiu haka. Kontynuując porównanie: aby proteza – to ryczące przedłużenie męskości – należycie spełniała swoją rolę, motocyklista musi być świadom własnych w tym względzie preferencji. Czym innym jest bowiem platoniczne umiłowanie cyklomobilów, z ich złożoną anatomią i profesjonalnie cyzelowanym *visage*, a czym innym praktyczna niestety konieczność siadania okrakiem na iluś tam koniach mechanicznych naraz.

Dobry motocyklista spekulatywny – podobnie jak mason, który mimo całej swej symboliki też przecież nie jest prawdziwym murarzem – nie musi jednak wcale od razu porzucać wszystkich swoich dotychczasowych przyzwyczajień. Posiadać motocykl można również w ten sam sposób w jaki coponiektórzy posiadają szablę dziadka, która nieszkodliwie i jakże bezpretensjonalnie wisi sobie na ścianie.

Tego rodzaju wstrzeźliwość jest jednak zjawiskiem bardzo rzadkim. Powszechnie bowiem panuje przekonanie, że zakupiony motocykl trzeba niezwłocznie przetestować, a pozbyć się go należy nie wcześniej niż po pierwszym poważniejszym doświadczeniu z fizyką kinetyczną – o ile oczywiście uda się wyjść z niego na własnych nogach.

Motocykliści, przyszli i obecni – a jak się nad tym zastanowić to i ci przeszli też – dzielą się na zasadniczo dwie antropologiczne kategorie: czarni (*darkies*) i kolorowi (*coloreds*).

Darkies najlepiej oddają to, co nazywa się archetypem motocyklisty.

Są zwykle brodaci, mrukliwi i wytatuowani, noszą ciemne okulary lub lotnicze gogle, a prócz tego wyposażeni są w różne skórzane (naturalnie czarne) akcesoria, znane z tych wspaniałych osiągnięć niemieckiej kinematografii, w których ścieżka dialogowa sprowadza się do: *Ja! Ja! Schnell! Schnell! Och, ja! Noch einmal, mein groß Bär!*. Czarni motocykliści lubują się w fantazyjnych kaskach z epoki Szarika, w gustownych emblematach totemicznych w duchu wtórnego neandertalu, w pobrzękujących bibelotach i w wykonanych krzyczącymi barwami malowidłach, na których to dziełach sztuki obrazkowej dominują płomienie, czaszki, różnego rodzaju krzyże i w rozmaitym stopniu uskrzydłone kłobuki. Całość jest rodzajem niesłychanie symbolicznego odpustu, z rodzaju tych jakie spotyka się w kościołach Ameryki Łacińskiej, ale jakby widzianego oczami teutońskiej młodzieży z początku poprzedniego stulecia, cierpiącej w dodatku na wagnerowski mistycyzm i chorobliwe zainteresowanie osteoporozą, która to dolegliwość zaostriżyła się nagle, gdy po nieudanym Oktoberfest młodzież owa wracała nocą do domu i droga całkiem przypadkiem wypadła jej obok cmentarza.

Mimo to – a może właśnie dlatego – *darkies* do samych siebie stosunek mają bardzo poważny. Nie wietrzeje on z nich nawet po pochłonięciu większego litrażu paliwa chmielowego, kiedy to najbardziej z natury rozsądny człowiek staje się przyjacielski jak ośmiornica i wylewny jak biegunka. *Darkies* jednak zachowują wyniosłą rezerwę nawet wtedy, doskonale świadomi, że od jednego nieopatrzego gestu zależy może cała ich reputacja. Trenują więc przed sobą – i przed zawsze w takich razach obecną publicznością – zachowywanie kamiennych twarzy, a w tym czasie ich organizmy cichcem redukują cały spożyty zakwas do prostej chemicznie postaci mocznika. Niewykorzystane euforyny alkoholu za pośrednictwem licznych rur i kolanek odpływają potem w kierunku Wolnego Miasta Gdańska, a jedynym efektem tych nasiadówek są z wolna ogromniejące tusze czarnych motocyklistów, których to mas transportowanie stawia z czasem coraz większe wymagania dosiadanym przez nie motocyklom – w większości oczywiście czarnym.

Pojazdy *darkies* wytwarzają jednak przejechane kilometry tylko jako efekt uboczny. Rzeczywista bowiem ich rola polega na emitowaniu donośnego łomotu o niskiej częstotliwości – jakby spowolnionej wersji tak zwanego *techno*, czyli ciężko człapiącej godzilli z dwoma blaszanymi wiaderkami. W przypadku czarnych motocyklistów godzilli w ogóle już nie słuchać, wiaderka natomiast – sądząc po wydawanym przez nie dźwięku – mają kształt i rozmiar solidnych tam-tamów, do połowy objętości napełnionych lekko

świętym kisielom. Hałas ten ma za zadanie penetrować jak najwięcej otaczającego *darkies* otoczenia, który w ten sposób zaznaczają oni jako swoje terytorium. Osobniczy rewir ma kształt okazyjnie przemieszczającej się półsfery, której ściślejszą strefę wyznacza promień rzutu pustą puszką po piwie. Na jeszcze krótszy, bezpośredni już dystans *darkies* atakują chemicznie, zionąc na adwersarza (jeśli dotąd okazał się głuchy i kuloodporny) z gęstwiny zarostu, otaczającego otwór gębowy.

Czarni motocykliści w większych grupach czują się jeszcze raźniej. Zresztą, takie okresowe spotkania są głównym aspektem ich motocyklowej aktywności. Dokonuje się wówczas wśród nich osobliwe przeniesienie wzajemne: starsi już, podtatusiali panowie, którzy na tę okazję, co pozwoliła im chwilowo uciec z rodzinnych pieleszy, wcisnęli się w oszalamiająco skórzane spodnie ze sznurowanym lampasem – ci weterani browarów i hemoroidów, niby to bez szczególnego zainteresowania przepatrują krążących wokół nich – a ich szykownych motocykli przede wszystkim – przedstawicieli młodszego pokolenia, nie tak doskonale jak oni wyposażonych, ale za to jeszcze entuzjastycznych i wciąż gotowych na wielkie poświęcenia, aby w przyszłości móc zostać takimi jak oni – zamożnymi i o szeroko rozgałęzionych znajomościach. Ponad barierą pokoleniową i kulturową (powiedzmy, że to drugie określenie ma tu charakter umowny) tworzy się rodzaj fraternalistycznej więzi, niejako intymnej wspólnoty wszeteczników lub dewotów, dotkniętych fascynacją tym samym fetyszem. Niewątpliwie zaowocowałaby ona prężnym rynkiem usług wzajemnych, gdyby tylko bogaci mogli swą nudę spełnienia wymienić na zapal i jeszcze nieskażone marzenia młodych – bo ci drudzy zapewne nie wahaliby się ani chwili.

Darkies – mimo demonstrowanego wszem i wobec dystansu, a nawet niejakiej wrogości – są poszukiwanym składnikiem folkloru na tak zwanych kempingach (na Pomorzu zwie się je *parkingplatz*), polach namiotowych, biwakach i innych miejscach rodzinnego wypasu związanego z sezonem urlopowym. Czarni motocykliści witani tam bywają przez dziatwę entuzjastycznymi okrzykami *Harlekinowcy przyjechali!*, po czym następuje uświęcony tradycją rytuał sadzania na stygnących maszynach obślinionych bobasów, zaś w tym czasie starsze konusy po kolei obmacują łebki wszystkich kołpaczków i nypli, wokół strzelają flesze, i zewsząd sypią się niezwykle elokwentne komentarze.

W sumie, czarni motocykliści rozdarci są pomiędzy wewnętrznym imperatywem upiększania swego *emploi*, aby był jak najbardziej efektowny – która to potrzeba spowodowała, że w ogóle motocyklistami zostali – a całkiem przyziemną niechęcią do zbytnej ekspozycji wobec profanów, co zasad tej zabawy nie rozumieją, lub też nie mają do niej należytego, epifanicznego szacunku. Jest to tak zwany paradoks klauna: mim nie jest mimem w otoczeniu innych mimów (stąd właśnie bierze się powodzenie motocyklowych zlotów), ale sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej, gdy przypadkiem

takiemu arlekinowi koledzy się akurat zgubią i sam musi stawiać czoła otoczeniu, choć tak naprawdę nie jest przecież aż takim upartym aktorem na jakiego chwilowo wygląda.

Motocykliści kolorowi dla odmiany nie stanowią aż tak malowniczej subkultury – przynajmniej z punktu widzenia psychiatrycznego, bo oczywiście cała reszta jest u nich taka sama.

Typowy *colored* z pewnej odległości (albo przy większej prędkości) wygląda jak rozmazana na kliszy, stukilogramowa paczka czipsów z promocji w jakimś obermarkecie. Kurtki *coloreds*, jak również cała ich motocyklowa garderoba, są bowiem przeważnie utrzymane w stylistyce ich motocykli, które to maszyny należą do zupełnie odmiennego taksonu niż ociężałe z natury i przeładowane ozdobami pojazdy *darkies*. Wśród *coloreds* obowiązuje moda sportowa, jak na wierzchniej powierzchni nart czy deskorolek: kolorowe paski, geometryczne wzory, podkreślające formę plamy i – naturalnie – napisy, które stanowią wizytówkę marki, jednocześnie będąc wyznacznikiem szyku. Choć w dość wąskim, bo dotyczącym tylko motoryzacji sektorze rynku konsumenckiego, *coloreds* są prawdziwymi samobieżnymi billboardami, rozbitą na tysiące pojedynczych filii agencją reklamową, której klientela – producenci olejów, ogumienia, części i całych motocykli *in globo* – wykazuje doprawdy małostkowość, że wszystkich tych gadżetów – kurtek, kasków, butów i rękawic – po prostu nie rozdaje, albo nawet nie płaci za ich noszenie w miejscach publicznych.

W przeciwieństwie do motocyklistów czarnych, ich kolorowi krewniacy, wydają się mieć do siebie nieco większy dystans, choć być może jest to tylko efekt niejakiej standaryzacji. Ich motocykle bowiem wykonane są nierzadko z aluminium, włókien węglowych, albo innych kosmicznych kompozytów, na dodatek zaś pokrywa je karoseria z umiarkowanie szlachetnych tworzyw sztucznych. Wszystkie te materiały są produktem wysoko rozwiniętego przemysłu i jako takie dość opornie poddają się jakimkolwiek przeróbkom. Z punktu widzenia domorosłego majsterkowicza są raczej niereformowalne. Kolorowy motocykl kupuje się w sklepie lub komisie, a nie buduje samemu i dlatego nie ma tu zbyt dużego pola do ekspresji mającej podkreślić bogate wnętrze motocyklisty. Ewentualne przeróbki odbywają się gdzieś w trzewiach tych maszyn i polegają na wymianie jakiejś części – zaworka, pierścienia, czy popychacza – na inny, też zresztą po prostu kupiony, ale za dużo większe pieniądze niż był wart ten, co dane miejsce w mechanizmie zajmował dotąd. Zmiany te, z zewnątrz mało widoczne i znikomo efektowne, są za to niezwykle efektywne, gdyż wszystko co kolorowi motocykliści robią (lub co zamierzają zrobić, albo też nad czego zrobieniem się dopiero zastanawiają) podporządkowane jest tylko jednemu dążeniu. Jest nim wykonanie sobie jak największej ilości zdjęć.

Zamiłowanie do fotografii *coloreds* praktykują dwojako.

Model pierwszy wymaga pokonywania długich tras do różnych miejsc, gdzie przy drodze stoi tablica informująca o wjeździe do jakiejś miejscowości, na przykład: *Casablanca*, *Saint-Tropez*, *Nowoborysoglebsk*, czy *Wiśakhapattam*. Zdjęcie z taką tablicą w tle, a motocyklem na planie pierwszym, umieszcza się potem w specjalnym albumie, który należy wozić ze sobą, na wypadek gdyby napotkany podczas tych peregrynacji współplemieniec chciał do niego zajrzeć i – co jeszcze istotniejsze – sam mógł się przy tym pochwalić albumem dużo skromniejszym. Dobrze spasiony album, podobnie jak we właściwy sposób dobrane naklejki z nazwami markowych firm, to podstawowy wyznacznik prestiżu i przepustka do silnej pozycji w grupie.

Fotografia krótkodystansowa obywa się natomiast bez uciążliwych podróży, nie pozostają jednak po niej dające się zademonstrować krewnym i znajomym odbitki. Ta drobna niedogodność nie zniechęca jednak fotoamatorów, ponieważ w tym rodzaju *hobby* ważny jest sam akt, nie zaś jego *memoria*. Zdjęcia wykonuje automat sponsorowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, jeden z tych coraz liczniejszych ostatnio strachów na wróble, stawianych przy skrzyżowaniach, rondach, czy w innych newralgicznych miejscach – ale też i na całkiem prostych odcinkach, gdzie wcześniej bezzasadnie wyrósł ignorowany dotąd przez wszystkich znak z ograniczeniem prędkości na facjacie. Kolorowi motocykliści z lubością wyszukują takie miejsca i po troskliwym sprawdzeniu czy fotoradar nie jest, aby zepsuty, na jego własny – i swojej próżności – użytek urządzają nocami próby przekraczania bariery dźwięku, choć zdarza się i tak, że przy tej okazji w zapamiętaniu przekraczają barierę pobocza – zwykle tylko w jedną stronę, zresztą. *Clou* zagadnienia zasadza się w tej dyscyplinie na tym, że bezmyślne mózdzki spod migawki robią drogowym piratom portrety *en face*, podczas gdy kolorowi motocykliści mogące ich zadenuncjować tabliczki z numerami wożą z tyłu. Okoliczność ta, gdzieś komuś umknąwszy, przyczyniła się już prawdopodobnie do większej liczby ofiar niż wprowadzona nieco wcześniej moda na „leżących gliniarzy” – wmontowany w nawierzchnię potykacz, do ograniczania prędkości, a prócz tego wyjątkowo zdalny do trenowania motocyklowego skoku wzwyż.

Prócz opisaną wyżej słabości do wyczynu, *coloreds* są jednak dużo spokojniejsi od swoich czarnych współplemieńców, a w każdym razie obserwacja ta dotyczy tych spośród nich, których można spotkać nie posiadając zdolności mediumicznych. Kolorowi motocykliści występują bowiem w odmianach przed – i powypadkowej, zaś wypadki, które mogą się im wydarzyć możliwe są tylko w dwóch wariantach: albo nic się nikomu nie stało, nie ma więc o czym opowiadać, albo też o tym co się stało opowiadać mogą już tylko postronni świadkowie. Ta prosta arytmetyka rzuca niekiedy na kolorowych motocyklistów coś w rodzaju snopa światła, w tle zaś niemal słychać podniecający werbel – całkiem jak w cyrku, gdy jakiś gladiator trapezu szykuje się właśnie do poigrania sobie z grawitacją, co jest bardzo niebezpieczne, ale jak mu się uda to tym lepiej.

Ta swoista martyrologia na zapas – świadomość że, jakkolwiek na to nie spojrzeć, mogą nie doczekać uwiadu czy innej arteriosklerozy – wytwarza w środowisku kolorowych motocyklistów niejaką solidarność i wzmiankowany już, jakby poniekąd stoicyzm. Postawy jawnie egzaltowane, które wśród czarnych motocyklistów stanowią behawioralny standard, pomiędzy *coloreds* zdarzają się dużo rzadziej i nie bywają aż tak przesadzone. Na ich ogólną trzeźwość wpływa też fakt, że czują się zjednoczeni wobec wspólnego wroga – konkurenta do wąskich krajowych szos i możliwych do ustanowienia na nich rekordów – wroga opancerzonego dużo lepiej, często podstępnego i nie aż tak rzadko w stanie wskazującym na prawie wszystko z wyjątkiem rozsądku.

Przy dużych prędkościach i na ciasnych zakrętach owa poszukiwana wśród użytkowników dróg cecha – rozsądek – sprowadza się zresztą do nieprawdopodobnie krótkich sekund. Łysy czerep zamkniętego w emaliowanej puszcze bojka nie jest w stanie obdzielić ich swą percepcją, gdy na siedzeniu obok kolaniem o kolano pociera zerwana w nieodległej remizie smerfetka.

Dość częste w środowisku *coloreds* – by tak rzec: branżowe – pogrzeby przeradzają się więc niekiedy w demonstracje na kilkaset maszyn, co już po dopełnionej ceremonii z niespieszną ostentacją kawalkadują tam i z powrotem, przed nosem stłoczonych w przecznicach puszkarzy. Rywalizacja z nimi – z tymi kultywatorami rasowanych *beemwic*, *audic* i innych *golfów* – przybiera na sile w sezonie godowym, który zarówno dla kolorowych motocyklistów jak i dla znieawidzonych przez nich bojków trwa od pierwszego wiosennego wysuszenia asfaltu aż do akcji „Znicz”, na początku listopada. Wtedy to błękitne anioły, na spółkę z panią co w telewizorze przepowiada pogodę, robią profilaktyczny porządek z jednymi i z drugimi, jak co roku przyczyniając się do poprawienia statystyk – z tym, że głównie swoich własnych.

Opisane w tym tekście przypadki przynależności do subkultury motocyklistów wynikają – jako się rzekło – z faktu posiadania motocykla. Stanowi to jednak zaledwie połowę, lub może nawet tylko jedną trzecią całej skali zjawiska.

Ta wymykająca się klasyfikacji reszta, rzesza mniej lub bardziej platonicznych motocyklistów spekulatywnych, w stosunkowo jednolitej masie społeczeństwa uprawia swoistą antymimikrę. Potrzeba odróżnienia się – prawdopodobnie główny motyw tych działań – znajduje u nich ujście w intencjonalnej stylizacji, jak to było w pamiętnym przypadku Clarka Kenta, który choć latać nie potrafił i tak chodził w kostiumie granego kiedyś przez siebie Supermena.

Motocykliści spekulatywni, podobnie jak spekulatywni mularze, są ważnym i godnym uwagi składnikiem naszej kultury. Stymulowana przez rozwój motocyklizmu, obyczajowa rewolucja należy już do faktów dokonanych i na dodatek – w przeciwieństwie do rewolucji wywołanej przez masonów – tym razem szczęśliwie obyło się bez gilotynowania.

Motocyklizm spekulatywny jest kolejnym wyrazem odwiecznego dążenia ludzkości w kierunku polepszania swego bytu i swego mniemania o sobie.

Jest wzniosłą tęsknotą do Absolutu, postrzeganego w akcydentalnej formie spalinowego Bicykla, którego posięście symbolizuje drogę ku coraz wyższym wcieleniom, poprzez awatary kolejnych chałupniczych konstrukcji, narodzonych siłą Rozumu i przy udziale Zdolności Manualnych, pod kierunkiem Woli, dążącej w stronę wyznaczoną przez Pożądanie.

16 Z innej beczki

W tym tekście nie będzie ani słowa o motocyklach. Nie będzie także niczego o motocyklistach. Nie będzie nawet o tym, kto tu kogo tak naprawdę posiada i co z tego wynika.

Będzie za to o bliskich spotkaniach trzeciego stopnia z jedną niewiadomą, o tajnych organizacjach, o których istnieniu wszyscy wiedzą i dlatego nikt ich nie podejrzewa o to, że są tajne, oraz o zagadkowych znakach pozostawianych przez niezidentyfikowane pojazdy na krótko przed tym jak zaczęły być niezidentyfikowane. Pewną rolę odegrają też dwa miasta, z których jedno naprawdę istnieje, a co do drugiego opinie są podzielone – niektórzy twierdzą nawet, że jest ono tylko spiskiem kartografów i listonoszy. Żadnego z nich jednak nie odwiedzimy, ponieważ opisane niżej wydarzenie miało miejsce dokładnie w połowie drogi pomiędzy nimi.

Droga ta – krajowy odcinek E7 pomiędzy doliną górnej Wisły a tak zwaną Szkieletczyną – jest jednopasmową stróżką asfaltu, krętą, wyboistą i wykoleinowaną przez ciężarówki. Ciągący się wzdłuż jej obu poboczy rów na wielu odcinkach przypomina regularną fosę, w której bezapelacyjnie zginąć musi wszystko, co jest mniejsze od fadromy i bardziej filigranowe niż przeciętna lokomotywa. Dodatkowo szosa biegnie w alei drzew, rozmieszczonych z morderczą precyzją wszędzie tam, gdzie tylko jest jakiś raptowny zakręt, grzbiet wzgórza, lub nieoczekiwane zwężenie. Choć wyrastają one w – zdawałoby się – dość dużych odległościach od siebie, na skutek działania dziwnych prawdopodobieństw zwykle jest tak, że pomiędzy kolejnymi pniami nie przemknąłby się nawet odchudzony ze wszystkich czterech błotników maluch.

W pewnych porach dnia – a konkretnie: nocy – są to najszybsze drzewa w Polsce; umykają w tył z prędkością dochodzącą do dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. W każdym razie tyle podobno wykazał kiedyś zainstalowany niedaleko Miechowa, pierwszy w tym rejonie elektroniczny radar do nadzorowania ruchu. Obecnie jest to już jednak wydarzenie legendarne. Nie ma nawet zgody co do samego rekordu: niektóre źródła korygują go o jakieś pół setki, a inne wręcz przeciwnie – twierdzą, że jest właśnie o tyle zaniżony.

Zjawisko śmigających drzew nasila się niekiedy, na przykład w tak zwane likendy, ale prócz tego trwa przez cały rok, choć jego faktycznych rozmiarów nikt tak naprawdę nie zna, bo rzadko kto jest jego naocznym świadkiem. Wyjątkiem są tylko koty i jeże, które – jako ogólnie niejadalne – nie są przez nikogo strzeżone, nikt ich nie zamyka w kurnikach ani nie uwiązuje u płotu, szwendają się więc gdzie chcą i kiedy im pasuje, co też od czasu

do czasu przyplacają życiem. Ich spłaszczone zwłoki, tak zwane „kotlety”, odnajdywane są przez włóścian dopiero rano; traktują je oni jak ofiary wotywnie dla nocnych potworów, co w ten sposób prześlągane być może nie będą już ich, ludzi, niepokoić za dnia, podczas powszedniego hazardu przechodzenia na drugą stronę ulicy. Lokalny folklor uznaje to nawet za przejaw poniekąd szczęścia – malownicza, tęczowa masakra, która rozplackana na asfalcie tuż przed czyimiś oknami z wolna rozkłada się w wesoło przygrzewających promieniach słońca oznacza, że pod tym adresem można czuć się względnie bezpiecznie, bo przecież nawet meteoryty nie uderzają dwa razy w to samo miejsce.

Wbrew temu, co mogłoby się tu komuś zdawać, wszystko to dzieje się wcale nie za sprawą motocyklistów – żadnych wrażeń *coloredów* na swych plastikowych przecinakach – o których zresztą w tym tekście nie będzie ani słowa. Zwierzętek nie eliminują też dosiadający apokaliptycznych rumaków *blackies*, choć być może im właśnie taka rozrywka sprawiłaby największą przyjemność. Pomoru futrzaków nie da się też przypisać kierowcom tirów ani tubylcom na ursusach: po przetoczeniu się tych pierwszych na asfalcie nie zostałyby bowiem nawet najmniejszy ślad po ofierze, tych drugich zaś zdradziłaby nieomylnie charakterystyczna jodelka protektora; „kotlet” byłby wtedy raczej hamburgerem z rusztu niż tradycyjnym schabowym z asfaltowej patelni.

Sprawcy są gdzie indziej, ale tak naprawdę nigdzie ich nie można zastać, bo w żadnym miejscu nie są na stałe, bezustannie przemieszczając się po wahadłowej trajektorii, jak zdefektowany elektron który nie może się zdecydować, czy wyróżnić ostatecznie w anodę czy w katodę.

Tak się bowiem składa, że tylko niektórzy ludzie urodzili się od razu we właściwym punkcie na planecie. Znacznej większości bocian sprawił głupiego figla – zesłał ich do różnych widmowych miejscowości, co to funkcjonują tylko w czasie przejazdu pociągu, rozmaitych miasteczek na niby, w których na noc wtacza się ratusz do stodoły i zamyka go tam na *kołodkę*, albo już zupełnie przysłowiowych przysiółków, gdzie nawet psy wszystko robią drugą stroną. Ci nieszczęśnicy, jak tylko uda im się przegryźć pępowinę, natychmiast wyruszają w stronę jakiegokolwiek sensownej roboty, a może i kariery, kierując się przy tym zwykle spadkiem terenu, co zapewne znacznie ułatwia im raczkowanie.

Chodzi o to, aby przy pomocy różnych nieistniejących na miejscu szkół i uczelni podnieść sobie prestiż, a potem (lub przedtem) przy pomocy firm i przedsiębiorstw podnieść sobie status – albo odwrotnie. Jak grawitacja ściąga ich więc gorączka złota, a w każdym razie gorączka złotych, przy czym – co ciekawe – zasięg oddziaływania poszczególnych lejów kolapsacyjnych dość dokładnie odpowiada granicom rozbiorowym. Potomkowie ofiar Hakaty pielgrzymują do Pozen i Breslau, plebiscytowy *polenfolk* do Stalinogrodu, w Kongresówce czarną dziurą wydaje się Warsiawa (*Sianowny pan kupi*

ziegareciak? *Obawiam się że wontpie.*), zaś wszystko co na południu, drzwiami i oknami wali do Krakowa, bezpretensjonalnie i bezstresowo, bo i tak przecież nikt nie może mieć takich zalet, jakimi by sam siebie przedstawiał, ani też takich wad, w jakie ubieraliby go jego krewni i znajomi, którzy z tych czy innych powodów pozostali w domach.

Wśród tych cywilizacyjnych emigrantów bywa naturalnie także wielu motocyklistów, o których to motocyklistach w tym tekście nie będzie ani słowa. W ich wykonaniu migracja zwykle wygląda tak, że po prostu któregoś dnia wybierają się na swą zwykłą przejażdżkę w stronę najbliższego horyzontu, ale wracają z niej po miesiącu, dziesięciu latach, albo i wcale. Oczywiście, w międzyczasie wpadają odwiedzać pielesze, czasem nawet dość często (na przykład co tydzień), bo nie łatwo jest tak definitywnie oderwać się od swych korzeni, od swych rodziców, ich portfeli i od swej niewątpliwie ukochanej siostry, przed którą trzeba wciąż bronić pozostawionych w nieużywanym pokoju skarbów dzieciństwa i wczesnej młodości – tych ostatnich zwłaszcza.

Stopniowo, z upływem lat ustawiczne podróże tam i z powrotem po trasie swego osobistego awansu tak wchodzi im, owym przesiedleńcom, w krew, że stają się dla nich rutyną – silniejszą nawet niż mozolnie i z wysiłkiem (zwłaszcza z wysiłkiem wątroby) zdobyte wykształcenie, przesiąknięty dziwnymi oparami, październikowy TBS, do którego – wraz ze wszystkimi przyszłymi dochodami – przykuci są na najbliższe ćwierć wieku, czy wyżsioną (albo i nie całkiem) posada, którą właśnie już zaczynają serdecznie nienawidzić.

Jeżdżą więc regularnie na stare śmieci, z powodów sentymentalnych już, ale i finansowych wciąż także, gdyż nic tak nie utrzymuje więzi rodzinnych jak stały i odpowiednio ukierunkowany przepływ środków płatniczych. Przy okazji odwiedzają swe rodzime, małomiasteczkowe knajpy, gdzie poznają swe przyszłe być może żony – o ile naturalnie nie poznali ich już wcześniej na swej wielkomińskiej uczelni, na którą swego czasu też heroicznie parły, aby – jak i oni – tym sposobem wyrwać się od swych małomiasteczkowych rówieśników.

Ponieważ podróżują stale, droga jest im znana jak mało co; może nawet lepiej niż pochmurny wyraz twarzy znajomego ginekologa. Nawet po ciemku, we mgle, w czasie deszczu, burzy lub trzęsienia ziemi, z największą dokładnością wiedzą gdzie jest ostry zakręt, znienackie skrzyżowanie, niebezpieczna remiza, zdradliwy przystanek pekaesu albo często obsadzana sępownia. Wszystkie te elementy mają ustawicznie w pamięci i to tak dokładnie, że podczas jazdy nawet nie potrzebują patrzeć przed siebie. Ich motocykle (jeżeli akurat są motocyklistami, o których zresztą w tym tekście nie będzie ani słowa) mają na całej trasie do perfekcji opracowane wszystkie łuki i podjazdy; gdyby tylko zamontować im oczy potrafiłyby pewnie same trafiać na miejsce, jak koń z dorożki Gałczyńskiego – o każdej porze dnia i nocy.

Wyścigi odbywają się jednak tylko nocą.

Ich do całkiem niedawna zapalony uczestnik, niejaki Lumen, stwierdził kiedyś, że powód jest całkowicie prozaiczny i w zasadzie taki sam jak podczas eskapady Paryż-Dakkar: chodzi po prostu o to, aby jak najszybciej znaleźć się w miejscu przeznaczenia. W jego ustach zabrzmiało to zupełnie tak, jakby elementarne zasady rządzące światem musiał mało pojętej reporterce wyjaśniać akrobata na co dzień zonglujący fiolkami z nitrogliceryną: trzeba po prostu łapać te, co spadają z góry i wyrzucać je z powrotem z powietrze, aby zwolnić dłonie do złapania innych, które wyrzuciliśmy przed chwilą i które zaraz zaczną spadać. No, czy naprawdę aż tak trudno to zrozumieć?

Coś, co powodowało że Lumen był Lumenem, a nie na przykład kimś zupełnie innym, brało się być może stąd, że on sam wziął się z Kielc, które – jeśli rzeczywiście istnieją – znane są przede wszystkim z ustawicznych chłódów, nawiewanych ze wszystkich kierunków, wbrew wszelkim prognozom uczonych wiatrologów. Ta klimatyczna osobliwość, nie mogąca pozostawać bez wpływu na poddane jej działaniu noworodki, kumuluje się podobno na kieleckim dworcu, na którym *piżdzi* już równo – tak, że paniom w okienkach kasowych wymiata z rozkładu całe pociągi, a w tym samym czasie na bocznicach w nieznanie ulatuje węgiel z węglarek, spirytus techniczny z beczkowsów, bagaże z niedomkniętych wagonów bagażowych i telewizory z dokładnie zaplombowanych wagonów telewizorowych.

Wszystko to powoduje, że na kolej nie ma co tam liczyć, więc każdy od oseska stara się o kilka swych własnych kółek; czterech jeśli tylko starczy mammony, lub dwóch – jeśli tylko nie zabraknie zapłału. Lumen, mając onegdaj do dyspozycji i jedno i drugie, zdecydował się być od razu na sześć kół.

W ten sposób – tłumaczył tonem niespiesznej pogawędki, gdy tymczasem drzewa przelatywały z obu stron z prędkością, która na pewno wystarczyłaby do wyczerpania całorocznego limitu wszystkich możliwych punktów – *W ten sposób poznam zalety i wady zarówno motocykli jak i samochodów, dzięki czemu będę mógł najlepiej połączyć różne techniki prowadzenia.*

Rajdową kierowniczkę wielkości deserowego talerzyka obsługiwał przy tym tylko jedną ręką, bo drugą bezustannie zmieniał biegi, trzecią poprawiał opadające lusterko wsteczne, czwartą szukał zapalniczki, a piątą i szóstą sprawdzał czy to nie, aby jego telefon właśnie dzwoni. Dobrze, że miał jeszcze dwa niezwykle chwytne kolana, oraz pewną ilość stóp, biegających tam i z powrotem po wszystkich trzech pedałach.

I tylko prędkościomierz niewzruszenie pokazywał sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, gdyż w trosce o bezpieczeństwo Lumen zamontował sobie blokadę prędkościomierza.

Kielce – jeśli istnieją – odcisnęły się na Lumenie pod jeszcze jednym względem.

Jako motocyklista, czyli członek grupy społecznej o której w tym tekście nie będzie ani słowa, Lumen był umiarkowanym *coloredem*: miał kask z niepolskimi napisami, motocykl powleczony laminatem i wykupioną polisę na życie, a na widok każdej dłuższej prostej reagował atawistycznym odkręceniem przepustnicy. Miał też nawet album na zdjęcia, ale nie było w nim zdjęć – jako przyszły niewątpliwie profesjonalny fotografik Lumen kupował bowiem tylko profesjonalne aparaty fotograficzne, zwykle zbyt duże, a przede wszystkim zbyt drogie, aby je gdziekolwiek ze sobą zabierać (skoro nawet on tak o nich myślał to znaczy że faktycznie musiały takimi być).

Prócz tego, niczym specjalnym się nie wyróżniał: nie jeździł co prawda na tor do Poznania, aby się tam sprawdzić jako zdobywca pucharów, ale i też nie wystawiał nogi do podparcia na zakrętach. Nie pielgrzymował na zloty, lecz z drugiej strony nigdy nie zaniedbał wystartowania z rykiem sprzed knajpy, gdzie odłogiem przesiadywał kwiat miejscowego dziewictwa. Chodził w skórze nawet jeśli danego dnia nie zamierzał swego jednoślada uruchamiać, ale jeśli minęło takich dni kilka, zdejmował ją bez deliberacji i przepoczwarzał się na poczekaniu w zwyczajnego, typowego nie-motocyklistę.

Dosiadając swego rumaka nie stawał się wcale kimś zupełnie innym, ale nie dało się też powiedzieć, żeby był wtedy zupełnie taki sam. Nie miał do swego motocykla jakiejś szczególnej pasji, choć nie wyglądało też, aby z powodu jego posiadania jakoś szczególnie cierpiał. Gdy nim jeździł to dlatego, że nikt tego po nim nie oczekiwał, a gdy nie jeździł – to ponieważ się tego nie wstydził. Miał motocykl, gdyż nie było żadnych konkretnych powodów, aby go miał, a gdy się go w końcu pozbył, skonstatował refleksyjnie: *Właściwie mogłem go nie sprzedawać.*

Słowem: był motocyklistą jakich wielu.

Za to, jako właściciel i użytkownik pozostałych czterech z szóstki swoich kół, Lumen przedstawiał się jako okaz sam w sobie – kliniczny produkt swoich czasów i swojego okręgu administracyjnego.

Osobliwe to zresztą i ciekawe zjawisko: podczas kiedy na obszarze całego kraju bojkowie – duzi i mali, z paskami na spodniach lub bez i noszący okulary oraz tacy, którym nie zmieściłyby się one pod łuki brwiowe – wszyscy oni statystycznie najczęściej jako obiekt swych fascynacji wybierają różne BWM, niewiadomego pochodzenia audi i mniej lub bardziej rasowane golfy (a nawet maluchy, lecz to już naprawdę ostateczność); w Kielcach i okolicy największym powodzeniem cieszą się ople. Sfatygowane, na wpół zabytkowe Kadetty, Ascony, Rekordy czy inne Senatory są tam pieczołowicie ratowane, hołubione i odbudowywane, aby wyglądały jak w epoce gdy – przynajmniej coponieważ z nich – wygrywały Monte Carlo, a za ich kierownicami zasiadali Delon z Belmondem i czasami nawet Savalas.

Lumen oczywiście opła miał także, jak prawie wszyscy jego dawni koledzy z podwórka, a późniejsi konkurenci na drogach i w dyskotekowniach całej Szkieletczyny. Okazjonalne zjazdy tego towarzystwa, w mniejszym lub większym stopniu z sobą spokrewnionego (jak to w małych miasteczkach), przypominały zawsze festyny komiwojażerów od ekscentrycznego wyposażenia łazienek.

Socjeta, to nieformalne Stowarzyszenie Bardzo Szybkiego Podróżowania Tam I Z Powrotem Po Tej Samej Trasie (SBSPTizPPTST), biesiadowała na trawce, a obok rządkiem parkowały mydelniczkowate – można by też powiedzieć: umywalkowate lub może nawet: muszlowate – kształty w jaskrawych kolorach, zawsze na asfalcie, bo większość z nich na skutek bardzo rajdowych przeróbek nie byłaby w stanie pokonać krawężnika, nie wspominając już o średniej choćby wielkości kretowisku. Wszystkie maszyny musiały też mieć szerokie felgi, rozkraczone przednie wahacze i daleko do przodu wysunięte zewnętrzne lusterka wsteczne – małe i szykowne jak przytwierdzona za ucho do błotnika filizanka. Tak wypucowane roztaczały wokół siebie nobliwą aurę emeryta po przejściach, wszystkie w jednakowej stylistyce przejechanej przez walec syreny 105 – na tej samej zasadzie jak to bywa z garbusami, które po nadeptnięciu przez dinozaura zamieniają się w porsche.

Samochód Lumena – nawet nie najgorzej się prezentująca Manta w modnym w czasach Kojaka kolorze *bahama yellow* – zajmowała środek stawki pod prawie wszystkimi względami, z wyjątkiem stanu technicznego. Ta część zagadnienia znana była jednak tylko tym, co to auto widzieli – albo choćby tylko słyszeli – w ruchu.

Pod cytrynowym lakierem był to bowiem niewymowny rzęch na granicy ostatecznego rozkładu. Wszędzie, gdzie tylko go ujrano wywoływał natychmiast falę spekulacji na temat niewyobrażalnych i tajemniczych sposobów, które z pewnością musiały być użyte do przepchnięcia go przez okresowy przegląd. Ludzie zupełnie sobie obcy zatrzymywali się nagle na ulicy, spojrzzeniami odprowadzali wraka za najbliższy róg, odczekiwali aż rozwieje się za nim czarny dym i umilknie jego gruzliczy chrychot – po czym natychmiast przystępowali do snucia teorii i dzielenia się nimi, zupełnie jakby się umówili, że tego właśnie dnia i o tej godzinie spotkają się w tym oto miejscu i będą tę sprawę roztrząsać.

Sprawa była rzeczywiście ciekawa i niepokojąca, ale jeszcze ciekawsza mogła się okazać odpowiedź na pytanie jaka to nadprzyrodzona poprawka do zasad mechaniki pozwala tej ruinie samochodu poruszać się wciąż o własnych siłach. Z jakiego powodu składające się nań atomy wciąż trzymają się siebie nawzajem? Jak to się dzieje, że silnik, który w tej samej jednostce czasu zużywa niemal identyczną objętość benzyny, wody, oleju przekładniowego i towotu, a także uszczelki i kulek od łożysk – jak to się dzieje, że pracując nie pożarł dotąd sam siebie i jak długo jeszcze mu ten akt autokanibalizmu zajmie?

Lecz mimo wszelkim prognozom i czarnym scenariuszom tworzonym przez dyplomowanych klepaczy, Manta Lumena jeździła wciąż, jakby nigdy nic i była nawet poniekąd bezawaryjna, jeśli nie liczyć ustawicznej konieczności dolewania do niej, dosypywania i dokręcania różnych rzeczy, które zgubiła na ostatnich dwustu metrach pokonanej drogi. Jest doprawdy zagadką wszechświata, że w dniach swej świetności była zdolna do pokonania trasy E7 z prędkością być może nie sięgającą wspomnianego na wstępie rekordu, ale na pewno niewiele niższą, zważywszy na udokumentowany czas przejazdu – w okolicach czterdziestu minut w jedną stronę.

Nie chodziło przy tym wcale o to, że Lumen na swą *femme fatale* skąpił. Bynajmniej.

Kupował jej zawsze najlepszą etylinę i najdroższy olej. Wybierał tylko najlepsze płyny hamulcowe, elektrolity z najwyższej półki i najbardziej renomowaną denaturę do spryskiwaczy. Bez słowa sprzeciwu akceptował potwierdzony doświadczalnie fakt, że połowa tych wszystkich cieczy ulegała zmieszaniu nim jeszcze dotarła w pobliże silnika, a druga połowa wsiąkała w sparciałe przewody i odliczała kilometry czarnymi kropkami na asfalcie. Ze stoickim spokojem uzupełniał zawartość chłodnicy o żeberkach jak sitko do mleka i regularnie – z kluczem nasadowym, młotkiem i kombinerkami – odbywał *tournee* po wszystkich wystających nakrętkach, niezmordowanie naprowadzając je na właściwe miejsce, co się im było wysliznęło z objęć, razem z wyrobionym gwintem. Ustawicznie latał też instalację elektryczną – majsterszyk nowoczesnej neurochirurgii: plątaninę krzyżujących się bajpasów, spontanicznych uzwojeń i obszarów, gdzie nie docierał żaden impuls, a jeśli nawet to i tak nigdy stamtąd nie powracał.

Swoje auto Lumen praktykował z czcią i poświęceniem, i może właśnie tego chciał – aby poświęcenia i czci wymagało. Manta Lumena działała nie dlatego, że było to w ogóle możliwe, ale ponieważ on sobie tego życzył. W tej sytuacji każde pomyślne uruchomienie silnika zakrawało na cud, lecz cud zawsze się zdarzał. Wystarczyło, aby Lumen skoncentrował na tym całą swą transcendentalną energię, wiarę w magię i w termodynamikę – a auto zapalało i było gotowe jechać choćby na Spitsbergen. Manta funkcjonowała tylko dzięki sile jego woli, co na pewno musiało go bardzo dowartościowywać.

Prawdopodobnie Lumen okazywał też w ten sposób tę samą skłonność do abnegacji, jaką można zaobserwować u rybaków z Ustki: ich kutry zawsze są pokryte rdzą, a drewniane elementy zawsze obłazą z farby. Nie dzieje się tak z powodu ich niedbalstwa czy przez zamięłowanie do pełzającej rozwałki, lecz ponieważ uważa się tam, iż rzecz nowa starzeje się i niszczy błyskawicznie, zaś rzecz już nieco przez entropię nadgryzioną mieć można jeszcze przez wiele lat, bo chaos nie ima się tego, co już raz naznaczył.

Lumen – choć połowiczny, ale w końcu motocyklista (o których to motocyklistach w tym tekście nie będzie ani słowa) – swoją Mantę kochał jednak bardziej niż swój motor

i to nawet kochał ją taką jaka była, a nie jaką mogłaby być. Mimo jej licznych niedomagań, żywił do niej miłość najczystsza z możliwych, bo prawie bezinteresowną, a to już bardzo wiele, jeśli wziąć pod uwagę, że tak naprawdę chodziło przecież tylko o osiemset kilogramów złomu.

Można było Lumena za to wszystko szanować, ale w żadnym razie nie można mu było tego powiedzieć.

Tak to już bowiem z nimi, z tymi różnymi Lumenami, bywa: bąkniesz coś przypadkiem o ich samochodzie (motocyklu, hulajnodze, albo choćby własnoręcznie zbudowanym kołowrotku do miksowania chomika), nawet bez szczególnej złośliwości czy premedytacji – po prostu wyrazisz swe luźne spostrzeżenie, pierwszą frenetyczną myśl – a oni i tak się obrażą, jakby tylko czekali na najlżejszy pretekst żeby to zrobić.

I nie jest przy tym ważne jak bardzo się starałeś. Choć wyraziłeś swe zainteresowanie przedmiotem ich uwielbienia, uczyniłeś wysiłek, aby ów przedmiot w ogóle zrozumieć, a nawet dałeś wyraz swej dla niego tolerancji poprzez twórczy komentarz, którym sobie zagadnienie przybliżyłeś, aby też się z nim trochę poidentyfikować – wszystko na nic. Dla nich zawsze będzie to obelga, jak zdanie w najlepszej wierze wypowiedziane w którymś filmie przez Gaucho Marxa: *Pańska żona wcale nie jest taka gruba na jaką wygląda*.

Odkąd kanarkowa Manta Lumena wróciła do Kielc, aby tam ostatecznie spocząć na kołkach – przynajmniej do czasu aż ktoś się być może nad nią w ten czy inny sposób ulituje – ostatnim epizodem jej ponad trzydziestoletniej epopei jest przygoda z latającą blachą trapezową. Epizod zdarzył się naturalnie na znanej nam już drodze E7, w miejscu gdzie przecina ona Miechów, miejscowość na niby, o której istnieniu wiedzą tylko ci, co mieli pecha się tam urodzić.

Miechów spał jeszcze smacznie owego poniedziałkowego poranka i nic się w nim nie poruszało, z wyjątkiem rencistów, których o tej wczesnej porze wygoniła z łóżek wczorajsza migrena. Odczuwany przez nich nałogowo ciężar egzystencji i ból życia spowodowały, że tylko oni, zbici w szary tłumek przed zamkniętym jeszcze monopolowym, byli świadkami zdarzenia.

Lumen gnał do Krakowa, gdyż akurat tego dnia nie mógł sobie zajęć odpuścić, ani nawet nie mógł się na nie spóźnić, bo już wszystkie te możliwości był wykorzystał. W przeciwną stronę – z powodów być może podobnych, ale może zupełnie innych – nieuchronnie zdążył z lekka przeładowany tir, biały jelec ze zbyt długą nawet jak na niego naczepą, po której ślizgały się wesoło błyszczące, cynkowe arkusze, dwa i pół metra na cztery. Spotkanie wypadło im na zakręcie przechodzącej przez ryneček szosy. Cekał tam już na nich jeszcze jeden uczestnik wydarzenia – przypadkiem zabłąkany w te rejony, typowo świętokrzyski poryw, przybyły z nikąd i bez żadnego ostrzeżenia.

Blachę, która leżała na samym szczycie targanego przez jelicza stosu elegancko podgięto, zakolebało i wydeło, po czym *pidęło* ją – jak to w kieleckim – lotem koszącym, prosto w zastygłą ze zdziwienia, spłaszczoną mordę Manty.

No, to było jak Roswell – zeznawał potem Lumen, swobodnie i po gawędziarsku, gdy tymczasem drzewa śmigały po prawej i po lewej, a dłoń zmieniająca biegi odpisywała na esemesa jednocześnie poszukując w radiu ciekawszej stacji.

Lumen zobaczył nad sobą wielki cień i zdążył jeszcze pomyśleć, że zaraz go ten cień nakryje, a wtedy z góry spłynie niebieskie światło i elektroniczna muzyka, i z oparów wyjdzie Steven Spielberg ze świecącym palcem i powie: *home, home, o-o-o, home*.

Gdyby jechał wtedy nieco szybciej i był na miejscu o ułamek sekundy wcześniej, blacha przerznęłaby go na pół razem z samochodem. Ponieważ jednak jego miejsce w czasoprzestrzeni znalazło się o kilka metrów dalej, trapezowy arkusz – z łomotem, jaki wydałaby zrzucona z balkonu orkiestra dęta – rozścielił się niegroźnie tuż przed zderzakiem Manty. Manta zaś wpadła nań jak na ślizgawkę i jak ze ślizgawki z niego zjechała – bokiem w bok i ręka-noga-mózg-na-ścianie.

W epilogu tej anegdoty miechowscy renciści, na chwilę przeprosiwszy się z ideą fizycznego wysiłku jako pracy zarobkowej – i jeszcze bladzi jak upiory z bajki o źródle żywej wody – spychają Lumena z powrotem na jezdnię, aby zabrał stąd ten swój cholerny żółty zlewozmywak i nigdy więcej nie ważył się tak zagrozić samej podstawie ich egzystencji. W każdym razie, sklep monopolowy z kanarkową rysą wzdłuż całej witryny (na szczęście nie pękła) wyglądał jak Tytanik, któremu tym razem się udało.

Manta – o dziwo – wyszła z tego wszystkiego prawie bez szwanku, a nawet od razu zapaliła, natomiast blacha została niezwłocznie zatargana za róg i pewnie nie minęła godzina jak znalazła się w jakimś lokalnym punkcie skupu. Tir nawet się nie zatrzymał.

Renciści, kiedy już uspokoili skołatane nerwy, wydelegowali swego przedstawiciela, który Lumenowi oświadczył, że za ich stres i pomoc przy pchaniu *na wino się należy*. Lumen, też jeszcze nieco skołatany, w przypiływie słabości wyasygnował dychę. *O! – ucieszył się delegat. – Na tyle win! To pan następnym razem niech tu też przejeżdża o tej porze. My znowu pomożemy.*

Lumen z głupia frant zapytał, czy oni tu ogólnie żyją ze sprzedawania tego, co na tym zakręcie spada z ciężarówek i czy w związku z tym nie lepiej byłoby im czatować raczej na cysterny. Miało to rozładować atmosferę, ale skutek był dokładnie odwrotny, bo głównemu renciście coś się przez to musiało przypomnieć. Zmierzył Lumena badawczym spojrzeniem najpierw prawego, a potem lewego oka, po czym stanowczo zdementował:

Tamte zatrucia na weselach tydzień temu to nie my. – I, konfidencjonalnie zniżając głos, dodał: – *My uważaliśmy. Nasza była z innej beczki.*

17 Asasyn

Przyszedł do mnie w poniedziałek, po południu, w porze, o której zwykle nie miałem żadnych zajęć. Zadzwoił z dołu, a gdy powiedziałem, że już schodzę, oświadczył, że to zbędne. Nie wiem w jaki sposób przekonał portiera, żeby go wpuścił, ale – cokolwiek to było – musiało podziałać i na naszego nowego ogrodnika, który znalazł powód, aby bezwiednie uchylić przed nim swego służbowego kapelusza ze zbielejącej na słońcu słomy.

Przywitał się bez wylewności i od razu poznałem, że nie kłamał podając powód spotkania, o które prosił. Byłby to zresztą bardzo niesmaczny żart, ale on nie żartował. Na jego twarzy widziałem wszystko prócz chęci żartowania na jakikolwiek temat. Był taki, jakim nigdy go nie widziałem, oczywiście nie licząc naszego ostatniego spotkania, lecz wtedy grał i jego ustami mówił kto inny. Teraz znów, jak wówczas na planie, tą klasyczną, pretorską twarzą targał podskórny dreszcz, objawiający się w kącikach oczu i na zarosłych policzkach skurczonych w cień uśmiechu, który nigdy mu się nie udawał.

Bo Barry nie zwykł się śmiać. Prawie nic nie wytrącało go z jego własnego milczenia, którym oddzielał się od tych wszystkich, kłębiących się wokół ludzi. Barry nie uśmiechał się do nich, tylko przystawał na chwilę, błyskał swymi olbrzymimi, ciemnymi okularami, i po sekundzie bezszelestnie wymijał rozmówcę. Zostawiał go za sobą jak znak drogowy informujący o ograniczeniu prędkości.

Tę właśnie pozę kupił Norman, gdy dobierał obsadę i tylko jeden raz skłął go przed całym zespołem. Jesteś O.K., powiedział na koniec, ale to jedno zdanie musisz wykrzyczeć! I Barry, zirytowany i przerażony, że nie może tym razem wycofać się z ekspozycji swojej osoby, osaczony przez reflektory i statystów, tak autentycznie, jak nikt by nie mógł tego zrobić, wrzasnął do, niemniej od niego zniecierpliwionego, Teda Neeleya:

*I wash my hands from your demolition.
Die if you want to! You... innocent puppet!**

To była kulminacja, a zarazem ostatnia fraza jego roli. Zszedł z planu równie świadomy swej fikcyjnej winy, jak teraz świadomy był winy prawdziwej.

Kiedy podawał mi dłoń – przywitałem go pod obrośniętym rusztowaniami portalem dawnej klauzury – nie mogłem się zdecydować, czy głęboko wrośnięty i widoczny pod paznokciami brud jest wynikiem trudów podróży, czy też jakimś głębszym odbiciem

* Melvyn Bragg & Norman Jewison: *Jesus Christ Superstar. The story* – scenariusz na podstawie rockopery Tima Rice'a pod tym samym tytułem.

wewnętrznego stanu ducha. Ale ponieważ ja także czułem między palcami lepkość towotu, a mój chałat wionął wszystkimi możliwymi rozpuszczalnikami, których używałem przy pracy, gładko przeszliśmy nad tą sytuacją, unikając niepotrzebnego zażenowania. Razem więc wkroczyliśmy do nawy, tylko umownie kalając ją nikczemnością naszego wyglądu – pod ścianami leżały, wciąż nie zmiecione, kawałki tynku i drobne ułamki cegieł.

Robotnicy dopiero dzień wcześniej rozpoczęli usuwanie gruzu; po drewnianym mostku wywozili go na drugą stronę ulicy, gdzie przechylali taczki nad skrzynią wieczyście wypożyczonego z kopalni, starego chryslera, o szoferce, z której płatami schodził lakier w kolorze khaki. Tylko wielka niebieska naklejka Soléa Mine na masce zaświadczała, że ten wiekowy gruchot od dawna już służy celom wyłącznie pokojowym. Właściwie dostaliśmy go tylko z powodu opinii, jaka o nim krążyła po wszystkich warsztatach w mieście: głosiła, że już tylko ja potrafię go uruchomić. Mimo to pieczołowicie hodowałem tę niebieską naklejkę – nawet takie wsparcie było nam bardzo potrzebne.

Obok ciężarówka stał, równie jak ona zakurzony, motocykl, którym Barry przyjechał z Limassol: ponad sześćdziesiąt mil w niecałą godzinę, jak nie omieszkał zaznaczyć. Maszyna stygła, w ciszy kontemplowana przez kilku wyrostków z okolicy, zwabionych łomotem niskooobrotowego silnika. Nawet ja go usłyszałem ze szczytu mojej popękanej wieży. Po chwili dostrzegłem to, co sobie nawzajem pokazywali: świeży szlif po lewej stronie baku.

Barry wzruszył ramionami i wykonał nieokreślony gest, przy którym rozdarty rękaw kurtki załopotał i uronił skrawek podszewki.

– Nie pisałem, że przyjadę na pewno. Napisałem tylko, że jest to możliwe – wyjaśnił nie wdając się w szczegóły.

Nie miałem zamiaru tam o tym rozmawiać. Przez zakrystię dostaliśmy się do kolegium, a stamtąd, kręconymi schodami z ubiegłego stulecia, na zawałoną starymi krzesłami emporę.

Z jakichś powodów witraże ucierpiały znacznie mniej niż reszta budynku; nie sprawdziły się zapewnienia ojca Hajipawlisa, parocha, z którym po sąsiedzku dzieliliśmy dziedziniec, że przy najmniejszym wstrząsie pierwsze polecą nam na głowy. Rację miałby stary Mostel: rzeczy zużytych nie ma się entropia, a te, wielokrotnie łatanie okna, z pewnością nie mogły uchodzić za nowe.

Nie zatrzymując się rzuciłem okiem na co bardziej uszkodzone miejsca, tam, gdzie kotwy odginały się już pod ciężarem ołowianych spojeń. Gdziejgdzie zaczęto zabezpieczać je listwami, co oznaczało, że muszę zająć się tym jak najszybciej. Jak najszybciej, ale nie wcześniej niż skończę na górze. Tamto było najważniejsze.

Barry zaczął gdy, łomocąc butami na żelaznych stopniach, wspinaliśmy się ku sygnaturce. Musiałem zatrzymać się na chwilę dla złapania oddechu, i wtedy on wskazał na jedno z pęknięć w murze.

– Idealne miejsce na gniazdo os – powiedział, jakby miał to być wstęp i dalej już mówił nie zwracając sobie głowy jego brakiem:

– W pewnej znajomej stajni było kiedyś takie gniazdo. Osy czasami tylko płoszyły konie, ale kiedy indziej żądliły kogoś zniecka. Wszyscy się bali, bo możesz się opętać, ile chcesz, ale ich jest zawsze o tysiąc więcej niż ciebie. Robiliśmy więc co się tylko dało żeby ich nie prowokować, tyle że one rzadko potrzebowały zachęty. Aż wreszcie, pewnego dnia Darcel usiadła sobie naprzeciw tej dziury z pantoflem w ręce. Siedziała tak, a ściana przed nią robiła się coraz bardziej żółta. Co chwila słyszeliśmy klaśnięcie, ale Darcel jakoś nie krzyczała więc nie uciekaliśmy. Potem przysłała cała dumna i powiedziała: *Wymordowałam je. Co do sztuki.*

Chwilowo śmiech był jedynym, co mogliśmy dzielić, więc nie żałowałem mu tego. Jeżeli miał mi powiedzieć prawdę musiał od nowa wymyślić swój stosunek do mnie. Nie mogłem być już dla niego tym, kogo kiedyś, z podziwem i poufalością nazywał Chryzogyjase – nigdy nie był tak cyniczny jak Marc ani tak protekcyjny jak Mostel, który nawet dziś stroiłby mnie w kapelusz d'Artagnana. Minęło zaledwie osiem lat i uświadamiałem sobie znikomość tego okresu dla mnie, ale Barry, prawie dwukrotnie ode mnie młodszy, musiał patrzeć na to inaczej. Ja tylko zestarzałem się, ale on wydorósł.

Poznałem go jeszcze zanim trafił do filmu. Spotkaliśmy się w biurze American Express. Siedziałem tam, beznadziejnie oczekując wiadomości od ratowników, ale one – jeśli w ogóle nadchodziły – były zawsze takie same: „Mona” wciąż krążyła po całym sektorze, bezwzględnie prowiantując się z każdego napotkanego promu i przepytując wszystkie jednostki, które odpowiedziały na alert. Posterunek radarowy w Akrotiri uruchomił wreszcie bazę i poderwał w powietrze dwa hydroplany, nadchodziło jednak drugie uderzenie *bora* i wiedziano już, że najdalej za dwie – trzy godziny samoloty będą musiały wrócić. Z takim wiatrem nie ma żartów.

Doskonale pamiętam, że sam chciałem wtedy polecieć. I poleciałbym, nawet mimo tego, że zamknięto przestrzeń powietrzną nad całą zachodnią częścią Wyspy – znów były problemy z jakąś turecką bojówką, która dostawała zrzuty z kontynentu. Gdybym wtedy wystartował mogłoby się to nawet skończyć zestrzeleniem i wszyscy właściciele awionetek doskonale o tym wiedzieli.

Więc tak tam tkwiłem, metodycznie zapelniając wszystkie popielniczki i myśląc, że przecież, sam tego chciałem. Sam modliłem się, aby wreszcie móc przestać być, z jednej strony użytecznym *knot`em* do wszystkiego, uprzejmie poklepywanym po plecach,

a z drugiej – bliżej niezidentyfikowanym Luciem, do którego można się niezobowiązująco uśmiechnąć.

– Daj spokój, Luc – mówiła Chirrine i nienawidziłem tego. Ale, na Boga! Nie w ten sposób miało się moje życzenie spełnić!

A Barry, któremu widocznie ktoś opowiedział o moich zdolnościach, tak po prostu wszedł i poprosił mnie o pomoc. W stanie, w jakim się znajdowałem, mogłem zrobić tylko dwie rzeczy: rzucić się na niego, albo powiedzieć: *Okay, synu. Pokaż mi ten twój problem.* Zaraz, na miejscu, na wąskim chodniku opodal ruchliwego skrzyżowania, we dwóch rozebraliśmy, wyczyściliśmy i złożyliśmy do kupy jego pierwszy, a mój nie pamiętam który gaźnik. Potem uścisnęliśmy sobie dłonie i tak się poznaliśmy. Dwie doby później „Mona” wróciła z niczym; przepływając koło pirsu oddała ostatni salut. Razem zapiliśmy jej powrót i razem znaleźliśmy sposób, aby o nim zapomnieć.

A potem, zanim, pod koniec siedemdziesiątego piątego, Barry otrzymał od samego Normana Jewisona propozycję zagrania jednej z głównych ról, zdążyliśmy jeszcze zrobić to, co każdemu z nas już od dawna chodziło po głowie i o czym wiele razy prowadziliśmy długie rozmowy: wypróbowaliśmy brodwayowski scenariusz Tima Rice’a. Dzięki temu, w dniu premiery „Superstara” wiedziałem, że, mimo cenzury i wymogów komercji, na ekrany trafi coś autentycznie nowego. W ten sposób Barry został aktorem, a ja – po zainkasowaniu honorarium szefa techników, powrocie na Wyspę i rozmowie z księdzem Outinem – drugi raz w życiu znalazłem uczciwą pracę.

Pierwszy raz miał miejsce w zupełnie innych czasach. Różniły się one od lat siedemdziesiątych w tym samym stopniu, w jakim moje pokolenie różniło się od ludzi, którzy w sześćdziesiątym ósmym – gdy moim rówieśnikom przyznawano medale – rzucali kamieniami do policjantów de Gaulle’a.

Wojna dopalała się już i od dawna wiadomo było jak się skończy: z eteru bez śladu zniknęły włoskie audycje propagandowe, zastąpił je jazz, transmisje sportowe i relacje z wyborów „Pin-Up Girl of The Lear”. Do naszej szkatki trafiało też coraz mniej podziurawionych kutrów, za to te, które zatrzymywały się na remont, coraz częściej przywoziły różne, nie wiadomo z czego wyjęte silniki. Po ich każdej wizycie potykaliśmy się o sterty zdumiewających części i towarów, upłynnianych potem przez nas na bazarze w Varosha.

Anglicy patrzyli na to przez palce. Dla urlopowanych z Syrii czy Tunezji żołnierzy tacy jak my byli czymś w rodzaju skrzyżowania sutenera z Aniołem Pocieszycielem. Dostarczaliśmy im rozkosznej egzotyki na dni spokojne i kilku nieskomplikowanych ułatwień życia w dni waleczne. O każdej, natomiast, porze mogli liczyć na nasze wszędobylskie oczy i uszy. Niejedna rozpadająca się ze starości krypa zarzucała nocą sieci tylko po to, aby, dryfując bez świateł pozycyjnych, wypatrzeć jakąś kanonierkę albo

zabłąkany trałowiec. I któż mógłby odważnemu szyprowi wyrzucać, że niekiedy, zamiast wroga, zjawiał się kuter z włoskiej strony i na środku morza przeładowywano kartony z alianckimi konserwami? Maris Stella, Gwiazda Mórz, niejedną miała wówczas twarz.

Varosha natomiast była wtedy miejscem podobnym nieco do ateńskiej Plaki. W pół drogi między starą Famagustą i nowym portem, przy szosie przecinającej bazę Dhekalia i wiodącej dalej ku Larnace, a potem wzdłuż wybrzeża do Limassol i Akrotiri, była bezcłową karawansjerą z bajki o Harun-al-Raszydzie, dobrym kalifie, co patrzył człowiekowi prosto w serce, by w ten sposób nie musieć spoglądać na jego ręce. Ludzie, którzy witali się mówiąc: *Ti néa?* i ci, którzy w takich sytuacjach odpowiadali *Iyilik saglik*, bez oporów wymieniali się towarem i nowinami zawsze gotowi przerwać targi jeśli nadarzała się okazja by w miejscowej *lingua franca* zapytać: *D'iu lookforr sometin, Miester?*

Islamski pasterz i prawosławny wieśniak mijali się w drzwiach maronickiego winogradnika, u którego, przy stole gdzie grano w domino, żydowski handlarz właśnie sprzedawał algierskiemu Francuzowi w mundurze służby pomocniczej dwa prawdziwe Żelazne Krzyże i jeden krzyż srebrny, ale za to koptyjski z VII wieku, dotąd własność pewnego Libańczyka, zatrudnionego w dokach amerykańskich torpedowców. Za walutę służyły dolary, funty, liry, papierosy, naboje, stalowy drut, benzyna, owoce, alkohol, owcza przędza, konserwy, płytki surowej miedzi, gwoździe, przyprawy, oraz sól. Można tam było, przy pewnej dozie szczęścia, znaleźć i, po wielojęzycznych targach, nabyć najbardziej niespodziewaną rzecz (na przykład łopatę do odgarniania śniegu), ale nigdy nie udało się dokupić nawet najpospolitszej rzeczy do pary; chaos niewzruszenie strzegł się od jakiegokolwiek uporządkowania.

Jeździliśmy tam – ja i mój współnik, Yousi Asbest – trzy do pięciu razy w tygodniu. Od czasu do czasu, ale niezbyt często, w drogę powrotną zabierał się z nami małowzrostny osobnik, niekiedy śniady i z czarnymi wąsami, a innym razem jasnooki blondyn, nieodmiennie w brudnym burnusie i z kilkudniowym zarostem. Zawoziliśmy go na południe, na którąś z plaż w pobliżu przylądka Gréko, gdzie przesiadał się do jakiejś – a zawsze jakaś tam dyżurowała – przechylonej feluki, by po pewnym czasie, *via Kair*, wylądować w Kapsztadzie albo w Argentynie.

Ale tamtego dnia nasi pośrednicy – sprzedawcy najpewniejszego na świecie rodzaju amnestii – nie przyprowadzili nikogo i składaliśmy już majdan by tym razem wracać bez pasażera. Yousi posłał mnie po coś do Cytadeli – nie pamiętam już czy chodziło o przepustkę na następny dzień, czy o bakszysz dla Hawksmoora „Sześć Gwiazdek”, kapitana portu. Przy bramce posterunku żandarmerii zaczął mnie wtedy pewien facet.

Zobaczyłem, że ma ze trzy metry wzrostu, siwe wąsy i nie budzący najmniejszych wątpliwości nos. Nosił korkowy kapelusz, tropikalny garnitur – zapewne niegdyś biały, ale biel ta musiała już sobie liczyć parę lat – i popękane buty z kłaniami, a uzupełnieniem tych wyświechtanych wspaniałości była monstrialna kabura, szcerniała

i wyświecona na kantach. Moją skórzaną, poplamioną smarem, kurtkę wziął za oznakę profesji, której poszukiwał.

Zaczął mówić po angielsku, potem nagle zmienił zdanie i, przebrnąwszy przez greckie *parakaló*, utknął przyglądając mi się badawczo.

Nawet dziś jeszcze mi się to przytrafia: na tej wieży Babel, jaką Wyspa stała się po wojnie, poszczególne nacje rozpoznają się wzajemnie, ale gdy ktoś stanie przede mną nie wie, którego języka powinien użyć.

Kiedy rozmawialiśmy, zza jego pleców wysunęło się prześliczne stworzenie ze statywem i wielkim, przedpotopowym aparatem fotograficznym na plecach: wszystko to musiało sporo ważyć. W pierwszej chwili pomyślałem, że tak je wykorzystywać to nieludzkie ze strony tego dragała. Dość szybko miałem się jednak przekonać, że wszystko to było znacznie bardziej skomplikowane. Inna rzecz, że, w połączeniu z takim argumentem, propozycja Mostela była co najmniej nieuczciwa: zażyty w ten sposób nie miałem szans by się otrząsnąć i odmówić. W końcu dogadaliśmy się, a w następnym tygodniu – już przez bandażę – przybiliśmy umowę.

Yousi, na zmianę lamentując i przeklinając, w jednej chwili mówił o pieniądzach i złotym interesie, gdy nastanie pokój, by już w następnej życzyć mi, głupiemu *maláka*, wszystkich nieszczęśliwych wypadków, jakie tylko zdołał sobie przypomnieć. Jeszcze w drzwiach zapewniał mnie, że szybko zmadrzeję, ale wtedy niech sobie idę pracować do Arabów, albo do samego diabła. Wypiliśmy całą butelkę nim w końcu mnie puścił. Przez cały czas jakaś część mnie we wszystkim przyznawała mu rację. Nie miała jednak większych szans z takim socjotechnikiem jak Gabris Mostel.

I tak zaczęła się ta pierwsza w moim życiu uczciwa praca. Oczywiście uczciwa, gdyby rozpatrywać to, co robiłem dla Gabrisa, a nie to, co Gabris robił w ogóle. W moim taborze uważano jednak, że ślusarz wynajęty przez włamywacza, sam w sobie włamywaczem nie jest i to głębokie przekonanie zachowałem na długo; prawdę mówiąc nie pozbyłem się go nigdy. Tamtego roku na aukcjach i giełdach antykwarycznych modny był wenecko – bizantyjski Wschód, więc na moje neofickie wykopki pojechaliśmy do Gastrii, w pobliżu przylądka Eléa.

Mostel odbył tę podróż prosto ze szpitala, gdzie, prócz bandaży, założono mu na szczękę szynę ortodontyczną. Pozostali opowiedzieli mi potem, że to nie kto inny, a właśnie drobna, żalowana przeze mnie Chirrine tak go urządziła; chciała tylko skarcić poufałość starego satyra, a, przez krew swych przodków – z Hannibalem i Dragutem na czele – tym jednym policzkiem omal nie urwała mu głowy. Długi czas wydarzenie to było naszym stałym tematem, ale odkąd Marc i Feivel nie żyją, a ja muszę używać laski, już

mnie ono nie śmieszy. Być może powinienem uznać, że mimo wszystko wyszedłem obronną ręką?

Wszystko to nagle wróciło do mnie, gdy tymczasem Barry, wdrapał się na górę o parę swoich i kilkadziesiąt moich oddechów szybciej niż ja. Omiótł wzrokiem uszkodzony mechanizm i zadarł głowę ku sercu Świętej Marii.

Części, które jak dotąd udało mi się wymontować, leżały na deskach, pozawijane w natłuszczony papier. Niektóre zaniósłem już na poziom zegarowy, powyżej dzwonu, o innych wiedziałem, że nie trafią tam nigdy: złamana oś sprężynowa, zerwany zaczep balans, jeden z przekładników i dwa wały tarczowe. Szczęściem reszta ocalała, nawet oba żeliwne jarzma, które przecież pierwsze mogły popękać i rozlecieć się w skorupy. To mocowania dzwonu w znacznej mierze spowolniły upadek, a i tak siła uderzenia dała się odczuć konstrukcji podestu; mechanizm zdemolował kilka stopni i zmiażdżył jakieś cztery metry barierki. Teraz zastępowały ją wyjęte ze starych ławek deski.

– Czas stanął w miejscu – powiedział Barry, przyglądając się pogiętym wskazówkom długości swego ramienia. – Zostałeś ratownikiem czasu. Świat nie będzie się kręcić, póki nie zdołasz go naprawić. Tym razem zależy od ciebie naprawdę dużo.

Zapytałem, czy nie nazbyt łatwo przyszło mu połączyć kwestię czasu od razu z całym światem.

– Kiedy coś się popsuje, poważnie popsuje, czas pierwszy da nam o tym znać – odparł. – Zresztą teraz też tak było. Ten zegar to *another bit of Mordor*.

Uśmiechnąłem się, ale zaraz uzmysłowiłem sobie, że i ja miałem podobne myśli. Nieraz mierziło mnie takie ludyczne pojmowanie dobra i zła, często jednak nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że to jakiś cienki, czarny palec wysuwa się z Tamtej Strony i dotyka różnych rzeczy, a one niszczą albo umierają. Tym sposobem ostateczna zagłada rozbija się na miliony drobnych i mniej drobnych, ale zawsze pojedynczych przypadków, mimo to zawsze konsekwentnie zdąża do celu. Obserwujemy ciągłą, nieubłaganą apokalipsę, rozłożoną na nie budzące niepokoju raty.

Powiedziałem jednak, że przecież jeśli na powrót uruchomię zegar, ciemność wycofa się o ten jeden krok.

– Owszem. Jeszcze tym razem. I nie o cały. – Wskazał na bezużyteczną już, złamaną oś i leżący obok stalowy pręt, szlifowany przeze mnie na wymiar. – Poza tym – dodał – jeszcze przez jakiś czas zegar nie będzie działał, taka naprawa musi trochę potrwać. To także może mieć jakieś konsekwencje.

W tamtych czasach w mieście – a właściwie w jego chrześcijańskiej części – katolików było jeszcze mniej niż teraz. Teraz jest misja maltańska, są franciszkanie i jezuita, a przede wszystkim nuncjatura, ale wtedy do Świętego Krzyża koło bramy Páfos poza turystami

zaglądała najwyżej kilkudziesięcioosobowa grupka. Ojciec Hajipawlis miał podobną frekwencję, więc tak, na samym skraju, tuż przy Zielonej Linii pasaliśmy nasze stadka, a o dziesięć kroków dalej Szwedzi i Australijczycy w błękitnych hełmach patrolowali strefę buforową. I tylko nasza wieża, jako jedyna w okolicy, wygrywała kwadrans. Gdy rozbrzmiewały, nawet na tureckiej stronie wiedziano, że wciąż trwamy. Barry miał rację.

„Pasaliśmy” to w moim przypadku powiedziane nieco na wyrost. Ksiądz Outin przyjął mnie, ale nawet on, mimo najszczerzych chęci, nie mógł uznać mojego niegdysiejszego – nigdy zresztą nie ukończonego – nowicjatu. Po ponad trzydziestu latach świeckiego życia, w którym mieścił się Yousi, Gabris i jeszcze parę innych epizodów, moje powołanie było równie wątpliwe, co osobliwości fabrykowane przez Chirrine na tyłach jej sklepu z antykami.

Ale Barry nie miał takich obiekcji – gdyby je miał, nie przyjechałby.

– Poznałem ich prawie przypadkowo – mówił, a ja słuchałem. – To znaczy, ich razem, bo wcześniej znałem każde z osobna. Mossy był dziennikarzem. Pasożytował na prawie wszystkim, z czego miał szanse wyciągnąć jakąkolwiek wierszówkę. Żył z nich, ale poza tym zbierał materiały do książki o Montparnassie w latach międzywojennych. Interesowali go ludzie ze Stanów, którzy przez jakiś czas tworzyli w Paryżu, jak Hemingway czy Miller. Zresztą sam wiesz lepiej, to bardziej twoje czasy niż moje. Może gdyby zainteresował się też Jimmym Morrisonem łatwiej połączyłby to, o czym pisał, z tym, co sam robił. Kiedy wszyscy troje spotkaliśmy się w „Kozmic”, Mossy właśnie wrócił z Grecji.

Darcel natomiast zamieszkała w Marsylii, gdy tu, na Wyspie, zrobiło się gorąco i jej rodzice musieli wynieść się z Famagusty. Podobno mieli wielki dom, bo jej stary był kimś ważnym w liniach lotniczych. Do „Kozmic” trafiła jak większość dziewczynek z bogatych rodzin. Tak mi się wówczas wydawało: mają co chcą, nudzą się, więc pewnego dnia zakładają dzinsy.

Ze wszystkich złomowisk wyciągnęliśmy stare gruchoty, najchętniej – i pewnie domyślasz się dlaczego – furgonetki, malowaliśmy je w kwiaty i spod kina jeździliśmy gdzieś za miasto. Po paru miesiącach znaleźliśmy całe wybrzeże, od granicy włoskiej po Pireneje, a najlepiej Camarck i lasy za Axenprovenc. Znali nas też wszyscy żandarmi, ale przymykali oczy jeśli zachowywaliśmy się przyzwoicie. Wiesz jak jest Camarck: błękitne rozlewiska, zielone bagna, białe konie, flamingi... Miejsca wystarcza tam dla każdego. Mossy robił nam zdjęcia i wysyłał je za Ocean, do swojej gazety, (to znaczy do tej, którą bardziej niż inne uważał za swoją). Podpisywał je: *Here comes the sun*. Dlatego nazywaliśmy go Mossym, bo pisał to jakby był jakimś prorokiem i ogłaszał: oto nadchodzi słońce!

Darcel była z nim i do dziś nie rozumiem, dlaczego właśnie jego wybrała. To jedna z tych rzeczy, które są jasne tylko przy skręcie; potem wietrzejesz i mówisz sobie: *Do licha, już jestem z powrotem. Ale coś tam przecież było. Tak, na pewno było!* Czasami jeździliśmy do jakiegoś jej wujka, koło Folcarckeer. To był starszy gość i mówił tylko po francusku, w dodatku gwarą, więc Darcel ledwie go rozumiała, ale chyba nas lubił. Miał stadninę dla bogatych turystów i za pomoc przy koniach wynajmował nam za półdarmo co starsze chabety. Był wtedy z tego naszego Mossy'ego całkiem niezły John Wayne.

Miewaliśmy okresy zarabiania pieniędzy i okresy odlotów. Niekiedy przyłączaliśmy się na krótko do tej czy innej komuny i urządzaliśmy Woodstock. Myślałem wtedy, że jest okay tak jak jest, i że nigdy nie będę chciał żyć inaczej. Bałem się, że jeśli wrócę do domu nigdy już nie będę taki jak wtedy. Coś we mnie umrze. Spotykałem innych i oni też żyli w pół kroku.

Tak czy inaczej wszyscy bali się jutra, cała Marsylia żyła tym strachem jak opiatem: Algierczycy skazani przez swoich na wygnanie, *pieznuars*, co potracili majątki, ludzie tacy jak rodzice Darcel, którzy niewiele stracili, ale i tak byli uchodźcami. Patrzyłem na ich twarze, na ten cały wytworzony przez nich bałagan, którego sami stali się ofiarami, i myślałem, że ja jeden spośród nich wszystkich jestem szczęśliwy, ponieważ o tym wiem. Nigdy nie będę się modlić: *Lord, want you buy me a Mercedes Benz* i nigdy nie dam się wysłać na żadną wojnę. Nigdy nikogo nie zabiję. Nie dołożę sam siebie na podpałkę do ognia, który nie ja rozpalilem. *Howl* Ginsberga nosiłem przy sobie jak jakąś Biblię.

I tylko kiedy na chwilę rzedniał opiekuńczy zielony dym, pod którym żyliśmy sobie jak pod miękką kołdrą, docierało do nas, że tak naprawdę uczestniczymy tylko w jakimś bajecznym karnawale, który nie może trwać wiecznie i kiedyś jednak będziemy musieli zeń zrezygnować. Może właśnie to sprawiło, że Mossy przestał być kimś, kogo dotąd znaliśmy.

Pod tym względem okazał się kompletnym sztubakiem. Czasami doprowadzał się do takiego stanu, że tylko leżał, a Darcel siedziała obok i pilnowała żeby się nie udusił własnymi rzygami. To nie były nasze sprawy, nie wtrącaliśmy się, ale kiedy odprowadzała go w krzaki i nie mogła nas słyszeć, pytaliśmy siebie: *A więc to właśnie tak wygląda?* Nasze dziewczyny mówiły, że jest po prostu głupia, a my zastanawialiśmy się, co powiedziałyby o nas, gdyby to któryś z nas był na jego miejscu. Teraz wiem, że wtedy jeszcze Mossy nie był zły.

To stało się potem, w ciągu trzech miesięcy. Mossy wymagał już ciągłego dozoru. Wszystkie jego obietnice diabli brali, gdy tylko przestawał być trzeźwy; zamieniał się wtedy w żaloszny, zdychający worek. Był jak łódź pozbawiona steru: jedynym jego kursem był dryf, a jedynym manewrem skracanie żagli. Ale i to już nie pomagało: pogrązał się, a Darcel tonęła wraz z nim. Nie patrzyliśmy już jej w oczy.

Aż nadszedł taki dzień, że Mossy zawalił korespondencję i z dnia na dzień stracił robotę. Na poczet zarwanego kontraktu przepadło także te kilkaset franków, które udało mu się dotąd odłożyć. Nie miał już złamanego centa, więc zapakował się w pociąg do Lyonu. Mówił, że ma tam znajomych w jakimś wydawnictwie, i że oni pomogą mu stanąć na nogi. Prócz mnie wszyscy – w tym i Darcel – widzieli go wtedy po raz ostatni. Po tych trzech miesiącach kompletnej ciszy, na adres „Kozmic” przyszło zaproszenie na ślub. Podpisał je Mossy i jakaś idiotka, która najwyraźniej знаła go znacznie gorzej niż my. Miała *de* przed nazwiskiem.

Darcel nie pojawiła się już na Wybrzeżu. I tylko ja jeden skorzystałem z tego zaproszenia. Pojechałem tam z pełną świadomością tego, co powinienem zrobić.

I zrobiłem to.

Potem Barry opowiedział mi w jaki sposób go zabił.

Dotąd nie sądziłem, że można to zrobić tak łatwo i bez cienia obaw, że ktokolwiek odczyta to inaczej niż jako nieszczęśliwy wypadek. Barry nie musiał zastanawiać się nad alibi, ani dbać o odciski palców, nie musiał nawet zeznawać, czy czegokolwiek tłumaczyć. Nie musiał robić żadnej z tych rzeczy. Jedyne co musiał zrobić, zrobił w drodze. Z samym sobą najlepiej rozmawia się w drodze. Serce z ciała i serce z metalu znajdują wspólny rytm, a pęd powietrza wysusza twarz i napełnia uszy falą przyboju. Po drugiej stronie tego hukku czeka reszta świata, ale to jest wtedy nieważne.

Mossy’ego pochłonęła ciemność, zanim zdążył pomóc jej zrobić następny krok.

– To zaczyna się bardzo wcześnie – mówił dalej Barry. – Najpierw są to sprawy, do których nie przywiązuje się znaczenia. Mówisz: *To tylko jedno drzewo*. A potem wycinają cały las, ale ty już tego nie widzisz. Zło jest najpierw bardzo małe i dlatego potem może stać się bardzo wielkie. A Mossy otworzył mu drogę wcale o tym nie myśląc, bezwiednie, mimochodem, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Jakie są w ogóle szanse na znalezienie kogoś takiego jak Darcel? A teraz, gdy ona już nigdy nie będzie taka jak kiedyś? Coś umarło, Yul, i mogłem temu zapobiec.

Wystarczyła odrobina odwagi odpowiednio wcześniej, a wszystko skończyłoby się inaczej. W pewnym sensie skazałem ją.

Zawsze skazujemy wbrew sobie.

Znów zobaczyłem go na planie „Superstara”. W udrapowanym jak toga, fioletowym brokacie, z upierścienioną dłonią przy skroni, na tle zmierzchu nad jałową pustynią – w scenerii tak symbolicznej jak ikona i tak archetypicznej jak cudzy sen – Barry sam siebie słuchał, jakby dopiero po chwili miało do niego dotrzeć znaczenie jego własnych słów:

*I dreamt I met the Galilean,
The most amazing man.
He had that look, you very rarely find;
A hunted, hunted kind.
I asked him to see how it happened,
How it all began
I asked again. He never said a word,
As if he hasn't heard.
And next the room was full of wild and angry men.
They seemed to hate this man,
They fell on him and then...
Disappeared again.
Then I saw hundred of millions
Crying for this man
And then I heard them mentioning my name
And leaving me the... blame?**

Dopiero wtedy jedna z kobiet podała mu złoty wieniec – oznakę jego władzy.

Barry został do wieczora. Pomógł mi dopasować pręt, który miał zastąpić złamaną oś sprężyny. Rozmawialiśmy o starych czasach: o tym jak on zdobył skądś scenariusz, jak przeczytałem go i jak postanowiliśmy sprawdzić jak było naprawdę. Zdezelowanym autobusem pojechaliśmy w góry, wioząc na dachu kilka rekwizytów i wielki, zbity z dwóch belek krzyż. Ruiny górskiego klasztoru były naszą Jerozolimą, opuszczona kaplica – Świątynią, a wyschnięty gaj – ogrodem Getsemani. Cysterna na wodę udawała basen w pałacu Heroda, jaskinia – siedzibę Arcykapłana, a pomalowany na srebrno orzeł legionowy zdobił bramę za którą stała kohorta – sześciu ludzi w metalowych kaskach i wojskowych butach.

I wszyscy odegraliśmy nasze role, a ośmiomilimetrową taśmę prześwietliliśmy przy ostatnim ognisku. Co innego było ważne i nie potrzebowaliśmy więcej.

Odprowadzając Barry'ego do bramy zapytałem, czemu akurat mnie wybrał, a skoro już, to dlaczego nie opowiedział mi wszystkiego właśnie wtedy.

– Żaden ze mnie spowiednik i ani trochę lepszy niż ostatnio – dodałem.

Wzruszył ramionami. Znów zobaczył jak łopocze jego rozdarty rękaw.

* Melvyn Bragg & Norman Jewison: *Jesus Christ Superstar. The story* – scenariusz na podstawie rockopery Tima Rice'a pod tym samym tytułem.

– Ciebie znam. A wtedy myślałem, że nie zrobię tego nigdy więcej. – Podniósł z ziemi grudkę piasku i roztarł ją w palcach, pozwalając smudze ziarenek ulecieć z podmuchem wiatru do miejsca, gdzie być może spotkają się ponownie.

– Ale niedawno przypomniało mi się coś z czasów jeszcze starszych. To dlatego nie wiedziałem na pewno czy przyjadę.

– Ale przecież przyjechałeś.

– Owszem – przyznał i niemal usłyszałem: *Jeszcze tym razem.*

Uścisnął mi dłoń, odpalił i odjechał zostawiając na bruku czarną smugę rozartej opony. Dopiero na górze uzmysłowiłem sobie, że nie założył hełmu ani okularów.

I że w ogóle ich u niego nie widziałem.

Asasyn – (fr. i ang.: *assassin*) – pomijając kontekst historyczny i kulturowy, słowo to oznacza zabójcę i przy tym na razie pozostajemy.

Camarck, Axenprovenc, Folkarckeer – zangielszczone nazwy miejscowe: Camarque, Aix – en – Provence, oraz Folkarquire.

Chryzogyjas – (gr.: *chrisogyjas*) – Złotoręki

Piezuars – (fr. *piez noires* – dosł.: Czarne Stopy) – dawni koloniści francuscy, najczęściej osadnicy w północnej Afryce, zmuszeni w latach sześćdziesiątych do powrotu do Francji.

Ti néa? – (gr.) – Co słyhać ?, **Iyilik saglik.** – (tur.) – Dziękuję, w porządku.

18 W piwnicznej izbie

*W piwnicznej izbie zmrok wczesny pada,
Wilgotny i ponury,
Mętnemi szyby drobne okienko
na brudne patrzy mury.*

*W piwnicznej izbie głos dziecka słyhać:
To westchnie, to zagada,
Ojciec chleb czarny wykuwa młotem,
Przy igle matka blada.*

Tak to mniej więcej wyglądało kiedyś, zwłaszcza jeśli się jakiejś Konopnickiej laudanum przypadkiem przelało, przez co złowieszczą wizja uległa gwałtownemu wzmocnieniu.

Od tego wszakże czasu technika i wynalazczość poszły bardzo naprzód, nie używa się więc już niczego, co by aż tak mogło szkodzić zdrowiu. Z drugiej strony sam underground też się zmienił, z wyjątkiem tego, że dalej znajduje się pod powierzchnią gruntu. Konkretnie rzecz biorąc – znajdował się tam jeszcze dwa tygodnie temu. A było to tak:

W pewnym kompleksie pewnej oberszkoły, co to ją jeszcze za Gierka postawili, żeby dostarczała wykwalifikowanych kadr do motania kabli po studzienkach – w owej to kuźni wiedzy na średnim poziomie, pewnego razu wśród nocnej ciszy głos się rozchodził, że aż owa noc truchlała, jak o tym stoi w piosence. Spać nikt nie mógł w kilku sąsiednich kwartałach, a pobliski dom starców notował rekordowe spiętrzenie palpacji i nocnych moczeń. Decybele ślizgały się wesoło po śniegu aż na drugą stronę Wisły.

Noc była sobotnia, więc wydarzenie to w zasadzie nikogo by nie zdziwiło, zwłaszcza gdyby miało miejsce gdziekolwiek indziej. Przypadkiem jednak miało miejsce akurat tam, i to akurat wtedy gdy w pobliżu krążył pilnujący swego rewiru Barabasz.

Kompleks oberszkoły pod wezwaniem Polnischepost Danzig składa się – co trzeba tu wyjaśnić – z kilku budynków, które zrzucano z helikoptera na chybił-trafił, aż w końcu udało się je ułożyć tak, że o siebie nie zahaczały.

Najmniej ważnym, ale za to najbardziej nieudanym z nich jest osiadły przy bocznej uliczce pudełkowiec: szary, kwadratowy i z betonu. Jak to zwykle w takich razach, budowano go inaczej niżby to wynikało z planów, które zresztą powstały już po oddaniu go do użytku. W pewnej chwili bowiem jakiś anonimowy wizjoner, oddelegowany do

powstającego molocha, żeby nadzorował wytyczne na odcinku młodzież, wpadł na pomysł, że młodzieży owej trzeba stworzyć warunki odbywania wypoczynku i innych kulturalnych zainteresowań. W ramach tej idei zapędzono aktywistów do kopania wielkiego dołu, w miejscu, gdzie budynek ów miał stanąć (albo lec – w zależności od tego, jak to spojrzeć). Ten tak zwany czyn społeczny doprowadził do powstania w miejscu kilkuset kubików urobku tajnej, spontanicznej i dość nieformalnej, podziemnej kondygnacji, w sam raz na tyle wysokiej, że do dziś da się w niej rozłożyć stół do ping-ponga, a nawet założyć na nim siatkę, o ile oczywiście nie jest zbyt szeroka.

Przez lata owo przyzemie nieudanego budyneczku zasiedlały rozmaite organizacje, które poświęcały swój czas na zagospodarowywanie czasu młodzieży, żeby się po lekcjach zbyt nie nudziła, bo mogłaby zejść od tego na złą drogę. Zostały po owych jednostkach podstawowej pracy wychowawczej obszerne piwnice wypełnione rekwizytami minionych epok: walają się tam rozeschnięte ze starości gitary, eskadry zetłałych modeli na gumkę (które prawdopodobnie i tak nigdy i w żadnych warunkach fizycznych nie byłyby w stanie latać), kilometry skorodowanych kabli i linek odciągowych (zdatnych do nawiązywania łączności z Marsjanami), po amatorsku zbudowane urządzenia o zagadkowym przeznaczeniu, a wreszcie całe pokłady brezentowych namiotów i materacy.

Wszystko to pamięta czasy świetności różnych hufców, których sztandary i proporczyki służą teraz za zasłony i naturalne uszczelniacze z lekka zimą przemarzających ścian. To podziemne królestwo nasączone jest charakterystycznym zapachem lizolu i rozkładającego się proszku do prania. Onegdaj, w pozaprzydziałowych ilościach zmagazynowano go tam na tak zwaną czarną godzinę, ale ona jakoś nigdy nie nadeszła – czy też raczej: trwała ustawicznie, więc jej nie zauważono. Tymczasem Ixi zdążył związać na amen, choć jak dotąd nikt tego zbyt dokładnie nie sprawdzał, bo nie wiadomo co też mogło być produktem ubocznym takich reakcji i czy średnio odporny człowiek może spotkanie z takim czymś przeżyć.

Mimo tych atrakcji i niejasnych zagrożeń, kilka a czasem nawet kilkanaście razy na miesiąc, owa tajemna i niepokojąca krypta nawiedzana jest przez niedobitki prężnych niegdyś organizacji.

Są oni wyrozumiale tolerowani przez pana i władcę całego kompleksu, Terechtora, choć wie on doskonale, że tacy na przykład akwaryści jeszcze za poprzedniego Kołotki zarzucili swą statutową działalność i teraz schodzą się już tylko po to, aby przez pół nocy rżnąć w oko i opowiadać sobie najnowsze kawały o komórkach. Na ścianach zajmowanej przez nich klitki wiszą co prawda dyplomy i pamiątkowe zdjęcia z największych imprez akwarystycznych w kraju i za granicą, ale oni sami nie interesują się już ichtologią. Zwłaszcza odkąd ich ostatnia rybka – jako urozmaicający dodatek białkowy – została

komisyjnie włączona w skład pizzy peperoni i potem wszyscy zgodnie orzekli, że jednak lepszy efekt kulinarny dałby słoik zwykłego majonezu.

Najpoważniejszymi udziałowcami podziemnego Królestwa Ciemności są jednak harcerze. Hitem ubiegłego tygodnia stała się mroząca krew w żyłach relacja, jaką Barabasz składał na ich temat nadzorcy budyneczku, niejakiemu Niuchaczowi.

Owej nocy Barabasz – jak to zwykle on: wzrok dziki, suknia plugawa i dziesięciodniowy zarost wystający spod pach przez tkaninę wyświeconego podkoszulka – trafił do podziemi, zwabiony odgłosami wesołej zabawy, oraz zapewne głęboką urazą, że nie został na nią zaproszony.

Ponieważ nie przyszedł tam od razu jak się tylko feta zaczęła – bo akurat w swej kanciapie oglądał kino nocne na Polsacie i nie chciał sobie zapewne psuć nastroju – chwila kiedy jeszcze mógłby wzbudzić w kimś odruchowy respekt umknęła mu bezpowrotnie. Jak się zdaje – bo można o tym tylko wnioskować z tego, co Terechtor mówił Nadprezesowi – balowicze byli już w stanie, w którym sam fakt istnienia Barabasza przyjmowali z daleko posuniętym sceptycyzmem, nie mówiąc już w ogóle o tym, żeby mieli nań w jakikolwiek sposób zareagować.

Barabasz, zwracając się swemu dziennemu zmiennikowi, Niuchaczowi, nie omieszkiał więc roztoczyć przed jego oczami wizji jak ta, co to ją miała Konopnicka po przedawkowaniu opiatu, z tym że bez Konopnickiej, ale za to ze zwiększoną zawartością promili.

Niuchacz z kolei – z charakterystyczną dla siebie skłonnością do interesowania się cudzymi sprawami, której to zawdzięcza swój obrazowy przydomek – opowiadając o całym zajściu Terechtorowi, mówił już nie o imprezie lecz o regularnej libacji. Opisywał ją przy tym tak barwnie, jakby sam był jej naocznym świadkiem. Wyraził pogląd, że należy przeprowadzić skrupulatnie dochodzenie, bez względu na wszystko i na kogokolwiek. Winnych trzeba znaleźć i ukarać, a potem publicznie zdemaskować i ukarać jeszcze raz – dla przykładu. Niuchacz był aż nazbyt chętny, żeby się tym zająć osobiście; do szczęścia brakowało mu tylko oficjalnej licencji to kill.

W tym samym czasie do Terechtora dzwonił już Nadprezes. Interesowało go niezmiernie dlaczego Barabasz, bez jakichkolwiek wcześniejszych uzgodnień, powymieniał w podziemiach nieudanego budyneczku wszystkie zamki, a nawet posunął się do spiłowania starych klódek i zastąpienia ich nowymi, z czym zresztą uwinął się do rana, przez co on, Nadprezes, nie ma teraz gdzie prowadzić swej statutowej działalności z młodzieżą. Dał nawet wyraz niejakej irytacji, gdyż – o czym już naturalnie nie wspominał – dobrze mu w tym tygodniu szło z kartami i nie zamierzał głupio tracić tak udanej passy.

Terechtor wysłuchał Nadprezesa bardzo uważnie, zgodził się z nim, że akwarystyka ma ważną społeczną misję i byle cieć nie powinien jej niweczyć – po czym odłożył słuchawkę i dalej przytakiwał Niuchaczowi.

Rzecz oczywista, nie dlatego, aby jego zdanie jakoś szczególnie kiedykolwiek cenili. Wątpliwe czy powierzyłby mu opiekę nad własnymi dziećmi, a zapewne wahałby się też i przy papużce falistej. Niemniej, jako wytrawny administrator zasobów ludzkich, Terechtor dostrzega codzienną przydatność Niuchacza i akceptuje ją. Podobnie sprawa się ma z najbardziej nawet pacyfistycznie nastawionym hipisem, który idąc na ligowy mecz mimo konfliktu światopoglądowego bierze ze sobą nogę od krzesła, albo chociaż masywną nakrętkę na sznurku.

Tak więc – ponaglany z jednej strony przez wiszącą mu przez oczyma gryzoniową fizjonomię Niuchacza, z drugiej zaś nachodzony zdalnie pełnymi wyrzutów uwagami Nadprezesa – musiał Terechtor dojść do wniosku, że jako feudał tego oberszkolnego latyfundium i suzeren powierzonego mu pedagogicznego lenna, musi uczynić to, co w takich razach należy do jego obowiązków i od czego z całą pewnością wszystko wróci do normy – to znaczy musi kogoś gruntownie obsobaczyć.

Sięgnął więc po telefon.

Główny harcerz, Commendante di tutti commendanti, o tym co się święci wiedział już od Nadprezesa, na wezwanie Terechtora stawiał się więc niezwłocznie, porzucając na tę okazję nawet swe zawodowe obowiązki. Prasa wszakże nie doniosła jak dotąd o żadnej globalnej katastrofie, prawdopodobnie więc obowiązki te nie były przesadnie istotne, albo też może owego dnia wszystko się jakoś prześlizgnęło siłą rozpędu i świat przetrwał, choć el Commendante akurat nad tym nie czuwał.

Odpuśćmy sobie taktownie dokładną relację z rozmowy jaka rozegrała się potem na dywaniku w gabinecie Terechtora. Tak czy owak dostojnik ów, jako człowiek wykształcony i raczej dobronny, nie powinien być przecież posądzany o używanie słów, których z pewnością nie użył – a w każdym bądź razie na których użycie nie ma świadków. Być może przyszłe memuary samego el Commendante ujawnią kiedyś tę skądinąd ciekawą kwestię.

Póki co, listę źródeł do przyszłej bibliografii zdarzenia uzupełnić można o jeszcze jedną postać, wielce znaczącą w życiu codziennym kompleksu Polnischepost Danzig. Gdzieś na drodze łańcuszka przekazywania kolejnych nowin znalazł się bowiem dozorca tego całego interesu, zwany Obrzynem.

Przewisko to przyłgnęło doń nie dlatego, że miałby on podczas nocnych dyżurów spacerować po obiekcie ze skróconą dwururką typu Caleb, albo choćby takową trzymać w szafie na wszelki wypadek, (o który zresztą w tego rodzaju placówkach nietrudno) – bynajmniej: Obrzyn został Obrzynem pewnego upalnego lata, kiedy to usiłował odruchowo uchronić przed upadkiem na beton drogie i całkiem nowe narzędzie, co to je

właśnie wypróbował. Jest to zresztą bardzo zabawna historia. Prócz Obrzyna występuje w niej jeszcze rosnący wzdłuż bocznej uliczki żywopłot, kaleki taboret i elektryczny sekator firmy Bosch, do dziś – nawiasem mówiąc – sprawny. Poza tym, nic się od owego pamiętnego dnia nie zmieniło, bowiem Obrzyn wyrównując żywopłoty wokół budynku dalej korzysta z usług tego samego taborecika na trzech nóżkach. Tylko sekator trzyma teraz drugą ręką, ale nie ma to większego wpływu na ogólną geometrię dokonywanych nim cięć.

Relacja Obrzyna – niegroźnego i mało zauważalnego staruszka, który realizuje się przy pomocy maszyn większych i bardziej złowieszczych niż on sam kiedykolwiek mógłby być – rzuca nieco światła nie tylko na to, co Terechtor miał do powiedzenia el Commendante'owi, ale także na to, co obaj wcześniej usłyszeć musieli od Niuchacza i Nadprezesa.

Już bowiem poczynając od samego Barabasza – by tak rzecz: źródła wszelkiej w tej sprawie wiedzy – fantasmagoryczne wizje poczynają się rozgałęziać i wzajem na siebie nakładać. Wyłaniający się z tego obraz stopniowo zaczął przyćmiewać wszystko, co o piwnicznych izbach mogły dedukować najbardziej wypalone alkoholicki dziewiętnastego wieku.

Od początku tkwiła też w nim gruba przesada.

Nawet harcerze muszą się przecież od czasu do czasu spotkać, aby podtrzymać nici wzajemnych powiązań towarzyskich.

W dobrze zorganizowanej drużynie, złożonej z ludzi którzy znali się jak stare konie nim jeszcze przestali być nastolatkami, liczba możliwych konfiguracji męsko-damskich jest co prawda ograniczona, ale za to w nieskończoność powtarzalna. Ważne tylko, aby zmiany odbywały się w sposób z sobą zsynchronizowany – jak przewracanie się na drugi bok w przedziale drugiej klasy nocnego pociągu Kraków-Olsztyn, w którym do snu ułożyło się na raz – powiedzmy – dwanaście obsad kajakowych. Tak zwane zbiórki, które młodzież niezrzeszona określa wulgarnie jako imprezy, są dla dokonywania takich przesunięć o jedną miejsce po prostu niezbędne. W okresowej zmianie partnera chodzi przecież także o pewną spontanizację – no, i aby nikt przypadkiem nie wypadł z obiegu, bo mogłoby to zakłócić bilans całego rozdania.

Jak, zdaniem Barabasza, można by tak skomplikowaną logistycznie procedurę przeprowadzić na trzeźwo?

Naturalnie, wraz z upływem czasu spotkania takie stopniowo zyskują coraz bardziej na głębi, a konkretnie na objętości, bo organizm ludzki ma niestety kosztowną skłonność do uodparniania się na bodźce chemiczne. Na pierwszym obozie, gdzie na początku podstawówki, do wprawienia w euforię całego zastępu wystarcza zwykle półlitrowe piwo

marki „Piwo” z jakiejś lokalnej tłoczni tektury – połowa zawsze się wylewa, a reszty i tak nikt potem nie pamięta.

W dniu, w którym miało miejsce wspomniane zdarzenie, większość jego uczestników miała już jednak za sobą wieloletni staż instruktorski: dziesiątki wyjazdów, biwaków i wypraw, oraz – przynajmniej w większości przypadków – taką samą liczbę udanych powrotów. W takich warunkach park maszynowy siłą rzeczy musiał być odpowiednio liczniejszy, aczkolwiek teorie Barabasza, Niuchacza i Terechtora na temat piętrzących się pod sufit baterii różnokolorowego szkła trzeba potraktować z umiarem, dzieląc podawane przez tych panów liczby, jako że oni przekazując je sobie nawzajem z pewnością dla lepszego efektu nie omieszkali ich pomnożyć.

Rozsądna zasada wszystkich badaczy Pisma zaleca odcinanie od każdej objawionej liczby kilku zer; kwestią może być właściwie tylko to czy wystarczy odcinać jedno z opcją na dwa, czy też może lepiej od razu trzy. W każdym razie, czterdziestodniowe przebywanie o suchym pysku na pustyni od razu staje się bardziej wiarygodne, gdy wiadomo, że tak naprawdę chodziło o cztery dni – a może nawet tylko o cztery godziny.

Obrzyn akurat odgarniał śnieg pod oknami gabinetu Terechtora, gdy wewnątrz toczyła się wzmiankowana wyżej, sekretna rozmowa z Władcą Ciemności. Sam z siebie niewiele już zapewne do zasłyszanych tą drogą rewelacji dodał, jednakże – jako człek starej daty, z głęboko zakorzenionym poczuciem obowiązku i lojalności wobec przełożonych – na pewno niczego nie ujął. Wszystko wyraziło się w jego pełnym zdumienia, zgorzienia, ale i niemego podziwu spojrzeniu, kiedy zaciągając po kresowemu, pytał:

– I wystie to wszystko sami jedni? Dalistie rade, a?

A potem łapał się za łysą, wyschniętą czaszkę i zniżał głos do konfidencjonalnego szeptu:

– A skontestie wzjeli tyli dzjołchi wszeteczni? Batiara!

I rozpromieniał się na krótko, aby jednak zaraz wrócić do łopatowania śniegu, co czynił z jakby zwiększoną energią, obudzoną przez wspomnienia nie wiadomo czego, co być może wydarzyło się w jego życiu nie wiadomo już jak dawno temu.

Trudno z całą pewnością stwierdzić, kto do opisu tej – w końcu jednej z wielu – harcerskiej zbiórki, wprowadził element kryminalny.

Choć nie ma na to żadnych dowodów, to jednak ogólna znajomość wszystkich dramatis personae wskazuje w tej kwestii na czynne uczestnictwo Niuchacza. Tylko on, jako osobnik powszechnie znany ze swej niesłychanej wprost zyczliwości i tolerancyjnego podejścia do świata, mógł wykoncypować z powietrza, że uczestnicy tego niewinnego baletu musieli suportować rausz czymś więcej niż tylko proste rafinaty zboża i chmielu.

Wprowadzony przezeń wątek mówi więc o tym, że od zabawowiczów prócz alkoholu wionęło także „jakąś jeszcze substancją”.

O, jeżu ma studzienki! O, matkoboska mać! Jakaś Substancja! To przecież najczęściej wymieniany w mediach środek odurzający! Wiadomo, że rozprowadzaniem JS zajmuje się najgroźniejszy krajowy gang, Trzech Młodych Mężczyzn (TMM), którzy są poza tym sprawcami prawie wszystkiego w Polsce, z wyjątkiem przypadków, kiedy któryś z nich zaniemógł i koledzy zostawiali go w domu, aby się wykurował, więc statystyki policyjne odnotowały dwóch MM, albo nawet tylko jednego.

Naturalnie, sugerował Niuchacz, oni też tam byli, choć nie wiadomo czy wszyscy trzej. Z pewnością jednak nawet pojedynczy taki przypadek w zupełności wystarczył, aby doszło przez to do rażących aktów rozprowadzania, wymuszania, stręczycielstwa, pedofilii, kanibalizmu, lobbingu, leasingu i holdingu – a może nawet przeklinano na głos.

A swoją drogą: co też takiego ci harcerze tam u licha robili? Nacierali sobie dżiąsła czosnkiem, aby móc później jednym chuchnięciem odpędzać kanarów? Zorganizowali zawody w łykaniu aviomarinu – kto więcej zeżre nim się od tego porzyga? Chcieli urządzić zapasy w kisielu, ale zastępczo posłużyli się talkiem do konserwowania namiotów? Przypadkowo nadepnęli na tubkę z preparatem leczniczym profesora Tołpy? Czy też może ktoś się zalotnie napachnił szprejem adidas z najnowszej linii „Buty-Zgoninego-Murzyna-Nazajutrz-Rano”?

Tak czy owak, Jakaś Substancja stała się faktem – nikt jej nie widział, wszyscy wiedzą, że była.

Zapewne więc wkrótce Niuchacz – do którego tym sposobem cała ta historia powróciła łukiem, już jako udokumentowana i poparta niepodważalnymi plotkami – wyda oficjalne oświadczenie. Będzie ono głosiło, że owej nocy w owych podziemiach odbywała nielegalna orgia, w której prócz już wykołejonej i wykołejającej się dopiero młodzieży uczestniczyło kilkudziesięciu podejrzanych yeti, pijanych jak bele, a gdzieś między nimi siedział świstak i coś białego zawijał w sreberka, ani na chwilę nie przerywając sobie tego, czym był w tym samym czasie zajęty od pasa w dół. Na stołach tańczył tabun girlasek w rogatywkach, a *acqua vitae* lała się z kranów i kipiała z muszli klozetowej. Dochodziło do zbiorowego pettingu, podczas którego bluźnierczo odśpiewywano *Rotę* od tyłu. Oglądano amatorski film o tematyce nieetycznej – a może dopiero go kręcono. Każdy miał po papierosie w obu kącikach ust. W jednym z pomieszczeń odbywała się czarna msza, a w innym – białe tango. Zaciągano się klejem, pastą do butów, płynem do mycia naczyń i starą esencją herbacianą, która się już nie daje zaparzać.

Jedli, pili, lulki palili. Ledwie na strzępy nie roznieśli całego obiektu. Niuchacz z rozmachem walnie pięścią w prezydialny stół – trzeba z tym wszystkim skończyć, raz na zawsze!

Póki co jednak na najbliższy piątek, dwudziestego siódmego, Terechtor naznaczył nadzwyczajne plenum, które zajmie się kontrowersyjnym przypadkiem opisanego wydarzenia i rozważy, co w związku z nim należy uczynić, a czego w związku z nim lepiej nie robić.

Akredytowani na tę okoliczność zagraniczni komentatorzy są zdania, że będzie to zbiorowy dywanik całej lub prawie całej obsady pedagogicznej Polnischepost Danzig. Chodzą słuchy, że Terechtor będzie się zwracać do ich poczucia, będzie ich nakłaniać do większego, uczulać ich i im wskazywać, na końcu zaś zaapeluje, a może nawet przedstawi.

Anonimowe źródła podają, że na mowę, którą ma wtedy wygłosić, rozpisano już niejawną przetarg. Swoją udział w nim potwierdzili podobno Miłosz, Szymborska, Różewicz i Twardowski. Tiszner z Herbertem zostali wykluczeni z powodów proceduralnych.

Doprawdy, całe w tym wszystkim szczęście, że ostatnia rybka uległa już była rozpadowi i biologicznej degradacji. Gdyby nie to, nim cokolwiek zostanie ustalone czekałby ją teraz długi i umiarkowanie humanitarny post. Mogłaby go nie przetrwać, gdyż była nałogowo uzależniona od dosypywania pokarmu.

Wszystkie wymienione w tym tekście wydarzenia i postacie są autentyczne, z wyjątkiem Obrzyna. Obrzyn jeszcze Obrzynem nie został. Wszelako, obserwując sposób w jaki zwykł on strzyc żywopłoty i ujeżdżać swą kosiarkę do trawników, można łatwo dojść do przekonania, że jest to tylko kwestią czasu.

19 Pilard

No dobrze, ale właściwie skąd o tym wszystkim wiesz? Widziałeś już gdzieś takie delfiny, czy co? No więc? Kto? A to oślica! Zabiję i zjem! Nie wierz jej, to na pewno był stek bzdur. A dokładniej, co ci powiedziała? Tak, tak... Cóż, było tak, ale to z tym... wymyśliła sobie. Pewnie chciała wzbudzić dreszczyk. Wzbudziła? He, he.

A tak, to jest prawda. I nie dowiesz się. Nawet ja sam już nie pamiętam dobrze gdzie to było. Możesz sobie szukać do samej Paruzji.

Dobrze, żarty na bok. Opowiem ci wszystko, tylko przesiądźmy się gdzieś, nie lubię tych cholernych turystów. No, nie wszystko, oczywiście. Bez szczegółów. Nazw, imion i tak dalej. *Excuse-moi, mon cher, bussiness est bussiness*. Zresztą to nie ma znaczenia: wioska była taka jakich tu pełno, po jednej w każdej zatoce. A ta była jeszcze bardziej... hm... zapomniana? Nie, to nie jest właściwe słowo. Była jak stary, uschnięty cedr, wiesz, jeden z tych, które można tu jeszcze spotkać na rozstajach. Codziennie widzą różnych ludzi idących drogą, bo wydaje im się, że jej drugi koniec jest lepszy od tego, z którego wyruszyli. Nie znasz tej zagadki? No cóż, kiedyś ci opowiem.

A wieś była właśnie taka, tylko jeszcze bardziej niż inne. Jej nazwa wyleciała mi z głowy zaraz po przyjeździe i nawet gdy zalewaliśmy plombę nie wiedziałem, dlaczego dalej wylatywała w pięć minut po tym, jak ją usłyszałem. To było coś kompletnie banalnego, w rodzaju... a może raczej...

Naturalnie, nie pojechałem tam w ciemno. Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że rzeczy w rodzaju dewocjonaliów mają zawsze drugie dno i często można je odczytywać między wierszami tego, co widać na pierwszy rzut oka? Ja w ten właśnie sposób potraktowałem pewną ikonę, na którą natrafiłem u znajomego antykwariusza w Placie. To był ten mój szczęśliwy traf, jakby drogowskaz zostawiony przez czyjąś życzliwość. Skopiowano ją zupełnie niedawno – niezbyt dokładnie – z wota zostawionego przez pewnego pirata, który w ten sposób dziękował Bogu za szczęśliwe wykupienie z łap konkurencji. Nie patrz tak na mnie. Wszystko to przeczytałem z samego obrazu, bo miał łaćniński napis dedykacyjny. Oczywiście z oryginału; kopista po prostu zamarkował litery. Może nie zdołał ich odczytać; minuskuła gotycka potrafi czasem przyprawić człowieka o szewską pasję. Tak bywa. Pewne, że pochodziła z czasów Lusignanów. Wenecjanie, a tym bardziej autochtoniczni Grecy, nie naśladowaliby tak nostalgicznie wzorców z Zachodu; woleli Orient, z którym utożsamiali się bardziej niż z mieczami krzyżowców.

Przede wszystkim jednak, za postacią świętego było tło, z pejzażem, i to tak namalowanym, że natychmiast pobiegłem do American Express. Nie byłem nikiem ważnym, ale pozwolili mi skorzystać z telegrafu. Tydzień później wynająłem felukę – opowiem ci kiedyś o tym rejsie, niech go wszyscy diabli! Dwa razy opłynąłem całą Wyspę,

zanim znalazłem tę górę. Taki charakterystyczny kształt, jak Sainte-Victoire u Cezanne`a. Mniejsza z tym.

W wiosce nie robili mi problemów. Dobrze jest mieć kogoś takiego jak ten *knot*, Yul. Podobno urodził się w Auch. To historyczne miejsce. Mówię ci to na wypadek, gdybyś chciał kiedyś ściągnąć ze mnie jakiś dług. Yul posieka cię nawet jeśli akurat nie będzie miał szpady, ani muszkieterskich butów.

Od początku źle było natomiast z czym innym. Odkąd Turcy się stąd wynieśli, a jeszcze na długo wcześniej, po okolicy zaczęli się kręcić dzicy kopacze.

Nie, ja mam licencję. Raczej tacy, jak ci twoi podopieczni. Pewnie, że wiem. Wszyscy wiedzą, nie myśl sobie. Ta ostatnia afera to niebezpieczna sprawa. Uważaj na przyszłość, bo jak tak dalej pójdzie, ci pazerni kacykowie z Famagusty zrobią się podejrzliwi i wszystkim nam się pogorszy. A wtedy nie tylko mój Yul będzie miał powód, żeby z tobą poważnie porozmawiać. Rozumiesz, co mam na myśli?

Z cmentarzem. Tak, to były nasze kłopoty. Wtedy, w... – tam, gdzie znalazłem obrazek – jak zwykle zrobiłem dagerotyp. Właściwie wolę przerysowywać do szkicownika, to jest takie, hm, bardziej ludzkie.

Maszyna nie powinna kopiować, jest bezduszna. Widzi inaczej niż my. Przerysowywanie to analiza; szczególnie po szczególe uświadamiasz sobie, czym jest to, na co patrzysz, potem kończysz i znasz już całość, ale masz też w sobie pamięć wszystkiego po drodze. To bardzo pomaga, bo w końcu ten malarz, który popełnił naszego świętego Z-tłem-wokół-postaci, też rysował, a nie tylko rozstawił statyw i pstryk.

Zresztą mam niemiłe doświadczenia z fotografią. Kiedyś kupiłem aparat – dobry aparat; Kodaka do miękkich klisz. Cały w plastikowej obudowie. Wart był kupę forsy. Cudo, wtedy jeszcze takich nie było. Nie potrzebowałem nosić ze sobą tych wszystkich skrzynek z chemią i szkłem. Ale mój aparat okazał się popsuty. Na zdjęciu nigdy nie wychodziło to, na co kierowałem obiektyw. Nie obrażaj mnie. Wiele razy sprawdzałem, czy wszystko gra i zawsze grało, aż do chwili, w której naciskałem spust. Ależ nie, wychodziły, a jakże! Ale pokazywały nie model, ale jakieś dziwne rzeczy. Różnie: osoby, miejsca. Bardzo często portrety, ale bez rysów, jakby nieostre. Miałem całe pudła tych dagerotypów, zanim w końcu je spaliłem. A aparat sprzedałem, szkoda. Ale nie wytrzymałem już tego. Po całych dniach szukałem dobrych miejsc, a potem godzinami czekałem na światło, ustawiałem się przed marmurową kolumnką z korynckim kapitelem; prawie wcale nie zniszczoną, piękną jak słup ognia – pstryk i zamiast kolumnki zjawa. Teraz żałuję, że nie porównywałem tych wszystkich klisz.

Pewnie, że nie. Ale twoja niewiara mało mnie obchodzi. Tobie natomiast przeszkadza: nie wierzysz – nie rozumiesz, nie rozumiesz – nie widzisz, nie widzisz – nie znajdujesz, nie znajdujesz – popadasz w długi. Proste, prawda? Taka praca.

Kto? A, zjawa. Nie mam pojęcia. Ale chyba nie była podobna do nikogo konkretnego. A w każdym razie znajomego. Ot, po prostu popsuty aparat.

Tak więc wtedy, zamiast przeszkicować, kazałem Chandreau zrobić zdjęcie. Spieszyło się nam i właściwie byliśmy tam niezupełnie legalnie. Nie masz pojęcia, gdzie w dzisiejszych czasach wiszą trzynastowieczne ikony. A potem, w wiosce, okazało się, że obraz nie jest dość wyraźny, by mieć pewność, gdzie kopać.

Rozejrzeliśmy się oczywiście po okolicy. Znaleźliśmy wiele dołów po tych dzikich. Ale wyglądało to na robotę wieśniaków, bez ładunku i sprzętu. Bez planu i pomiarów. Ktoś coś słyszał w dzieciństwie, bo mu dziadek opowiadali, ktoś podobno widział jak coś wywożono, a i zimowe deszcze co nieco wypłukały. Bierzcie, kumie, motykę. Tylko po cichu, a co znajdziemy, to Amerykanie kupią. Choć, w paru przypadkach ziemia była starannie usunięta, a wykopy ukryte. No i zrobione w rozsądnych miejscach. Fachowcy.

Yul przepytywał kmiotków, bo nie chcieliśmy konkurencji. Potem zresztą nam się przydali. Zwłaszcza jeden, stary krętaacz. Zarobił na nas, jak chyba nigdy w życiu: dziesięć kartonów papierosów, parę butelek... Stopniowo, ja płaciłem, a on mówił.

Twierdził, że ma dziewięćdziesiąt osiem lat i wyglądał na tyle. Gdyby miał trzydzieści, też by wyglądał: słona woda i algi. I pewnie jeszcze wapno szabrowane pod osłoną nocy. Zaklinał się jak zawodowy kaznodzieja: *Hagios ho Theos, Hagios ho Theos*. Tak też go w końcu nazwaliśmy.

Widzisz, dagerotyp zdjęty przez moją uroczą Chandreau – oby jej język zamienił się w solidny kawałek ołowiu – pokazywał wyraźnie to, czego szukaliśmy, ale niezbyt dokładnie – gdzie to było. Góra schodziła do morza ostro, ale między nią, a zatoczką znalazło się jeszcze miejsce na dwa małe wzgórza. Zgodnie z obrazkiem, zamek stał na tym bliższym wioski, nieco wyższym od drugiego. Ale kąt uchwycenia był dość dziwny, jakby malarz widział wszystko z morza, dużo dalej na północ niż najbardziej wysunięty cypel. Chyba nie malował na rozchybotanym pokładzie jakiegoś dromonu? Pewnie przepływał tędy i potem odtworzył sobie ten fragment wybrzeża z pamięci, nie od razu – może po kilku latach. A może tylko słyszał o tym miejscu z opowieści i postanowił je uwiecznić, bo wyglądało na to, że Hagios Kristoforos był malowany dla tej właśnie okolicy. Nie mówię: tej wioski, bo miejsce świętych jest w kościele, a w wiosce nie było kościoła!

Tak, mówiłem, że to kompletne bezdroże. Tam nawet diabeł już nic nie mówił. Turcy też zbytnio nie zaglądali, bo postawiliby meczet, żeby można go było teraz przerobić na kino. Gdyby Buster Keaton wiedział, gdzie go po świecie wyświetlają... Może i wie?

A, tak, zarzekał się Aiosotheos, był zamek. I machał ręką w stronę połowy okolicznych skał. Na którym z tych dwóch wzgórz? Na tamtym. Na cmentarnym? Brzdęk. Jeszcze jeden Johnny Walker. Aiosotheos moczy wąsy, aż mu берет spływa na nos. Oni tam wszyscy noszą na berecie wielką, czerwoną frędzlę. Ale Aiosotheos nie. I słusznie, bo

przedziej czy później trafiłby mu do przetyku, powodując śmierć przez zadławienie przy udziale alkoholu z kontrabandy. No, więc? *Dziadek mi opowiadali, że zamek zawsze stał na tamtym, a cmentarz zrobiono dopiero niedawno, za Filików, jak zaraza przyszła i czasu, Miess, nie było, żeby się choć przeżegnać, bo człek i tak ze strachu szybko umierał, żeby go co gorszego jeszcze nie spotkało. Zamek? Ruiny już tylko wtedy były, to je rozebrali na młyn winny, co miał stanąć, ale nie stanął no bo ten mór... Tak, Miester. Tak, tak, tak.*

Cmentarne, to właśnie to wyższe, bliżej wioski. Zryte przez hieny, że nogę można złamać. Yul grabarza nie znalazł, bo i tego wioska nie miała. Pytać nie było już kogo, a ja stanąłem w kropce, jak krecik przed podwieczorkiem.

Co? A dlaczego nie? To Chandreau wymyśla te powiedzonka. Ja nic nie wiem o żadnym kreciku.

Mój problem polegał na tym, że, aby sobie pomóc przed urzędnikami, naciągnąłem Akademię na udział finansowy. Dla mnie to była mocna sprawa, a oni lekką ręką dali mi tych parę franków, bo im samym nie wypadało już pchać się na czyjś teren i rabować bez skrupułów jak jakiś Denon.

Tak, Alex, piękne czasy minęły. Teraz, gdy wpadniesz, nie pomoże ci żaden firmam i jeśli nie jesteś wystarczająco sprytny lub bogaty, zapuszczają cię; jak nie ci tutaj, to nasi, uprzejmie i po europejsku.

Z drugiej strony, Luwr czegoś jednak oczekiwał, jakiejś Troi lub może innej Wenus z Milo; zapłacili mi przecież. Gdyby się rozczarowali, wycofali by wkłady, a na pewno odebrali koncesję. Gdybym jednak coś znalazł, zwaliliby się tu i w ciągu miesiąca wiedzieliby, skąd się to wzięło.

I to właśnie był mój problem. Bo nawet gdyby sam Bóg Wszechmogący udzielił mi pozwolenia na rozkopanie tej cholernej trupiarni, ich jedyną troską i tak byłoby, czy ja przypadkiem nie...

(...)

Nie można zbyt dużo wymagać. Ciesz się, że w ogóle miałeś na czym usiąść. To nie Ritz. Choć ostatnio zaczęli nawet zakładać bidety. I reklamują się nimi, bo to w końcu luksus. Za jakiś czas napiszą o tym w karcie, na ostatniej pozycji. Specjalna usługa od firmy: Polikarides & Synowie obsłużą cię do samego końca. Zachodź częściej. Ale oczywiście nikt nie pomyślał o podłączeniu wody.

Dla mnie też. Tak, podwójną. Nie, dziękuję. Może innym razem.

Musisz uważać; w tych stronach nietrudno o trypra. To ci Angole z Akrotíri; jak tylko przepłyną Kanał, od ręki opuszcza ich cały purytanizm. Kiedyś w Kitium przestraszyłem się nie na żarty i odtąd maść argeinową wożę nawet w futerale na okulary. Ale póki co, *rezina* leczy wszystko, więc za tych, co w ziemi.

Nie żartuj z tego. Owszem śmiałem się, ale zmieniłem zdanie. Teraz mówię, że to prawda. On tam naprawdę był. Czekał. Nie na nas. Myślę, że już na nikogo. Ale był tam cały czas. Dobrze, po kolei.

Sprawa była prosta jak konstrukcja wytrycha. Tam gdzie chcieliśmy kopać nie było wolno. Ale gdzieś musieliśmy, więc... No, cóż. Nie mogąc szukać tam, gdzie można by coś znaleźć, postanowiliśmy znaleźć coś tam, gdzie nie warto było szukać. Yul obiecywał, że jak już się zainstalujemy, wyskoczy w którąś noc na ten cementarz. Więc rozbiliśmy namioty na niższym wzgórzu, prawie dwa kilometry od wioski.

Aiosotheos przyłaził codziennie, żeby pogapić się na nasze zapyłone gęby. To za dnia, bo wieczorami my schodziliśmy do wioski na *mavrodaphne* z cytryną, albo żeby się wykapać w morzu, a Aiosotheos stał na brzegu ćmiąc nasze papierosy i pilnując naszych ubrań. Zmęczyło mnie to już pierwszego dnia. Musieliśmy przebijać się przez korzenie oliwek – przekłete drzewa, dobrze choć, że dawały trochę cienia. Z początku staraliśmy się utrzymać siatkę pomiarową, ale potem już tylko wybieraliśmy ziemię spomiędzy kamieni.

Ależ, nie demonizujmy! Każda praca ma swój sens, jak mawiał Syzyf. Po prostu nie wierzyłem, żeby w takim dobrym miejscu nikt niczego nigdy nie wybudował. Powój i makia zatrzymywały wilgoć wystarczająco, by założyć cysterne, a wapień dawał się łatwo drążyć. Studnia, nawet do poziomu morza nie byłaby wielkim problemem, jeśli się weźmie pod uwagę jakieś cztery albo pięć tysięcy lat. W Antylibanie widziałem dziwniejsze rzeczy, nie mówiąc już o Kapadocji. No i okazało się, że miałem rację, choć nie w ten sposób, w jaki bym się tego mógł spodziewać. Nazajutrz po pierwszej odkrywce znaleźliśmy elegancko wypaloną cegłę i parę obrobionych ciosów. Jeden nawet miał gmerk, domyślasz się pewnie jaki. Ja wtedy jeszcze się nie domyślałem.

Było takie miejsce, wolne od tamaryszku, nawet od opuncji i agaw: polanka w sam raz na ciężarówkę. Rosła tam pojedyncza pinia, tak poskręcana i przechylona, że właściwie nie miała prawa stać, bo pion był zdecydowanie nie tam, gdzie go szukała. Właśnie pod nią zaczęliśmy znajdować coraz więcej gruzu. Zostawiłem więc wszystko pod opieką tego wariata, Lautreca, a sam wzięłem karbid i poszedłem do groty. Bo była także i grotta, ale, jak się okazało, wyczyszczona do gołej skały. Za to jaki przyjemny chłód! W połowie sierpnia człowiek już tylko marzy o końcu świata, bo na pewno zaczęłyby się od porządnej ulewy.

Na Kydathenaion była kiedyś taka knajpka, w której sprzedawali śnieg. Gdy pierwszy raz przyjechałem w te strony, wiele lat temu – więcej, więcej, ale możesz zgadywać dalej – nie mogłem pojąć tego, że całe miasto zbiegało się do jednego baru, by jeść śnieg, łyżeczkami, z kieliszków na sorbety. Obok stała przyjemnie pomrukująca lodówka z wodą węglową, ale oni wszyscy mieli ją gdzieś i najzwyczajniej w świecie dokonywali

kanibalizmu nienarodzonych bałwanów. Ludzie Południa miewają dziwaczne obyczaje; trudno je niekiedy zrozumieć, przynajmniej póki się samemu ich nie przejmie.

Siedziałem więc sobie w tej grocie i rysowałem – by tak rzec – nie psując sobie samopoczucia obserwowaniem, jak ktoś inny męczy się za mnie. Zresztą, taką zawsze mieliśmy umowę: ja jestem od szukania i kombinowania, wykopki to ich działka. Owszem, nie lubię. Ale gorsze od brudu może się okazać robactwo, a to już powyżej mojej tolerancji. Sam się zresztą przekonasz, że czym dalej w stronę równika tym bardziej wszystko robi się jadowitsze i coraz sprytniejsze. Czasami nawet tęsknię za normalną biedronką, którą można bez obawy pacnąć na śmierć – tych tutaj bałbym się dotykać.

Przerysowywałem dagerotyp Chandreaux, właściwie bez sensu, bo zdjęcie to jednak tylko zdjęcie, ale ciągle jeszcze liczyłem na jakąś miłosierną wskazówkę. Na przykład ten zamek. W gruncie rzeczy był tylko niewielką, prowincjonalną strażnicą, założmy więc, że jego cztery, przedstawione na ikonie, wieże miały jakieś pięć lub sześć metrów średnicy i stały w odległościach trzykrotnie ją przewyższających. Jeśli wzniesli go Grecy za Cesarstwa, to można śmiało założyć, że był kwadratowy w rzucie, a więc zajmował jakieś trzydzieści na trzydzieści metrów, czyli ponad jedną czwartą ara. Mógłby zmieścić w sobie kościół, dla którego przeznaczony był święty Krzysztof. Wcale jednak nie musiał być aż tak stary bo coś, co wyobrażało bramę, zaopatrzone było w rodzaj bastei artyleryjskiej, jakby maczali w niej palce Wenecjanie. Z drugiej strony mogła to być tylko późniejsza przeróbka, może nawet z czasów Etnarchii. Tak czy owak, cały cmentarz zajmował najwyżej połowę tego, co zamek. Jeżeli forteca sięgała dalej na wschód, to można by do niej dotrzeć bez naruszania spokoju czcigodnych nieżywych.

Naturalnie, mogłem kazać zrobić wykop wokół nekropolii, ale w najlepszym razie znalazłbym obrys murów, może jakieś śmieci z fosy. A po co mi to? Być może, za jakiś czas, kiedy już wszystkie gadzety wszystkich epok zostaną wykopane i rozwieszane po wszystkich muzeach, będzie się można zająć mierzeniem i dociekaniem. Tylko to pozostanie. Mam nadzieję, że nie dożyję tych czasów.

A ja potrzebowałem śladów węgla albo kropelek stopionego metalu, zetlałych kawałków drewna i chaotycznie porozrzucanych szkieletów, najlepiej z wyraźnymi oznakami okaleczenia; liczyłem na to, że warownia nie umarła śmiercią naturalną. Fakt, że zdecydowano się ją całkowicie rozebrać wydawał się to potwierdzać – łatwo jest to zrobić gdy ogień albo armatnie kule osłabia mury i poszatkują je pęknięciami. A tylko w czasie oblężenia czy pożaru człowiek nie zwraca uwagi na różne cenne drobiazgi, którym pozwala upaść na ziemię i ugrzęznąć w pyłe. A jeśli nie jest jeszcze aż tak źle, może zbiera je pieczołowicie i ukrywa, zakopuje? Dla nas, sępów, poza grobami i śmietniskami, nie ma lepszych okazji. O, tak! Byłem prawie gotów pobłogosławić Yula i jego cmentarne obietnice.

Więc tak tam siedziałem, snując marzenia Attylli, i z całej siły pragnąłem, aby coś powiedziało mi, że Sezam jest tuż tuż. W owej chwili za nic nie uwierzyłbym, że wkrótce cała ta sprawa przestanie mnie interesować. Aż wreszcie, cudownie ukołysany dantejskimi erotykami żywcem przeniesionymi z rzezi malowanych przez Delacroix, zasnąłem sobie i gdyby było inaczej, nigdy nie odkrylibyśmy tamtej galerii.

Powiem, powiem, ale teraz twoja kolej. Tak, podwójną. Hm, rzeczywiście. To już pora na kolację. Ależ naturalnie! Nie próbowałeś? To dwie porcje, proszę. Z pizmianem i cebulą. Taka jest najlepsza. Odwagi, upieczona cię nie skrzywdzi! Poczekamy, *touristoi* są najważniejsi.

Uśmiechaj się do niego, to nieszczęśliwy człowiek. Mówię o właścicielu tej nory. Nie można mu dodawać smutków. Odkąd stracił obie córki... Nie, mają się dobrze, ale niestety mają się nie tam, gdzie by to go mogło ucieszyć. Mieć za zięcia Turka to w tych stronach katastrofa, nic bardziej krępującego nie może się już człowiekowi zdążyć, no może poza drugim zięciem, Maronitą. Wiesz, w szczęśliwszych czasach był tu taki zwyczaj, że dziewczęta same musiały zarobić na swój posag, a że wszyscy marynarze z tej półkuli o tym wiedzieli, były bogate. Rodzice? Nie rozśmieszaj mnie. Cieszyli się. Myślisz, że to łatwo wydać tu córkę za mąż? A tak wszystko dzieje się szybko, samo i za obopólną zgodą. Nie wspominając o wzroście zamożności. Jednak system miał wadę ukrytą, jak to mówią teraz: wszyscy się tu pchali, poczynając od Fenicjan, a na nas dwu kończąc. Teraz to już regularna wieża Babel. No, ale jeszcze tylko parę wojen domowych i sytuacja się wyjaśni. W ten czy inny sposób.

Spójrz na tamten stół, ten ostatni przy barze, obok radioli. Jeszcze dwa lata temu siadywał tam pewien facet. Zawsze nosił panamę i krawat i potrafił się tak uśmiechać, że człowiekowi przychodziła na myśl klawiatura fortepianu, któremu ktoś odrąbał jedną nogę. Oficjalnie był przewodnikiem i drobnym naciągaczem – prawdziwa pułapka na turystów – ale wszyscy wiedzieli, że to *le flic*. Mógł tu przychodzić i podsłuchiwać cudze rozmowy tylko wtedy, gdy trwał rozejm. Jak tylko EOKA wznawiała walkę nie pokazywał się, bo utopiliby go jak Javerta. Kiedy jednak był, nie należało przy nim niczego mówić, bo on wszystko nagrywał.

Swoją drogą, czasami dochodziło z tego powodu do zabawnych sytuacji: kiedyś przysiadł się do wesołego towarzystwa z Aten i – myślałem, że padnę ze śmiechu – równo co dwadzieścia pięć minut wychodził do toalety żeby zmienić taśmę. Potem wracał, słuchał i znów wychodził. Tamtych oczywiście ostrzeżono, więc mieli niezły ubaw. Jeden z nich terkotał jak maszyna do pisania: opowiadał, że zamierza wyjechać do Irlandii, bo chce poznać ten piękny kraj, a zresztą ma tam wielu przyjaciół i jego kuzyn jest marynarzem, więc często tam bywa. Rozumiesz, jak to musiało brzmieć. Trzymali go tak w napięciu bardzo długo, bo on ciągle czekał, że powiedzą: *Irlandia miała swojego Michaela Collinsa, ale i my mamy Theodorasa Grivasa, więc lepiej nie śpij, Albionie!* Nic takiego się

jednak nie stało; w dzisiejszych skomplikowanych czasach studenci są znacznie sprytniejsi, niż za życia Lorda Byrona; nie ma się co dziwić, że coraz trudniej przychodzi im go zaakceptować.

Choć, z drugiej strony to dobrze: mogą poszukiwać innych metod nierozpłynięcia się w anonimowości. Przy okazji: chciałbym cię kiedyś poznać z jednym moim znajomym, Evangelosem. Potrafi grać na wszystkim, co tylko mu dasz do ręki, a nawet próbuje komponować. Chandreau mówi, że trzeba go wysłać do Paryża. Widzisz? Historia zatoczyła koło. W moich czasach też tak postępowano.

O, już są. Dziękujemy. Co, już? No, no. Szybko daliśmy jej radę. Oczywiście, prosimy o następną.

Czy zauważyłeś, że butelka to dziwne naczynie? Z zewnątrz zawsze jest większa niż w środku. Patrząc na nią wydaje ci się, że wystarczy na długo i dopiero po fakcie widzisz, że zawierała znacznie mniej, niżby należało. To wyjaśnia, dlaczego produkuje się pięciolitrowe szampany. Do każdego powinno się jednak, prócz kieliszków, dołączać poduszkę i ze dwie prezerwatywy.

Wiesz, kiedyś, jeszcze zanim zacząłem bywać w „Dôme” i w „Rôtonde”, piłem bardzo niewiele. Właściwie bałem się alkoholu. Jest w nim coś niepokojącego, bo on odbiera ci władzę nad tobą samym. Czy nigdy nie zdarzyło ci się przestraszyć na myśl o tym, że kiedyś przez sen, po pijanemu, albo w chwili słabości powiesz komuś coś, co da mu nad tobą przewagę? Pozwoli mu zastrzelić cię śmiechem? To tak, jakbyś był pacynką i bał się, że wsadzi w ciebie dłoń ktoś zły i dużo mądrzejszy od ciebie? Nie? No, cóż. Może to dlatego, że ty nie urodziłeś się w Lipawie i nie musiałeś kombinować, jak się stamtąd wydostać.

Słowem, alkoholu unikałem, choć tam tego raczej nikt nie praktykował. Taki klimat. Potem to się trochę zmieniło. Pewnie opowiadano ci o wieczorach na Montparnassie? Och, minęło tyle czasu, a ja wciąż pamiętam ich wszystkich: Fort, Salmon, Jacob, Soutine... Modigliani, co całymi nocami recytował, po pijaku, sztance z „Komedii”, potem Chagall i Kisling... i ten genialny szaleniec, Foujita, Pan Glicynowe Pole, pierwowzór wszystkich hipisów...

Był też pewien nieszczęsny surrealista, Apollinaire, którego chowaliśmy w tym samym dniu, w którym wszyscy inni cieszyli się z końca Wojny Światowej. I wiesz, do dziś nie pojmuję dlaczego, już na Père Lachaise, wszystkim nam jednocześnie przypomniało się, jak Sureté nawet jego podejrzewała o kradzież Mony Lisy. Oj, byli wtedy nerwowi, panowie żandarmi – taki wstyd dla Republiki! A on, chudy astmatyczny poeta, wśród tego całego zamieszania, gdy przesłuchiowano każdego, kto kiedykolwiek otarł się o prawo, a szpicle i tajni policjanci zderzali się na ulicach, on żalił się po nocy spędzonej w areszcie. Przypomniało nam się to i po prostu staliśmy tam, nad trumną, śmiejąc się ze zdezorientowanych komisarzy i oburzonego Guillaume’a.

Chyba dopiero wtedy zrozumiałem *Metamoreasa*. Pewnie słyszałeś o nim? Z binoklem w oku i w nienagannie skrojonym fraku mówił i – dając słowo – wyglądał wtedy, jak ten nasz *Aiosotheos*: *Opierajcie się na zasadach, to wreszcie się ugną*. Zawsze wokół niego siedział cały tabun takich jak ja, a każdy popijał *mandarin-citron*, *picon-couraço*, anyżówkę, albo jakąś inną z tych rozkosznych trucizn, po dwadzieścia centymów za szklaneczkę. Dopiero w czasie tej niemieckiej awantury z Alzacją i Lotaryngią weszła moda na *cafe-crême*, ale wtedy brakowało nawet węgla i biedny Rodin umarł na suchoty...

Nie piję już tak, jak kiedyś, ale sam widzisz, że człowiekowi w moim wieku, po tylu latach treningu, nie wystarczy już wino, nawet tak oleiste, jak to. A teraz jeszcze wszystkim, co wypiję, dzielę się z moją ośmiornicą.

No i jak, smakuje? Przyzwyczaisz się – specyfika tej kuchni. To poezja jedzenia. Ale wy w ogóle już nie wiecie, co to znaczy, mechanicznie pochłaniacie szynkę z fasolą, całość polewając keczupem albo sosem chili i zapijając szlamiastą whisky. I tak jest nie tylko z jedzeniem.

Opowiadano mi niedawno, że gentlemana z tamtej strony Oceanu można poznać po tym, że przed pocałowaniem kobiety wyciąga papierosa z ust. Zresztą niepotrzebnie, bo wasze kobiety też palą jak lokomotywy i zamiast warg mają wylot rury wydechowej. Zetknięcie takich organów z pewnością nie spowoduje uchybienia higienie. Zupełnie nie dziwię się Henry'emu Millerowi, że od was zwiął, ani Hemingway'owi, że strzelił sobie w łeb, gdy musiał wrócić. Kiedyś myślałem, że racją waszego istnienia są wasze fabryki i wasze pieniądze, ale teraz widzę, że obie te rzeczy posłużą do kupienia nas wszystkich, na pniu, lub po kawałku. Na szczęście jeszcze przez jakiś czas ten wasz popyt zaspokajając będą córki podupadłych arystokratów, z tytułami, w które nikt by tu nie uwierzył.

Rozgrzesza was tylko Twain, Faulkner i paru innych, ale to i tak nic nie zmienia, bo my, biali ludzie, Europejczycy, stanowimy tylko piętnaście procent populacji planety i jest nas coraz mniej! Nie miałbym za złe Murzynom czy Chińczykom, gdyby przejęli po nas naszą kulturę, ale i tak nic by z niej nie zrozumieli, bo zanim to się stanie, wy wszystko tutaj podłączycie do prądu, a oni...

(...)

Może nie była najlepsza, ale bez przesady. Zachowując się w ten sposób sprawiasz przykrość Polikaridesowi, przecież widziałeś, że starał się dla ciebie bardziej niż dla tego motłochu. To zobowiązuje, dokończ więc swoją ośmiornicę mężnie i bez grymasów. Dam ci dobrą radę: użyj imbiru, to pomaga.

Mam nadzieję, że tym, co mówiłem nie uraziłem zbyt twojego patriotyzmu? No, to załatwione. I tak masz szczęście, że nie spotkałeś Lautreca; jego gadki bywały

dosadniejsze, każdego potrafił wyprowadzić z równowagi. Ale znał się na robocie i był dokładny, dlatego zwykle kierował wykopkami i dokumentacją.

Wtedy, pod pinią, musiało im iść bardzo dobrze, bo kiedy zobaczyłem dół, który wygrzebali, nie mogłem uwierzyć, że zrobili to w ciągu jednego popołudnia. Entuzjazm musiał ich rozpałcić, jak tylko sobie poszedłem; znajdowali coraz większe fragmenty, nawet gzymsów, czy kolumn, a wszystko czyściutkie i bez żadnych nalotów czy przebarwień. Na głębokości półtora metra było już regularne lapidarium: marmury białe, czerwone i niebieskie, z żyłkami i bez, wapień, lawa wulkaniczna, porfiry, malachity... Każdy najmniejszy kawałek nosił ślad roślinnego ornamentu. Metr niżej znaleźli całą amforę sklepienną, jeszcze oblepioną wapnem i cały stosik złotych tesser mozaikowych; woda musiała je zmyć z kamieni i osadzić na warstwie łu.

I właśnie na tym ile wszystko się skończyło, dalej zalegała żółta ziemia i koniec. Gdybym tam był, kazałbym im dać sobie spokój, bo wyglądało to na nienaruszony calec, dość płytko, fakt, ale bądź co bądź był to szczyt wzgórza. Ale nie było mnie, więc kopali dalej. To skończona głupota, takie rzeczy mają sens nad Tygrysem, ale tu? Jaka powódź mogłaby zalać szczyt nadmorskiego wzgórza wysokiego na trzydzieści metrów? I jaka morska woda osadziłaby półtora metra żółtego łu?

Ale kiedy już go odrzucili, natrafili na ceglane, krzyżowe sklepienie, omszałe i zamulone, ale bez najmniejszej wątpliwości gotyckie. Wtedy postanowili mnie odszukać i obudzić, a ja stanąłem na krawędzi jamy, popatrzyłem ponad cztery metry w dół i pomyślałem sobie: święty Krzysztofie, ktokolwiek cię namalował, dlaczego nie mógł z tym choć trochę poczekać? Może pokazałby wówczas także i to, na co natknąłem się na poboczu drogi, którą ten bałwan prowadził mnie donikąd. No bo, czy nie jest bałwaństwem uwiecznianie krzesła zanim usiądzie na nim portretowana osoba?

Tak właśnie to odczułem. Przecież Bizantyjczycy wznosili te swoje kwadratowe zameczki wszędzie, gdzie tylko władali czymkolwiek wartym bronienia, choćby to była jedynie zatoczka po niebezpiecznej bo nawietrznej stronie Wyspy. Cały Lewant jest nimi obsiany, stoją sobie w różnych stadiach zachowania albo przebudowy, i zwykle w sąsiedztwie można znaleźć późniejsze, romańskie pozostałości z czasów krucjat. Ale coś jeszcze późniejszego, a mimo to nie będącego wytworem Wenecji czy islamu, lecz autentyczną resztką wycofującego się z tych stron rycerskiego Zachodu! Gdybym mógł zobaczyć, chociażby na ikonie, to, czego tylko resztki odkopałem! Coś takiego człowiek odkrywa tylko raz w życiu. Ba, udowodnij mi, że się mylę. Uczynisz mnie szczęśliwszym, a może nawet rozgrzeszysz z tego, co zrobiliśmy przed odjazdem.

Polej, polej. Tamtej nocy gadaliśmy wszyscy tylko o jednym i nikomu nie chciało się zinwentaryzować tych wszystkich kamieni. Nie mam pojęcia, czy to wieśniacy, czy tylko Aiosotheos, czy może wreszcie mu sami przyczyniliśmy się do ich zniknięcia. Prawda

wyglądała tak, że już w trakcie kopania każdy odkładał na bok to, co mu się szczególnie podobało, bo wobec takiej obfitości nikt nie czuł się skępowany.

Parę lat temu, na malutkiej Gavdos, natknęliśmy się na taką skarbnicę włoskich brązów, że wszyscy potraciliśmy głowy i ostatecznie w skrzyniach znalazła się tylko połowa tego, co wyłowiliśmy. Ja, na przykład, przywiozłem sobie dwie figurynki, gdzieś z końca XVI wieku – dla Rzymu to żaden zabytek – ale takie, że nie powstydziliby się ich sam Pilon, czy może nawet Jean Goujon. Pewnie widziałeś tę fontannę? Jasne, pokazują ją każdemu.

Jak? W bardzo prosty sposób. Wewnątrz innych. Wtedy nie mieli jeszcze we wszystkich portach tych maszynek do prześwietlania bagażu i nie mogli wiedzieć, że w tandetnych, terakotowych sfinksach tkwią dwa dzieła sztuki. Sam je zrobiłem, a mój znajomy antykwariusz postarzył glinę i wypaliliśmy je w ciągu jednej nocy. Nie, nigdy nie byłem rzeźbiarzem, ale ci, co produkują pamiątki dla turystów też nimi nie są. W domu wystarczyło postukać o kant stołu i już. Oczywiście teraz by to nie przeszło.

Skąd się tam wzięły? Myślę, że mógł to być plon tureckiego plądrowania Kreta, pewnie chcieli je w Antalyi przetopić na falkonety, bo po Lepanto musieli mieć straszne kompleksy technologiczne. Dalej je mają, tyle że teraz kradną turystom aparaty fotograficzne. Dlatego Chandreau wciąż używa swojego wielkiego Mentora ze skórzanym miechem – to rzecz lepsza od tych wszystkich nowoczesności, a mało prawdopodobne, aby ktoś się nań połaskał.

Skoro już o niej mowa, podobno naciągnęła cię ostatnio na jakieś pieniądze? To prawda? A więc już je straciłeś – ona nigdy nie oddaje. Tak to. Ale pociesz się, że na pewno nie roztrwonila ich bezmyślnie. Te złote płytki, o których ci wspominałem, pamiętasz? Zawładnęła nimi bez najmniejszych skrupułów i teraz co jakiś czas ma nową bransoletkę, albo kolczyki. Zwróciłeś uwagę? Fabrykuje je sama i nie używa niczego, poza kilkoma prostymi narzędziami. Godzinami mogę patrzeć, jak to robi, chociaż potem dzwoni mi w uszach jak wszyscy diabli.

Wtedy była jeszcze bardziej zwariowana niż teraz. To ona wpadła na pomysł, żeby przebić to sklepienie. Ja wolałbym odsłonić je całe i spróbować dostać się pod spód bokiem, ale przegłosowali mnie, więc musiałem ustąpić. Widzisz, Chandreau to moja *voyanté* – dobra wróżka, jeśli wolisz. Wiesz, jak to bywa z wrózkami? W większości można je nazwać dobrymi, inne się tylko za dobre uważają, a są i takie, co nie mają zdania na swój temat. Lepiej więc im się nie sprzeciwiać, bo są zbyt małe, aby pomieścić w sobie więcej niż jedno uczucie naraz. Jeśli przypadkiem w danej chwili nie jest to uczucie zbyt przyjazne, skutki mogą być opłakane. Poczytaj Barrie'ego, on coś o tym wiedział.

Kiedy więc po kolei wybijałymi cegły, odpowiadało nam głuche echo. Za każdym razem patrzyliśmy na siebie jak żołnierze Pizarra na widok Peru. Stopniowo otwór poszerzał się i widzieliśmy, że to nie żadna wypłuczyna – pustka pod nami zdawała się nie

mieć dna. A gdy w końcu je ujrzelśmy, okazało się, że musimy zbić drugą drabinę i to dłuższą nawet niż ta, prowadząca na powierzchnię. I właśnie wtedy zobaczyliśmy pierwszą z tych kadzi: przechylona szyjka wionąca chłodem i wilgocią wystawała z piasku dokładnie pod nami, jak jakaś megagęba gigantycznego, zagrzebanego w ziemi jamochłona.

Potem odkopaliśmy inne. Niektóre były pęknięte, inne nie, większość wypełniona piaskiem, niektóre jeszcze stały, po innych pozostało tylko dno – taki wielki kamienny plaster – ale wszystkie były olbrzymie, jak te amfory u Bocaccia. Te, w których kobieta może się, razem z kochankiem, schować przed mężem, co ich nakrył, i gdy on będzie przetrząsać pokoje rycząc i tłukąc wszystko, co wpadnie pod rękę, im nie będzie ani zbyt ciasno, ani nadto niewygodnie.

Migiem spuściliśmy się na dół i po chwili staliśmy stłoczeni w oślepiającej plamie słońca. Znasz ten charakterystyczny zapach zastałego powietrza? Jest duszne i wilgotne, ale są w nim zawsze jakieś dziwaczne wonie, przeważnie bardzo słabe i niełatwo je wyczuć przez stęchliznę. Tak, jakby wszystkie pory roku, które tam nie dotarły, usiłowały teraz nadrobić stracone lata, chaotycznie i bez zachowania jakiegokolwiek kolejności pchały się z nigdy niewykiełkowanymi nasionami, nigdy niezbranym winem, niespadłym deszczem i niezżółkłą trawą; obudzone naszym wtargnięciem, ale już nie pamiętające, do czego służy ciepło słońca, szum wiatru, huk morza i cała masa innych rzeczy.

Tak właśnie będziemy zachowywać się my sami, gdy przyjdzie na nas czas zmartwychwstania (założmy na chwilę, że to prawda i że tak właśnie będzie). Będziemy wychodzić z naszych grobów, z naszej ciszy, bezruchu, z naszej bezcielesności albo niebytu – każdy z tego, czego się dla siebie spodziewał za życia i w co wierzył – i będziemy się rozglądać nie rozumiejąc, co się stało i dlaczego wszystko jest nie takie, jak się do tego przyzwyczailśmy przez ten długi, bądź co bądź, czas, gdy leżeliśmy pod deską. A archanioł Gabris Mostel z ognistym mieczem w dłoni i cały w niebiańskim blasku, zstąpi ku nam po sublunarnej drabinie spuszczonej przez dziurę wybitą w strefie gwiazd stałych, potem rozejrzy się, pociągnie nosem i z rozmachem walnie w plecy swego przybocznego Lucyfera, mówiąc: *No, Yul. Trzeba będzie cały ten szlam wybrać na górę. Bierz się do roboty! A ty, Chandreau, biegnij po magnezję!*

Opisywała ci, co znaleźliśmy? Dobrze, teraz usłyszysz szczegóły.

No co, do licha? Znowu pusta? Tak, prosimy. Kto wie, może to nie jest zły pomysł? Nie będzie musiał dwa razy chodzić. Już od jakiegoś czasu mówię mu, że powinien zatrudnić trzeciego kelnera, ale on tylko kręci głową. Firma rodzinna to firma rodzinna. Żadnych obcych, z wyjątkiem gości, ma się rozumieć. Jeśli zapłacą i nie będą robić awantury, to proszę bardzo, mogą sobie być Mahdimi albo Megarabinami, wszystko jedno. Ale firma jest rodzinna, a w rodzinie nie ma nikogo, kto mógłby wziąć tę posadę. Założę się, że w Kanie Galilejskiej panowały podobne stosunki i całej chmarze weselnych

głodomorów musiało usługiwać kilka zagonionych pacholąt. Nie dziwię się, że w takiej sytuacji zapomniano o winie i trzeba było dokonywać cudu, aby nie dopuścić do towarzyskiego impasu.

Pierwsze zrobione przez Chandreau zdjęcie przedstawiało dół tego, czego górę już ci opisałem; tę samotną, krzywą pinię. Jej korzenie na długo przed nami przebiły się do wnętrza i teraz ich delikatna pajęczyna spływała wzdłuż sklepiennej służki, coraz bardziej odchylając się od ściany; twardej tworzyła fantastyczny splątek. Przypominało to powiększoną siatkę żyłek, jakie można zobaczyć w liściu, patrząc przezeń pod światło, tyle, że tam taka sieć jest płaska i dwuwymiarowa, a korzenie przed nami były jednym, białym gąszczem. Siekierami musieliśmy go rąbać, aby przedostać się do dalszych części korytarza.

Szczyściem nasza ciężarówka – kiedyś opowiem ci, skąd ją wytrzasnąłem i jak ją kupiłem – wyposażona była w wyciągarkę. Zbudowaliśmy więc żuraw i, skrzynia po skrzyni, zaczęliśmy wydobywać piasek, który przez stulecia przesączał się małymi pęknięciami w sklepieniu i zalegał teraz w nieruchomych i zatęchłych wydmach. Trwało parę dni, zanim odsłoniliśmy wszystkie stągwie i dotarliśmy do posadzki.

Ale ja już w tym nie uczestniczyłem. Wcześniej, gdy tylko stało się to możliwe, zapuściłem się w głąb galerii. Już wtedy podjąłem decyzję, co powinniśmy...

(...)

Dobrze, skoro już wróciłeś, to teraz ty popilnuj stolika, a ja pójdę obejrzeć sobie te bezwodne spluczki. Aha, gdyby *patron* zaniepokoił się moim zniknięciem, daj mu to. Ależ nie, oczywiście, że mi ufa. Ale tu płaci się sukcesywnie w miarę upływania wieczoru. To taki zwyczaj. Kiedyś robili tak *maquis*, bo nigdy nie wiedzieli, kiedy wpadnie jakiś Nibelung i zaczną wrzeszczeć o *kennkarty*. Przy okazji zamów jeszcze butelkę *reziny*.

(...)

No! Najważniejsze, aby każdy płyn w przyrodzie znajdował się na swoim miejscu i nie zajmował miejsca przeznaczonego na inny płyn. Jak mawiał filozof, nie pamiętam który, ale na pewno z tych stron. Co to takiego? Piwo?! W blaszanej puszcze?! Za tysiąc lat odkopią ją nasze wnuki, ciekawe, co powiedzą. Napój technologiczny z połowy dwudziestego wieku? Spożywczość industrialna? Maszyna żołądkowa? Z drugiej strony to bez znaczenia, może pomyślą, że trzymaliśmy w nich napoje dla ochrony przed stadami szczurów. Wyobrażasz sobie jedną z tych watah, co zżerają połowę miejscowego zboża, zalaną w sztok? Nawet nie usłyszałyby grajka z Hamelin.

Dobrze, spokojnie, ty usłyszysz wszystko, tylko mnie nie popędzaj. A może boisz się, że zanim dobrnę do końca, będę zbyt pijany, by wiedzieć, co mówię? Cóż, to możliwe. W takim wypadku opowiem ci resztę innym razem. A to dlaczego? Jutro nie będzie dnia? Ach, skoro tak, to co innego. Wracajmy więc do naszych owiec.

Z tych puszek nie będzie żadnego pożytku... Poczekaj, dokończę myśl. Może na to nie wygląda, ale mówię na temat. Taka puszka, kiedy się ją opróżni, jest jałowa, jak Ezedrelon po kampanii Ben Guriona. Stągwie, które znaleźliśmy, były jednak kamienne i to – w znacznej mierze – uratowało naszą wyprawę od plajty. A widzisz? Nie, nie. Po kolei. O stągwiach będzie na końcu.

Oczywiście nie trzyma się wina w krypcie kościelnej, a zwyczajna piwnica nie byłaby tak wysoka i – jak się wkrótce przekonaliśmy – tak rozgałęziona, jak nasza galeria. Czasami musiałem się przeczołgiwać pod samymi zwornikami; więc nie mogłem zabrać ze sobą szpadla i nie dotarłem za pierwszym razem zbyt daleko, ale naliczyłem osiem przeszęł, zanim natrafiłem na ścianę. Były też boczne korytarze, znacznie niższe, więc już zupełnie skryte pod piaskiem. W miarę jednak, jak go ubywało, odkrywaliśmy zupełnie przyzwoite filary, a także lunety, prowadzące do kluczowych strzelnic! Zmierzyliśmy grubość zewnętrznego muru: ponad trzy i pół metra! Głównie kamieni i greckiego betonu, ale lico było z najprawdziwszej cegły!

Tak, tak, znowu byłem krecikiem, ale tym razem przed kolacją, i to taką, co spadła z nieba. Gdybyśmy odślonili wszystko do końca, byłby to ewenement na niejedną monografię – taki zamek to niezbyt częsty widok w tych stronach, nie mówiąc już o tym, że zupełnie nieznany ze źródeł. To byłaby moja, no, może nie Troja, ale chociaż Cezarea.

Nic się nie stało. Jest gdzie był. Może kiedyś ktoś znowu na niego natrafi, ale chyba niezbyt prędko, bo dobrze zatarłem ślady i od początku pilnowałem, by miejscowi nie dowiedzieli się o niczym.

Wymyśliliśmy na ich użytek bajeczkę o Templariuszach i ich rytualnej kaplicy. Młody Dethou całymi wieczorami rysował na piasku jakieś wydumane symbole i objaśniał je Aiosotheosowi. Potem, aby udokumentować nasze zainteresowanie przedmiotem, sami zaczęliśmy się przysłuchiwać jego wykładom i, po paru dniach, każde z nas było już doskonale wykształconym *guru*. Daję słowo, mógłbym tylko poczekać, aż zarosnę jak małpa, ubrać się jak Foujita i usiąść z gitarą w jakimś ruchliwym miejscu. Zawsze zarobiłbym na skręta. Zdaje się, że to teraz dość modne, ale wtedy chyba jednak by mnie zamknęli. Aiosotheos coraz rzadziej nas odwiedzał. W jego oczach musieliśmy stracić cały szacunek, bo zrozumiałe jest kopanie dla zysku, ale dla jakiś podejrzanych celebrazji? Jak tylko zauważyliśmy, że patrzy na nas, jak na nawiedzonych szarlatanów, natychmiast zaczęliśmy utwierdzać go w przekonaniu, że nimi jesteśmy.

Nie myśl sobie, że wieśniacy są naiwni. Jeśli chce się przed nimi udawać wariata, nie można zachowywać się jak wariat, bo tego właśnie oczekują i tak by sami postępowali,

gdyby – z jakichś powodów – musieli przed kimś udawać wariatów. Trzeba ich bezustannie zaskakiwać czymś nowym i główkować nad sposobami maskowania tych zaskoczeń. Rozumiesz, co mam na myśli? Podam przykład: nie możesz powiedzieć, że posługując się średniowieczną magią zamierzasz zdobyć no, wszystko jedno co, powiedzmy: niezmierzone bogactwo – to zbyt jaskrawe. Należy zasugerować, że Templariusze to robili, a potem oświadczyć, że było to bardzo łatwe.

Żeby wymyślać takie brednie, trzeba być złośliwym i przewrotnym. Chandreau i Lautrec doskonale pasowali do tego wzorca, więc szło im niezwykle składnie. Kiedy dotarliśmy do zachodniej odnogi i – po przebyciu korytarza – odkryliśmy następną, prostopadłą do poprzedniej, galerię, byłem już niemal pewien, że jednak mają rację. Potem dopiero dowiedziałem się kto i dlaczego zrobił te *graffiti*.

Widziałeś zdjęcia? Nie pokazała ci?! Owszem, gniewałbym się, ale nie bardziej, niż już się gniewam, za to, że w ogóle ci powiedziała. To miała być tajemnica! Taki był warunek i przystali na niego, bo wyszli stamtąd bogaci. Jak sądzisz, za które pieniądze Chandreau kupiła ten swój sklep? A Vilga? A Bonajörk? Naszym wrogiem jest nie jakiś tam Departament Starożytności, ale zwykły urząd podatkowy.

Nie, mnie to nie dotyczy. Ja nie robię tego wszystkiego dla pieniędzy. Uwierz mi – nie muszę. Mam trochę ziemi tu i tam, oddałem ją w dobrą dzierżawę. Gdybym chciał mógłbym żyć sobie z czynszów, jak mój nieszczęsny wujaszek Fiodor, który był prawdziwym baronem na włościach, ale pewnej nocy przyszli do jego domu *smiersza* i rozstrzelali wszystkich – nawet służbę i stajennych – choć niezbyt dokładnie, jak to właśnie w tej chwili masz okazję obserwować. Przeszłość bywa pouczająca, ale może też być bolesna i dlatego ja wolę się nią zajmować na mój sposób. To, co robię, bawi mnie. Jest ciekawe. I nie jest podejrzanе, tylko nieco nielegalne. To zresztą zależy od punktu widzenia; tak jest ze wszystkimi interesami, poza grabarstwem. Tylko grabarz jest zawsze jednoznaczny.

W samej galerii, tej drugiej – biegła równoległe do linii brzegowej, więc strzelnice były większe (o rurach opowiem później) – niewiele dało się odczytać; puszkarze musieli wszystko zadymić, a poza tym, nad nią wyrosło kilka sosen i cztery przęśla nie wytrzymały naporu korzeni. Dlatego w tym miejscu musieliśmy dać za wygraną i wycofać się do narożnika. Prowadziły stamtąd schodki w dół, do fundamentów baszty. Loch, bo tak to wyglądało, nie miał okien, ani posadzki, za to ziemia wzdłuż ścian była wybrana i zrzucona na środek.

Rozumiesz? Ktoś tam był przed nami i szukał skarbów. Ale co to był za dziwny rabuś! Uwierzyłbym, że nie wziął dział, w końcu my też tego nie zrobiliśmy mimo wyciągarki, ale że nawet nie poobrywał z nich delfinów? Oczywiście mógł się śpieszyć, ale wszystko zaczęło mi wyglądać dość niejasno. Ludzie nie postępują w ten sposób. Czy ty, stojąc nad dwoma, albo trzema, tonami spiżu – powiedzmy, że dla własnego bezpieczeństwa wołałbyś

je rozpiłować, a potem potłuc i sprzedać jako złom – zawracałbyś sobie głowę kopaniem? Przepraszam, złodzieje. No więc? Ja tak, ale tylko wtedy, gdybym wiedział, że kopać warto, lub gdyby coś sprawiło, że zacząłbym tak myśleć.

I po chwili zrozumiałem, że to coś tam było, i że patrzyłem na to przez cały czas, ale na mnie nie podziałało to w ten sposób. Bo ja nie byłem głodnym wieśniakiem sprzed ponad stu lat, kiedy to, za heterii Filików, okolicę pustoszyła zaraza, taka, że zamiast o młynie myślano tylko o nowym cmentarzu. I ja nie dopuściłbym się z głodu każdego świętokradztwa, które dawałoby nadzieje na znalezienie czegokolwiek, za co można by kupić choć garść kasztanów. Ten człowiek mógł już nie mieć sił nie tylko na wydobywanie tych cholernych armat w całości, ale nawet czasu, by je rozłupywać.

Stałem tam z Chandreau i nie widziałem jej, choć pamiętam, że z jakiegoś powodu – umorusana gliną i oblepiona wiekowym kurzem podziemi – wydawała mi się tego dnia czymś niesłychanie cennym i kruchym, bardziej uroczym i bardziej mi bliskim niż cokolwiek, czemu potrafiłbym nadać jakąś nazwę. Widziałem za to jego – człowieka o skórze koloru popiołu, zapadniętych policzkach i olbrzymich, suchych oczach, widziałem jak na kolanach pełza pod ścianami i może gołymi rękami rozgarnia ziemię: nie, nie tu, może trochę dalej, aż obszedł tak cały loch i niczego nie znalazł.

Zapewne to ten sosnowy laszek dał mu wstęp tu, na dół. Kiedy wszedł, nie ruszył armat, zobaczył tylko napisy na ścianach, a że pewnie widział już wokół niejednego trupa, wziął je za to, co nam w ogóle nie przyszło do głowy. Były niewyraźne, więc szedł dalej, a zresztą galeria miała posadzkę i musiałby użyć oskarda, którego pewnie nie miał. Może tylko przechodził tędy po jakiejś wyjątkowo ulewnej burzy, a może bał się go wziąć z chaty, by sąsiedzi nie poszli za nim. Doszedł do narożnika, a że galeria z kadziami była już pewnie zasypana piaskiem, jak wtedy, gdy my do niej weszliśmy, skrzył w dół i tu znalazł napisy wyraźne, czytelne i wziął je za świeże. W dodatku pod stopami miał tylko ubitą ziemię. Nie pomyślał o prochowym dymie, ani o tym, że skoro jest głębiej, deszcze trudniej tu docierają i nie zdążyły tak dokładnie zmyć kopcja. Może nawet nie myślał o tym, co chce zrobić. Po prostu zaczął kopać.

Nie wiem, co zrobił, gdy zrozumiał, że się mylił. Nie znaleźliśmy go, więc pewnie wyszedł. Ale też nie szukaliśmy zbyt dokładnie. Zerwaliśmy tylko delfiny z luf – były dość kunsztowne, jak na forteczne kartauny – i nie wchodziliśmy tam więcej. Wyobraź sobie jednak taki scenariusz: zarazy najchętniej wybuchają w lecie, w upalne bezwietrzne dni, gdy mało jest świeżej wody, a bezpośrednich powodów mogły być setki. Ale nagle rozpętuje się burza i ty, mieszkaniec tej wioski, dziadek małego Aiosotheosa, wychodzisz z chaty. Deszcz oczyszcza cię i gasi pragnienie, choć nie może zaspokoić głodu. Głód i zaraza to dwie strony jednej monety. Znajdujesz tę dziurę w ziemi; część sosen jest obalona, ich długie korzenie nikną w głębi sklepionej jamy. Pewnie wracasz do domu po łuczyno, a może używasz brzozy kory i wchodzisz, potykając się, do środka.

Potrzebujesz czegoś niezbyt dużego, abyś mógł to łatwo ukryć, i na tyle cennego, aby miało wartość wobec panującej, jak zwykle w takich razach, drożyzny. Mijasz porzucone armaty, schodzisz po schodach do lochu i po chwili już drzesz ziemię paznokciami, z których płynie krew. A potem deszcz kończy rozpoczętego dzieła i giniesz pod zwałami błota, bo próbowałeś wyjść, ale zerwane sklepienie wyprzedziło cię. W tamtej części podziemia leżą głębiej i musiałbyś przebić się przez sześć metrów gliny i kamieni, by zmartwychwstać.

A może stało się to, gdy byłeś tu, w lochu pod basztą i nie mogłeś już wyjść, więc, póki tliło się twoje światło, siedziałeś, nie mogąc płakać, patrzyłeś w napisy i nie wiedziałeś, dlaczego stały się one dla ciebie pułapką, ani czym miały być, gdy czyjaś ręka przysuwała świecę do ściany. I dlaczego Bóg jest tak okrutny dla ciebie, przerażonego, głodnego wieśniaka, że grzebie cię za świętokradztwo, który chciałeś popełnić, aby móc uratować własne życie. A potem poszedłeś umrzeć w jakieś inne miejsce, gdzie my już nie...

(...)

Widzę, że *rezina* działa na ciebie, jak pożar na strażaków. Absynt pewnie też by ci nie smakował, a to największe nieszczęście jakie może spotkać człowieka, który zna abecadło i umie trzymać pióro.

Metamoreas mawiał, że natchnienie ma kolor spirytusowozielony i jeżeli w ogóle istnieje jakiś powód, by go nie słodzić, to są nim wierzyciele. On sam bez przerwy się przeprowadzał, by po dwóch tygodniach oświadczyć, że *maître* jest zdziercą i że on musi poszukać tańszego lokum. W końcu mieszkał w takich miejscach, że chyba nawet Atget nie dostrzegłby w nich uroku, choć on potrafił wydobyć piękno nawet z dziurawej rynnny. Czy wiesz, ile teraz kosztują jego klisze? Chandreau rujnuje się na nie, ilekroć ma okazję, pewnie właśnie na to poszły twoje cztery setki.

Nie żałuj jej tego. My wszyscy przymykamy na to oczy, bo zawsze, kiedy jest z czegoś zadowolona, zaprasza nas i czasami wszystko kończy się na podłodze, jak na obozie skautów, a czasami nie. Oszalałeś? W moim wieku?! Nasz związek jest czysto platoniczny, mówiłem ci przecież kim dla mnie jest i zapewniam cię, że urząd ten traktuje bardzo poważnie. Czy opowiadała ci, jak kiedyś złamała mi szczękę? Nie?! No, to wiele straciłeś. To długa, piękna i pełna chwały historia, której nie usłyszysz, chyba, że zamek już cię nie interesuje. Twój wybór, klient stawia, na co ma ochotę. Na twoje życzenie mogą być Rudolfem Valentino albo Busterem Keatonem. A więc jednak... Niełatwo odwrócić twoją uwagę, gdy już się na coś uweźmiesz.

Nie, na kadzie jeszcze czas nie nadszedł. Przed nimi będzie książka, świeca, dwóch facetów i mój znajomy antykwariusz, który w przeciwieństwie do tamtych dwóch jeszcze

żyje. Daj mu Panie. Za jego zdrowie. Taaak. Ty już nie pij, twoje ciągle wychodzenie burzy nastrój. Nie wiem już, gdzie skończyłem.

Tak, słucham. Do mnie? Dziękuję. Zaczekaj, masz. Którego dziś mamy? No to otwieram. *Allahu akbar!* Jak mawia mój znajomy *arqui*.

Przed kadziami będzie jeszcze ten list. W samą porę wypiliśmy zdrowie mojego usłużnego przyjaciela! Pisz mi, że jest szansa na dobiecie targu, na który czekałem już od dłuższego czasu. Muszę mu tylko do jutra rana wysłać pieniądze.

Kallias, o której odchodzi prom? Psiakrew, nie zdążę! A następny? Jak to?! Wszyscy diabli! Przeklęty szyper, przeklęte czartery, przeklęci turyści! Muszę to załatwić natychmiast! Alex, pożycz mi tysiąc! Nie jak Chandreau! Ja oddaję! Zapytaj Polikaridesa, jeśli nie wierzysz. No już! Dawaj forszę, bo nie opowiem ci więcej ani słowa i do końca życia będzie cię gryzła ciekawość! Nie śmieję się, umrzesz na nią szybciej, niż ja na moją wątrobę. Żaden lekarz ci nie pomoże, tylko ja. Człowieku, chłopak musi zdążyć do portu! A komu? Sam nie pobiegnę! Do diabła z twoimi pytaniami, po prostu daj te pieniądze! No, nareszcie! Zwariowałeś?! Co to ma być? Masz mnie za jakiegoś żebraka? No tak, tak! Dolarów! A czego bym mógł chcieć od ciebie? I nie opowiadaj mi tu że nie nosisz przy sobie takich pieniędzy. Wbrałeś się na pogawędkę ze mną bez *bakszyszu*?

Dobrze, dawaj wszystko.

Nie zawal tego, Kallie. A to dla ciebie. I pamiętaj: przed świtem jesteś na Place, rozumiemy się? I nie daj się okraść. No, gnaj! Gnaj, mój Hermesie, w krąg po sedesie.

Alex, chcesz mnie wysłać do grobu? Czy wiesz, jak się przez ciebie zdenerwowałem? Twój ośli upór sprawił, że musisz zamówić jeszcze jedną butelkę. Gdyby nie to, ta tutaj by wystarczyła.

Na czym skończyliśmy? A, prawda. Gdyby ten, kto wykopcił napisy, użył płomienia oliwnego, zapewne byłyby widoczne znacznie dłużej; dym z oliwy jest tłusty i osiada grubą warstwą. Woda niewiele może przeciw niemu poradzić. Ale to była pewnie tylko zwykła woskowa świeca, może nawet z dodatkiem żywicy – taki sposób na oszukanie wagi. To podstawowa umiejętność tubylców. Kiedyś sprzedawali krzyżowcom mąkę rozcieńczoną pyłem wapiennym, a dziś do benzyny dolewają olej z silników okrętowych. Kiedy czasami pomyślę, co się może znajdować w tutejszym alkoholu...

Wracając do napisów; nie były wyraźne pod kurzem i z początku – jak powiedziałem – wydały mi się jakimiś symbolami. Ale mimo tej całej plątaniny kresek na ścianach, odkryłem, że to tylko jedno słowo, wciąż powtarzane i wypisywane jedno na drugim. Oczywiście, że powiem jakie, ale jeszcze nie teraz. To w galerii z armatami, bo pod basztą na ścianach panował porządek. Słowo, co prawda, powtarzało się także, ale już bez rozpychania się i wszystkie litery były jednakowej wysokości. A co najważniejsze, użyto tam właśnie kaganka! To sprawdziłem dokładnie. Natomiast by stwierdzić, że nie chodziło o tą samą rękę, wystarczyło jedno spojrzenie.

A pamiętasz, jak wspominałem o tym rzekomym calcu? Była to żółta glina sjenowa, taka, jakiej tam pełno w wyschniętym korycie. Tyle, że nie miała prawa zalegać na szczycie wzgórza, gdzie ją znaleźliśmy. Okazało się, że wyjaśnienie tego fenomenu należało do tego rodzaju rzeczy, które są o wiele lepiej widoczne od spodu niż z wierzchu.

Powiedzmy, że miałbyś do zasypania wielką dziurę. Jeśli chciałbyś ją zamaskować, nie mógłbyś po prostu podciąć ścian i zwalić ich na dno. Należałoby raczej wziąć skądinąd ziemię i wrzucić ją do dołu, aż poziom się wyrówna. Tylko, że w ten sposób wykopiesz inną dziurę i ona będzie śladem. Musisz zatem wziąć zasypkę z miejsca, w którym nikt nie zauważy tego ubytku. Plaża, powiadasz. Tak, ale piasek może szybko zostać zwiany lub splukany, a poza tym zalegając na szczycie wzgórza też wzbudzi podejrzenia. Wiesz już o czym mówię? Tak było! I kiedy to zrozumiałem, wszystko zaczęło pasować.

Wyschnięta glina była łatwa do przeniesienia, nawet z dna doliny. Pierwszy deszcz uzupełni ubytek, bo strumień przyniesie nową porcję z gór, a szczyt wzgórza łatwo ulegnie zatarciu. Po jednym sezonie nikt już nie pozna, że ktokolwiek tam kopał. Na dodatek glina zabezpieczyła sklepienie przed gruzem. Jeden kamień zrzucony na nie z wysokości kilku metrów mógłby przecież spowodować pęknięcie, co zemściłoby się za jakiś czas. I może właśnie tak się stało tam, pod sosnami.

Lapidarium, które znaleźliśmy, nie miało nic wspólnego z gotykami. To, co z początku wziąłem za mularski gmerk, okazało się fragmentem inskrypcji wotywniej w ozdobnym piśmie *suls*, co od razu nie rzucało się w oczy, bo Turcy tak popsuli arabski, że kiedy na dodatek zaczęli używać skrótów, to, co pisali, stawało się już kompletnie nieczytelne. A autorem musiał być właśnie Turek, jeden z tych, co przebudowywali zamek, ale nie nasz, tylko ten grecki, pod cmentarzem! Od czasów bizantyjskich musiał być przecież nie raz naprawiany, a jeden Bóg wie, jak bardzo nadszarpywały go kolejne oblężenia, poczynając od secesjonisty Komnenosa i awanturnika Ryszarda Lwie Serce, przez Templariuszy, Luzynianów i Wenecjan, a na Achmedzie Paszy kończąc.

Trzysta lat później oba zamki musiały już leżeć w gruzach, ale ten nasz, łaciński, znacznie bardziej, bo Osmanowie traktowali go jako wysypisko śmieci; wywalali tam odłamki marmurów, które im się nie spodobały i zrabowane kolumny, których nie użyli. I zwróć uwagę, że podobnie jak w przypadku gliny, to także musiała być czynność celowa: ostatecznie po diabła wożono by gruz na szczyt sąsiedniego pagórka skoro można by się go znacznie wygodniej pozbyć na przykład usypując falochron przy przystani. A jednak wybrano dużo bardziej pracochłonne rozwiązanie i nie zaniechano go; grubość pokładu świadczyła o długotrwałym, konsekwentnym działaniu.

Aż w końcu miejsce zarosło makią i gdy zaczęły się antytureckie fanarie, nikt, nawet długowieczny Aiosotheos, nie pamiętał już, że prócz uwiecznionej na ikonie warowni bizantyjskiej była i luzyniańska, i obie stały niemal mur w mur, pod olbrzymią górą z oberwanym zboczem.

Ale w szesnastym wieku nasz zamek istniał jeszcze, a w każdym razie istniały najniższe kondygnacje kurtyn wraz ze sklepieniami galerii kazamatowych i podziemiami baszt. Świetne miejsce na trzymanie wina. Czemu nikt nie ruszył armat? Ależ ruszył, i to jeszcze jak! Po prostu Turcy używali ich jak własnych. Wenecjanie nie zdobili krzyżami swych luf, nikogo więc nie korciło, żeby je przetopić, a sylwetka świętego Marka, z brodą i w zawoju, jest tak podobna do Muhammada Zdobywcy, którego także zaczęto przedstawiać w towarzystwie lwa, odkąd pochlebcy z Wielkiego Dywanu przestali sobie zawracać głowę co bardziej archaicznymi zakazami Koranu.

Nie trwało to jednak zbyt długo; jak wspominałem, urządzili tam śmietnisko. Czy wiesz, skąd się wzięła nazwa Montparnasse? W średniowieczu było to miejsce, gdzie wysypywano śmieci i gruz z całego Paryża. Hałda musiała być spora, skoro zaczęto ją nazywać Górą Parnasową. Właściwie był to pomysł żaków; mieli stamtąd blisko do łąki Galliard i winnicy Laos. Uczciwy człowiek trzymał się od tych miejsc z daleka, zwłaszcza po zmroku. Nawet straż się tam nie zapuszczała. Był to taki Dziedziniec Cudów na lewym brzegu, bo ten, opisany przez Hugo, leżał na prawym, w Hallach.

Musulmy zrobiły więc sobie własny Montparnasse, przy okazji kolejnej przeróbki starej, greckiej wartowni. Pewnie wtedy zburzyli kościół, stąd znaleziona przez nas amfora sklepienna i zawłaszczone przez Chandreau resztki po mozaice. Ikona? Do ikony jeszcze wrócimy. Kiedy gruz zupełnie przykrył ruiny, porzucili to miejsce, oddając je oliwkom i agawom. Zwłaszcza agawy wyrosną na prawie wszystkim, wystarczy, żebyś położył się na chwilę i już coś z ciebie kielkuje.

Ale wcześniej ktoś zabezpieczył resztki murów żółtą gliną i ktoś przeczytał napisy, a wiedząc, że mogą ulec zmyciu, powtórzył je w bezpieczniejszym dla nich miejscu. Wygląda na to, że ich język nie był mu obcy, a że nie pisał pod wpływem rozpacz, ani nie musiał się zbyt spieszyć, litery wyszły mu równo i elegancko. O tym, czym były, dowiedział się zapewne od wieśniaków. Oni wyjaśnili mu, co znaczy to słowo i dlaczego zostało uwiecznione na murze.

Musiała to być historia, której nie powstydziliby się Hugo z Rostandem razem wzięci. Nie powinienem z niej kpić przy pomocy Rudiego. Raczej należałoby dać ją na warsztat Chaplinowi. A może byłyby to coś dla Saint-Exupery'ego? Wtedy słowo to brzmiałoby *Rose*.

Rose, Rose, Rose na wszystkich ścianach wokół. I nie wykopcone świecą, czy kagankiem, ale wypisane kolorowym ołówkiem, takim jakie czasem nosi się przy szkicowniku...

Przepraszam...

Zaraz wrócę. Nie, nie. W porządku, nic mi nie jest. Zaraz wrócę.

(...)

Starość jest tyranem, kiedyś ty także się o tym przekonasz, Alex. Wiek ma niestety swoje konsekwencje, a im bardziej on jest zaawansowany, tym bardziej one bywają miazdzące. Podobno Bóg jest wieczny; myślę, że to wiele wyjaśnia.

Nie sądziłem, że tak zareaguję. Człowiek myśli, że wiek uodparnia go, ale to nieprawda, niekiedy zaprzeszłe historie wracają i trudno się przed nimi obronić. Wystarczy zupełny drobniak: ujrzana mimochodem twarz, strzęp jakiegoś artykułu, kawałek zasłyszanej w przelocie melodii... A Chandreau, która zna mnie przecież lepiej niż ja sam, pomyślała pewnie, że dobrze mi zrobi, jeśli komuś o tym opowiem. Dlatego podpuściła cię, a ty tu przyszedłeś, nie wiedząc, że staniesz się kubłem na wspomnienia starego człowieka.

Musisz zatem wiedzieć, że wszyscy moi tak zwani krewni byli skurwysynami, i dlatego żyją jeszcze i cieszą się dobrym zdrowiem, a od czasu do czasu któreś z nich przysyła wujkowi z Zachodu *odkrytkę*, żeby się przekonać, czy już wykorkował. Wszyscy, co do jednego, z wyjątkiem mojej – by tak rzec – przyrodniej kuzynki. Zawsze miałem dla niej coś, czego chyba nie wypada mi nazwać inaczej niż słabością. O ile dziś nie okłamuję samego siebie, uczucie to było wzajemne.

Przeżywałem wtedy niezwykle egzaltowany okres. Przeżywaliśmy go oboje. Z pewnością wiesz, o czym mówię – to ta niezachwiana pewność, że razem można dokonać rzeczy tak pięknych albo tak strasznych, wzniosłych lub obscenicznych, że cały świat zamrze z wrażenia. Każdy tego doświadcza – to przywilej pacholeństwa – choć przecież od pokoleń wszyscy ludzie robią to samo i w dokładnie ten sam sposób. Jak by to powiedział Darwin, rutyna gatunku jest źródłem ekscytacji dla jego pojedynczych osobników. My też wierzyliśmy, że odkrywamy coś zupełnie nowego – i rzeczywiście dla nas było to nowe. Wyprawialiśmy rzeczy, o których ci nawet nie wspomnę. Byliśmy dwuosobową menadą, co nieustannie spiskowała przeciw wszystkim i wszystkiemu wokół, napędzana przez żądzę profanowania, odkrywania i smakowania. Może nie brzmi to zbyt klarownie; nie potrafię tego lepiej wyjaśnić. Albo może i nie chcę, skoro tak mówisz. Seks nie był, w każdym bądź razie, wszystkim, czego razem dokonywaliśmy. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, przychodzą mi na myśl tylko szaleństwa młodocianych piratów z bajek Barrie'ego – zanim je jeszcze ocenowano. Albo jakiś średniowieczny „ślepy gon” – tłumną wędrowkę pastuszków, którzy sami, siłą swego naiwnego natchnienia, chcieli odzyskać Grób Pański i ustanowić królestwo niebieskie na ziemi, gdyż widzieli, że nie potrafią już tego dokonać możni panowie, władcy i kapłani – ludzie starzy, zgorzkniali i grzeszni.

Przez tyle lat byłem potem w Paryżu i o niczym nie wiedziałem, choć pisała do mnie, a przynajmniej tak mi się wydawało. Bardzo się starali, abym tak sądził. W końcu jednak poinformowali mnie o wszystkim. Nawet dołączyli oficjalne orzeczenie, było lakonicznie – *Tubierkulez*. Kropka. Nigdy się nie dowiedziałem czy choć starali się jej pomóc.

A przecież to jej, a nie im, wysyłałem pieniądze. Myślisz, że to któreś z nich pomogło mi zamustrować? A czy wiesz jak przekonała szypra?

Przez cały rejs – bite dwa tygodnie – nienawidziłem go za to i zastanawiałem się jak to możliwe, aby nie zdawał sobie z tego sprawy. A jeśli zdawał, to dlaczego, mimo tej świadomości, zdecydował się jednak mnie zabrać. Dziś myślę, że był po prostu uczciwy – wywiązywał się z umowy, za którą przecież zapłatę już odebrał. Płynęliśmy przez cały Bałtyk, Cieśniny, *Northsea* i w końcu Kanał, a dla mnie to było tak, jakbyśmy się wcale nie poruszali.

Skryty w kącie kajuty obserwowałem jak śpi; widziałem dokładnie tę drgającą żyłkę na jego szyi, tuż obok tchawicy. Tak, Alex, byłem wtedy szczeniakiem jak ty teraz, ale z niezachwianą pewnością wiedziałem, że mógłbym to zrobić. W myślach, w wyobraźni, dokonywałem tego wiele razy. I zawsze powstrzymywało mnie tylko jedno: myśl, że gdybym uległ pokusie, wykazałabym małość, przekreślając nią tę ofiarę – nie moja przecież – dzięki której mogłem wejść na pokład. Szyper nawet nie wiedział ile razy jego życie balansowało na krawędzi ostrza. W każdej minucie nocy skazywałem go, a rano patrzyłem jak korzysta z mojego ułaskawienia.

Potem to właśnie on przywoził mi te listy, bo jego krypa wciąż obsługiwała tę samą trasę – aż do tego ostatniego, którego już jednak nie wręczył mi osobiście. Jestem pewien, że gdybym go dziś jeszcze raz spotkał na całym świecie nie znalazłoby się nic, co mogłoby go przede mną uratować. I to samo dotyczy tych skurwysynów. Dlatego wszystkie ich zaproszenia konsekwentnie wyrzucam do kosza. Tobie jednak, jeśli zechcesz kiedyś z nich skorzystać, pożyczę mój rewolwer. Naprawdę.

Lepiej jednak tego nie rób, mówię o podróży w tamte strony. Po opadnięciu Żelaznej Kurtyny dzieją się za nią dziwne rzeczy. Pewnie nawet gdybyśmy się o nich dowiedzieli, nie uwierzylibyśmy w nie. Nie możesz tego pamiętać, nie było cię jeszcze na świecie, ale gdy w latach dwudziestych jakiś angielski dziennikarz trafił przypadkiem na Ukrainę i potem pokazywał zdjęcia tego, co tam widział, ogłoszono go hochsztaplerem. Jego relację wyklęto – uznano za makabryczny żart. Masowy kanibalizm, polowania na ludzi, handel zwłokami, doraźne egzekucje za ukrywanie garstki fasoli – komunizm wojenny nie był czymś, co Europa skłonna byłaby uznać za prawdę. Ona bardzo szybko zapomina; nawet o swoich własnych rewolucjach nie pamięta już prawie wcale, choć w dziewiętnastym wieku zdarzały się jej niemal co dwadzieścia lat. Ale wtedy jeszcze były to po prostu ruchawki, ich usprawiedliwianiem nie zajmowali się domorośli filozofowie – co najwyżej sklepikarze albo adwokaci.

Powiadam ci, Alex, najniebezpieczniejsi ludzie na naszej planecie, to wykładowcy wydziałów humanistycznych. Oni nie stworzą nigdy żadnej diabelskiej maszyny, jak fizycy atomowi, ale sprawią, że taka maszyna narodzi się w każdym z nas. W naszych mózgach. Oni znajdą dowód na wszystko co tylko im przyjdzie do łbów, usprawiedliwią każde

kłamstwo, każdą zbrodnię. Wymyślą dialektykę, albo inną dziejową konieczność. Będą żonglować cudzymi ideologiami, albo ukują sobie nowe, o jakich jeszcze nie wiemy. Napiszą całe tomy o zabijaniu i rabunku, ale co drugie słowo w ich dziełach brzmieć będzie *sprawiedliwość, równość, człowiek, prawo*, a może nawet *szczęście*. I nie dożyją dnia, kiedy ich teorie będą wcielane w życie, a nawet jeśli, to i tak nie zechcą widzieć jak się to odbywa. Nic nie zmaci im przeświadczenia, że są wielcy. Jeżeli diabeł ma na tym świecie swych agentów, to muszą to być właśnie oni.

Znałem jednego takiego, Ilję Erenburga. Jeszcze przez jakiś czas po Jałcie krążył pomiędzy naszą i tamtą stroną. Wszyscy wiedzieli, że był emisariuszem Kominternu, ale potem podróżował także ze specjalnym paszportem dyplomatycznym – i o tym wie już niewiele. Podobno widziano go w Meksyku akurat wtedy, gdy zginął Trocki, ale przecież i wcześniej, w Paryżu, zawsze był o krok przed *Czeka*, co polowała na emigrantów. Oczywiście, nigdzie nie znajdziesz na ten temat najmniejszej wzmianki. Erenburg to teraz wielka figura, klasyk współczesnej prozy, piewca nowych społeczeństw. Dostaje państwowe nagrody, jest akademikiem, będzie z niego nowy Majakowski.

Soutine nigdy nie wpuszczał go za próg. Bał się go, mówił, że ten człowiek tropi dzieci, które on maluje na swoich obrazach. Soutine nie był szalony. Raczej my wszyscy wokół niego byliśmy szaleni i tylko on to zauważał. Dlatego miał takie zaszczute oczy. Biedny Chaim. Pamiętam go jeszcze z czasów, gdy pracował w Hallach jako tragarz. To dziwne, ale wszystko, co było później – faszyści, okupacja i cała reszta – mniej do mnie przemawiają, niż tamte lata. Pamiętam doskonale, jak pocisk z Grubej Berty spadł na szpital położniczy w pobliżu Luxembourg. My wszyscy musieliśmy się imać najróżniejszych prac, żeby zarobić po kilka sous dziennie. Wielu z nas nie wróciło z Belgii, a inni pozostali okaleczeni, nie tylko na ciele. Zupełnie nie wiem, jak on to wszystko wytrzymał.

Llhaim! Mój znajomy *arqui* mówi, że nie warto przejmować się dawnymi nieszczęściami, wkrótce z pewnością przyjdą nowe. On sam miał szczęście, bo udało mu się zwać przed FLM do Marsylii i teraz ma już francuskie obywatelstwo. Do jego ojczyzny też już lepiej nie jedź, Europejczycy znów nie są tam mile widziani. Wróciły czasy Rudobrodego, tyle, że teraz nie nazywa się pirat Dragut, lecz prezydent Ben Bella. Zresztą, na mojego nosa, niedługo pociągnie, ale to już niczego nie zmieni; *arqui* nie mogą powrócić do kraju, bo uważa się ich tam za zdrajców, natomiast Francuzi też wkrótce przestaną ich chcieć i tak będziemy mieć nowy naród w diasporze. Powiesz, że czterysta tysięcy to niewiele, ale wątpię, żeby Bar-Kochba miał kiedyś więcej. Z drugiej strony, Ben Bella nie jest Hadrianem, więc szanse są wyrównane i teraz na świecie istnieją dwie Algierie: ludowo-islamska w Afryce i normalna na Lazurowym Wybrzeżu. Ja kopałem kiedyś w tej pierwszej, ale przyjaciół mam w tej drugiej.

Do niczego nie zmierzam. Muszę po prostu rozładować napięcie, więc mówię, mówię, bo nie mam innego wyjścia, tak jak Ahaswer, Żyd Wieczny Tułacz, który bez przerwy chodził i nigdy się nie zatrzymywał.

Na czym przerwałem? Kustosz? Masz rację, rzeczywiście powinniśmy go tak nazwać. Nie dowiedziałem się, kim był. Może tureckim oficerem, nadzorującym przebudowę, albo oddelegowanym przez sandzaka do pilnowania piwnicy. Islam w wydaniu osmańskim nie był tak ortodoksyjny, jak za czasów kalifatu. Holger mógł rozpoznać swojego przyjaciela, Carahue, po alkoholowej wstrzemięźliwości, ale to było w czasach Charlemagne'a i Rolanda. Sułtan w Konstantynopolu, nawet wielki Sulejman, nie był Mahometem, wszystko zależało od miejscowego kacyka, to on dyktował wyroki kadim. Gdyby było inaczej, nigdy nie powstałyby nargile, bo gdy pojawił się tytoń podstawowe pytanie ortodoksów brzmiało czy człowiek pobożny może robić coś, czego nie robił Prorok?

W galeriach przechowywano więc wino i nasz Kustosz miał pewnie wiele okazji, by przyrzeć się napisom i równie wiele sposobności, by zasięgnąć o nich języka. W tamtych czasach sprawa była jeszcze świeża.

Chciałbym poznać tego człowieka, ucisnąć mu dłoń i podziękować za to, że potrafił zrozumieć taki nikły ślad czyjegoś przeżycia, że go docenił i przedsięwziął tyle trudu, aby go zachować. Pomyśl, jaki musiał być! Może to wariactwo, ale wiem, że on to zrobił wyłącznie dla mnie. Sądzisz, że jakiś profesor z Akademii zwróciłby uwagę na te napisy? Zobaczyłby je i ślady kopania i powiedziałby: wandale, rabusie, włóczędzy, widziałem setki takich przypadków w Piramidach. W Piramidach! Tak, bo on tam bywał! Setki razy! Kustosz liczył jednak na to, że przyjdę, wiedział, że ktoś taki jak ja musi się w końcu znaleźć

Mówią, że każdy ludzki ślad odcisnięty na piasku jest zjawiskiem zbyt cennym, aby po prostu nad nim przejść, nawet się nie zatrzymawszy. Ma on bowiem zawsze jakąś historię do opowiedzenia i można jej nie zrozumieć, ale nie wolno zlekceważyć. Może czasami rzeczywiście tak jest, ale może trzeba do tego jeszcze odpowiednio przygotowanego obserwatora. Inteligentnego widza. Świadka, który nie tylko coś widzi, ale i potrafi to także zrozumieć. Taki ktoś pochylił się nad tropem i nie zادةpcze go, ale może właśnie dlatego miękka glina nie przechowa odcisku jego własnego buta – jeśli pozwolisz mi kontynuować tę przenośnię.

Kustosz nie zostawił śladów po sobie, a w każdym razie do żadnych nie dotarłem. Nic o nim nie wiem. Po prawdzie, wymyśliłem go sobie, nie mając żadnego dowodu na jego istnienie, prócz tej jednej przesłanki, o której wspomniałem przed chwilą. Jak więc widzisz racja jego egzystencji nie jest ani trochę gorsza od tych, jakimi podpira się historyczność niejednego mitu. Światy zaledwie domniemane lecz niewątpliwie konieczne są chyba jeszcze bardziej rozbudowane, niż ten, którego uważamy za realny. Zaludniają je postaci, z których wiele trafia potem do podręczników historii. Gimaziści

mozolnie wkuwają daty ich urodzin i chronologie wielkich czynów. Jeśli spojrzeć na to zjawisko z perspektywy tysiącleci nie może już człowieka dziwić nic – nawet Stary Testament.

Próbuję ci wyjaśnić jak ryzykowną podjąłem grę. Nie znałem przecież szczegółów wydarzenia, które zaledwie podejrzewałem. Nie mogłem nawet żywić nadziei, że owe szczegóły kiedykolwiek odnajdę. Byłem jak człowiek, który całe życie spędził w jakimś zapadłym zakątku i nagle któregoś dnia otrzymał pocztówkę z dalekich krajów – egzotycznych, niewiarygodnych, nieznanych. Teraz próbuje je sobie wyobrazić, albo nawet zrozumieć, lecz wszystko, co mu może w tym pomóc to ten niewielki kartonik, wyrwany z kontekstu, jak próbka księżycowej skały.

Historię powstania napisów, czyli sedno mojej opowieści, znam z pewnej starej książki. To właśnie jej przeczytanie tak mnie rozkleiło. Jej autor – tak to sobie wyobrażam – musiał czerpać informacje z tych samych źródeł co Kustosz, innych już potem nie było, bo dotarłbym do nich wcześniej. Turcy w znakomitej większości nie byli tak subtelni, by zaśmiecać sobie literaturę podobnymi opowieściami. Jeśli już pisali o miłości, to zawsze kończyło się to na wierszykach o sterczących minaretach, naprężonych kopułach i tym podobnych rzeczach. Po naszej stronie nie było lepiej, weźmy takiego Brantôme'a. Kustosz był wiec Soutin`em tamtych czasów i to właśnie Allah winien docenić, jeśli chce się pozbyć renomy, jaką zrobili mu jego wyznawcy.

Książka? No, cóż, zwyczajnie ukradłem ją. Nie, nie, żadnych włamań do muzeów ani tłuczenia gablot z foliałami. Po prostu zwinąłem ją ze straganu bukinisty na Quai d'Orsay, niedaleko pomnika Henryka IV. Chwileczkę, to nie był jakiś tam bukinista, ale ten, u którego zauważyłem mapy i plany z Brockhousa, nawet niezbyt drogo. Nie miałbym mu tego za złe, gdyby nie to, że dowiedziałem się, jak je zdobywał. Z kompletnych encyklopedii! Po prostu brał tom za tomem i wrywał obrazki. Jasne, kto kupi szarą cegłę zadrukowaną teutońskim gotykiem z czasów *kaisera* Wilhelma? Ale ryciny, to co innego! Doskonała jakość, precyzyjne wydanie, wszystkie matryce rysowane ręcznie ze sztychów, i nosić nie trzeba tak wiele; złoty interes! Więc za karę ukradłem mu książkę, pierwszą z brzegu, bo i tak żadna nie zasługiwała na to, by wpaść w jego ręce. I to była właśnie ta!

Och, nie, nie. Nie podam ani tytułu, ani autora. Nie po to zacierałem ślady i nie po to tłukłem się w ciężarówce, żeby przywieść worek cementu. Książeczka dotyczyła zresztą czego innego. Był to jakby zbiór ballad i opowiadań korsarskich z czasów Draguta i nie tylko. Urywek z Dekameronu – ten o Mortrucciu, Villon ze swoją gadką o Aleksandrze Wielkim, parę cytatów z *messer* Pola, Radivilla l'Orphelina, Ibn Batutty i różnych takich. Prócz tego oczywiście Wilhelm z Tyru i Joinville – to zaledwie ci bardziej znani. Zapomniałem jeszcze o Izaaku Komnenie i Józefie Flawiuszu. Dość wskazówek! Tam znalazłem tę opowieść podaną w formie legendy i już wszystko wiedziałem.

Nawet jeśli to domysły, to uważam je za warte kłamstwa. Znasz te zdania? *Chcę jednak opowiedzieć moją historię do końca, nawet jeśli teraz, bardziej niż kiedykolwiek dotąd, może zostać uznana za stek łgarstw. Nie mam jednak niczego poza nią i to jest mój grosz wdowi, najcięższy z nałożonych na człowieka trybutów.* Oczywiście, że nie! Jeszcze ich nie napisałem. Muszę to zrobić, to mój obowiązek względem Kustosza. Może on nie mógł się narażać, ale mnie nic nie zaszkodzi.

Nim się to jednak stanie, ty będziesz pierwszym powiernikiem ustnego przekazu. To znaczy pierwszym, spoza naszej ekipy. Nie dane ci było być tam i zobaczyć tego miejsca na własne oczy, dostąpisz więc objawienia z drugiej ręki. Jeżeli my byliśmy świętymi Tomaszami, co z niewiary i dla zasady wtykają palce w różne miejsca, ty będziesz świętym Pawłem, który trzyma łapy przy sobie i wierzy na słowo każdemu napotkanemu aniołowi. Nawet jeśli ów jest już niezupełnie trzeźwy.

Idź więc do toalety, bo chyba właśnie nadszedł czas, a nie chcę, żebyś mi przerywał, kiedy wreszcie zacznę. No idź! Na co czekasz?

(...)

Dobrze, nalej sobie, usiądź wygodnie, popatrz za okno i słuchaj.

To mogła być taka noc, jak ta, a może właśnie jest to ta sama, która trwa w tej chwili. Noce różnią się od siebie nie kolejnością, lecz różnymi drobiazgami: to zapachy, szmery, myśli, uczucia. Dlatego, gdy zdarzają się dwie noce identyczne, choć oddalone od siebie setkami innych, dla nas mogą być tą samą nocą. Nie ma niczego, co by nam przeszkadzało tak uważać.

Uczynię tylko jedno zastrzeżenie. Dla tych tutaj my obaj jesteśmy przybyszami z Północy, nie powinieneś o tym zapominać. Jesteśmy istotami dziwnymi, bo nie boją się deszczu ani szronu, za to jak dzieci wrażliwe są na słońce, które dla nas łatwo może być niebezpieczne. O takich jak my Arabowie mówią *abu burnejta*, bo nie rozstajemy się z kapeluszami. Jesteśmy niespełna rozumu, kąpiąc się w morzu w październiku, gdy temperatura wody spada nawet do siedemnastu stopni Celsjusza, lub pocąc się w wysokich butach i wąskich spodniach, w poszukiwaniu miejsc, których odwiedzenie nie ma sensu, bo pozbawione są cienia, wina i owczego sera. To, co uważamy za skarby, jest nimi tylko dla nas, może z wyjątkiem kobiet, które jednak potrafią z nami robić, co chcą, jakby te, które zostawiliśmy w domach, nie umiały niczego. Po prostu pochodzimy z innego świata i dlatego muszę tę historię przełożyć na nasz język. Nic przez to nie straci, nie posunę się poza szczegóły scenograficzne – aby nami wstrząsnąć trzeba wszak czegoś więcej, niż przejmujący chłód siedemnastu stopni.

I właśnie dlatego choć burza, która za jakiś kwadrans rozpęta się za oknem, wystarczyła, aby skłonić właściciela promu do ewakuacji, nasza burza – ta, o której opowiem – będzie znacznie bardziej rozrzutna, aby nas zadowolić.

Jest to więc sztorm Cieśnin Duńskich; ze śniegiem siekącym po czterometrowych falach, z wiatrem zamrażającym szyby i z olbrzymimi, stalowoszarymi krami, które wściekle uderzają w kadłub. Chmury są tak czarne i ciężkie, że wydaje się, jakby świat okręcił się wokół osi i to, co mamy nad głową, to właśnie morze, które zaraz zwali się na pokład, zmiecie luki, porozrywa junfery, a dwustufuntową kotwicą zawinie jak piórkiem. Wszystkie szwy jęczą pod wręgami, stewa jest tylko trzcinką, a fale tłuką w nią, jak w kowadło. Najszybsza pompa nie nadążyłaby opróżnić zęzy; woda wlewa się między klepkami – są to już tylko łuski patroszonej ryby.

Taki był ten rejs, gdy, tuż za Kandią, dopadło ich uderzenie Tramontane'a. Kim byli? Oni zawsze są tymi samymi, wypędzonymi dziećmi z obrazów Soutine'a, przez wieki zmienia się tylko kadr ich tułaczki, dlatego Chaim malował płótno za płótnem i dlatego wszystkie były jednakowo przejmujące. Nie mogli czekać, tak jak czekali marynarze hanzeatyckich kog, w portach i ciepłych tawernach: na świętego Dominika zobaczymy, czy zima się już znudziła, jeśli nie – zamówimy następną baryłkę. Zwłoka była ich nieosiągalnym luksusem; oni zawsze uciekają w ostatniej chwili, bo mają serca większe niż inni i mieści się w nich więcej nadziei. Uciekają jednak i dlatego uchodzą z życiem.

Parędziesiąt lat później byłyby to Rodos lub Chios, a może Damietta; miejsca te leżą na szlaku tureckich podbojów. Ale wtedy nie chodziło o jakąś szczególną kampanię, czy konkretne nasilenie tej nigdy nie skończonej i wciąż tłącej się na nowo wojny: po prostu uciekali przed pożarem swej enklawy, może tylko jakiegoś małego portu, gdzie kadi patrzył na nich, giaurów, łaskawie. Może byli osiedleńcami, mieszkańcami jakiegoś getta, szczytującego się specjalnymi prawami. Niektóre takie miejsca przetrwały nawet do osiemnastego wieku, greccy i ormiańscy biskupi często bywali sandżakami, a miasta italskie, prowansalskie i kastylijskie zawsze utrzymywały swe agentury wszędzie tam, gdzie można było na tym zarobić. Każdy taki rozejm miał jednak swą cenę, a czasami była nią krew i ogień.

Ile może być wart w tej grze pojedynczy ludzki kamyk? To samotny, szary gafel przemycniczego *chasse-maree*, morskiego szybkobiegacza, zaprawionego w ucieczkach i nocnej żegludze bo zawsze to robił, czasami tylko wtedy, gdy nie dopisały zbiory, a trzeba było zapłacić bakszysz, lub wyremontować kościół, może jeden z ostatnich w okolicy. Lecz przed Tramontanem nie ma ulg, to wiatr gorszy niż Khamsin, bo uderza nie piaskiem lecz gradem wielkości winogron; jego pora to zima, wcale jednak nie musi przyjść; bywają dziesięciolecia, kiedy go nie ma, ale zawsze po nich następuje noc, taka, jak ta dzisiejsza. Każdy lugier, nawet najpodlejsza feluka, ma swoją duszę, która patrzy przez oczy wyrzeźbione na dziobie. One nie mrugną, tak jak oczy ludzkie, wytrzymają wzrok i morza

i wiatru, odwróćą jego urok, złe spojrzenie. Ale wiatry takie jak Tramontane, czy Mistral, są ślepe - powie ci to każdy rybak – i dlatego nie można ich zatrzymać.

Uciekając nie myśli się o tym, co pozostaje za nami. Może potem, gdy już wiadomo, że się udało, albo gdy duch statku krzyczy, że to koniec i wtedy przychodzą wspomnienia, abyśmy w tej ostatniej chwili nie musieli być sami. Uciekając, człowiek zamyka dłoń na swej jedynej, najdroższej rzeczy i jeśli jest wypędzonym dzieckiem, zawsze tą rzeczą jest dłoń innego dziecka. I oni właśnie tak dostali się na pokład.

Jak przedarli się przez spanikowany tłum? Czy potrafili odepchnąć kogoś łokciem? A może nie było tłumy ani paniki; była tylko pusta, ciemna plaża i cena, którą trzeba było zapłacić, aby zamustrować, cena nieubłagana, nawet jeśli się ma tylko piętnaście lat? Czy wiesz, jak gorący może być zatknięty za pasem nóż, jak bardzo może palić, gdy trzeba patrzeć na to, co musi się stać, aby nie stały się rzeczy znacznie gorsze? Zapewne, to męska próba. Kto ją przeszedł, nie może już być nazwany dzieckiem, nawet jeśli wciąż nim jest i potrzebuje dobrej wróżki, która zawsze czuwa nad jego snem i jest w pobliżu, gdy ów sen zrywa się, jak pajęczyna zmieciona pożarem.

Spod Kandii sztormowali z powrotem na wschód i tam złapał ich prąd przybojowy. Kadłubem szarpnęło tylko, a wiatr, wciąż gnając w swoją stronę, zerwał resztę lin i złamał oba maszty. Pewnie widzieli zbliżającą się górę – wielką falezę ponad rozszalałym morzem, łagodnie zaokrągloną od strony lądu. Może nawet, w świetle piorunów, widzieli oba zamki: kredowobiały grecki o czterech okrągłych wieżach i miedzianoczerwony łańciski, jakkolwiek wyglądał. Potem piana, krew i odłamki drewna zmieszały się ze sobą, a błyskawice stały się czarne i uderzały prosto w skroń, jak ogromny zegar: raz dwa, raz dwa...

Być podrzutkiem to coś więcej, niż tylko nie znać swych rodziców, choć ja dogrzebałem się do imienia tego, który w obliczu prawa pełnił ich funkcję dla tej dwójki. Nazywał się Sirtakian. Kilka jego rysunków przetrwało do naszych czasów, w przeciwieństwie do samych dzieł, do których były tylko szkicami – mają tego nieco w Bibliotece w Atenach, parę w Rzymie, a jeden czy dwa nawet tutaj, na Wyspie. To tylko rozproszone resztki po człowieku, który może nie był Leonardem, ale może tylko dlatego tak sądzimy, że nie znamy całego jego dorobku. Nikt nie powiedział, że geniusze rodzą się tylko w samym centrum Renesansu. Tu, na peryferiach świata kultury, takie coś też się przecież mogło wydarzyć. Tak czy owak, nie o niego samego mi tu chodzi. To postać z tła, drugoplanowa w wielkiej Historii, a w naszej małej historii zaledwie istniejąca jako kontekst. Wyznacznik czasu i miejsca, jeśli wolisz.

Pewnie słyszałeś te opowieści o niemowlakach, które ktoś w dziwnych okolicznościach znalazł w ruinach na odludziu, na progu własnego domu, albo w lesie? Bohater zawsze przychodzi znikąd i tych dwoje pojawiło się obok Sirtakiana właśnie w ten – lub w jakiś bardzo podobny – sposób. Z czasem zaczęto ich uważać za

rodzeństwo, bo mieszkali razem, w tej samej izbie, obok warsztatu starego mistrza Sirtakiana, witreatora, ale ogniska wiosennych festynów *Beltane* nuciły im inną melodię. To była ich własność, nie dzielili jej z nikim prócz siebie nawzajem, bo oni od dzieciństwa znali się i rozumieli lepiej, niż ktokolwiek zdołałby pojąć ich. Zawsze byli jednym gestem i słowem, po prostu jedną osobą. Czy rozumiesz, jak rzadka i jak nieskończenie cenna jest tak nieć?

Kadłub nie rozpadł się – to spotyka tylko rzeczy nowe, rzeczy starych i sfatygowanych nie ma się entropia. Szorował po kamieniach, siejąc takielunkiem i ludźmi, aż w końcu zawisł na skalnym progu i tak pozostał. Plaża była blisko, widzieli liście na drzewach i trawę między wydmami. Woda nie była głębsza niż po ramiona.

Ale ona nie mogła wyjść. Jej stopa uwięzła w szpigacie, w beznadziejnie niepotrzebnej, bezrozumnie ślepej pułapce, która powstała do życia sama, przypadkowo, z wypaczonego drewna i zaklinowanego w kluzie łańcucha. W deszczu, łapiąc oddech, między uderzeniami fal, szarpali blok, aż zrozumieli, że nie dadzą rady.

Jak to musiało brzmieć: *Sprowadź pomoc?* Może jakoś inaczej? A może w ogóle nie było żadnych słów, słowa są dla tych, którzy nie potrafią patrzeć. Bo gdy się razem żyło, zdobywało i doświadczało siebie, świata i miłości, nie potrafi się już inaczej i wówczas zostaje tylko jedno wyjście, ostatnia próba. Spojrzeli na siebie i pomyśleli o niej.

Nie tak się jednak stało. Wielki grzywacz zmył go z pokładu i cisnął nim przed siebie; w ciemność, która zabiera wszystko, w zamian dając tylko jedno – prawdę o bezradności wobec absolutu. Burza zamknęła się nad nim i odpłynęła. Zabrała ze sobą utrwalony pod powiekami obraz, który miał już nigdy nie zniknąć i spokój, który miał nigdy nie powrócić.

Ocknął się za dnia w jakiejś chacie, gdzie najpierw nie chciano odpowiadać na jego pytania, a potem, gdy już zrywał się, aby biec z powrotem na plażę, wreszcie powiedziano mu, że wraku nikt nie znalazł, morze musiało zabrać go do siebie. Czasem tak robi; fala powrotna nie musi uderzać, wystarczy jej drażyć. Był jedynym ocalonym. *Hagios ho Theos* – tak, wielkim jest Bóg, a my garściami popiołu jedynie.

Nie, to jeszcze nie koniec tej historii. Takich jak ta dotąd, każda plaża na świecie mogłaby opowiedzieć setki. I opowiada, trzeba tylko słuchać lub kopać.

Pominę to, co działo się potem. Rozbitek, jak wszystko, co wyrzuci morze, zawsze podlega prawu brzegowemu. Nawet najuczciwszy wieśniak idzie po sztormie na plażę i szuka między kamieniami kawałków drewna, a jeśli znajdzie takie, które nie są jeszcze zbutwiałe albo nasiąknięte wodą, podnosi wzrok ku horyzontowi i zastanawia się, czy takłować swą nędzną krypę i czy zabrać na pokład silnego sąsiada z rusznicą albo chociaż bosakiem. Nie ufaj nigdy latarniom zapalonym w bezgwiazdną noc nad brzegiem morza. Przyjrzyj się im dokładnie, bo nie zawsze prowadzą do bezpiecznych zatok. A jeśli wokół

ognia zobaczysz cienie ludzi z kijami i nożami w rękach, zawróć natychmiast, aby nie rozpruły cię podwodne skały.

Słyszałeś o *communicio*? To bardzo stary, druidyczny obrzęd; nazwali go tak Rzymianie, przypisując go barbarzyńskim Gallom, zupełnie jakby nie pamiętali o swoich własnych przodkach, Etruskach. Jego geneza jest jednak z pewnością jeszcze wcześniejsza, poprzedza wszystkie religie, które go wykorzystywały i wszystkie pozostałe, które później usiłowały go wykorzenić. Pochodzi z czasów, kiedy człowiek dopiero wymyślał sobie bogów, więc ich los zależał od jego decyzji. Mogli dlań zostać wiatrem, górą, pnem starego dębu, albo megalitycznym kamieniem; mogli być przez jego wyobraźnię przyobleczeni w postacie zwierząt albo duchów, by takimi już pozostać. Ale mogli też zamieszkać w jego ciele, krążyć w jego żyłach, słuchać jego myśli, a do snu układać się w zamkniętych komorach jego oczu. I zdarzało się wtedy, że jakiś człowiek, z tych czy innych powodów, postanawiał uczynić ścisłą więź z jakimś innym człowiekiem, więc obaj wymieniali się mieszkającymi w nich bogami. Dokonywali swoistej, wzajemnej sakryfikacji – oddawali temu drugiego pewną część swego ciała, okaleczając się w ten sposób, lecz przecież w tym samym momencie otrzymywali od niego w zamian ofiarę identyczną.

Dużo później, już w czasach historycznych, procedura ta uległa uproszczeniu. Moc pozostała w niej jednak – prawdziwa, magiczna, naturalna – tak prosta, jak prostym było pierwsze słowo, od którego rozpoczęło się stwarzanie świata. My, ludzie cywilizowani, już o niej zapomnieliśmy, ale inni jeszcze pamiętają – tutaj, w Italii, w górach Atlasu i na płaskowyżach Perigord. Także u was, choć wasi druidzi mieszkają teraz w rezerwatach, albo prowadzą kasyna dla bogatych utracjuszy. Zaklinają cudze szczęście, tak jak kiedyś zaklinali deszcz. Oni także znają ten obyczaj. Na pewno i nim słyszałeś. To dwa nacięcia, skałeczenia przyciśnięte do siebie, aby krew mogła ulec zmieszaniu.

Teraz wieśniacy w noc przesilenia chowają się przed swym proboszczem w lesie i tam, zanurzając splecione dłonie w soku orzechowym, powtarzają, przekręcając, słowa, których już nie rozumieją, choć znają jeszcze ich treść:

Ubi tu Cai, ibi ego Cia.

Ubi tu Cia, ibie go Cai.

To tylko taki ryt, folklor; jak to celtyckie zaprzęganie kobiet do pług w czasie pierwszej wiosennej orki, aby zapewnić sobie płodność ziemi – nic nie znaczy, jeśli się nie chce, aby tak było. Zresztą, czy z jakimkolwiek innym rytuałem jest inaczej? Znam katolików, którzy za nic nie są w stanie uwierzyć w Przeistoczenie; chodzą do kościoła, aby pogapić się na anioły i najeść wody z mąką. A ty sam? Uśmiechasz się, kiedy mówię o Chandreau. Nie masz orzechowych blizn.

Oni je mieli. Więc patrzył w swoją dłoń i widział, że blizna nie blednie, jest wciąż żywa, dlatego jeszcze wracał z plaży, choć fale przyzywały. Czuł już ich kołyszące objęcia.

Byłeś w Akrze? Teraz to tylko przedmieście Tell-Awiwu, ale w czasach Franków miasto nosiło nazwę Saint-Jean-d'Acree i, po upadku Jerozolimy, jeszcze przez ponad wiek było stolicą chrześcijańskiego królestwa. Był tam kiedyś klasztor świętego Sabasa; podobno w jego wirydarzu stała kaplica, będąca zmniejszoną kopią paryskiej Sainte-Chapelle. Opiekę nad tym cudem, nie wiadomo dlaczego ocalałym z masakry roku 1291, sprawował właśnie *maître* Sirtakian. Zanim umarł – gdzieś pod koniec lat siedemdziesiątych XV wieku – naprawiał stare witraże, niekiedy układał nowe, a wszystkie wzbudzały powszechny zachwyt. Opowiadano nawet o pewnym Saracenie, który, czyniąc aluzję do Złotej Kopuły, prosił, by pozwolono mu pomodlić się w miejscu, które jest tak piękne, że niewątpliwie musi być święte i z pewnością sama obecność w nim oczyszcza. Nie wiem, czy otrzymał tę zgodę, ani nawet, czy ta historia jest prawdziwa. Liczy się renoma, to ona uwalnia więźniów

Nikt nie trzyma w łańcuchach artysty, ani jego ucznia. Gdyby nasz zamek przetrwał, może i my moglibyśmy, jak ów Saracen, doznać oczyszczenia, zobaczyć, jaką siłę miała ta sztuka – teutońska, północna, gotycka – pod słońcem, które jej nie zrodziło. Może to zresztą nie tureckie kule rozbiły kolorowe szybki, mogli zrobić to wcześniej weneccy murarze i inżynierowie. Kto zawładnie domem, ten porządkuje go po swojemu. Może były to te same okna, które później przerobiono na odkopane przez nas ambrazury?

Zapewne trwało długo – zaufania nie zdobywa się od razu, zwłaszcza, gdy jest się tylko rozbitkiem – ale musiało się to w końcu stać. Jak inaczej odnaleźlibyśmy jego ślady? Nie wierzę, by został tylko sługą. Raczej wkradł się w łaski pana zamku, jakiegoś frankońskiego pół-rycerza, pół-pirata. Mógł należeć do jego orszaku, nawet uczestniczyć w wyprawach, a pomiędzy nimi, barwiąc i formując szkło, podnosił prestiż warowni, równie wątpliwego pochodzenia, co uczciwość jej właściciela.

Legenda mówi o spędzonych w ten sposób siedmiu latach. Możemy w to literalnie wierzyć lub nie, sam zdecyduj. Jediną pewną datą jest tylko ta druga – rok 1489. Lecz może niepotrzebnie o niej wspominam, to w końcu tylko liczba.

Powinienem raczej powiedzieć, że przez ten czas trwał pomiędzy zamkiem a plażą, wśród swych kolorowych szybek i zmakaronizowanej francuszczyzny; w otoczeniu ludzi, którzy kiedyś byli szlachcicami i którzy po przodkach odziedziczyli przydomki odwołujące się do odwagi, wiary w krzyż, albo admirujące przymioty egzotycznych bestii. Starał się po prostu oddychać i mówić bez wysiłku i bez zgubnego rozpamiętywania, które – wiedział o tym dobrze – mogło go zaprowadzić tylko do kołyszących się łagodnie fal.

Aż kiedyś, któregoś dnia, blizna zatętniła nagle. Orzechowe zamię dotknęło tego drugiego, identycznego jak ono i dopiero wtedy powstały napisy...

(...)

Więcej, więcej. Bez obawy, już się nie upiję; bywają chwile, kiedy nawet rum nie ma w sobie żadnej mocy.

Tak naprawdę nie chodzi o to, ile fałszu jest w stanie znieść twoja prawda, lecz o to, że z chwilą wypowiedzenia jej – obojętne, czym jest – staje się prawdą. Słowa są częścią ludzi i dlatego mówienie to coś więcej niż wydawanie artykułowanych dźwięków. Każde słowo zabiera ze sobą jakiś fragment ciebie i czasami zostaje tak niewiele, że już nic więcej nie może się stać. Wypowiedziałeś całe swoje, zgromadzone na resztę życia, paliwo. A to, czy powiedziałeś prawdę, czy nie, jest jedynie sprawą między tobą, a twoim Bogiem, jeśli jeszcze masz dość przekonania żeby w niego wierzyć. Kwestia własności i poświęcenia dla niej jest sprawą odrębną. Bogacz zawsze traci najwięcej i to jest logiczne, ale nie tylko wtedy, gdy chodzi o posiadanie w sensie dosłownym: pamiętasz, co mówiłem o nadziei wygnanych dzieci?

Tamtego roku, wczesną wiosną, jeszcze przed nadejściem gorących wiatrów syryjskich, minęło dokładnie szesnaście lat od bezpotomnej śmierci Jakuba III, ostatniego Luzyniana.

Nie była to dynastia, której należałoby przesadnie żałować. Pierwszy z nich, głupi Guidon de Lusignan, po prostu kupił sobie ten tron od Templariuszy, dla których Wyspa nie była warta trudu, jaki musieliby podjąć, aby wydrzeć z jej mieszkańców ustalone przez siebie podatki. Lekką ręką pozbyli się tego marginalnego królestwa, nie kłopotząc się przy tym ani trochę, że nieco wcześniej *sieur* Gui, w beznadziejnie głupio przegranej bitwie pod Hittin, zaprzepaścił inny tron, jerozolimski. Za jego właśnie przyczyną dokonał się początek końca ostatniej rycerskiej epopei Europy.

Jego następcy nie okazali się lepsi, choć – prawem przeciwieństwa – było wśród nich kilku wielkich, takich jak Hugon Lew, czy Piotr Saint-Croix. Ci starali się ratować, co mogli, ale gdy ostateczna utrata Ziemi Świętej dokonała się wreszcie, ich dziedzice, bezpieczni na swej Wyspie, przemienili się stopniowo w filibustierów, drobnych królików-korsarzy, makiawelicznie i bez większego uszczerbku manewrujących pomiędzy okolicznymi skałami. Na środku spornego morza na zmianę napadali i byli napadani; za drobne tryumfiki płacili niedużymi katastrofami, a ocenę każdego przepływającego w pobliżu statku rozpoczynali od policzenia jego załogi i porównania tej liczby z obsadą swych kaszteli. I tak to się toczyło przez trzy wieki, a tymczasem Andegawenów zastąpili Aragończycy, Mameluków – Turcy osmańscy, a miejsce Greków – bardziej niż kiedykolwiek dotąd – zajęli Wenecjanie.

Republika Świętego Marka niezbyt lubiła Luzynianów, bo na spółkę z Raguzą i agentami zmierzchającej już Hanzy oraz dopiero budzącego się do życia Livorno, psuli jej interesy na morzu, które uważała za własne. A dożowie nie po to łupili bajeczne

skarby Bizancjum i nie po to przewieźli Turków pod Warnę, żeby teraz pozwalać sobie na jakąkolwiek konkurencję. Wenecja, panosząc się po całym Lewancie – zależnie od okoliczności przebiegle lub brutalnie – zawsze dbała o to, by sprawa miała czas dojrzeć zanim, w odpowiedniej chwili, popchnie się ją końcem wolnotłącego lontu. Tak było i tym razem.

Najpierw, na rok przed śmiercią, zaoferowano Jakubowi rękę dziewiętnastoletniej wówczas Katarzyny z możnego rodu Cornero, wywodzącego się z rzymskich Korneliuszów. Potem, już jako wdowa, *donna* Caterina panowała, a w każdym bądź razie siedziała na tronie – jej władza nie sięgała poza mury Famagusty, bo wielcy i szlachetni potomkowie rycerzy krzyżowych kłócili się zbrojnie, który z ich jest bardziej godny, aby usiąść obok niej. Mogli sobie pozwolić na roszczenia. Nie obowiązywało ich przecież sprokurowane przez Walezjuszy prawo salickie, od którego zaczęła się Wojna Stuletnia. We Francji kobiety może i nie przekazują praw do tronu, ale my przecież nie jesteśmy Francuzami, *n'est ce pas?*

I mogłoby się tak to toczyć przez następne trzysta lat, gdyby rodzina Cornero nie straciła nagle oparcia w Radzie. Nowy doża miał – jak byśmy to powiedzieli dziś – mniej liberalną koncepcję uregulowania statusu niepokornej Wyspy. Katarzynie Cornero, rozsądnej kobiecie po trzydziestce, przedstawiono zatem gambit zrzeczenia się praw do tronu w zamian za posiadłość Asolo, w pobliżu Bassano, gdzie dożyła XVI wieku w spokojnym i cichym otoczeniu uczonych i artystów, w atmosferze opiewanej przez jej wykształconego kuzyna, kardynała Bembo.

A wokół Wyspy pojawiły się lufy świętego Marka i wtedy nadszedł czas sprawdzania posiadanych atutów. Z pewnością, jak nakazywał ówczesny obyczaj, zaprzysiężono zachowanie feudalnych przywilejów, ale równie pewne jest to, że nowy gubernator – *messer proveditore* – przywiózł ze sobą listę tych, którzy byli zbyt szkodliwi albo zbyt nieobliczalni, aby Rada mogła podjąć ryzyko i uwierzyć w jakieś poręczenia. Tam, gdzie teraz jest paryska prefektura, stał w średniowieczu kościół Sainte-Marie. Jako jedyny w mieście miał biskupi przywilej na udzielanie ślubów prostytutkom; w takim przypadku pan młody otrzymywał obrączkę uplecioną ze słomy, żeby wiedział, ile jest warte to, co robi. Weneccy gonfalonierzy nie bywali tego typu ludźmi – ich pierścienie były co najmniej złote, złoto zaś wykuwa się w ogniu.

Do zatoki u stóp oberwanej góry wpłynęły więc cztery nowoczesne, ponadstutonowe galeasy, jedne z tych wielopokładowych potworów, których każde wiosło ciągnęło nawet ośmiu nieszczęśników chodząc tam i z powrotem po szeroko nadwieszonych parapetach. Później, pod Lepanto, właśnie takie okręty jedną szarżą rozpędziły całą flotę turecką. I choć zwycięstwo nie pomogło już wtedy Wenecji, bo sułtan w następnym roku miał nową flotę, która dla niego podbiła Wyspę, niemniej jego okręty jeszcze przez długie dziesięciolecia musiały mieć się na baczności przed tymi pływającymi fortecami z drewna

i ognia. Bo to naprawdę były fortece i naprawdę ziały ogniem. Każda miała na pokładzie dwadzieścia armatek z kutych żelaznych sztab spiętych klamrami, uzbrojonych w kusze i topory korsykańskich najemników, i – przede wszystkim – po czterdziestu falkonetierów, a ci mogli zabić każdego, choćby ów był najdzielniejszy, miał najgrubszą zbroję i nigdy jej nie zdejmował.

Jednak rozejm podpisano bez oddania jednego strzału – nie był potrzebny. Każdy pirat wie, że walka profituje łupem tylko wtedy, gdy się ją wygrywa, w innych przypadkach podejmowanie jej jest nieopłacalną głupotą.

Nazywano to wówczas prawem opcji: Frankowie spakowali swe skrzynie i wsiedli na okręty, a do opuszczonego zamku weszli ludzie z toporami, aby przekonać się, czy za jakimiś zamkniętymi drzwiami lub obruszaną boazerią, a może pod posadzką, nie zostało coś godnego uwagi i odrobiny wysiłku. Plądrowanie trwało do późnej nocy, gdy trójkątne żagle pirackich szybkobiegaczy oddalały się w stronę Rodos, aż wreszcie zniknęły za oślepiająco czerwonym horyzontem. Byli na nich ci, którzy wzbraniali się, lub którym nie pozwolono zostać – historia ucieczek powtarza się bez końca. Inni wstąpili na służbę do nowych panów, by wkrótce stać się tymi, kim byli zawsze dotąd. Jedyna różnica polegała na podpisie pod kaperskim patentem – teraz obciążała go pieczęć z lwem Republiki.

Ale był w tym, wydanym na pastwę żołdaków zamku, jeden człowiek, który nie należał do żadnej z obu grup. Nie znalazł powodu, by wsiąść na statek, wiedział też, że nie chce zostać i tylko stał na plaży, aż – gdy było już zupełnie ciemno – wrócił do zajmowanej przez siebie kwatery na tyłach dolnego dziedzińca. Depcząc po rozprutych kufrach i porozrzucanych narzędziach swej sztuki, słyszał chrzęst rozsyanego szkła, ale nie zwracał nań uwagi. W kieszeni znalazł kawałek piryty i o rękojeść noża – już teraz zimną – skrzesał ogień, a potem z tanią świeczką w dłoni wszedł do zachodniej galerii, gdzie czyjaś ręka porozbijała wszystkie misternie kolorowe okna.

Bo wcześniej, na jednym z tych przeklętych, wielkich okrętów, zobaczył ją i ona też go zobaczyła i, wypowiadając jego imię, ocaliła mu życie. Potem on, uczeń mistrza Sirtakiana, przytaknął i to było słowo, które wyczerpało jego zapas sił i woli. Zbliżył więc świecę do ściany i kopiącym dymem zaczął pisać jej imię, bo już nie potrafił go wypowiedzieć. Zrobił to drugi raz, trzeci i czwarty...

Molierowski *deus ex machina* sprawdza się tylko na deskach sceny. Ona, cudownie ocalona przez jakąś wenecką galerę, którą ten sam sztorm zagnał na dryfujący szlak zmytego do morza wraku, powiedziała do stojącego u jej boku mężczyzny, kapitana: *Jego nie, to mój brat. Wychowaliśmy się razem w Akrze. Niech Bóg wynagrodzi Ducha Mórz za to, że ocalił mu życie!*

A tamten zapytał: *Tu sei il suo fratello?*

Nim świeca wypaliła się, zdążył wykopcić siedemdziesiąt dziewięć razy to samo słowo. Potem jeszcze raz wrócił do swojego pokoju, otworzył skrytkę i – choć ręce trzęsły mu się

jak nigdy dotąd – zdołał jakoś naciągnąć sprężynę i wetknąć w jej szczęki resztkę jeszcze żarzącego się knotu. Nic już nie mogło się stać i nic już nie było warte słowa. Patrząc przed siebie, w głuchą ciemność pustego zamku, który już jutro miano zacząć przebudowywać, dłonią – tą dłonią – nakrył wylot lufy i nacisnął spust.

I to dopiero jest koniec tej historii.

Nie masz racji. Nie powinienes jej winić. Patrzysz na to jak Villon, z perspektywy zbitego psa, ale prawda – jedna z prawd – jest taka, że gdy splatasz swoją dłoń z inną dłonią i gdy oboje, zaciskając ostry na brzegach kawałek szkła, zanurzacie te dłonie w soku z orzecha, poddajecie próbie nie tylko siebie. Jest to wyzwanie, które krzyczy w ciemność wokół was, i powiem ci, że tam jest zawsze więcej uszu, niż myślisz. Marynarze nie snują planów, aby nie kusić żywiołu. Mówią o kobietach, wspominając je tylko, bo nie śmia powiedzieć, że zamierzają się ożenić, kiedy wrócą. Mogliby wtedy nie wrócić.

Mieć wszystko jest przywilejem niewielu, mądrością jest nie postradać tego, co się jeszcze ma. Pomyśl, o ile łatwiej byłoby wycelować ten pistolet o, tu. Ale mimo całej podłości różnych głupich i zupełnie niepotrzebnych pułapek, na świecie wciąż jeszcze jest więcej Soutine'ów niż Hemingwayów. A jeśli ci pierwsi sprzedają w końcu samych siebie – tak, jak Chaim, gdy stał się bogaty – i nie zachowują przez to godności tych drugich, to dzieje się tak dlatego, że naprawdę umarli znacznie wcześniej. Zabiło ich jakieś słowo, które musieli wypowiedzieć. Od tego czasu byli już tylko bezrękimi malarzami, a my być może nawet nie zauważyliśmy tej zmiany. I to właśnie jest najstraszniejsze.

Nie wiń jej. Skrzywdzenie wygnanego dziecka, takiego jakim się jest samemu, nie może przyjść łatwo, tak jak niełatwo przychodzi myśleć o wszystkich tych chwilach, kiedy pozwoliliśmy, aby minęło jakieś siedem lat. Nawet Wendy kiedyś nie otworzy okna i tego dnia Piotruś Pan zrozumie, że coś się zmieniło. Odleci więc do miejsca, w którego istnienie przestano mu wierzyć i nigdy już nie powróci tak jak zawsze dotąd powracał: na styku jawy i wyśnionego przez nią snu.

Jak brzmiało? Nie jestem pewien. Jak mówiłem, napisy na sklepieniu były już nieczytelne, a litery wydymione przez Kustosza wyglądały dla mnie tak, jak dla Belhoula Madani, mojego znajomego *arqui*, próby Yula z czasów, gdy zawzięcie uczył się pisać po arabsku. Quen, Oen, Unen, może nawet Ien – trudno powiedzieć. Ale przecież nie ma takiego imienia, najbliższe to chyba angielskie zdrobnienie Blanki: Gven. Być może w tamtych czasach pisało się to nieco inaczej.

Potem? Nie wiem. Mogę sobie to tylko wyobrazić. Może świat był już dla niego za mały, aby w nim pozostać, bo tak się składa, że czas nie liczy się w godzinach, tylko w milach, a niekiedy potrzebujemy bardzo wiele czasu i musimy go szukać wokół siebie. Jeśli nie odpłynął razem z tamtymi to znaczy, że wybrał kurs znacznie dłuższy, sięgający poza anachroniczną sadzawkę tego najpiękniejszego z mórz. Czasami myślę, że po wielu

tygodniach kabotażu na jakimś gruszkowatym, pływającym bazarze, gdzie każdy członek załogi ma udział we frachcie i co wieczór zawija się do jakiegoś portu, by pohandlować i przespać się w portowej gospodzie, gdzie płaci się cło każdemu, kto włada choć skrawkiem plaży, wzdłuż której się płynie i gdzie, gdy wiatr nie jest sprzyjający, cumuje się do najbliższego nabrzeża – po trzech lub pięciu, a może po dwunastu miesiącach, dotarł może do Lizbony.

A tam, od czasów Dom Enrique Navegatora, bezustannie gromadzono i poprawiano mapy, uzgadniano opisy podróżników, uzupełniano tablice alfonsjańskie i portolany, opracowywano nowe sposoby żeglugi i wymyślano doskonalsze instrumenty nawigacyjne. Przede wszystkim jednak wysyłano okręty tam, skąd jeszcze żaden statek nie powrócił i gdzie żaden dotąd nie odważył się zapaść.

Robiono tam wtedy to, co wy robicie teraz na Canaveral, ale im było znacznie trudniej, bo pierwszy krok jest zawsze...

(...)

Tak, tak, kadzie. Pamiętam o nich. Możesz mi wierzyć – żałowałem, że nie mogliśmy wydobyć ani jednej, ale były znacznie cięższe, niż armaty; wyciągarka nie dałaby rady, nie mówiąc już o tym, że trzeba by było powiększyć otwór w sklepieniu, ten przez który weszliśmy. A co potem? Nie miałem drugiego worka, ten jeden ledwo wystarczył.

Kiedy go przywiozłem, naradziliśmy się i nie potrzebowaliśmy nawet urządzić głosowania: wszyscy – cała ósemka – zgodziliśmy się, że otwór trzeba zamurować. Miejscowi aborygeni w rodzaju Aiosotheosa mogliby rozebrać piwnicę i sprzedali cegły. Taki wysyp na pewno zwróciłby czyjąś uwagę, ktoś inny skojarzyłby to z naszą obecnością i wreszcie zapytano by nas, co znaleźliśmy. A przecież oficjalnie nie znaleźliśmy niczego.

To był powód materialny – zaakceptowali go wszyscy, zaraz po tym, jak Chandreau porozdzielała udziały. Przy tej okazji dostało mi się to. Spójrz. Kto wie, może kiedyś przyniesie moim spadkobiercom fortunę. Trzeba tylko wynaleźć metodę rozpracowania receptury ze skryzalizowanego kawałka. Tak, to nie jest żaden szlachetny kamień, to po prostu wino, tak stare, że już zupełnie zbiałało. Ta kropelka utknęła w skrytce wewnątrz stągwi. Powąchaj. Ciekawe, co to byłby za bukiet: Chypre 1580 albo 1620? Może jeszcze napijemy się z Cervantesem i Sulejmanem?

Ale było coś jeszcze, powód drugi – prawdziwy. Nie mogłem dopuścić do sprofanowania tego miejsca. Co prawda, jeszcze wówczas nie wiedziałem, co tam zaszło, ale rozumiałem, że wpuszczenie do galerii jakiegoś akademika byłoby jak przypalenie skrzydełek wszystkich dobrych wrózek świata. Człowieka, który potrafi wszystko wytłumaczyć i naukowo wyjaśnić, należy trzymać z dala od Sirtakianów – unieważni ich z powodu nieprawdopodobieństwa.

Więc zbudowaliśmy szalunek, rozmieszciliśmy ten cement z piaskiem i wodą i wylaliśmy elegancką, przebrojoną na krzyż plombę. Później na powrót wypełniliśmy szyb żółtą gliną i piaskiem, a resztę urobku wysypaliśmy do potoku. Przesadziliśmy parę agaw, naznosiliśmy cierni i wycięliśmy tę krzywą pinię. Wszystkie pozostałe kawałki drewna spaliliśmy, a okoliczne krzaki solidnie polaliśmy wodą. Wyzbieraliśmy też śmieci, a popiół po ogniskach i ziemię, na którą kapiała ropa z ciężarówki, utopiliśmy w zatoce. Należałoby jeszcze zastrzelić Aiosotheosa, ale jeśli był choć w połowie tak stary, za jakiego się podawał, prawdopodobnie i tak nie przeżył tych wszystkich nędznych papierosów i whisky, spędzonej nie wiadomo przez kogo i z czego.

Ale zanim zamknęliśmy podziemia i zatarliśmy ślady, wszędożyłska Chandreau włązała do jednej z tych kamiennych kadzi. Po prostu dlatego, że nigdy jej tam nie było; ona właśnie taka jest. No i znalazła podwójne dno, wewnętrzną pokrywkę z cienkiego na cal wapiennego plastra o średnicy ponad pół metra. Kamieniarz, który go zrobił, musiał być prawdziwym mistrzem. W skrytce, uszczelnionej woskiem (a szczelina nie była nigdzie szersza niż jakieś półtora milimetra), zalegało kilkadziesiąt elegancko poukładanych monet. Ktoś spędził masę czasu upychając je w tej ciasnej przestrzeni – wykorzystał ją bezbłędnie. Były rozmaite, choć głównie złote, najwięcej habsburskich marawedów z profilem tego dziadygi, Filipa II, ale prawie równie dużo burbońskich ludwików i weneckich lewków, a nawet starych dobrych dinarów z czasów, kiedy jeszcze ich nie psuto. No i oczywiście dukaty i pistole we wszelkich odmianach i – co ciekawe – z różnych okresów, na przykład suwereny były i elżbietańskie, i protektorskie.

Tak, tak; piractwo w tych stronach przetrwało nie tylko wygaśnięcie Luzynianów, ale i klęskę Wenecjan w 1570 roku. A łup trzeba przecież było gdzieś chować. Nieoficjalny magazyn win musiał być idealny, bo Kustosz z pewnością dbał o dyskrecję miejsca. Ciekawe, jaką pobierał prowizję? Już widzę ten szyld – piwnica „U Giaurów”; hulanki, pijaństwo, hazard i inne bezbożne rozrywki po przystępnych cenach. Lokal zapewnia wszelkie używki, dyskrecję oraz nie zadaje żadnych pytań na temat pochodzenia gotówki. Wydajemy też weksle podrózne i lokatowe, a także przyjmujemy okupy za pozostawiony przyz.

A gdy wszyscy już byli obsłużeni, Kustosz z kagankiem w dłoni schodził do loszku pod narożną basztą od strony morza (przechowywał tam najprzedniejszy, perski haszysz), siadał na dokładnie wysmołowanych skrzyniach i rozmyślał nad dziejami świata i losem zamieszkujących go ludzi.

Ikona? Właśnie ją kupiłem, przy twojej – niezbyt spontanicznej – pomocy. Od lat czekałem na tę możliwość i wreszcie, przedwczoraj, jej dotychczasowy właściciel trafił tam gdzie już od dawna powinien się znajdować. Nakryto go na próbie przemytu dzieł sztuki. No cóż, zapewne wypłatanie się z tej afery zajmie mu parę miesięcy, może rok lub dwa. Najważniejsza jest panika w kilku niedużych i niezbyt szacownych galeriach; wiele

rzeczy poszło pod młotek, a wśród nich moja ikona – święty Krzysztof z białym zamkiem w tle. Ukryję ją, oczywiście; nikt nie powinien trafić na ślad i zakłócić spójność duszy młodego Sirtakiana. Może odkopiesz kiedyś coś innego, ale już nie to.

Ja już z tym skończyłem. Z amatorską archeologią, nielegalnymi wykopkami, szabrowaniem – nazwij to jak chcesz. Powiem ci dlaczego. Przypomniały mi się słowa kogoś, kogo jeszcze przed oboma wojnami słuchałem przy szklance wody węglowej, na podwórku jakiejś madryckiej rudery. Siedzieliśmy wprost na bruku, pod cyprysami, a jego opowieść sprawiła, że gdy po kwadransie – jak mi się wydawało – spojrziałem na zegarek, przekonałem się, że minęły dwie godziny. Potem nastąpiła druga opowieść i trzecia, a każda kolejna była bardziej fascynująca niż poprzednia. Słuchałem więc, jak ty teraz, notując w pamięci – bo nie było jeszcze fonografii elektrycznej, czy jak to się tam teraz nazywa, a zresztą nie mógłbym sobie pozwolić nawet na patefon Edisona – notowałem więc z nadzieją, a nadzieje miałem wówczas tak wielkie, że gdybym próbował je wszystkie wprowadzić w życie, skończyłby na szafocie w Bagdadzie. Można przecież bezkarnie – pod skrzydłami Muhameda Ali – kopać w Dolinie Królów i można wtedy nawet zasłaniać się Nauką, ale sanktuarium Um Haram? To tak jakby prosić o pozwolenie prześwietlenia roentgenem Al-Kaby!

Byłem właśnie taki, jak ty. Pewnie, gdybyś tylko mógł, porwałbyś się na wysadzenie w powietrze całej góry Nebo, a potem przesiałbyś ją przez sitko? Cóż, to chyba jedyny sposób na znalezieniu Arki, w każdym razie wszystkie inne zostały już wypróbowane.

On – ten mój rozmówca – też miał swoje marzenia i o nich mi opowiadał, ale także o tym, co nie pozostało tylko marzeniami. Był w ekipie Langa w Kitim i potem w Salaminie, gdzie całymi workami wydobywali miedziane platory i terakotowe figurki, takie, jak te z Larnaka. Mówił o kopalniach ptolemejskich w Tróödhos i o dymarkach z Petra Limnitis, o minojskiej ceramice w ruinach świątyni Astarte w Páphos i o sumeryjskich tabliczkach zawierających opis neandertalczyków z konkluzją, która brzmiała: byli ludźmi, gdyż swych zmarłych pokrywali kwiatami!

Opowiadał, jak potem próbował szczęścia sam, bo – choć był już bogaty – wciąż na nowo odkrywał, że jego dobre wróżki są silniejsze od niego. Aż wreszcie, któregoś listopadowego świtu, obudził się w deszczu, w cuchnącym śpiworze i zrozumiał, że ma sześćdziesiąt lat i nikogo, komu mógłby napisać choć parę słów o czymś innym, niż tylko o skarbach Agamemnona. Wtedy rzucił wszystko i wyjechał po to, bym mógł spotkać go w Hiszpanii, i by jego słowa po latach wróciły do mnie, gdy moja wiekowa ciężarówka zawiodła wreszcie na górskiej drodze i Lautrec z młodym Dethou nie wyszli już spod kamieni, a Chandreau i Yul przeleżeli po pięć tygodni w szpitalu, ona z rozbitą głową, a on ze zgniecioną stopą.

Przez te wszystkie lata o naszym zamku rozmawialiśmy tylko raz, w styczniu pięćdziesiątego piątego. To było mniej więcej wtedy, gdy wszystko tutaj zaczynało się palić.

Nie wiem już komu pierwszemu przestały wystarczać propagandowe przepychanki, ale faktem jest, że autochtoni z Wyspy są raczej spokojni i niewiele im przeszkadzali przybysze, nawet Anglicy z tą ich śmiechu wartą okupacją. Bez nich żyłoby się tu znacznie ciężiej i biedniej. To nacjonaliści różnej maści – ściągają tu z obu stron, raz z Aten, a raz z Ankary. Oni robili, i robią dalej, najgorszą robotę. Nie myślę nawet, do czego może dojść jeśli Makariosowi zabraknie autorytetu i energii. Teraz już przecież nie ma Royal Navy i jej patroli, które przynajmniej rozbrajały rozmaitych samozwańców Robin Hoodów. Chłopcy działali skutecznie i systematycznie, chociaż od czasu do czasu puszczały im nerwy.

A wtedy nakryli właśnie rybacki kuter, po burty wyładowany karabinami dla EOKA. Jeden niepotrzebny gest albo słowo i oczywiście natychmiast wybuchła strzelanina. Wszystko skończyło się bardzo krwawo. Chandreau powiedziała wtedy, że gdyby przemytnikom udało się ukryć przed świtem w tych podziemiach...

Nadal jednak uważam, że postąpiłem wtedy słusznie. Nie uważam, aby doniosłość wydarzeń należało mierzyć natężeniem produkowanego przez nie hałasu, ani ilością pozostałych po nim trupów. Kustosz zapewne myślał podobnie i dlatego nie wahał się zatrudnić ludzi, pewnie niezupełnie dobrowolnie, aby nosili tę glinkę i gruz.

Bo jeśli Bóg kiedykolwiek zechce przekonać się, co stworzyły Jego twory, nie będzie sprawdzać wysokości wzniesionych przez nas katedr. Raczej zaglądnie do zapomnianych piwnic i do sfotografowanych przez Atgeta zaułków. Rozejrzy się w nich i – jeśli spostrzeże jakiś ślad, który tętni – zapyta nas, co zrobiliśmy, aby go zrozumieć i przekazać innym. Czy trzymaliśmy Jego dłoń w swojej dłoni, gdy szedł, wygnany i przerażony, drogą bez końca, na której co chwila spotykał słowa, zacierające, jedną po drugiej, orzechowe blizny?

A my, zdumieni, patrząc po sobie, zapytamy Go: Panie, kiedy widzieliśmy Cię takim i dlaczego pozwoliłeś, abyśmy Ciebie nie rozpoznali?

Arqui – Algierczycy, którzy w wojnie domowej 1960-62 opowiedzieli się po stronie Francji przeciwko islamskiemu Frontowi Wyzwolenia Narodowego (FLM).

Bembo Pietro (1470-1547), humanista włoski, kardynał. Zasłużył się przywróceniem czystości stylu w języku łacińskim. Napisał: *Epistolae, Rerum veneticorum libri XII, Carmina*, oraz poemat *Gli Asolani (Asolanie)*

Ben Bella Ahmed (ur. 1909 r.) – jeden z przywódców zbrojnego powstania antyfrancuskiego w Algierii (początek walk – 1958 r.); lider FLM. W latach 1962-65 pierwszy premier Algierskiej

Republiki Ludowo-Demokratycznej, a po przewrocie (1963 r.) także jej prezydent. Obalony w 1965 roku. Słuch po nim zaginął.

Knot (fr.) – szkrab, dzieciak, choć niekoniecznie w znaczeniu dosłownym. Odpowiednik angielskiego *kid*.

Maquis (pol.: makia) – drobnolistne, wiecznie zielone zarośla krzaczaste, pospolite w basenie Morza Śródziemnego. Stanowią zawsze doskonałą kryjówkę i dlatego z czasem zaczęto tą nazwą określać wszelkiego rodzaju partyzantki.

Pilard (od fr. *pillage*) – szabrownik; złodziej kradnący dobro porzucone lub pozostawione bez dozoru; zajmujący się plądrowaniem.

20 Drugie życzenie

Miało to miejsce w czasach, kiedy jeszcze nie wszystko było na niby, a niektóre rzeczy działały się nawet całkiem naprawdę.

Plaże były wtedy piękne jak z folderów nieistniejących jeszcze biur podróży, a gaje palmowe wyglądały jak z pocztówek – choć nie było jeszcze zwyczaju drukowania sielskich obrazków na kartach pocztowych. Nocne, rozgwieżdżone niebo było jak z bajki, choć nikt by tak o nim nie powiedział, ponieważ wyglądało tak każdej nocy, odkąd ktokolwiek zwrócił na to uwagę. Szerokie liście szumiały w lekkich porywach mile chłodzącego wiatru. Wszędzie wokół unosiły się wonie subtropikalnych owoców o zróżnicowanym aromacie. Woda była krystaliczna, piasek miękki, a mały umiarkowanie natarczywe.

Być może było to najlepsze miejsce na spędzenie urlopu, ale słowo „urlop” też jeszcze nie zostało wymyślone. Nie było więc turystów skłonnych zachwycić się rajskim urokiem, a co do miejscowych to byli nań już całkowicie zaimpregnowani. Opatrzył się im, osłuchał i owąchał.

Nikolaos co prawda miejscowym nie był, ale całej tej cukierkowej plaży też już miał serdecznie dość. Kończył właśnie spędzać na niej drugi kwadrans, a czuł się tak, jakby przykuto go do niej na całą wieczność. Szarpał swą siwą brodę, przeklinał pod haczykowanym nosem i końcem złotego pastorału z pasją dźgał przechodzące obok kraby.

– To się nazywa mieć pecha – zakonkludował. – Czy nie przestrzegałem cię, bałwanie jeden, żebyś uważał?

I natychmiast, nie czekając na żadną odpowiedź, podjął przerwana litanie wyzwick i pomstowań. Ubolewał, że to właśnie jemu – tak doświadczonemu pracownikowi – powierza się młokosów bez elementarnego przygotowania do zawodu. Rozważał, czy chce mu się w ten sposób złamać karierę, czy też może ktoś zapragnął przesunąć go na starość do pionu szkoleń, aby tam dostał zawału i zszedł śmiertelnie. W końcu wyraził nadzieję na rychły koniec świata, który przynajmniej uwolniłby go od idiotycznych zadań, obarczonych na dodatek obecnością nieudolnych pomocników.

Nikolaos mówił nieprzerwanym potokiem słów, niezbyt głośno i bez przerwy na oddech, którego nie potrzebował. W ten sposób upłynął mu trzeci kwadrans – kolejny piętnastominutowy wycinek wieczności. Przez cały ten czas niebo nie zmieniło się ani na jotę, a stojący opodal młodzieniec nie odezwał się, ani nie zmienił postawy pełnej pokory i poczucia winy.

Miał niebieskie oczy i złote włosy. Jego obszerna szata wybrzuszała się na plecach, co wyglądałoby jak garb, gdyby zza kołnierza nie starczało kilka śnieżnobiałych lotek.

– Ależ, szefie... – spróbował zaprotestować.

– Bzdura! – uciął natychmiast Nikolaos. – Miałeś załatwić prostą sprawę, a pokpiłeś ją pokazowo. Teraz już nie jest prosta. Czy myślisz, że nasza praca polega na spełnianiu czyichś życzeń?

Młodzieniec milczał, ze wzrokiem wbitym we właśnie dźganego kraba. Nikolaos też popatrzył na kraba, po czym dźgnął go jeszcze raz.

– Mamy precyzyjny rozkład – podjął cierpliwie – musimy się trzymać planu. Do końca nocy zostało już niewiele godzin, a my jak dotąd załatwiliśmy tylko dwie trzecie planety. Nim nadejdzie świt musimy jeszcze przebyć trzynaście tysięcy trzysta trzydzieści trzy (i trzy w okresie) kilometrów licząc po równiku. Trzeba odwiedzić wszystkie domy, nie budząc nikogo dostać się do środka, zlokalizować choinkę, zostawić pod nią to, co zgodnie z rozpiską ma tam być zostawione, po czym wycofać się, zacierając ewentualne ślady. I żadnego fraternizowania się z jakimiś lunatykami, co zamiast spać szwendają się nie wiadomo po co. Dwudziesty czwarty grudnia nie jest z gumy! Czy zrozumienie tej prostej prawdy przekracza możliwości współczesnego praktykanta?

– Wcale się nie szwendała – zaprotestował współczesny praktykant. – Powiedziała, że czeka na mnie i że bardzo się cieszy, że przyszedłem...

– Bzdura! – ryknął Nikolaos. – Pewnie, że się cieszy! Wszyscy się cieszą, na tym to właśnie polega. Postąpiłeś nieregulaminowo. A pierwsza zasada mówi... No, co mówi?

– *W wypadku odkrycia należy uspić odkrywanta* – wyrecytował złotowłosy. – *Dziesiąte: Ani żadnej rzeczy, która jego jest.*

– Wystarczy. Więc po diabła w ogóle z nią rozmawiałeś?

Młodzieniec zawahał się:

– No... Powiedziała, że jeśli mógłbym coś dla niej zrobić to byłaby bardzo wdzięczna i że w zasadzie wie, że nie wypada jej o to prosić, ale jest takie coś, co by bardzo chciała mieć, ale nie może, to znaczy ona może i może, ale jej mąż jakoś... jest nie... nie tego... no... – zaplątał się. – *A in vitro* jeszcze nie wynaleziono – podjął z nowym natchnieniem – ani antybiotyków i większość chorób wenerycznych jest w zasadzie śmiertelna, więc wolałaby nie ryzykować z kimś innym, a zresztą *Szóste: Nie cudzołóż...*

Nikolaos pokiwał głową:

– Więc obiecałeś jej, że zobaczysz co się da zrobić – stwierdził z rezygnacją. – Nie wiem co ci mówili na szkoleniu, ale wbrew plotkom nie jestem wszechmocny. Skąd, twoim zdaniem, mam na tej pustyni wytrzasnąć niemowlaka? I to jeszcze przed wschodem słońca?

Młodzieniec wbił wzrok w ziemię.

– Myślałem – bąknął – że mógłbym to załatwić zwyczajnie...

– Zwyczajnie? To znaczy jak?

– No... Tradycyjnie...

– Ach, tak! – westchnął Nikolaos, bez szczególnej ostentacji. – A zgodnie z jaką to mianowicie tradycją? Czy jest w niej jeszcze miejsce na tradycyjną anielską czystość? Czy może cnota ta wyszła już obecnie z mody?

Młodzieniec studiował ornamentykę krabich pancerzy.

– Haruję za ciebie rok w rok – powiedział nagle zupełnie innym głosem. – Mógłbyś mi czasem udzielić dyspensy.

– Co?! Co takiego?! To niedopuszczalne! To byłoby sprzeczne z moim sumieniem!

– Możesz się rozgrzeszyć.

– To groziłoby kompromitacją...

– Nikt się nie dowie.

– ...zaszkodziłoby mojemu autorytetowi...

– Wszystkiemu zaprzeczysz.

– ...byłoby końcem mojej reputacji...

– Jest niepodważalna.

– I czy to w ogóle warto?

– O, tak! – praktykant raptem jakby się rozchmurzył. – *Oczy jej bowiem są jak gołębicę, włosy jej jak stado kóz na wzgórzach Gileadu, zęby jak owce strzyżone gdy wychodzą z kąpieli, jak okrawek granatu skroń jej, szyja jak Wieża Dawidowa warownie wzniesiona, piersi jak dwoje kozłat co pasą się pośród lilii, brzuch jej jak stos pszenicznego ziarna, uda jak...*

– Dobra, dobra... – przerwał Nikolaos. – Wystarczy. Znam tę pieśń na pamięć, sam ją w końcu napisałem.

Nagle zamilkł, tknięty możliwością, której jakoś wcześniej nie brał pod uwagę.

– Więc mówisz, że gdzie dokładnie ona mieszka? – zapytał niedbale.

– Trzydzieści jeden stopni szerokości geograficznej północnej i trzydzieści pięć na wschód od Greenwich – rzekł złotowłosey.

Były to jego ostatnie słowa w tej rozmowie.

Nikolaos tkwił w windzie, która szybko i bezszmerowo przecinała kolejne warstwy geologiczne. W myślach układał sobie to, co ma powiedzieć, więc gdy wreszcie dotarł do końcowego przystanku z największą dokładnością znał przebieg mającego się dopiero odbyć spotkania. W halu recepcyjnym powitała go piekielnie piękna sekretarka:

– Pan wiceprezes już czeka – oznajmiła.

Gabinet był urządzony w purpurze i fiolecie, czerwona tapeta mieniła się płomienistym wzorem. Za wielkim biurkiem siedział nieduży osobnik w peruce z harcapem.

– Cześć, wice – wypalił do niego Nikolaos.

– Cześć, archi – odpowiedział tamten. – Czego chcesz?

– Porozmawiać.

– Okej. Ale żadnych tematów politycznych – zastrzegł się Harcap. – O co chodzi?
– Mam dla ciebie klienta – rzekł Nikolaos. – Moim zdaniem diabli go wzięli. Myślę, że mógłbyś to załatwić.

Wice poskrobał się pod peruką.

– Ty mnie jednak kiedyś wykończysz – zaprorokował. – Czy myślisz, że moja praca polega na spełnianiu twoich życzeń? Też mam swojego szefa. Lucek nie lubi jak mu się tak obcesowo kogoś narzuca. On wolałby samemu sprowadzać na złą drogę. A właściwie kto to jest tym razem? I czym ci tak podpadł?

– No, to załatwione? – upewnił się Nikolaos wstając. – Interesy z tobą to czysta przyjemność.

– Zaraz! A gdzie mój zysk?

– Jak to? Przecież właśnie polepszyła ci się efektywność sprowadzania na złą drogę.

Wiceprezes zakręcił młynka kciukami.

– A więc znowu jakiś potencjalnie niedyskretny anioł musi zostać upadłym aniołem, ponieważ miał pecha, że po dyplomie przydzielili go właśnie tobie. Czasami zastanawiam się, dlaczego ich tak wykorzystujesz. Rzeczywiście nie mogłeś mu zaufać?

– W sprawach autorytetu i reputacji nie ufam nikomu – wyjaśnił Nikolaos. – To kwestia mojego posłannictwa,

– Nigdy nie mogłem pojąć na czym ono właściwie polega.

– Na łączeniu pożytecznego z przyjemnym, oczywiście.

– To zupełnie tak jak z moim! – ucieszył się Wice. – A nie mogłeś tak po prostu, tradycyjnie pójść do tej kobiety i spełnić jej życzenia?

– Niestety. Widzisz, ja też mam swojego szefa.

– Naprawdę myślisz, że On rzeczywiście istnieje?

– Żadnych tematów politycznych – przypomniał mu Nikolaos.

21 Bynajmniej

Szarlabam Ćwieklic mieszkał samotnie, z dala od stóp procentowych i ujemnego saldo w handlu zagranicznym – w okolicy zapomnianej przez Boga, ludzi i operatorów sieci GSM.

Do jego siedziby nie docierały żadne kable ani rury, nigdy też nie przelatywał nad nią żaden satelita telekomunikacyjny. Kiedy wynaleziono kolej żelazną, pierwsze w tej części świata tory poprowadzono szerokim łukiem, ponieważ tak było bliżej, a gdy pojawiły się pierwsze automobile drogę dla nich wytyczono łukiem jeszcze szerszym – gdyż tak było taniej. Słownik krajoznawczy zbywał milczeniem istnienie Ćwiekloviny, jej położenie i ewentualne walory turystyczne. Autorzy fachowych leksykonów musieliby się wszak o tej miejscowości rozpisywać tuż po szczęśliwym odwaleniu całej litery „C”, a przed czekającą na nich właśnie, wyjątkowo męczącą „D”. Jakimś trafem na wszystkich istniejących mapach Ćwieklovina wypadła zawsze w narożniku arkusza, tuż przy marginesie, w związku z czym bywała przeważnie zasłonięta legendą, albo podziałką.

Lokalne annały również nie zaśmiewały sobie kart rodzinnym gniazdem Szarlabama Ćwieklica. Nie wydarzyła się tu w przeszłości żadna ważna bitwa (której datę trzeba znać już w szkole podstawowej), ani nawet bitwa całkiem nieistotna (o której wiedzą tylko najbardziej zmurszali adiunkci historii). Nikt tu nikogo nie ukoronował, ani nikomu nie naubiżał, w okolicy niczego doniosłego nie wymyślono, nie skomponowano, ani nie napisano. Nic nadzwyczajnego nie spadło tu nigdy z nieba, ani też nie trysnęło z ziemi. Diabeł, który w każdej podobnej dziurze mógłby powiedzieć *dobranoc*, w Ćwieklovinie niczego już nie mówił. Nigdy nie chciało mu się nawet tam zajrzeć.

Największą troskę hrabiego Ćwieklica stanowił jednak zamieszkały w tych stronach Czerwony Kapturek. Był to co prawda pojedynczy egzemplarz, ale za to posiadał niezwykle liczną rodzinę.

Większe i mniejsze kapturzęta chuliganiły się w lesie i łapserdaczyły na otwartej przestrzeni, a w terenie mieszanym czyniły i jedno i drugie, z większą jeszcze zajadłością. Niejeden upiór, natknąwszy się na nie przypadkiem, wychodził z tego spotkania z podbitym oczodołem. Niejedna wiedźma budziła się związana w kij do własnej miotły, a niejeden Ponury Kosiarz – w kosę do własnej kosy. Topielice kryły się przez zgrają kapturząt w najgłębszych głębinach, a wisielcy w panice wylazili na najwyższe gałęzie. Wilkołaki przemykały opłotkami i już od dawna żaden z nich porządnie nie zawył. Zmory, strzygi i kłobuki na najmniejszy szelest włączały znikanie. Z powodu ustawicznego napięcia większość drapieżnych królików zapadła na nerwicę paralityczno-drgawkową, a doktor Jekyl i mister Hyde dostali schizofrenii i zgodnie twierdzili, że jest ich czterech.

Kapturzęta psuły hrabiemu krew. Nie przypominał sobie, aby w jego długim życiu zdarzyło się coś, co tak skutecznie wyssałoby zeń całą radość.

Nie tak to kiedyś wyglądało, myślał ponuro, studiując portrety swych szanownych przodków. Szanowni przodkowie mieli wysokie zakola, szpiczaste kołnierze na sztorc i siekacze z lekka opadające na podbródek; ze ścian w milczeniu przytakiwali jego niewesołym konkluzjom. Hrabia Ćwieklic dumiał o czasach, kiedy to jego imię znane było w promieniu wielu mil. Pamiętał, że kiedyś całymi nocami patrolował swą domenę, jak dobry gospodarz, którego oko tuczy, ale i pilnie wypatruje, gdzie tuczenie można już zakończyć. Wtedy spadał na pogrążone w trwodze sioła i zbierał daninę z czynnika *Rh* według naznaczonej przez siebie samego taryfy – sto procent! Żadnych zniżek, żadnych ulg, ani odstępień. Wyłącznie pełne upusty! Co do kropelki!

A może to właśnie dlatego?, rozważał Szarlabam Ćwieklic, w zamyśleniu bezwiednie obgryzając jakąś zeschniętą piszczel. Może to właśnie wieki rabunkowej gospodarki hemoglobina doprowadziły do tak dramatycznego spadku pogłowia żywicieli? Czyż więc to poniekąd nie on sam spowodował to wyludnienie i – by tak rzec – wyschnięcie źródła życiodajnego płynu? W końcu okolica stała się tak przez ludzi omijana, zyskała sobie aż tak złą sławę, że zagnieździły się w niej nawet Czerwone Kapturki.

Mogłoby to więc być tak?, zapytywał sam siebie hrabia Ćwieklic, a wtedy jego liczni przodkowie ze swych portretów rzucali wieloznaczne spojrzenia i poruszali brwiami, jak Gaucho Marx gdy chciał coś zaakcentować, albo coś dać do zrozumienia.

Po wspominkach zawsze nachodziło Ćwieklica zniechęcenie. Wiele razy już niemal rozpościerał pelerynę by z okna poszybować hen, ku horyzontowi. Ale zamiast tego zawijał się w nią tylko, zwieszał z powały i zapadał w niespokojną drzemkę.

Do Ćwiekloviny nie prowadziła oczywiście żadna uczęszczana droga, można więc zrozumieć zdumienie hrabiego, gdy pewnego wieczora ma klombie przed swą rezydencją zobaczył połyskliwie czarną lancję o przyciemnianych szybach. Z wnętrza pojazdu wysunął się szofer, który również miał przyciemnione, rozejrzał się nimi wokół, szepnął do rękawa *teren czysty*, po czym otworzył tylne drzwiczki samochodu. Szarlabam Ćwieklic zobaczył wytaczającego się z nich jegomościa o dość typowym obliczu, ale za to odzianego jak bankier – i to taki, co się jeszcze nigdy nie musiał martwić o napełnienie skarbca.

– Jestem harmonizatorem – przedstawił się intruz.

Ćwieklic naprędce dokonał przeglądu swej znajomości zwyczajów *homo sapiens*.

– Czy to znaczy, że grywa pan na harmonii? – zapytał.

– Bynajmniej. – Obcy dyskretnie skrył rozbawienie. – Zajmuję się harmonizowaniem różnych rzeczy. Działam na płaszczyźnie makroekonomicznej.

– A zatem jest pan makroekonomem? – domyślił się hrabia.

– Bynajmniej – powtórzył harmonizator i nagle zrobił minę, od której stał się znacznie znacniejszy. – Piastuję – oświadczył – urząd Nadzwyczajnego Pełnomocnika Do Spraw Równego Statusu Fiskalnego. Funkcja ta przekłada się w pewnej ciągłości czasowej na dokonania, które bynajmniej mają się skumulować w poczucie jedynomyślności, sprawiedliwości społecznej, oraz walki z nędzą i bezrobociem. Niniejszym wręczam panu nominację na podsekretarza stanu w moim gabinecie politycznym. Gratuluję i życzę owocnych działań zmierzających ku dalszemu, a także w trosce o zachowanie i dla dobra. Niech pan pamięta, że bynajmniej naszym priorytetem jest ściśle dostosowanie do standardów harmonizacji, oraz elastyczna progresja oparta na sztywnych wytycznych, ustalanych z uwzględnieniem interesu.

Spojrzał uważnie na Ćwieklica. Ćwieklic wyglądał jakby mu ktoś wykręcił bezpieczniki.

– Oczywiście – dodał już mniej oficjalnie hamonizator – wszystkie pańskie posunięcia będą się odbywać zgodnie ze z góry ustalonym planem, opartym na improwizacji. Będą konsultowane osobiście ze mną, za pośrednictwem mojego asystenta. – Wskazał na sfofera z przyciemnianymi.

– Zostaną one przeanalizowane – ciągnął przybysz – i na pewno zaaprobowane, chyba żeby z przyczyn obiektywnych nie zostały. Posada, którą panu proponuję ma charakter stały i niezawisły, będzie więc podlegać okresowym zmianom i szczegółowym rozporządzeniom, ogłaszanych powszechnie w trybie tajnym specjalnego przeznaczenia, na dwa tygodnie przed terminem obowiązywania przedawnienia na miesięczne moratorium w sprawie obwieszczeń publicznych.

Ćwieklic ocknął się:

– Czy to znaczy, że miałbym pracować?! – zapytał tonem, jakiego zapewne użył Ludwik XVI, gdy mu powiedziano, że wózek się zepsuł i na plac z gilotyną trzeba iść piechotą.

– Bynajmniej – uspokoił go Nadzwyczajny Pełnomocnik d/s Równego Statusu Fiskalnego. – Będzie pan robić to samo, co pan robił dotąd. Z nadzwyczaj imponującym skutkiem, jak można sądzić lustrując okolice. Teraz będzie pan po prostu działał nie w jednej prowincji, ale na obszarze całego kraju. Okoliczności zmuszają bowiem obecny gabinet do podjęcia działań radykalnych, choć bynajmniej nacechowanych umiarkowaniem. Musimy zaryzykować serię odważnych reform, które będziemy realizować ostrożnie, aby przyniosły pozytywny skutek dla budżetu. Z pana pomocą sięgniemy po rezerwy naturalne społeczeństwa, jego bynajmniej organiczne zasoby. Zgodnie z planem osiągniemy przez to szybki wzrost wskaźników, aczkolwiek bierzemy też pod uwagę, że mogą one gwałtownie spaść, co z pewnością będzie zjawiskiem przejściowym, o ile nie wystąpi tendencja do jego przejściowego utrwalenia się...

– Ile będę zarabiał? – przerwał Ćwieklic.

Bynajmniej

– Bynajmniej nic.

– Nic?!

– Ani grosza – podkreślił harmonizator – Tylko zwrot kosztów. Rozumie pan: przejazdy (tu niedbałym gestem wskazał na swą błyszczącą limuzynę), ochrona (szofer poprawił krawat), kontakty służbowe (szoferowi coś zadzwoniło w kieszeni), sekretariat (z wnętrza samochodu dobiegł damski chichot), wyżywienie (rozległo się charakterystyczne pyknięcie wystrzelonego korka). Jestem zdania – kontynuował urzędnik – że będzie pan odpowiednim kandydatem na to stanowisko. Zaręczam, że odniesie pan z tego tytułu wiele niewymiernych korzyści, choć oczywiście niczego nie mogę obiecać...

Następnego dnia, tuż po wschodzie słońca, jedno z czerwonych kapturzątd wdarło się do domu hrabiego.

– Przyszła wreszcie kreska na ciebie, niecny tyranie i krwio pijco! – wrzasnęło podzwaniając kleszczami stomatologicznymi, jakby to były kastaniety.

Lecz dworzyszczce okazało się puste.

Pakując się na wyjazd do stolicy, Szarlabam Ćwieklic nie zabrał ze sobą tylko portretów swych przodków. Dalej wisiały szeregiem na odrapanych ścianach i znów poruszały brwiami niczym Gaucho Marx. Ale tym razem bynajmniej nie było w tym gości żadnych niedomówień – emanowała zeń tryumfalna pewność nadchodzącej, dziejowej pomsty.